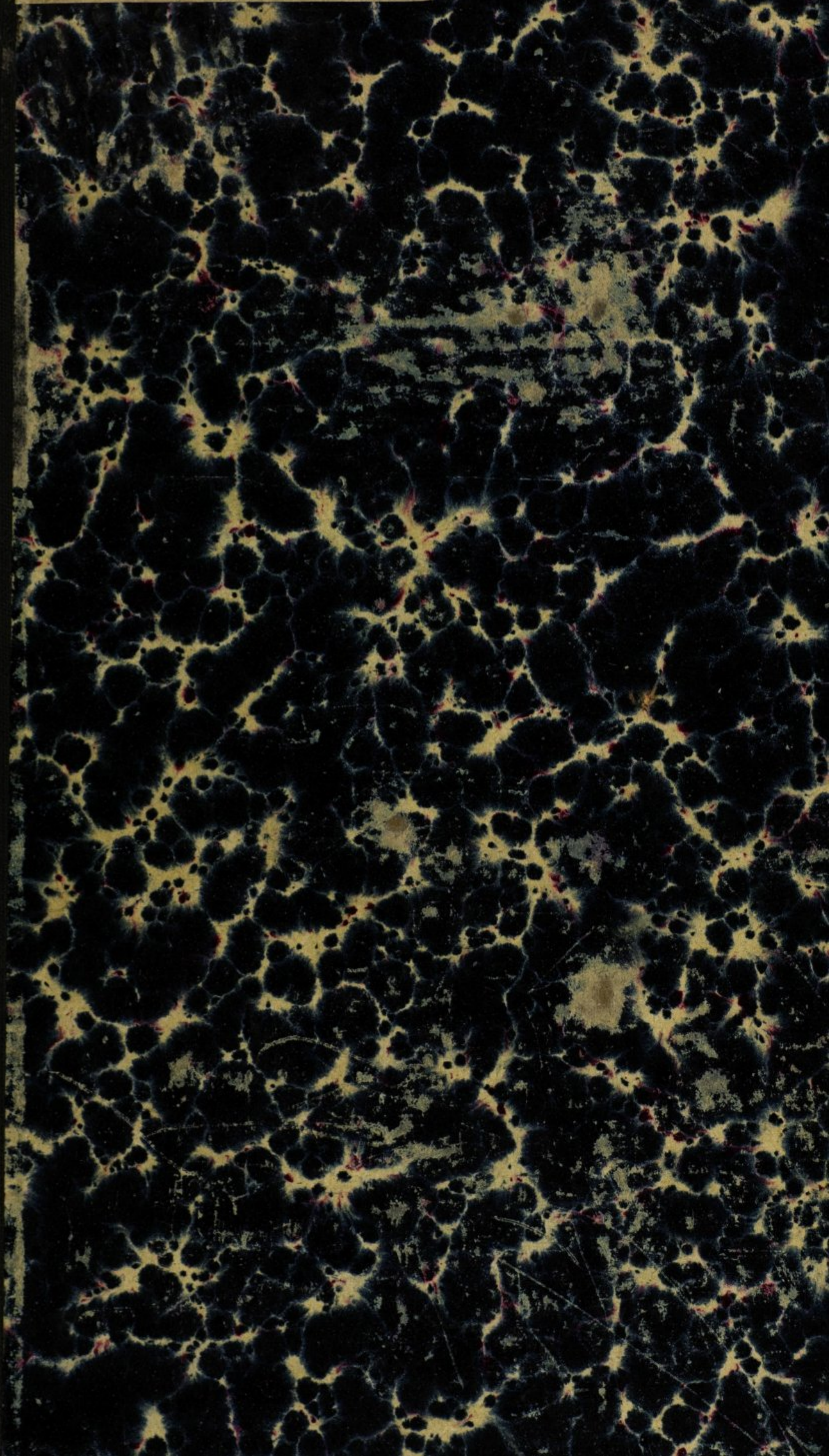




ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XX.

ROK V.

TOM IV—ZESZYT III.

Grudzień

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1880.

SPIS RZECZY.

P. P. Prenumeratorów, którzy nie wnieśli opłaty za drugie półrocze r. 1880, upraszamy o prędkie nadsyłanie téj należności do Redakcyi.

Druk ukończono 3 Grudnia r. 1880.

Prospekt na rok 1881.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

Od lat pięciu wychodzi w Warszawie **Ateneum**, czasopismo poświęcone nauce i literaturze. Redakcya jego ani w czasie założenia nowego w czasopiśmiennictwie organu, ani później, nie poszła zwykłą drogą prospektowych programów i obietnic, sądząc, że jéj cele i dążności najlepiéj się wyjaśnią w saméj działalności literackiej, że rozprawy i studya, w **Ateneum** pomieszczane, staną się wobec czytelników najwierniejszemi tłómaczami jéj przekonań i poglądów.

Nadzieja ta w części spełnioną, w części zawiedzioną została. Znalazła się w społeczeństwie naszém znaczna liczba ludzi, co zrozumiała myśl przewodnią czasopisma i już-to spółudziałem w pracy, już-to prenumeratą popierać ją pośpieszyła. Byli wszakże i tacy, co chcąc koniecznie czytać coś pomiędzy wierszami, z niektórych rozpraw wyczytywali nie to, co się w nich istotnie zawierało, ale to, co im podszeptywało przywidzenie: stądto niektórych poglądów nie rozumieli należycie, a inne wprost przekręcali. Nic w tém dziwnego. Pojawienie się **Ateneum** wśród grona innych czasopism nastąpiło w chwili, kiedy w prasie miejscowéj warszawskiéj panowała silna drażliwość pod względem oceny nie tylko najbliższych wypadków, ale nawet i całéj historyi naszéj, kiedy obudziła się silna nieufność do wiedzy traktowanéj ze stanowiska najnowszego. Wśród takiego stanu rzeczy o posądzenia i insynuacye było bardzo łatwo.

Obecnie czasy się wielce zmieniły. Całkiem niezależnie od **Ateneum**, z odmiennego pod wielu względami grona pisarzy, bo z Krakowa, przedostały się do nas daleko jaskrawiéj wypowiedziane sądy

o przeszłości bliższéj i dalszéj; a sądy te przyjęte były z mniejszą namiętnością i rozdrażnieniem, aniżeli dawniejsze o wiele skromniéj wypowiedziane zdania **Ateneum**. Tak samo co do pojęć filozoficznych nastała, jak się zdaje, chwila spokojnego, przedmiotowego rozpatrywania wszystkich zagadnień, poruszających umysły narodów cywilizowanych.

Redakcya **Ateneum** mając poza sobą pięcioletni okres istnienia, to jest cały szereg prac z najrozmaitszych dziedzin wiedzy ludzkiéj i życia społecznego, może się na nie powołać i zaznaczyć:

1. że się starała na wszystkie objawy naukowe, literackie i społeczne patrzéć jasno, beznamiętnie, krytycznie;

2. że usiłowała, o ile w możności jéj było, zaznajamiać czytelników z ważniejszemi wynikami spółczesnej wiedzy europejskiéj.

Zadanie to redakcya spełniać pragnie i nadal.

Nie mając pretensyi do nieomylności i nie wierząc w wartość systematów bezwzględnych, najzawilsze nawet zagadnienia jedném cięciem rozstrzygających, nie myśli wydawać żadnych wyroków, ale chce zostać przewodnikiem tylko po rozległej krainie myśli i uczuć, które świat dzisiejszy zajmują.

Chwila obecna jest czasem wyrabiania się pojęć nowych i dążności nowych. Chwalić je lub potępiać namiętnie jestto dawać jedynie dowód swego sangwinicznego usposobienia; potrzeba je znać, badać, roztrząsać, ażeby za pomocą dowodów rozświetlić zamęt pojęć i wytworzyć ideały nie tylko uczuciowe, ale i rozumne. Bez jasnéj myśli przewodniéj niemożebne jest rozumne i konsekwentne działanie, a jasności myśli bez dokładnego i krytycznego badania wyrobić w sobie niepodobna. Śmiało więc potrzeba zajrzéć kwestyi każdéj w oczy, o ile warunki życia na to pozwalają, bez owéj małodusznéj obawy, ażeby przy bliższém roztrząsaniu nie rozwiało się jakie złudzenie. Społeczeństwo nasze jest dosyć dojrzałe, ażeby blask prawdy znieść mogło, a ma w sobie dosyć żywotności, ażeby o przyszłość lękać się miało.

Zagranica robi w każdéj dziedzinie wiedzy postępy olbrzymie. My nie jesteśmy w tém położeniu, ażebyśmy na całym obszarze umiejętności samodzielnie pracować mogli. Musimy zatém utrzymywać jaknajściślejszy związek umysłowy z temi narodami, które w oświacie przodują. Nie znać ich nabytków, i ciekawych i ważnych, byłobyto pozbawiać się tych sił potężnych, jakie daje nauka prawdziwa. Twierdzić, że nie wszystkie zdobycze umiejętności godzi się rozpowszechniać wśród naszego społeczeństwa, znaczyłoby ubliżać temu społeczeństwu, które z niemowlęctwa ducha chyba już wyrosło.

W myśl tych przekonań **Ateneum** pomieszczać będzie:

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem naszych własnych stosunków.

IV. Rozprawy rozświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa polskiego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one uwydatnią doniosłością swoją.

VI. Studya z dziedziny filozofii a mianowicie: psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych, o ile nowe odkrycia, wynalazki i teorye dadzą materyał do szerszych poglądów interesujących ogół wykształconej publiczności.

IX. Kronikę przyrodniczą, notującą najnowsze odkrycia i wynalazki.

X. Kronikę miesięczną, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

XI. Przegląd dramatyczny rozświetlający najważniejsze objawy wsród przedstawień scenicznych.

XII. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiający się w nowo wychodzących utworach.

Mając zapewnione spółpracownictwo pierwszorzędnych uczonych naszych i belletrystów, możemy wyrazić nadzieję, że wszystkie powyższe kwestye traktowane będą zarówno gruntownie jak i przystępnie, że w krainie wiedzy i sztuki **Ateneum** stanie się przewodnikiem dobrze poinformowanym i nie nudnym.

Za Redaktora

Piotr Chmielowski.

Warunki prenumeraty:

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzi na początku każdego miesiąca zeszytami 12 ark. zawierającemi.

Prenumerata w Warszawie, w Królestwie i Cesarstwie oraz za granicą we wszystkich krajach Związku Pocztowego wynosi:

Rocznie . . . . Rsr. **12**
Półrocznie . . . . „ **6**
Kwartalnie (*tylko w Warszawie*) . . . . „ **3**

Prenumerować można

W REDAKCYI ATENEUM

oraz we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

PP. prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty *bezpośrednio do Redakcyi*, gdyż tylko w takim razie ręczyć możemy za akuratną przesyłkę zeszytów.

***Adres Redakcyi Ateneum: Włodzimierska* 14.**

Z prac, które w roku przyszłym w **Ateneum** pomieszczone będą, wymieniamy:

Jana Zacharyasiewicza powieść *Kometa.*

Sewera powieść *Przybłędy i Obrazy z Anglii.*

Kazimierza Jarochowskiego: *Polska i Brandeburgia po traktacie oliwskim.*

Ignotusa: *Walka z centralizmem.* (Obraz najnowszych stosunków politycznych w Galicyi).

D-ra Gablera (P r a w d y): *Listy czeskie.*

Władysława Kozłowskiego: *Studyum nad Socyologią Herberta Spencera.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Ноября 1880 года.
Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Królewska Nr. 23.

STOSUNKI GMINNE

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM

i właściwy kierunek ich rozwoju.

(Dokończenie).

III.

Wysokość podatków stałych państwowych jakkolwiek zdaje się nie dotykać bezpośrednio kwestyi nas zajmującej, wszakże nie jest bez interesu dla studiującego stosunki gminne: 1) ze względu na kwestyą jak się podatek rozkłada pomiędzy rozmaite kategorye płatników 2) że sam rozkład znacznej części tegoż podatku pozostawiony jest de jure członkom miejscowego samorządu. Przedewszystkiém zaś, ciekawym jest stosunek miejscowych składek i ciężarów gminnych do stałych podatków państwowych z tego szczególniéj względu, że w niektórych urządzeniach gminnych na zachodzie Europy, składki gminne dopuszczane są tylko w kształcie dodatków procentowych do owych stałych podatków.

W gminach nas zajmujących rozkład podatków stałych i powinności gminnych rządowych, pomiędzy dwie kategorye własności wielkiéj i małéj rozdziela się następnie.

Wyszczególnienie podatków i powinności rządowych gminnych	Gmina Gidle				Gmina Radziechowice				Gmina Brzeznica			
	wielka własn.		mała własn.		wielka własn.		mała własn.		wielka własn.		mała własn.	
	rs.	k.	rs.	k.	rs.	k.	rs.	k.	rs.	k.	rs.	k.
Podatek gruntowy główny .	931	3	1.077	42	1.487	89	1.245	69	1.593	45	1.367	61
„ „ dodatkowy	490	26	540	75	783	69	505	79	833	80	733	83
Podymne w ogóle	303	—	1.433	—	402	—	1.396	—	330	–	1.848	—
Razem podatków .	[1])1.724	29	3.051	17	2.673	58	3.147	48	2.757	25	3.949	44
Składki szarwarkowéj . . .	198	92	386	47	272	72	405	29	268	42	497	12
„ kwaterunkowéj . .	76	50	117	41	100	58	129	96	105	10	273	56½
„ transportowéj . . .	10	92	122	72	21	32	104	26	14	82	172	90
Razem składek . .	286	34	626	60	394	62	689	51	388	34	943	58½
W ogóle podatków i składek .	2.010	63	3.677	77	3.068	20	3.786	99	3.145	59	4.893	2½

[1]) Cyfry podatkowe z większéj własności w Gminie Gidelskiej są mniejsze względnie do takichże cyfr odnoszących się do mniejszej własności, w miarę tegoż stosunku

Co do rozkładu przytoczonych podatków, należy przypomnićć, że tylko podatek gruntowy główny w ogóle i podymne z większéj własności są rozłożone ostatecznie i stanowczo przez władze finansowe podług ułożonéj stałéj taryfy. Podatek gruntowy dodatkowy dworski, rozłożony stale na powiaty, ,,miał być rozłożony pomiędzy oddzielne majątki przez władze miejscowe (a więc powiatowe) przy udziale osób wybranych z łona samych kontrybuentów. O sposobie wyboru kontrybuentów, powołanych do udziału w rozkładzie i sposobie działania władz miejscowych, polecono było ułożyć osobne przepisy. Lecz przed ułożeniem tych przepisów, rozkład podatku dodatkowego pomiędzy kontrybuentów dokonany został przez zarząd finansowy w Królestwie. Rozkład dworskiego podatku gruntowego wprowadzony został w wykonanie czasowo, w kształcie próby, tak aby następnie poddany był starannemu rozważeniu i sprawdzeniu i aby po poprawieniu go w czém okaże się potrzeba, według wskazówek doświadczenia i rezultatów tego sprawdzenia, przedstawiony mógł być projekt do najwyższego zatwierdzenia". 1),

Otóż projektowany rozkład wewnętrzny przez organa miejscowe w powiatach nie doszedł do skutku, co można uważać za wypadek względnie pomyślny; jeżeli bowiem można było przypuszczać pewną nieścisłość w ułożeniu taryf podatkowych przez władze finansowe i prawodawcze, które wszakże były w posiadaniu poważnych danych co do ceny ziemi w różnych miejscowościach na zasadzie wskazówek Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, oraz innych statystycznych wiadomości, to rozkład dokonywany przez miejscową biurokracyą, chociażby przy udziale osób wybranych z łona kontrybuentów, przy braku wszelkich nietylko kadastralnych, lecz nawet jakichbądź poważnych danych o względnéj wartości opodatkowanych gruntów, byłby oparty na instynktowych jedynie przypuszczeniach, a ztąd na pewnego rodzaju dowolności, i musiałby wywołać narzekania wielu kontrybuentów.

Mniéj więcéj nawet pewne przypuszczenia o względnéj zamożności płatników nie mogłyby dostarczyć sprawiedliwéj podstawy rozkładowi, zważywszy, że podatek gruntowy, nie posiadający żadnych

---

w innych gminach, z powodu, że w liczbie większéj własności figuruje las rządowy (3898 morg.) z którego podatek gruntowy nie jest wykazany, a który podług taryfy dla klasy 5-ej powinien wynosić r. 241 k. 67 jako główny i rs. 128 k. 8 jako dodatkowy, co uczyni razem r. 369 k. 75.

1) O podatkach stałych od nieruchomości w kraju Nadwiślańskim, artykuł Gońca Urzędowego podany w Ekonomiście z r. 1869.

cech podatku dochodowego, musi opiérać się jedynie na kadastralnéj *wartości gruntów.*

Z podatków włościańskich gruntowy dodatkowy oznaczony na *całe gminy, według przepisów* ukazu z dnia 13 Grudnia roku 1868 *(art.* 15) *miał być rozkładany* przez zebrania gminne pomiędzy wsie oddzielne, gruntowy zaś główny i podymny został wyznaczony przez miejscowe władze skarbowe w ogólnéj ilości wprost na każdą wieś, odpowiednio do ilości i kategoryi, znajdujących się w niéj osad i gruntów. (art. 13). Wszystkie te podatki na powyższy sposób do wsi oddzielnych zregulowane, powinny się rozkładać (art. 17), pomiędzy podatników każdéj wsi, przez zebrania wiejskie, w jakowym rozkładzie władze skarbowe nie biorą żadnego udziału. Pomimo to art. 18 ukazu zakreśla w rozkładzie pewne ograniczenia a mianowicie: że podatek gruntowy dodatkowy (który w taryfie stanowi połowę głównego) nie może być oznaczony przez zebranie gminne na wieś, w ilości przenoszącéj $^{3}/_{4}$ głównego. Co do rozkładów zgromadzeń wioskowych—ogólna suma podatków gruntowych na jednego kontrybuenta nie ma przenosić podwójnego podatku głównego, dla posiadających zaś nie wyżéj 3 morgów—1 $^{3}/_{4}$ tegoż podatku.

Podobnie rzecz się ma z rozkładem podymnego, który nie może być oznaczony z ilości wyżéj niż podwójnéj, osady zaś mniéj niż 3 morgi mające podlegają tylko podatkowi normalnemu dla téj kategoryi (1).

Wszystkie te przepisy jednak pozostały martwą literą w obec silnie rozwiniętego indywidualizmu cząstkowych właścicieli. Nie przywykli do gromadnych działań, szczególniéj gdzie nie widzą pewnéj i widocznéj tego działania podstawy, woleli poddać się szematycznemu rozkładowi, choćby ten przedstawiał nawet pewne niedogodności, niż przedsiębrać robotę przechodzącą ich środki racyonalne, stać się zależnemi od jakichś chyba instynktowych poglądów, i zamiast spokojnéj świadomości stałych obowiązków oczekiwać co rok jakiéjś niespodzianki.

Niektórzy teoretycy zapatrzeni na ustrój rossyjskiéj chłopskiéj gromady, z nieokreślonem prawem własności, zdają się za bardzo przeceniać ów zdrowy rozum prostaczy, który wprawdzie, jako niezamącony zgóry powziętą doktryną, ma swoje niepospolite w życiu praktycznem znaczenie, o tyle wszakże o ile inteligentniejsza władza

---

[1]) 1-a kategorya wyżéj 15 morgów płaci 4 ruble na rok.
2-a kategorya od 3—15 m. r. 2—3-a zaś niżéj 3 m., r. 1 k. 50.

państwowa i wyższe siły społeczne nie zwalają na niego zadań trudnych nawet dla siebie. Widzieliśmy już z przytoczonego powyżéj studym p. Tryrogowa, że gromada rosyjska, rozdzielając wszystkie powinności na dusze i tworząc idealnie tyleż cząstek ziemi, przywiązuje do nich powinności poduszne, a rozdając takowe podług siły roboczéj oddzielnym familiom, które płacą w miarę ilości posiadanych idealnych cząstek, ogranicza się w ten sposób do czysto mechanicznego działania, któremu nie przyświeca żadna idea, mająca jakikolwiek związek z kadastrem.

Ażeby umożliwić rozpatrzenie się w dalszych stosunkach, musimy najprzód uwidocznić, jakie kategorye gruntów posiadają gminy, i jak się te kategorye dzielą pomiędzy dwa rodzaje własności.

Zanim jednak przedstawimy nadmieniony szemat podług zebranych przez nas wiadomości, musimy przypomnieć czytelnikom, że wszystkie grunta, dla obłożenia ich podatkiem państwowym, podzielone były na 5 kategoryj: a mianowicie 1-a kategorya grunta pszenne, 2-a żytnie dobre, 3-a łąki dwukośne, 4-a łąki jednokośne i 5-a lasy, zarośla, pastwiska, oraz piaski zaledwo co kilka lat obsiewane. Ta ostatnia kategorya została przyjętą za jednostkę normy podatkowéj i zatém jedna morga téj kategoryi otrzymała nazwę „jednostki pastwiskowéj“, na którą oznaczony podatek dla 1-ej kategoryi był mnożony przez 8, dla 2-iéj przez $3^1/_2$, dla 3-iéj przez 11, i dla 4-éj przez $4^1/_2$.

Komitet urządzający postanowieniem z d. 13 (25) Kwietnia 1865 r. w rozwinięciu 83 art. ukazu o gminnym ustroju, zalecając pobór składek na utrzymanie zarządów gminnych od ziemi podług liczby posiadanych morgów, nie postanowił żadnéj klassyfikacyi, w kwestyi jednak podciągnięcia lasów do opłaty, nakazał minimum 4 morgi lasu, a w razie uznania gminy i większą tegoż ilość, rachować za 1 mórg ziemi użytecznéj. Jakkolwiek w orzeczeniu komitetu urządzającego jest wyraźna wzmianka tylko o lasach, w logiczném jednak następstwie to samo prawidło musi się stosować i do innych gruntów, zamieszczonych w taryfach podatku rządowego w jednéj z lasami kategoryi, jak np. zarośla i pastwiska, które szczególniéj w obec znanego lichego stanu tych ostatnich znacznie jeszcze mniejszy od lasów przynoszą dochód, należące zaś do większéj własności, jako obciążone służebnościami, obciążają się podatkiem nie przynosząc dworom prawie żadnych korzyści. Ta logika łatwo dostępna dla ludzi prostego umysłu była w zupełności zastosowaną, w skutek czego zebrania gmin zajmujących nas zaliczyły odrazu pastwiska i zarośla do kategoryi lasów pod względem obłożenia ich gmin-

nym podatkiém. Inaczéj tę rzecz pojmował zarząd powiatowy, przed dwoma więc przeszło laty, zalecił gminom, ażeby zgodnie z brzmieniem dosłowném cytowanego postanowienia Komitetu urządzającego, wyłącznie tylko w lasach rachowały 4 morgi za jeden, pastwiska zaś powinny być liczone jak wszelkie inne użytki. W obec spotkanéj oppozycyi na zebraniach gminnych przeciw rekomendowanéj zmianie, poskutkowała w większéj części wypadków wygłoszona przez otwiérającego zgromadzenie perswazya, że włościanie powinni przychylić się do przełożenia tém chętniéj, gdy im takowe widoczną korzyść przynosi, w obec większéj ilości pastwisk wspólnych, za które dwory jako właściciele uiszczą znaczniejszą składkę co tymże włościanom znaczną ulgę w ciężarach przyniesie.

Widoczném jest, że tego rodzaju perswazye obudzają szkodliwy antagonizm warstw społecznych i działają demoralizująco na masy, zachęcając do zrzucania z siebie ciężarów publicznych na cudze barki. Ta nowo zalecona metoda rozkładu rozmaite wydała owoce; w miejscowościach gdzie przeważają wsie, dawniéj rządowe, bogato uposażone w pastwiska, rozkład nowego systemu wypadł na niekorzyść włościan, w innych miejscowościach niekorzyść się zwraca na rachunek większéj własności, i takich jest bez porównania więcéj. Zalecenie powiatowego zarządu w gminach Brzeznica i Gidle zostało spełnione, w ostatniéj nawet obłożono podatkiem w całéj ilości nietylko pastwiska, lecz nawet *zarośla i nieużytki*. W gminie zaś Radziechowice przemogła opozycya, która zresztą była bardzo naturalną, skoro w téj gminie pastwisk dworskich jest tylko morg. około 900, przeszło zaś 1500 wyłącznie włościańskich przeważnie do wielkich dawniéj rządowych wsi przynależnych.

Po tych nieodbitych wstępnych uwagach podajemy poniżéj wykaz gruntów we trzech gminach z podziałem tych gruntów na kategorye.

Uwaga. Kategorye, których 4 morgi liczono za 1, pod liczbami wyrażającemi ich ilość mają podpisany mianownik 4. Kategorye nierachowane do podatku są zamknięte w nawiasie, wszystkie zaś inne liczby są liczone w całości. Daléj pod ogółem gruntów podpisany takiż ogół sprowadzony do ilości morgów opodatkowanych w gminie, poniżéj zaś ogół redukcyi dawniéj praktykowanéj i zgodnéj, jakeśmy to wykazali, z duchem przepisów do ustanowienia gruntowego podatku przyjętych.

Kategorye posiadanych gruntów	Gmina Gidle				Gmina Radziechowice				Gmina Brzeznica			
	wielka własność		mała własność		wielka własność		mała własność		wielka własność		mała własność	
	m.	p.	m.	p.	m.	p.	m.	p.	m.	p.	m.	p.
Ziemi ornéj .	2243	181	3693	202	5438	147	} 5801	253	5787	=	} 7709	49
Łąk . . .	512	197	1279	24	1000	—			615	—		
Pastwisk . .	145	155	1523	199	891	—	1558	175	984	—	1074	105
Lasów . .	5141	199	176	—	4 2157	191	4 (109)	—	6257	—	450	—
Zarośli . . .	4 147	254	4 —	—	4 1204	—	—	—	4 736	—	4 —	—
Nieużytków .	92	—	88	141	4 (694)	—	(272)	(123)	4 (783)	—	(580)	(189)
Ogół . .	8282		6760		11385		7661		15162		9814	
Ogół zredukowany do składki gminnéj	4426		6628		7501		6200		9134		8896	
Przy redukcyi prawidłowéj wyniosłoby	4132		5397		Bez zmiany				8396		8090	

Z porównania obu rodzajów redukcyi wypada, że nowa metoda w gminie Brzeznica nie wywołała prawie różnicy z powodu stosunkowo znacznéj rozległości pastwisk dawniéj miejskich i wyniknéj ztąd równowagi, w Gidlach zaś wobec wielkich wsi dawniéj rządowych, rachunek wypadł na niekorzyść włościan, ztąd kompensata na zaroślach i nieużytkach, która zresztą nie wiele pomogła.

Stosownie do wykazanych ilości ziemi w gminach naszych, składka na ich administracyą i potrzeby rozkłada się następnie.

Nazwanie Gmin	Ilość z morga w kopiejk.	Wielka własność		Mała własność		W ogóle	
		rs.	k.	rs.	k.	rs.	k.
Gmina Gidle . . .	20½	909	6	1341	28	2250	34
„ Radziechowice	13½	1012	75	837	2½	1849	77½
„ Brzeznica .	11,66	1065	51	1141	34	2207	85

W cyfrze składki od małéj własności gminy Brzeznica, oprócz podatku od morga figuruje jeszcze summa rs. 105, którą osada (dawniéj miasto) wnosi dodatkowo ze swych ogólnych dawniéj miejskich a dzisiaj gromadzkich dochodów.

Osada zaś Pławno oprócz składki gruntowéj żadnéj innéj dodatkowéj opłaty nie wnosi. Najzamożniejsi mieszkańcy osady szcze-

gólniéj żydzi, posiadający w rynku murowane domy i utrzymujący w nich sklepy, lub prowadzący hurtowy handel zbożem, jako posiadający niewielkie stosunkowo place, wnoszą od domu nie więcéj jak po kilka kopiejek. Zebranie gminne uznając tę niestosunkowość, zrobiło uchwałę w dniu 29 Stycznia r. 1878, w któréj nie opiérając się wprawdzie na zrozumieniu prawnych podstaw, a jedynie na zasadzie niejakiéj świadomości o stosunkowéj zamożności właścicieli domów, rozdzieliło ich na 3 kategorye: 1-ą z nich zrównało pod względem składki z posiadającemi 15 morgów; 2-ą z właścicielami 10 mor. i 3-ą z właścicielami 5 morgów ziemi. Uchwała ta została skasowaną przez rezolucyą Piotrkowskiéj Komisyi włościańskiéj, zapadłą w dniu 21 Kwietnia roku 1879; komisya uznając postanowienie gminy za niezgodne z art. 83 ukazu, oraz 309 art. postanowień Komitetu urządzającego, nakazała uformować nowy rozkład, na wypadek zaś uchylenia się od tego obowiązku przez zebranie gminne, polecić wójtowi uformowanie rozkładu łącznie z sołtysami na podstawie art. 16 ukazu.

Komisya, mając prawną podstawę do uznania uchwały za nielegalną co do jéj formy, nie wskazała gminie drogi legalnéj do zadość uczynienia jéj zupełnie słusznym dążnościom, jakowe znajdują usprawiedliwioną podstawę w niewiadomym zapewne zarządowi gminnemu 3.056 artykule postanowień urządzającego Komitetu z dnia 3 Lipca 1870 r. (1).

Prawo to powiada wyraźnie, że „w osadach nie mających *wyłącznie* charakteru rolniczego, można opodatkować *oprócz ziemi każdą nieruchomość* z tém, żeby ilość składki nie przewyższała miary jaką ponoszą wsie z udziałami po 90 morgów. Stopień udziału w składkach dla osad, które weszły do składu gmin wiejskich, oznacza się w każdym wypadku stosunkowo do liczby ludności w osadzie i wsiach stanowiących jednę gminę, za wyłączeniem osób nie posiadających nieruchomości w granicach gminy".

Nie mamy ścisłych danych do obliczenia wskazanego w powyższym artykule stosunku, z powodu braku dokładnych liczb co do segregacyi ludności, wchodzącéj w skład familij posiadających i nie posiadających nieruchomości. Możemy jednak stosunek podatkowy osady do gminy obliczyć w przybliżeniu. Przypuszczając, że więcéj jest proletaryatu w osadzie niż we wsiach, nie zrobimy wielkiéj omyłki jeśli nie strącając nic z ogólnéj ludności gminy, wynoszącéj 2.802

---

(1) Sbornik uzakonienij i prawitelstwiennych rasporiażenij po krestijańskomu diełu w gubern. Carstwa Polskawo. T. I, str. 653.

ludn. płci męzkiéj, strącimy z zaludnienia osady $1/4$ część mieszkańców jako bezrolnych, tém bardziéj, że osada wspomniona na 865 mieszkańców posiada z pastwiskami przeszło 800 m. gruntu.

Licząc zatém po takiém strąceniu w Pławnem tylko 649 osiadłéj ludności, przy ogólnéj składce z gminy wynoszącéj 2.250 rubli, przypadłoby przeszło 500 rs. na osadę, która przy obecnym porządku płaci tylko rs. 149; i dla tego, z powodu droższéj administracyi gminy obejmującéj dawne miasto, składka od morga przechodzi w niéj kop. 20. Podobnieżby się okazało bez wątpienia, że i Brzeznica dopłacająca obecnie 105 rs. nad etat gruntowy musiałaby przyjąć wyższy udział w ciężarach gminnych. Sprawiedliwą jest rzeczą, ażeby handlujący, właściciele domów miasteczkowych, którzy wyłączną korzyść ciągną z mieszkańców wiejskich, szczególniéj przez uprzywilejowane w tych miasteczkach jarmarki, ponosili w sprawiedliwym stosunku ciężary instytucyi zapewniającéj im dobrodziejstwa społecznego życia. Tém mniéj to dla nich może być uciążliwém, skoro te miasteczka oprócz wzmiankowanych wyżéj kapitałów posiadają jeszcze takie wspólne dochody jakich wsie nie mogą sobie zapewnić.

Dochody te pozostałe z dawnéj miejskiéj organizacyi wynoszą w Brzeznicy:

Z opłaty od utrzymujących szynki	335 rs.
„ mostowego	40 „
„ z dzierżaw własności miejskich	25 „
„ z nawozu na placu targowym	8 „
Razem	408 rs.

w Pławnie zaś:

Z opłaty od karczem	150 rs.
„ mostowego	156 „
Razem	306 rs.

Powyższe dane dają nam możność obliczyć wysokość, połączonych podatków gruntowego głównego i dodatkowego, na każdy mórg gruntu podlegający składce gminnéj, a więc podług ilości ziemi zredukowanej normalnie, stosownie do wspomnionego postanowienia Komitetu urządzającego z dnia 13 (25) Kwietnia 1865 r., następnie zatém stosunek procentowy szładki gminnéj do podatku gruntowego. Rachunek ten przedstawia się w następującym kształcie:

	Wysokość składki gminnéj na 1 mórg z ilości gruntów zredukowanéj w kopiejkach.		Wysokość podatków gruntowych na 1 mórg z ilości jak pierwiéj w kopiejkach.		Stosunek składki do podatków w %.	
	Wielka włas.	Mała włas.	Wielka włas.	Mała włas.	Wielka włas.	Mała włas.
Gm. Gidle	23.6	23.6	34.4	30	64%	82 %
„ Radziechowice .	13.5	13.5	30.3	28.2	45%	47.7%
„ Brzeznica . .	13.4	13.4	28.9	26	44%	54.3%
Przeciętnie .	16.8	16.8	31.2	28	51%	61.3%

Z przywiedzionego rachunku niewątpliwie wypada, że nasze zarządy gminne przedstawiają niezaprzeczenie kosztowny aparat, skoro na utrzymanie jego potrzeba przeszło 50% głównych podatków państwowych.

Zobaczmy teraz jak się rozdziela składka pomiędzy rozmaite kategorye potrzeb i interesów gminy. W gminach nas zajmujących, budżeta układają się podług formy wydanéj przez zarząd powiatowy; przedstawiamy je zatém w tabelarycznym połączonym wykazie:

Rodzaj wydatku.	Gmina Gidle		Gmina Radziechowice		Gmina Brzeznica	
	rs.	k.	rs.	k.	rs.	k.
Na pensye wójta	180	—	160	—	200	—
„ „ pisarzy	200	—	160	—	200	—
„ „ pomocn. pisarzy . . .	100	—	—	—	100	—
„ „ stróża kancelaryi . . .	60	—	50	—	40	—
„ lokal dla kancelaryi	40	—	—	—	—	—
„ materyały piśmienne, opał i światło	45	—	87	64	78	35
„ furmanki dla wojska	60	—	} 80	—	130	—
„ „ dla żandarmów . . .	66	72				
„ opał, światło i mieszkania straży ziemskiéj	49	84	38	36	42	37
„ Dziennik gubernialny	—	—	—	—	3	18
„ litografią cyrkularzy w biurze naczelnika powiatu	10	—	10	—	10	—
„ asekuracyą domu kancelaryi gminnéj	—	—	3	32	—	—
„ zaspokojenie należności szpitalnéj za niemajętnych	—	—	53	45	—	
Ogół wydatków adminstr.	811	56	642	77	803	90

Rodzaj wydatku.	Gmina Gidle		Gmina Radziechowice		Gmina Brzeznica	
	rs.	k.	rs.	k.	rs.	k.
Z przeniesienia	811	56	642	77	803	90
Na utrzymanie sądu gminnego . .	536	—	332	—	426	—
Lokal aresztu i utrzymanie przy nim stróża	33	34	32	50	32	50
Razem na sądownictwo gminne	569	34	364	50	458	50
Na utrzymanie szkół wioskowych (po 4 w każdéj gminie przezwanych gminnemi)	812	14	769	99	800	—
„ pensye sołtysów po 13 w każdéj gminie	55	80	52	20	131	60
Ogół wszystkich wydatków	2.248	84	1.829	46	2.194	—

Budżety te łącznie z rozkładami składek gminnych odsyłane bywają do zarządu powiatowego dla rozpatrzenia i kontroli, która ma bez wątpienia na celu przestrzeganie legalności, skoro, jakeśmy to widzieli, zwierzchność powiatowa, stosując się do litery przepisów, zaleciła gminom pociągać do składek pastwiska na równi z innemi gruntowemi użytkami. Pomimo jednak takiéj kontroli, aprobowane przez zarząd budżeta nastręczają nam niejakie wątpliwości.

Etat w dwóch gminach stosunkowo dość znaczny na pomocników pisarza jakkolwiek nieprzewidziany w postanowieniu odnośném komitetu urządzającego z dnia 7 (19) Kwietnia r. 1864, dawał się nie jako usprawiedliwiać w gminach ludniejszych, dopóki z zarządem gminnym połączone były obowiązki sądowe. Obecnie jednak po zupełném odłączeniu sądownictwa od administracyi, etaty te zdają się być zupełnie zbyteczne, gdyż jak wielu mniema, do załatwienia bieżącéj korespondencyi wystarcza najzupełniéj jeden piszący, z czego wypada, że pisarz będąc obdarowany pomocnikiem, nic nie mając do roboty, odegrywa tylko rolę miejscowéj urzędowéj powagi w obec najczęściéj niepiśmiennego wójta. Za przykład może tu służyć gmina Radziechowice nie mniéj ludna, która się obywa jednym pisarzem, a przed niedawnemi czasy miała wójta znającego wybornie swój obowiązek, który sam funkcye pisarskie wypełniał.

Wójt gminy Gidle pobiéra na furmanki rs. 60, sumę jakoby w miarę innych gmin zmniejszoną, w obec posiadania wójtowskiego działu gruntowego. Kompensata ta jednak na korzyść gminy jest

tylko pozorną, gdy w téjże gminie figuruje druga pozycya na furmanki dla żandarmów w ilości 66 rs. 72 kop., wtedy gdy w gminie Radziechowice nie posiadającéj wójtowskiego gruntu cały koszt furmanek wynosi tylko rs. 80.

Sumy we wszystkich trzech gminach, z inicyatywy zwierzchności na oświatę przeznaczone, nie przyłożyły się w niczém do jéj rozszerzenia, poszły bowiem na uposażenie w każdéj z nich 4 szkół wioskowych, dawniéj już jako takie egzystujących, zrobiły więc rzekomą ulgę jednym kosztem drugich, i nakładając ciężar równy na wsie od szkół oddalone, zagrodziły tymże drogę do posiadania szkół własnych.

Ostatnia wreszcie pozycya przytoczonych budżetów chociaż zresztą stosunkowo mniéj znaczna, zabezpieczająca utrzymanie sołtysów, jest najbardziéj z prawem niezgodna, jako nakładająca na całą gminę, nie wyłączając większéj własności, opłatę specyalnych gromadzkich urzędników, przysługujących wyłącznie gromadom, i których opłata, na zasadzie art. 1 punktu b. czasowych prawideł o pensyach dla urzędników gminnych, podanych w cytowaném wyżéj postanowieniu komitetu urządzającego, stanowi obowiązek mieszkańców wsi odnośnych i powinna być regulowana na zgromadzeniach wioskowych.

Wszystkie przytoczone nieprawidłowe objawy życia gminnego, oddzielnie wzięte, nie tyle przedstawiają materyalnego znaczenia, ile raczéj w całéj swéj sumie dowodzą nie dość ścisłego przestrzegania przepisów prawa.

IV.

Widzimy z poprzedzającego, że wszystkie owe, dość znaczne stosunkowo do przypuszczalnéj zamożności wydatki gminne ponosić musi wyłącznie tylko własność gruntowa, w stosunku do jéj absolutnéj przestrzeni, z wyjątkiem lasów redukowanych do ¼ części ich obszerności. Że ten jedyny rodzaj podatku gminnego jest uciążliwy i nieproporcyonalny do możliwych pożytków jakie rozmaici członkowie gminy ciągną z tego rodzaju instytucyi, to przekonanie o tém nietylko się utwierdziło w opinii publicznéj kraju, lecz nawet dościgło bez wątpienia do sfer rządzących, skoro już od dosyć dawnego czasu egzystuje przy głównym naczelniku kraju komitet do ustanowienia sprawiedliwszych i bardziéj normalnych podstaw podatkowości gminnéj.

W ogóle mogliśmy zauważyć, że w wielu bardzo kwestyach gospodarstwa krajowego, układane w odnośnych ministeryach projekty, wcześnie bywają ogłaszane, w celu obznajomienia i oswojenia publiczności z pewnemi nowo obmyślanemi zasadami, lub też w celu wywołania dyskusyi w organach prasy, jakowa daje możność wynurzenia się pewnym miejscowym pragnieniom i potrzebom. Podobnyż przykład widzimy w postępowaniu p. Prezydenta miasta Warszawy, który bezpośrednio nawet, stara się w kwestyach miasto obchodzących, wywołać głosy opinii publicznéj. Wprawdzie, komitet obradujący nad reformą podatkowości gminnéj nie dawał dotąd publicznie znaków życia i nie poruszał dyskusyi w téj ważnéj kategoryi ustroju społecznego, wszakże nie wyklucza to możności zastanowienia się nad tą kwestyą z uwzględnieniem pewnych ogólniejszych, teoretycznych poglądów, wyciągniętych ze staréj praktyki gminnego życia zachodniéj Europy, jakowe poglądy i dyskusye o nich, jako ilustracya miejscowych potrzeb i dolegliwości, mogą się przydać dla tych nawet, w których ręku kierunek kwestyi spoczywa.

Chcącym się gruntownie i szczegółowo z kwestyą podatkowości gminnéj zapoznać, rekomendować należy przedewszystkiém dzieło Prf. Dr. Leona Bilińskiego pod tytułem: „Die Gemeinde Besteuerung und deren Reform,“ w Lipsku r. 1878 wydane (Podatkowość Gminna i jéj reforma). My z konieczności ograniczyć się musimy na zupełnie treściwem i, o ile można, krótkiém przedstawieniu rzeczy, opiérając się na powyżéj cytowaném dziele, niemniéj jak i innych dla nas dostępnych źródłach. Nie ulega wątpliwości, że pierwotne gminy ograniczały się w swojéj finansowości, do dochodów z własności gminnéj (szczególniéj w miastach), stopniowo tylko przechodząc do opodatkowania się przedewszystkiém na drodze pośrednich poborów, a wreszcie częściowo do ustanowienia podatków bezpośrednich. Nie kusząc się o przedstawienie tego rozwoju w historycznym porządku, dość będzie dla nas szematycznie wykazać rodzaje używanych w Europie gminnych podatków i poborów, podług klasyfikacyi jaką podaje profesor Biliński.

Jakkolwiek, niektóre z tych kategoryi nie mogą się bezpośrednio do gmin wiejskich stosować, nie chcemy ich wszakże pomijać, raz dla całości obrazu, powtóre dla tego, że w skutek wcielenia wielu dawnych miast pod nazwą osad do obszarów wiejskich, mogą się przedstawiać widoki, bardziéj urozmaiconych potrzeb, szczególniéj w obec przypuszczalnego postępu uspołecznienia, a co zatém idzie, konieczność wyszukiwania nowych niewyczerpanych dotąd źródeł dochodów gminnych.

Przedewszystkiém więc zaznaczyć należy, tak zwane przez prof. Bilińskiego „*gminne regalia,*“ (1) czyli przedsiębiorstwa monopolizowane przez wzgląd na dobro publiczne; do takich należą: zakłady oświetlenia, dostarczenia wody, rzeźnice, hale i stragany na placach publicznych, koleje konne, linie omnibusów i t. p. Kategorye te o tyle mogą zwiększać dochody gminy o ile przychód z nich przewyższa koszta utrzymania. Możliwy dochód u nas z téj kategoryi dałby się osiągać w osadach przez pobudowanie kosztem gminy straganów na placach jarmarcznych, w braku których przekupnie rozkładają się ze swym towarem na stołach pod gołém niebem.

Pokrewne z regaliami są *pobory*, że je tak nazwiemy, nie mamy bowiem lepszego wyrazu na oddanie nazwy *die Gebühr*, która oznacza jakby myto lub dopłatę za używalność, a właściwie przyczynek, strony korzystającéj z pewnego instytutu noszącego charakter publiczny do kosztów jego utrzymania.

Do téj kategoryi przedstawiającéj materyał do poboru należą przedmioty użyteczności publicznéj kosztem gmin utrzymywane jak: bruki miejskie, drogi boczne (chemins vicinaux) jeśli są bite, place jarmarczne, szkoły gminne, i nakoniec sądownictwo gminne jak u nas, z którego powiększéj części korzystają ludzie nie płacący żadnych gminnych podatków.

Od poborów (die Gebühren) należy odróżnić *dopłaty* (die Beiträge), również przez pewną tylko część mieszkańców gminy wnoszone jako środek pomocniczy do utrzymania pewnego pożytku urządzonego zasadniczo kosztem ogólnym; do jakowych dopłat pociągani być mogą ci z właścicieli, którym rzecz dana największą korzyść może przynosić. Jako przykład może posłużyć przeprowadzenie pewnéj ulicy, lub urządzenie jakiéjś tamy szczególnéj dla pewnéj kategoryi nieruchomości potrzebnéj. Różni się więc podatek ten od poborów, które są opłacane tylko w miarę rzeczywistego użycia.

Składki na stowarzyszeniach oparte mają po większéj części cel jakiś specyalny, a zarazem przysługujący pewnéj tylko części mieszkańców gminy; do takich u nas zaliczyć można składki na szkoły gromadzkie, na zasadzie stowarzyszeń urządzone, stosownie do przepisów byłéj komisyi edukacyjnéj, gdzie takowe nie zostały na ogólny budżet gmin przeniesione, oraz składki parafialne na potrzeby kościołów, skoro, jak to wyżéj wskazano, podziały gmin zupełnie się z terytoryami parafii nie zgadzają.

---

(1) Na podobieństwo Regalij Państwowych jak poczty, telegrafy, koleje etc.

Z podatków gminnych pośrednich zostały jeszcze w wielu miejscach: pobory konsumpcyjne, przy wprowadzaniu produktów do miast pobierane (octrois). Podatek ten dawniéj u nas pobierany na rzecz rządu z odstąpieniem miastom 4%, obecnie skasowany. Jest to jedna z form podatkowych najbardziéj wszystkim nienawistna jako utrudniająca cyrkulacyą i wywołująca szykany lub defraudacyą. Dochody konsumpcyjne na korzyść gmin bywają jeszcze pobiérane w kształcie pewnego podwyższenia takichże poborów rządowych.

Za tém idą podatki bezpośrednie, pobór ich i użytkowanie odbywa się albo w formie wspólnéj wszystkim potrzebom, i stanowi budżet ogólny, lub też ma na widoku potrzeby *specyalne (Zweckstener)*, które dają mu tę właściwość, że nawet przewyżka dochodu nad zamierzoną potrzebę na inne cele obracaną być nie może. Do tego rodzaju należą: podatki brukowe, latarniowe, a nawet szkolne, które muszą stanowić oddzielne budżety, o ile nie przez wszystkich mieszkańców gminy równomiernie bywają ponoszone.

Podatki bezpośrednie, jedna z najważniejszych gałęzi dochodów gminnych, występują w postaci *składek samodzielnych*, pobiéranych na zasadzie rozkładu dokonanego przez organa gminne, lub też składek *dodatkowych*, obliczanych jedynie w stosunku zasadniczych podatków rządowych; są to we Francyi tak zwane grosze dodatkowe (Centimes additioneles). W Anglii, w kraju najdawniéj i najsilniéj rozwiniętego samorządu nie obleczonego w żadne biurokratyczne formy, podatek bezpośredni zjawił się w parafii, kiedy prawem z roku 1601, włożono na tę jednostkę społecznego życia obowiązek utrzymywania własnych ubogich.

Prawo to, wydane za panowania królowéj Elżbiety, nakazuje opodatkować, widomą i przynoszącą korzyść własność (używalność) w parafii (the visible and profitable property in the parisch), a mianowicie: „przez oszacowanie każdego mieszkańca: proboszcza, wikarego i każdego użytkownika (occupier) gruntów, domów, dziesięcin, kopalni węgla, oraz wyprzedawanych poręb leśnych, które są położone w parafii... na potrzeby tejże nieodbita suma była zebraną... w miarę możności i środków (ability) jéj mieszkańców". „Trudno znaleść," powiada prof. Biliński, „drugie prawo, któreby równie nie jasno i dwuznacznie wystylizowane było, i pomimo to przez 276 lat obok możliwych nieporozumień nie było sformułowane dokładniéj." Daje się to jedynie tłómaczyć, oprócz wrodzonego Anglikom konserwatyzmu, najbardziéj tém, że przy braku tam wszelkiéj administracyjnéj hierarchii, rozwiązanie nieporozumień, wątpliwości, i sama interpretacya przepisów jest wyłącznym udziałem niezależnéj i bezstron-

néj w tłómaczeniu władzy sądowéj. Tak powstała taksa na ubogich (poor-rate), nietylko utrzymała się na téj zasadzie do dnia dzisiejszego, lecz podług niéj normowane są wszystkie inne gminne podatki, które w kolei czasu a zawsze w pewnych specyalnych celach uchwalane były nie inaczéj jak przez parlament, który również zapewnia ze swéj strony tym instytucyom pomoc pieniężną państwową (1). W ten sposób rozmaitych nazw podatki jak high-way-rate, church, newchurches, burial ground, sewers, i nareszcie drainage aud enclosures rates, jakkolwiek oddzielnie ustanowione wszystkie oparte są na podstawie taksy dla ubogich. Podobnie rzecz się ma z innemi po wsiach jak: workhause building, survejand-voluation, gaol fees, constables, lighting aud watching-rate oraz w miastach: the borough, lunatic asyliums, oraz general district-rate.

Wszystkie te składki są bezwarunkowo samoistne jako na miejscowéj taksacyi oparte i niezależnie od wszelkich rządowych podatków pobiérane. Niektórzy chcą je uważać za rodzaj podatku dochodowego; profesor Biliński widzi w nich charakter raczéj poboru pożytkowego, lecz właściwie noszą one charakter bardzo rozmaity, który ściśle określić się nie da. Ponieważ co do majętności będących w dzierżawie, a takich liczba w Anglii przeważna, opłacona renta bierze się za podstawę poboru, który się egzekwuje z użytkownika (occupier), podatek więc taki o tyle może być dochodowym, o ile dzierżawca potrafi go zwalić na właściciela. Jeśliby ciężar podatkowy obarczał wyłącznie dzierżawcę, w takim razie byłby tylko uciążliwym nałogiem, pozbawionym nawet charakteru pożytkowego, albowiem opłacana renta nie jest wcale normą korzyści osiąganych przez tego, który ją opłaca. W każdym innym kraju takie stosunki wywołałyby niepomierny chaos; w Anglii wszystkie niedoskonałości teoretyczne regulują się na praktycznéj drodze. Więksi dzierżawcy umieją sobie sami z wielkiemi właścicielami poradzić, drobniejszych zaś dzierżących grunta u pomniejszych właścicieli prawo bierze w opiekę, skoro tych ostatnich, to jest właścicieli, uważa za użytkowników (occupiers) i obowiązuje ich samych do opłaty podatku. Jest to tak zwany compounding system. Dla uregulowania zapewne kwestyi podatkowéj co do majętności niewydzierżawionych, wyrokiem sądu królewskiéj ławy (Quenn's-bench) z r. 1830 nakazano wyrachowanie renty możliwéj, z któréj odciąga się oprócz kosztów jeszcze pewne od 25—33% wynoszące kwantum. Co do najmujących

---

(1) Takie państwowe dodatki na potrzeby gmin wynosiły około r. 1873: w Anglii 1.225.000 fut. st., w Szkocyi 80.145 fut. st. i w Irlandyi 320.000 fut. st.

mieszkania, ci zapewne z trudnością i to chyba w części potrafią zwalić swój podatek na właścicieli. Ztąd wypada, że gminne podatki Anglii noszą charakter częścią dochodowy, częścią pożytkowy i nareszcie w części osobisty; ten ostatni odnośnie do najmujących mieszkania, jeśli ci pozostają pod przewagą właścicieli.

Wszystkie powyższe podatki angielskie są przytém specyalne, każdy na oddzielny cel obliczony; pomimo że specyalność taka, jak wiadomo, w praktyce robi wiele utrudnień i niedogodności, wszystko to jednak łagodzi się w Anglii charakterem prawdziwego miejscowego samorządu, tak dalece pozbawionego, jakeśmy nadmieli, urzędniczego charakteru, że do uregulowania i zarządu finansowości gminnéj niesie obywatelską bezpłatną posługę od 180 do 200 tysięcy osób.

Do tego dodać należy, że w Anglii pewna część potrzeb lokalnych pokrywa się z pomocą poborów a po części i podatków pośrednich. Do piérwszych należą myta drogowe (tolls) za pomocą których utrzymują się drogi boczne (turn-pikes), do drugich zaś rozmaite podatki, pobiérane w miastach od węgli, wina, zboża, owoców, mięsa i t. p.

Główną podstawą podatkowości gmin wiejskich, a w części i miejskich we Francyi, są dodatki do kilku podatków państwowych. System ten datuje od czasów rewolucyi, która za jego pomocą obaliła samoistne podatki gminne, a w szczególności konsumpcyjne, jakowe wszakże niedługo nanowo zostały przywrócone. Dodatki owe, zwane centimes additionels, dzielą się na dwa gatunki: dodatków zwyczajnych i specialnych, centimes ordinaires i centimes speciaux; prócz tego są jeszcze dodatki nadzwyczajne, centimes extraordinaires, które się dzielą na ogólne i szczególne centimes extraordinaires generaux i speciaux. Dodatki te są obliczone w stosunku wszystkich podatków bezpośrednich państwowych, a w szczególności stosują się do gruntowego, osobistego i do podatku od ruchomości. Piérwsze to jest dodatki zwyczajne (centimes ordinaires) na ogólne potrzeby i administracyą przysługujące stanowią 5% rządowych podatków, do tego się dolicza jeszcze 8% podatku patentowego, które już nie są dodatkiem, lecz są w powyższéj ilości na rzecz gmin z całości poboru odciągane.

Drugie dodatki specyalne (centimes speciaux) mają na celu pewne oznaczone potrzeby, jak np. szkoły, drogi, etc.; dzielą się więc na kategorye, lecz w ogólnéj swéj sumie nie powinny przenosić 16% podatków państwowych.

Dodatki nadzwyczajne jak ogólne tak i szczególne, w sumie nie mogą przechodzić 20% podatków rządowych. Ogólne służą dla dopełnienia dochodów pod nazwaniem „impôts pour l'insuffisance du

Revenu," szczególne zaś dopełniają powyżéj wzmiankowane specyalne, dając np. 4% na szkoły i 3% na drogi. W ogóle zatém wszystkie cztery kategorye wspomnianych gminnych podatków nie przenoszą 41% podatków rządowych.

Oprócz téj głównéj podstawy finansowości gmin francuzkich, mają one jeszcze, chociaż nieliczne, samoistne powinności gminne, jak trotuarowe oraz brukowe (w miastach), podatek na stróżów polowych i nakoniec powinności drogowe, o których mówiliśmy już wyżéj, określone w naturze z prawem przysługującém kontrybuentom uiszczenia ich pieniędzmi według oznaczonéj taksy.

Miasta francuzkie, przechowujące samorząd od czasów rzymskich, posiadały podatek osobisty i gruntowy (od nieruchomości), oraz konsumcyjne pobory znane za rządów Rzymian pod nazwą *vectigalia.* W dawnych czasach rząd francuzki pobierał z tego $^2/_3$ części, od r. 1663 do rewolucyi—$^1/_2$, po przywróceniu zaś tego podatku skasowanego przez rewolucyą od 1800 do 1852 jednę dziesiątą, i nareszcie od r. 1852 w całości go na korzyść gmin pozostawił. W r. 1863 podatek konsumpcyjny egzystował w 1435 miejscowościach z perceptą 153 mil. franków.

Pruski systemat gminno podatkowy, szczególniéj w gminach wiejskich, jest w tém do francuskiego podobny, że się opiéra jak i tamten na dodatkach do podatków rządowych bezpośrednich, szerszą ma jednak podstawę, ponieważ w Prusach oprócz podatków od nieruchomości, które są po większéj części rentowe to jest oparte na przychodach, egzystuje rządowy podatek dochodowy to jest oparty na dochodzie czystym, który niżéj pewnéj normy przechodzi w prosty klasyczny; otóż gminy są uprawnione brać grosze dodatkowe i do tego podatku. Prócz tego z podatków samoistnych mają podatek od psów do wysokości 3 talarów, oraz od tańców czyli właściwie od zabaw publicznych, służący szczególniéj na cele dobroczynne.

Miasta mają tam własne podatki od domów, oraz dochodowy, również samoistnie pobierany. Do tego dodać należy pobory konsumpcyjne z pewnemi jednak ograniczeniami, szczególniéj co do wódki, tytuniu i towarów zagranicznych.

W Austryi též podobny jak w dwóch poprzednich państwach system poboru przeważa; tutaj jednak nietylko do bezpośrednich, lecz i do pośrednich podatków, dodatki gminne bywają pobierane. Dodatki te jednak do podatków konsumpcyjnych na korzyść gminy, dotyczą tylko przedmiotów spożytych rzeczywiście w jéj obrębie, nie stosując się bynajmniéj do produkcyi i handlowego obrotu danéj miejscowości. Gdy oprócz tego wiele miast posiada prawo propinacyi jako zabytek przeszłości, w takich przeto miejscach trunki np. po-

dlegają dwukrotnemu podatkowi gminnemu. I w Austryi również prawo ogranicza wysokość podatków gminnych czyli groszy dodatkowych, na 10 procentów od podatków bezpośrednich i 20% od pośrednich. Przy konieczności zwiększenia takowych, piérwsze przy podniesieniu do 25%, drugie do 50%, potrzebują potwierdzenia wydziałów powiatowych, dla wyższéj zaś jeszcze normy potrzeba prawa sejmowego.

Oprócz takich dodatków egzystuje w miastach, niezależnie od prawa propinacyi, podatek przywozowy (octrois) od wprowadzonéj wódki i piwa; w Krakowie i Lwowie rogatkowy z opłatą za wszelkie artykuły żywności; w niektórych miastach podatek od mieszkań, nie mniéj jak i od psów we Lwowie.

W cesarstwie Rosyjskiém, gdzie gminy wiejskie w zwykłém znaczeniu wyrazu, to jest takie, któreby obejmowały wszystkich mieszkańców danego terytoryum, nie egzystują, za jedyny wzór stosunków gminnych może służyć ustawa miejska, od niezbyt dawna wprowadzona w życie.

Według téj ustawy miasta mają prawo pobiérać na rzecz kasy gminnéj miejskiéj: 1) składkę od nieruchomości, podług ustanowionego oszacowania; 2) opłatę od dokumentów na prawo handlu i przemysłu; 3) opłatę od utrzymujących traktyernie, domy zajezdne i handle wiktuałów. Oprócz tego mogą zaprojektować podatek: a) od przemysłu furmańskiego; b) od koni i powozów prywatnych i c) od psów. Te trzy ostatnie kategorye podatków nie inaczéj wszakże mogą być pobiérane jak po zatwierdzeniu projektowanéj taryfy przez władzę prawodawczą. Składka od nieruchomości nie może przenosić 10% czystego z nich dochodu, lub w razie niemożności określenia dochodu 1% od wartości kapitalnéj. Świadectwa 1-éj i 2-éj gildyi płacą nie wyżéj 25%, wszystkich zaś innych kategoryj a zatém świadectwa na drobny handel, oraz bilety ustanowione na każdy zakład oddzielnie obok świadectw, nie mniéj jak i świadectwa na drobny przemysł mieszczański, opłacają maximum 10% ich ceny, do jakowéj opłaty na rzecz miasta należą również handlowe dokumenty wykupione w powiecie. Patenty od fabrykacyi trunków na terytoryum miejskiém a także bilety na wyszynk opłacają miejskiego podatku maximum 20%.

Oprócz poboru powyższych dochodów, rady miejskie są upoważnione do wyjednania u władzy prawodawczéj zezwolenia na wprowadzenie podatku od najmowanych mieszkań, z oznaczeniem sposobu tak samego poboru, jako też i wysokości składki w procentach, względnie do ceny najmu; z wykazaniem obok tego téj kategoryi mieszkań, które z powodu małéj wartości od podatków powinny być zwolnio-

ne. Ustanowienie innych jeszcze poborów, oprócz wymienionych wyżéj, nie mniéj jak podniesienie normy już dozwolonych, nie może nastąpić inaczéj jak za pozwoleniem władzy prawodawczéj.

Niezależnie od wymienionych opłat, na rzecz kasy miejskiéj wpływają inne jeszcze dochody, jak opłaty od aktów notaryalnych, od stemplowania miar i wag, od licytacyi ruchomości sprzedawanych w mieście, a także w niektórych miastach opłaty od przywozu i wywozu towarów.

Na zakończenie tego pobieżnego przeglądu różnych kategoryj podatków i poborów gminnych, wypada nam wspomniéć i o tych, z jakich korzystały kasy i zarządy miejskie w Królestwie, mają one swoję historyą i dawne jeszcze niemieckiego prawa sięgające tradycye. W bieżącym wieku zakres działania samorządu miejskiego był ograniczony ścisłą administracyjną opieką, ograniczenie to musiało się więc do podatków miejskich stosować. Na piérwszém zwykle miejscu stawiane były dochody z własności, funduszów i kapitałów miejskich. Daléj szły prawa szczególne, nadane kasom miejskim do poboru pewnych opłat, już to od mieszczan trudniących się handlem, rzemiosłami i różnemi zarobkami, już to od przybywających do miasta z produktami i wyrobami na targi, jarmarki lub w innych jakich interesach; w ostatnim rzędzie stały zwykle składki piéniężne, wybierane od posiadaczy nieruchomości miejskich i od procederzystów na zasilenie kasy miejskiéj, o ile dochody jéj nie wystarczały na pokrycie etatowych lub nadzwyczajnych wydatków, konieczną potrzebą wywołanych.

Do opłat więc pobiéranych w piérwszym rządzie należały opłaty targowe, od przybywających na targi ściągane na zasadzie zatwierdzonych taryf; daléj taksa od ostemplowania miar i wag, oraz pobory: brukowe, kopytkowe, rogatkowe, na utrzymanie ulic, placów i mostów. Osiadający na nowo w mieście opłacali wkupne do prawa miejskiego, postanowieniem zaś rady administracyjnéj z dnia 24 Stycznia (3 Lutego r. 1887) zaprowadzone zostały w miastach Królestwa *opłaty kanonowe* na rzecz kas miejskich od trudniących się procederami i zarobkami.

Kanon ten był pobiéranym podług oddzielnéj bardzo szczegółowéj taryfy (1), która dzieliła miasta na 5 kategoryj podług ilości mieszkańców: do 1, do 3, do 5, 8 i wyżéj tysięcy. Jeżeli weźmiemy 1-szą kategoryą miast z ludnością do jednego tysiąca, ta bowiem nas

(1) Zbiór przepisów administracyjnych Król. Pol. wydz. spr. wewn. i duchow. Część 1-sza. T. III. Ks. I. str. 349.

najbliżéj obchodzić może, jako dziś przyłączona do gmin wiejskich, to przyznać należy, że te wszystkie opłaty były bardzo umiarkowane. Prawie wszyscy rzemieślnicy, których zakłady nie nosiły charakteru fabrycznego, opłacali od 1 do 2 złot. polsk. na rok, z większych kategoryj: aptekarz i bankier lub wekslarz wnosili po złot. 8, cukiernik i księgarz po złot. 6, handel papiéru, oraz jedwabiu po złot. 5. Lekarze i kupcy towarów korzennych po złot. 4 i t. d. Jakby wyłączeni z tego stopniowania byli wszyscy dostarczający spirytualyów, dystylator więc wódek i likworów płacił złotych 15, piwowar złot. 20, szynkarz zaś jeśli nie płacił konsensowego (o którém niżéj), co się zdarzało w miastach prywatnych, musiał opłacać konsens złot. pols. 30.

Ponieważ pobory konsumpcyjne, egzystujące dawniéj w miastach, szły nie na korzyść kasy miejskiéj, lecz wyłącznie na dochód skarbu, przeto ukaz z dnia 9 (21) Lipca 1834 (Dz. Pr. T. XVI) z owego dochodu przekazuje kasom miejskim 4% na utrzymanie szlachtuzów.

Korzystały też miasta i z prawa propinacyi: początkowo we wszystkich miastach narodowych i królewskich, wolność propinowania, czyli wyrabiania i sprzedaży trunków, z mocy przywilejów i nadań królewskich, służyła mieszkańcom właścicielom nieruchomości miejskich.

Z czasem jednak gdy przekonano się, że mieszczanie, oddający się powszechnie zarobkowaniu propinacyjnemu, zaniedbali inne właściwsze sobie a pożyteczne dla kraju zatrudnienia miejskie, jakiemi są rzemiosła, rękodzieła i handel, zapadła na sejmie r. 1776 uchwała pod tytułem: Warunek nowego miasta Korczyna (Vol. leg. T. VIII f. 917), orzekająca:

„ażeby odtąd nie każdy w szczególności na swój profit propinował, lecz ażeby magistrat imieniem miasta co rok lub co trzy lata dawał kontrakty na te propinacye jednemu tylko z najmajętniejszych mieszkańców, lub takiemu, któryby miał rękojmię odpowiednią, dochód zaś ten ażeby na ogólny użytek miasta był obracany.“

Następnie uniwersał króla Stanisława Augusta z dnia 7 Marca r. 1877, wprowadzając powyższą uchwałę w wykonanie, przepisał instrukcyą do odbywania licytacyi na wydzierżawianie propinacyi miejskich i zastrzegł: „aby intrata z propinacyi, nie na prywatny ale ogólny użytek miasta prawem przeznaczona, składaną była w ręku osoby wybranéj przez miasto i bez upoważnienia departamentu policyi na takowy użytek szafowaną nie była.“

Takim sposobem ustalony podatek propinacyjny oddawany bywał w dzierżawę, z prawem monopolu na wprowadzanie i utrzymy-

wanie trunków, lub też z prawem poboru zyskowego (od garnca) od trunków wprowadzonych przez mieszkańców.

Oprócz dochodów propinacyjnych od trunków, wszyscy szynkarze dekretem namiestnika królewskiego z dnia 4 Lutego r. 1817 zobowiązani zostali do opłaty podatku konsensowego miejskiego, w miastach 1-éj kl. wyżéj 3 tys. lud. 150 złot., 2-éj kl. od 1—3 tys. 90 złot. i 3-éj kl. niżéj tysiąca 60 złot. Do takiego konsensu obowiązani zostali i utrzymujący hurtowe składy okowity, rozporządzeniem kom. spr. wew. z d. 12 Października r. 1846.

Połowę składki na narzędzia ogniowe uiszczał propinator wyłączny, chociażby i skarb publiczny, jeśli gdzie wyłączność istnieje, jak np. w miastach prywatnych, instytutowych, oraz przez rząd z prawem propinacyi nabytych. Dopiéro gdy powyższych dochodów i wpływów na pokrycie potrzeb gminny miejskiéj nie wystarczało, uzupełniano je składkami od właścicieli nieruchomości i trudniących się procederami. Taki rozkład poborów rozpisywał magistrat po naradzie z obywatelami, utwierdzał zaś go rząd gubernialny. W miastach prywatnych do zaspokojenia potrzeb miejskich przykładali się dziedzice, bez wątpienia za prawo wyłączne propinacyi.

Zważywszy, że przy roztrząsaniu kwestyi podatkowości gminnéj, nieraz jest mowa o podatku osobistym (wszakże nie podusznym jak w Rosyi, lecz raczéj od jedności stanowiącéj familią) nie od rzeczy będzie wspomniéć o podatku osobistym, tak zwanym klasycznym, pobiéranym w Warszawie, wprawdzie w specyalnym celu pokrycia kosztu budowy aleksandryjskiéj cytadeli, nie mniéj wszakże noszącym charakter gminnego, skoro powyższy koszt na gminę miasta Warszawy wyłącznie włożonym został. Tabela tego podatku przedstawia 6 działów: 1) właścicieli; 2) handlarzy; 3) kunsztowników; 4) procederzystów; 5) rzemieślników; 6) służących prywatnych. W tych wszystkich działach jest klas 13, podług przypuszczalnego czy też obliczonego dochodu. 1 klasa: najwyższe sumy dochodu, 2-a do 13-éj od 50 tys. do 200 złotych. W niższych klasach podatek oznaczony stosownie do zajmowanego lokalu. Szemat dosyć sztuczny; te same handle i procedery do różnych klas odniesione w miarę większéj lub mniejszéj siły.

Za przykład może służyć raczéj daleko prostsza klasyfikacya podatku osobistego, który również na cele fortyfikacyjne, lecz w całym kraju dekretem króla saskiego z dnia 23 Lutego r. 1809 został ustanowiony (Dr. Pr. Warsz. T. II. str. 25). Jest tam klas dziesięć: 1-a wykazuje wolnych od podatku; 2-a stanowi 1 złoty dla wyrobników, ze stopniowém podnoszeniem go w miarę zamożności klasyfikowanych aż do 50 złot. w 10-éj klasie, do któréj należą: najmaję-

tniejsi właściciele, kupcy, znaczni kapitaliści, adwokaci i notaryusze miast wielkich, urzędnicy z pensyą 10 tys. złot. i jeżdżący karetami. Skala tego podatku w r. 1811 została bardzo rozszerzoną, i zawiérała pomiędzy 2-gą i 1-ą klasą, stopniowanie od 1 do 500 złot. polskich.

Z powyższego, chociaż bardzo pobieżnego, a może nawet powierzchownego przeglądu podatkowości gminnéj w różnych krajach Europy, można jednak wyprowadzić ten wniosek, że po 1-sze podatkowość owa jest jak najbardziéj urozmaicona, i po 2-gie, że wszędzie ma mniéj lub więcéj ściśle zakreślone granice.

W rozłożeniu wszelkich podatków, nietylko gminnych, lecz i państwowych, przedewszystkiém o to idzie najbardziéj, ażeby w sposób najmniéj uciążliwy i o ile można równomierny w stosunku do środków i zamożności, sięgały one wszystkich mieszkańców kraju, korzystających z dobrodziéjstw państwowéj organizacyi. Skoro jest niepodobieństwem wynaléźć taki podatek, któryby sam jeden odpowiedział wszystkim warunkom, i zarazem przy znaczniejszéj stopie, odpowiadającéj potrzebom państwowego ustroju, nie rujnowałby obowiązanych, przeto pozostawał jedyny środek, uciekać się do wyszukiwania najrozmaitszych podatkowych źródeł.

Źródło najwidoczniejsze i zarazem rzec można jakby uprzywilejowane: majątek nieruchomy, nie zawsze jest wyrazem odpowiedniéj zamożności posiadającego, która, w obec możliwych ciężarów hypotecznych, często bardzo ujemnie się przedstawia. Ta okoliczność jest niewątpliwie powodem do ustanowienia w wielu krajach, obok poborów bezpośrednich od nieruchomości, podatku dochodowego, który w celu dotknięcia tylko dochodu czystego, pozwala odtrącać pasiva majątkowe, a tém samém pociągać się stara do udziału w ciężarach podatkowych, właścicieli sum hypotecznych i w ogóle kapitalistów, którzy bez tego środka finansowego, w znacznéj części uchylają się od ciężarów fiskalnych; podatek ten dosięga również i pobiérających stałe uposażenia od rządu lub od wszelkiego rodzaju prywatnych i spółkowych instytucyj. W wielu jednak razach dochód pewnych kategoryj mieszkańców kraju bardzo trudno daje się obliczyć, lub nawet wcale wykrytym być nie może, egzystuje nakoniec pewne minimum tegoż dochodu, które już się zwykle do podatku nie kwalifikuje, skarb przeto ma jeszcze potężny środek dotknięcia wszystkich, nie podchodzących pod obowiązek opłacania podatków stałych, za pomocą tak zwanych podatków pośrednich czyli konsumpcyjnych, jakiemi są: cła nadgraniczne, oraz akcyzy od napojów, cukru, tytuniu i tym podobnych przedmiotów powszechnego użycia, które częstokroć stanowią jedno z główniejszych źródeł państwowego budżetu. Podatek ten reguluje niedokładno-

ści podatków bezpośrednich, dosięga bowiem każdego, i to mniéj więcéj w stosunku do jego rzeczywistéj, a przynajmniéj względnéj zamożności. W niektórych krajach w postaci dodatkowego regulatora systemu podatkowego egzystują jeszcze podatki od zbytku, jakiemi są pobory od powozów, psów, zbytkowych sprzętów i t. p.

Jeżeli więc system podatkowości państwowéj dotyka o ile możności wszystkie warstwy społeczne, nie wyjmując i najskromniejszych pracowników, chociaż ci ostatni szczególniéj pośrednio tylko mogą być zainteresowani całością państwowego ustroju, nie będąc w możności korzystania bezpośrednio z wielkich państwowych instytutów, témbardziéj zasada ta musi być sprawiedliwą dla gminy, skoro i najmniejszy z jéj członków w ciągłéj będąc styczności z instytucyami gminnemi, zażywa nieustannie i w całéj rozciągłości płynących z nich dobrodziéjstw i udogodnień.

Wychodząc z téj zasady, egzystujący u nas system składki gminnéj gruntowéj od morga, jako wyłączny i niepodparty żadném inném dopełnieniem, nie może być uznanym za słuszny i racyonalny. Nie myślimy podawać w wątpliwość twierdzenia, że posiadacze własności nieruchoméj, a w szczególności ziemi, bardziéj może niż inni członkowie gminy są zainteresowani w porządku społecznym, respective gminnym, zainteresowanie to jednak nie może być wyłącznem. Nietylko właściciel korzysta z gminnéj policyi, sądu, szkoły i dróg komunikacyjnych; korzystają z nich wszyscy członkowie i mieszkańcy gminy, a z pomiędzy właścicieli niekoniecznie każdy w stosunku posiadanych morgów.

V.

Egzystują dwie sprzeczne teorye pod względem uzasadnienia podatkowości gminnéj: jedna oparta wyłącznie na zdolności podatkowéj „Leistungsfehigheit,“ druga zaś na stosunku ciężarów do osiąganych korzyści „nach Leistung und Gegenleistung.“ Obie zdają się być jednostronne, a pogodzenie ich zdawałoby się być właściwém zadaniem prawodawcy gminy.

Są np. instytuta w gminach, na które składają się jéj członkowie, przypuśćmy nawet w stosunku do rzeczywistéj zdolności podatkowéj; mają oni prawo i mogą z dobrodziejstw tych instytutów korzystać, nie idzie jednak zatém, ażeby koniecznie i w rzeczywistości z takowych korzystali. Do podobnych kategoryi należą sąd i szkoła; gdy nie jeden z płatników, i to najdonioślejszych, przez całe życie może z tych obu zakładów nie korzystać, zażywa ich nieraz i to w naj-

większym stosunku taki, który wcale, jak dzisiaj, do składki gminnéj nie należy, lub téż członek innéj gminny, nieraz zamożny szukający np. w sądzie obrony swoich funduszów. Słusznie więc będzie jeśli, oprócz mających prawo użycia pewnych instytutów, i na téj zasadzie ponoszących główny ciężar ich utrzymania, przyłożą się dodatkowo choć w części ci, którzy rzeczywisty i materyalny z nich użytek ciągną, niezależnie od tego, czy należą lub nie do składki zasadniczéj. Z téj zasady mogłyby się uformować „*Pobory,*“ jak je wyżéj nazwaliśmy, a mianowicie sądowe i szkolne, a w wyjątkowych wypadkach i drogowe, jeśliby gmina na swém terytoryum urządziła drogę żwirową, tak jak już egzystują pobory mostowe.

Dla ustanowienia poborów sądowych mamy gotowy wzór w instytucyach cesarstwa, gdzie na zasadzie Najwyżéj zatwierdzonéj opinii rady państwa pod dniem 10 Maja r. 1877, nakazano w instytucyach sądowo-pokojowych, jako pomoc dla ziemstwa w utrzymaniu tych instytucyi, pobierać wpisy sądowe w ilości jednéj kop. od każdego dochodzonego rubla, tak w prożbach powodowych jak téż i w akcyach wzajemnych, prożbach osób trzecich o interwencyą do sprawy, oraz podanych opozycyach i skargach apelacyjnych, z wyjątkiem spraw nie przechodzących 10 rs.; w powództwach zaś nie dających się określić, co do wysokości podług uwagi sędziego, nie wyżéj 5 rubli. Oprócz tego naznaczonym został rodzaj stemplowéj opłaty od każdego arkusza, przedstawionych próśb i dowodów, nie mniéj jak od wszelkich innych papiérów przez strony podawanych, oraz wydanych nakazów egzekucyjnych, kopij wyroków, informacyj i tym podobnych akcyj. Pobory te bywają zwracane stronom w razie pogodzenia się przed zapadłym wyrokiem, lub w razie cofnięcia prośby zanim jakakolwiek czynność sądowa będzie rozpoczętą. W razie ubóstwa strony, sędzia może ją od poborów uwolnić.

Jak dalece u nas byłby sprawiedliwym i racyonalnym podobny *pobór* sądowy, możemy w następnym przykładzie udowodnić; mamy bowiem obrachunek spraw, które w ciągu roku 1878 przeszły przez sąd gminny gidelski, i który pokazuje, że połowa poszukiwanych sum pochodziła z powództwa Żydów, którzy wcale podatków gminnych nie płacą. Tak więc było:

Spraw żydowskich . . . . . 145 na sumę 7.451 rs. 61 k.
„ z powództwa Chrześcian 283 „ „ 7.949 „ 91 „

Przeciętna więc sprawa żydowska wynosiła 51 rs. 40 kop., chrześciańska zaś 28 rs. 80 kop., gdy zaś do tego dodamy, że z piérwszéj kategoryi 16 spraw redukuje się do 6-ciu, z powodu jedności charakteru i osób, rozdrobnienie zaś sztuczne potrzebne jest z tytułu niepodsądności sądom gminnym spraw większych, z jakiéj racyi za-

ściankowi bankierowie biorą po kilka rewersów mniéjszych w jednéj większéj tranzakcyi, przeciętna wysokość sprawy żydowskiéj podniesie się jeszcze aż do 55 rs. 19 kop.

Dla charakterystyki stosunków musimy jeszcze dodać, że pogodzonych spraw było:

Żydowskich . .	27	na sumę	405 rs.	55 kop.
Chrześciańskich .	78	„ „	1.589 „	29½ „

Porównanie tych ostatnich cyfr pokazuje, że przy jednakiéj prawie wysokości powództwa ze strony członków obu wyznań, chrześcianie trzy razy są pochopniejsi do zgody, od wyznawców talmudycznéj nauki.

Z danych, które posiadamy, jesteśmy w stanie obliczyć dochód z poborów w gidelskim sądzie gminnym za rok 1878, jeśliby te były ustanowione w wysokości praktykowanéj w cesarstwie:

Z ogólnéj ilości spraw w r. 1878 wynoszącéj . . .		428
potrącając pogodzonych	105	
i nie przenoszących 10 rs.	142	247
Pozostaje . .		181
Do tego przybywa apelacyi		25
Razem spraw kwalifikujących się do pobrania stempla po 10 kop. od arkusza		206

W powyższych sprawach ogólna suma powództwa wynosiła		15.401 rs. 52 kop.
Potrącając wartość spraw pogodzonych	1.994 rs. 84½ kop.	
I nie przenoszących 10 rs.	640 rs. 75½ kop.	2.635 rs. 60 kop.
Pozostaje suma powództwa podlegającego poborowi po 1 kop. od rubla		12.765 rs. 92 kop.

A zatém:

Za 206 spr. rachując na każdą po 3 ark. i po 10 kop. od każdego, wypada	61 rs. 80 kop.
Od 12.765 rs. 92 po 1 kop. od rubla .	127 „ 66 „
Za 27 spraw bez oznaczenia sumy poszukiwanéj, rachując w przybliżeniu po 2 rs. od sprawy	54 „ —
Razem roczny pobór wynosiłby . . .	243 rs. 46 kop.

Że zaś sąd gidelski obsługuje 3 gminy, na jednę przeto w przybliżeniu wypada rs. 81 kop. 15, chociaż ściśle biorąc rozdział powinien być dokonanym w stosunku opłacanych składek. Przyjmując jednak powyższą sumę wypada, że pobór sądowy stanowiłby dla gminy Gidle około 15% kosztu utrzymania tego instytutu.

Pobór pewnéj umiarkownéj opłaty wpisowéj szkolnéj, z warunkiem zwalniania od niéj zupełnie niezamożnych, nie mniéj daje się łatwo usprawiedliwić. Najprzód musimy zaznaczyć, że kwestya daremnego i razem przymusowego wykształcenia bynajmniéj rozwiązaną nie jest. Przeciw téj zasadzie nieustalonéj dotąd, wiele jeszcze praktycznych i moralnych względów zdaje się przemawiać. Że zasada zupełnie daremnego wykształcenia nie jest przyjętą w obowiązującém prawodawstwie, dowodzą tego nietylko wyższe, ale i średnie naukowe zakłady, skoro w tych ostatnich nawet egzystuje stosunkowo wysoka opłata wpisowego, wynosząca od każdego ucznia 30 rs. na rok. Toż prawodawstwo nie uznało jeszcze za rzecz możliwą oprzéć elementarne wykształcenie na systemie ogólno podatkowym, czy to państwowym czyli też gminnym, pozostało ono jedynie na stanowisku zachęty zainteresowanych do pomnożenia ilości szkół w drodze ich prywatnéj inicyatywy, z oświadczeniem nawet w pewnych razach pomocy rządowéj, jak to widać z ukazu r. 1864, o szkołach elementarnych, oraz postanowienia urządzającego komitetu z dnia 9 Listopada (28 Października) tegoż r. 1864. W zaleceniu obmyślania środków na utrzymanie szkół, sposób wyszukania tych środków bynajmniej nie jest wskazany, ani téż możliwość wpisu szkolnego nie jest wykluczoną.

Przykład innych państw cywilizowanych może nam nie mniéj za wskazówkę posłużyć: i tak we Francyi z ogólnéj sumy 55.731.255 fr. wydanéj na utrzymanie szkół elementarnych (1) przypadło:

Na opłatę wpisową	31%
,, fundusze gminne	40%
,, subsidia rządowe	11%
,, fund. stałe i pomoc departamentową	18%
Razem . . .	100%.

Prawo francuzkie z roku 1875 rozszerzając zakres funduszów szkolnych, motywowane zostało na podstawie zasady, że w ogólności wychowanie i nauka młodego pokolenia, stanowi najbliższy obowiązek i zadanie rodziny; jakowy obowiązek w drugim dopiéro stopniu rozciąga się na związek rodzin w postaci gminy, w trzecim zaś na prowincyą (departament), a o ile te trzy czynniki nie wystarczają potrzebie podatkowéj, przychodzi z pomocą i wyrównaniem państwo jako najwyższy czynnik zbiorowy. Dodać należy, że

(1) Zeitschrift des Königlich Preussischen Statistichen Bureaus. r. 1877. Zeszyt II i III.

we Francyi nauczyciel ma: najprzód wyznaczoną stałą nie wysoką płacę, potém pobiera na swoję korzyść wpisowe, a o ile to nie pokrywa pewnéj normy wynagrodzenia, dostaje podwyżkę w kształcie wyrównania. Sposób ten może mieć praktyczną doniosłość, dając większe środki nauczycielom umiejącym przyciągnąć młodzież i zachęcić ją do nauki, lub téż zapewnia wyższe wynagrodzenie za zwiększoną pracę w obec znaczniejszéj liczby uczniów.

Najwymówniejszy jednak argument na korzyść wpisu szkolnego dają nam Prusy, ojczyzna zasady obowiązkowego wykształcenia; tam spotykamy takie stosunki, np.:

W Brandenburgii na koszt utrzymania szkół przychodzi z wpisów 1.782.192 mr., ze składek 3.711.372 mr., od rządu 251.648 mr.
czyli 31% 64% 5%
zkąd wypada, że opłata wpisowego przykłada się tutaj do utrzymania szkół w zupełnie tym samym stosunku co we Francyi.

Jeżeli u nas składki na szkoły gromadzkie są opłacane przez stowarzyszonych, lub jak to w naszych gminach ma miejsce w skutek szczególnego tłómaczenia przepisów, przez wszystkich właścicieli w gminie, nie ulega wątliwości, że tak jedni jak i drudzy mają prawo z tych zakładów korzystać, w rzeczywistości jednak w znacznéj nawet części nie korzystają z nich wcale. Nie ma więc dobréj racyi, ażeby korzystający, o ile są w możności, nie przykładali się choć w części w miarę odbiéranych pożytków. Nie zdrową jest teorya, według któréj gmina ma być Opatrznością swoich członków, myśléć za nich i wszystkiego im dostarczać; na téj drodze można zajść daleko, z tem większą szkodą, że taka opieka zabija w ludziach poczucie obowiązku do samopomocy. Oprócz tego rzecz jest niezawodna, że człowiek wszystko to wyżéj ceni, co potrafi zdobyć własném staraniem; prawda ta i do oświaty musi się stosować.

Nie chcemy i nie myślimy wcale dowodzić, ażeby ogólna składka gminna na rzecz elementarnéj oświaty była szkodliwą lub nie potrzebną; owszem, może ona i powinna egzystować, byle tylko w pewnym ograniczonym przez władzę prawodawczą procentowym stosunku do ogółu budżetu gminnego, lecz z warunkiem, ażeby nie była wyłącznie obracaną na utrzymanie nielicznych szkół gromadzkich wsi zamożniejszych, lecz raczéj, ażeby pod dyspozycyą właściwych organów gminnych, obracaną była na zapomogi szkołom biedniejszym według potrzeby i na konieczną pomoc w zakładaniu szkół elementarnych w odleglejszych od centrów gminnych, a zarazem w mniéj ludnych wioskach. Takim sposobem tylko, pomoc gminna okaże się pożyteczną i prawdziwie skuteczną do szerszego rozpowszechnienia oświaty.

Wskazaliśmy możliwość pokrycia pewnéj cząstki budżetu gminnego za pomocą poborów, główną jednak podporą tego budżetu muszą stanowić podatki bezpośrednie. Jedyne źródło u nas finansowości gminnéj, składka od morgi, oprócz swéj jednostronności, o czém mówiliśmy wyżéj, ma jeszcze tę wadę, że jest co do ilości nieograniczoną. Zgromadzenie gminne niczém niekrępowane, może się w zasadzie opodatkować ad infinitum, w praktyce zaś aż do niepomiernego przeciążenia pewnéj części płatników, przez również nie pomierną przewagę drobnéj własności na zebraniach gminnych. Przeciążenie to łatwo się daje uwidocznić za pomocą bardzo prostego rachunku. Jeśli weźmiemy np. w gminie gidelskiéj na 6 głosów większéj własności, przedstawiającéj 4.132 jedności płatniczych, 399 głosów drobnych właścicieli o 5.397 jednostkach podatkowych, przy tak ogromnéj przewadze liczebnéj, w obec tak bardzo stosunkowo nieznacznéj przewagi płatniczéj, możliwe przeciążenie piérwszych staje się widocznem. Jeśli przeciętny wieśniak o 13 morgowym dziale, głosując na podwyższenie o 10 kop. podatku z morga, ma szanse dopłacić na rok 1 rs. 30 kop., co w obec łatwości zarobkowania i cen dzisiejszych stanowi dla niego bardzo niewielki ciężar; przyciśnięty zbyteczną przewagą, przeciętny właściciel folwarczny o 690 morgach zapłaci rs. 69, o zdobycie których nieraz dużo musi się nakłopotać. Jeżeli więc składka proponowana ma na widoku interes przeważnie dla drobnych właścicieli korzystny, korzyść ta jeszcze się dla nich podwaja tak znacznym przyczynkiem mniéj w danéj rzeczy zainteresowanych, i tém samém niezawodnie więcéj zainteresowanych do odnośnéj uchwały pobudzi. Stosunek taki wywołuje antagonizm społeczny, zaciera w przeważnéj większości obywateli kraju wszelkie poczucie sprawiedliwości i utrwala nałóg nadużywania przewagi liczebnéj.

„Ponieważ prawo opodatkowania się w gminie,“ powiada profesor Biliński (str. 175 i dalsze), „swój byt jedynie państwu zawdzięcza, jedynie więc tylko prawodawcza ustawa ma racyą i obowiązek, nietylko zasadniczo wysokość podatkowości gminnéj oznaczać, lecz i wypełnienia owych ram określonych prawnie, samowolności gminnéj nie pozostawiać. Musi więc być gmina nietylko w wyborze rodzajów podatku ograniczoną, lecz nawet nie powinna mieć prawa wyboru pomiędzy dozwolonemi, których norma i stosunek przez prawo zgóry muszą być określone.“

„Zarzucają niekiedy podatkom państwowym, że mogą służyć środkiem uciemiężenia jednych klas przez drugie; a jednak w państwie, walka interesów tylko w wielkich zarysach może się odbywać, i przez właściwy systemat wyborczy, oraz przez ewentualny

wpływ naczelnika państwa, bywa łagodzonym, podczas gdy w gminie przedstawia najstosowniejsze pole do wybuchu prawdziwie zaostrzonéj walki stanowéj, w obec stojących przeciwko sobie bezpośrednio nieprzyjaznych elementów, których starcie, bezpośrednie i prędkie skutki jest w stanie wywołać" (1).

Widzieliśmy z powyższych przykładów, powszechnie w prawodawstwach gminnych ustaloną zasadę, ograniczenia dowolności podatkowéj, nie wyłączając ustawy miejskiéj w cesarstwie Rosyjskiém. Szczególniéj zaś w tym względzie celuje Anglia, gdzie jak powiada Gneist (O samorządzie angielskim): „każde ukształtowanie podatku gminnego zależy jedynie od prawodawstwa, nigdy zaś od uchwał pojedyńczych związków miejscowych, zostających pod wpływem czasowo i okolicznościowo zmiennych większości."

W obec dowiedzionéj niewątpliwie potrzeby oznaczenia przez prawodawstwo możliwéj granicy opodatkowania się, występuje jak nam się zdaje druga potrzeba, wskazania prawodawczego pewnych prawideł rozkładu ciężarów. Państwo, oddając bez żadnych wskazówek podobny interes organom gminnym, przyznaje się jakoby do swéj niekompetencyi w téj materyi i przypuszcza zarazem większe uzdolnienia gminy do przeprowadzenia podobnego zadania. Jeśli jednak państwo, które posiada organa wykształcone teoretycznie i praktycznie w urządzeniu finansowości państwowéj, które posiada wszelkie możliwe materyały, jeśli nie kadastralne, to przynajmniéj statystyczne, napotyka jednak trudności w nakreśleniu ściślejszych w téj mierze przepisów, łatwo wystawić o ile bardziéj jeszcze najeżona trudnościami, droga do przybytków prawodawczych dla organów gminnych, które nietylko potrzebnych materyałów, lecz i koniecznego do ich umiejętnego użycia nie posiadają wykształcenia. „Cel gminy, któréj zadaniem jest," powiada Rembowski, „nietylko kształcić jednostkę, rozszerzać zakres swobodnego jéj działania, ale zarazem wzmacniać organizm państwa, nie da się osiągnąć, jeśli obejmie ona funkcye niezgodne z jéj naturą, jeśli pozyska zakres władzy publicznéj, przewyższający jéj siłę: wtedy bowiem przez nieumiejętne wykonanie, wolność osobista obywateli wystawioną będzie na nieuniknione niebezpieczeństwo."

Przy takiéj jednak w pewnym wyższym zakresie nieudolności, posiadają organa gminne na właściwém dla nich polu szczególne przymioty, pod względem których żadne inne organa dorównać im nie mogą. Przymiotem tym będzie umiejętność podciągania pojedyń-

---

(1) Podobnie Rembowski. O gminie. Warszawa. r. 1873.

czych indywiduów płatniczych pod pewne kategorye, zgóry nakreślonych klasyfikacyj i szematów, choćby tę klasyfikacyą trzeba było dokonywać na zasadzie zamożności nie dającéj się ściśle wyrazić w liczbach. Lecz i ta nawet zdolność powinna być ujęta w pewne granice, ażeby nie dała powodów do niesprawiedliwości i nadużyć. Niezdolności zaś do ustanowienia zasad klasyfikacyjnych najlepiéj u nas dowodzi praktyka, która pozostawiła bez użytku prawo dowolnego podziału pomiędzy płatników podatku gruntowego dodatkowego i podymnego włościańskiego, chociaż ten ostatni przy tabelaryczném jego stosowaniu daje takie przeskoki jak n. p. 4 do 2 rubli przy odnośném posiadaniu 15 respektive 14 morgów. Gdy nie otrzymano racyonalnych wskazówek, poprzestano chętniéj na nierównym, lecz stałym rozkładzie, ażeby uniknąć dowolności i zajść, jakieby się wyrodzić mogły przy klasyfikowaniu. Ograniczenie prawa dowolnego opodatkowania się w gminie nie ubliża bynajmniéj zdrowym pojęciom o samorządzie lokalnym. Właściwém bowiem jego zadaniem jest, nie prawodawstwo w jakiéjbądź formie, lecz właściwy szafunek środków wspólnych, należyte ich użycie praktyczne, oraz wykonanie zakreślonych już spraw użyteczności publicznéj; do urzeczywistnienia bowiem tych celów najodpowiedniejszemi są najbliżéj rzeczywiście w danéj rzeczy interesowani.

Zbyteczne zaufanie do instynktów gminnych, mających być panaceum na ułomności pisanego prawa, zawsze chyba pochodzi z zapatrzenia się na ustrój rosyjskiéj włościańskiéj gromady, która nie zna pisanego prawa, usuwając od dobrodziejstw cywilizacyi i rozwiniętego od wieków prawodawstwa cywilnego większość rosyjskiego ludu.

Instynkta jednak zawsze pozostaną instynktami, nietylko bowiem ów wieśniak rozkłada ciężary czysto mechanicznie, nietylko przeznacza obarczone rozkładem działki na zasadzie większéj lub mniejszéj roboczéj siły, a więc również mechanicznie, lecz nawet rozdaje owe kawałki podług wyciągniętych losów, gdy znaczone pewnym sposobem patyki rzucają obecni do czapki jednego ze starszych, który tę czapkę potrząsając podaje z kolei do ciągnienia. Akcya ta się nazywa „wytrząsaniem losów“ (Traśti źrebij) i nosi na sobie cechę wschodniego fatalizmu. Prawo tylko chyba i cywilizacya mogą być podstawą rozumnego bytu jednostek państwowo-społecznych.

Podatki gminne bezpośrednie bywają, jakeśmy to widzieli, pobierane od nieruchomości, lub też jak w Prusach i od dochodu. W piérwszym przypadku są najczęściéj rodzajem podatku czynszowego (Ertragssteuer), który się reguluje do ogólnego dochodu. U nas

ani jedno ani drugie nie może mieć miejsca w gminach wiejskich, skoro podatki nawet rządowe od ziemi pobierane są stosownie do jéj obszaru, z uwzględnieniem pewnéj klasyfikacyi. Klasyfikacya ta jednak jako oparta nie na kadastrze, lecz na bardzo pobieżnie zebranych danych, do czego zresztą zmuszała nagłość potrzeby, nie koniecznie może być podstawą rozdziału składki gminnéj gruntowéj, bo by w ten sposób omyłki klasyfikacyjne wzrastały niepotrzebnie a nawet szkodliwie. Taki wypadek właśnieby miał miejsce jeśliby składkę gruntową w gminie oznaczyć, jak tego chcą u nas niektórzy, w postaci dodatków do podatku gruntowego, czyli tak zwanych groszy dodatkowych. Oprócz powyższéj niedogodności profesor Biliński, który jest wielkim nieprzyjacielem cytowanéj formy podatkowéj, wystawia przeciwko niéj potężną bateryą argumentów, a w ich liczbie odjęcie zupełne samoistności gminie, łatwość posuwania normy podatkowéj, oraz wiele innych, które właściwie nie stosują się do nowych warunków. Pomijając więc te szczegóły zdaje się nam, że rozkład składki gruntowéj mógłby pozostać u nas w gminie na dotychczasowéj zasadzie ilości morgów, bez klasyfikacyi, z redukcyą lasów, zarośli i pastwisk do jednéj czwartéj części, podług przyjętego zwyczaju. Rozkład taki, dający w gruncie małą różnicę od stosunkowego, łatwiejszy nawet arytmetycznie, co nie jest bez znaczenia dla naszéj gminy, obok zapewnienia pewnego rodzaju samoistności, nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa niepomiernego obciążenia, jeśliby, jak to być powinno, ogólna cyfra składki gruntowéj była ograniczoną; najbliższym i najodpowiedniejszym może warunkiem, ażeby nieprzenosiła 20 do 30% ogólnéj sumy, opłacanych skarbowi przez całą gminę gruntowych podatków, jak głównych tak i dodatkowych; kiedy obecnie, jakeśmy to widzieli, w niektórych gminach przechodzi 60%. Ograniczenie to przy innych warunkach, jak to zobaczymy niżéj, nie ścieśni bynajmniéj budżetu gminnego.

Drugą formą składki gminnéj od nieruchomości mógłby być umiarkowany podatek od domów. Profesor Biliński nie uważa tego podatku za właściwy dla gmin wiejskich, mając na uwadze stosunki galicyjskie, gdzie takie gminy, oprócz małego ich obszaru, nie zawiérają w swoim składzie ani obszarów dworskich, ani téż chociażby najmniejszych miasteczek, i z tego powodu nie przedstawiają żadnéj rozmaitości typów zabudowań mieszkalnych i ograniczają się na wyłącznéj formie prostych chałup włościańskich, które niezależnie od gruntów, którym przysługują, nie przedstawiają żadnéj innéj dochodowéj wartości.

U nas ta kwestya zupełnie inaczéj się przedstawia. Nietylko gminy nasze pod względem terytoryum i zaludnienia są bardziéj

obszerne, lecz często jeszcze zawiérają w swym składzie dawniejsze miasta a dzisiaj osady, w których domy są nietylko stosunkowo pokaźne, ale nawet względnie znaczny przynoszą dochód. We wsiach też większych, a szczególniéj kościelnych, przynajmniéj w okolicy gmin nas zajmujących, budują się domy wcale porządne i obszerne, po części w celach wynajęcia lokalów, jakie chętnie zajmują rzemieślnicy, handlarze i inni przemysłowcy, skoro po takich wsiach już i otwarte sklepy spotykać się dają. Oprócz tego, posiadanie w ogóle chociażby małego domu stanowi bezpieczną i wygodną podstawę zarobkową, daje pewną niezależność posiadaczom, w stosunku do żyjących w lokalach wynajętych, które to korzyści mogą służyć za podstawę umiarkowanego podatku, tém bardziéj usprawiedliwionego, skoro kasa państwowa to źródło uważa dla siebie za właściwe.

Wysokość takiego podatku dałaby się również określić normą, nie przenoszącą 20 do 30% od ogólnéj sumy podymnego jakie gmina opłaca rządowi. Rozkład tego podatku, jeszcze bardziéj niż gruntowego, powinien być samoistny, skoro tabelaryczne oznaczenie podymnego jest bardzo nierównomierne i w praktyce bynajmniéj nie zostało uregulowaném. Za najniższą jednostkę rozkładu mogłaby posłużyć chałupa włościańska, wyłącznie na lokal gospodarza przysługująca, z porachowaniem za dwie lub więcéj jednostek innych domów stosownie do ich obszerności. Cała suma tego podatku, rozdzielona na obliczone przy klasyfikacyi jednostki, określi najniższą normę podatkową, któréj pomnożenie przez wyraz wykazujący klasę domu przedstawi jego obowiązek płatniczy.

Opodatkowanie domów podług ich klasyfikacyi mogłoby choć w części pociągnąć do udziału w ciężarach gminnych znaczne nieraz zakłady przemysłowe i fabryczne w obrębie gmin położone, które przy małéj stosunkowo obszerności zajmowanych gruntów nie przykładają się prawie do utrzymania zarządu gminnego, przyczyniając mu jednak nie mało zatrudnienia, z powodu znacznego steku ludności fabrycznéj, nie opłacającéj również żadnych powinności gminnych, i z powodów silnie zużywanych dróg przy zwiększonym ruchu, jakowych reparacya nie raz do gminy należy. Jeżeliby z jakichkolwiek powodów przedstawiała się trudność prawodawcza w pociągnięciu pod normy podatkowe gmachów fabrycznych, zajętych przez maszyny i warstaty mechaniczne, w takim razie należałoby chyba wyznaczyć pewien procent od konsensów gildyjnych, na mocy których owe fabryki prowadzą swój interes.

Powyższe trzy rodzaje podatków gminnych, to jest: *pobory* od zainteresowanych w użyciu gminnych instytutów, i dwa gatunki podatków od nieruchomości, jeszcze nie wyczerpują zupełnie logicznéj

zasady, podług któréj każdy kto tylko mieszka w obrębie danéj gminy i formuje w niéj oddzielne gospodarstwo domowe, a tém samém korzysta z dobrodziejstw życia społecznego, winien choćby w najmniejszym stopniu, podług sił i możności do jéj utrzymania się przyłożyć. Do wypełnienia téj zasady może posłużyć jedynie podatek osobisty czyli zarobkowy, w stosunku do wartości i siły produkcyjnéj owych zarobków.

Jeżeliby mogła egzystować obawa niesprawiedliwego obciążenia klasy najuboższéj, tak zwanego proletaryatu, który bierze najmniejszy udział w użyciu pomyślności ogólnéj, to obawę tę łatwo usunąć przez ustanowienie minimalnéj cyfry osobistéj składki w klasie najniższéj; opłata ta wtedy stanie się nie tyle ciężarem płacącemu, ile raczéj podniesieniem w pewnym stopniu godności osobistéj członka gminy, który w miarę sił przyczynia się do jéj podtrzymania, i tém samém zdobywa sobie pewne prawo, złączone koniecznie, jak to niżéj zobaczymy, z obowiązkiem ponoszenia ciężarów. Zacząwszy od najmniejszéj możliwie kwoty, choćby kop. 15, dla wyrobników rocznie, opłata, w miarę siły zarobkowéj rozmaitego rodzaju zatrudnień rozdzielonych na klasy, może się podnosić stopniowo aż do pewnego maximum, które powinno być oparte na zasadzie mniéj więcéj wyrozumowanéj.

Komitet urządzający, dozwalając w przepisie wyżéj cytowanym opodatkować w osadach oprócz ziemi każdą nieruchomość, położył za warunek, żeby ilość tego rodzaju składki nie przewyższała miary jaką ponoszą wsie z udziałami po 90 morgów. Ponieważ w danym wypadku idzie o opodatkowanie zarobków i przemysłu niezależnie od nieruchomości, maximum to możnaby zmniejszyć więcéj niż o połowę, a w takim razie podatek osobisty klasy najwyższéj okazałby się niższym od 10 rubli na rok.

Nie jesteśmy skłonni do układania gotowych projektów prawodawczych, jakie od czasu do czasu pojawiają się w prasie i ostatecznie do wyklejenia ścian mogą posługiwać; zważywszy jednak, że wszelkie kwestye finansowe najdokładniéj ilustrują się cyframi, dla wyprowadzenia więc możliwego budżetu gminy na zasadach przytoczonych, zmuszeni jesteśmy przedstawić przypuszczalny szemat podatku osobistego klasycznego, nie przesądzając o jego wartości i poddając go zgóry wszelkiéj możliwéj krytyce. Niektórzy mniemają, że w podobnéj klasyfikacyi, jak przy ustanowieniu podatku dochodowego państwowego, należałoby ustanowić pewne minimum dochodu, któreby zwalniało odpowiednich członków gminy od wszelkiéj składki na jéj potrzeby. Zdaje się jednak, że zasada ta, przy ustanowieniu osobistego podatku gminnego, nie dałaby się prakty-

cznie przeprowadzić, i nawet wcale nie byłaby potrzebną: najprzód, że oznaczyć dochód wyrobnika w ogóle jest rzeczą bardzo trudną i powtóre, że proponowane minimum składki od jednéj familii 15 kop. na rok, jest tak nie znaczące, że na zdobycie téj kwoty potrzebny nie cały jeden dzień roboty na rok, wykonanéj nawet przez niepełnoletniego członka rodziny. Jednakże dla uniknienia zarzutu obciążenia kogobądź niesprawiedliwie, zastrzedz przedewszystkiém należy, że organa gminne mają prawo, a nawet są obowiązane, uwalniać od składki osobistéj wszystkich, którzy czy to z powodu *wyjątkowego położenia społecznego*, *czyli téż z racyi słabości*, *choroby*, *ubóstwa lub obarczenia liczną rodziną*, do ponoszenia jakichkolwiek ciężarów są wyjątkowo niezdolni.

Po tém zastrzeżeniu rozpoczynamy klasę piérwszą od najmniéj uposażonych, w progresyi wzrastającéj aż do klasy VII czyli ostatniéj.

W ten sposób owa klasyfikacya przedstawia się następnie:

Klasa I. Wyrobnicy (komornicy) i parobcy dworscy z opłatą na rok od famili po . . . . rs. — k. 15.

„ II. Właściciele niżéj 3 morgów, jeżeli z tytułu innego nie należą do klasy wyższéj, rzemieślnicy bez czeladzi, oraz owczarze i karbowi dworscy . . . . „ — „ 30.

„ III. Właściciele osad 3 morg. i wyżéj (do 30), rzemieślnicy z 1 czeladnikiem i oficyaliści dworscy do ekonomów włącznie . . . . „ — „ 75.

„ IV. Pachciarze, drobni handlarze po wsiach, felczerzy, właściciele osad wyżéj 30 morg, oraz rządcy dóbr i lokatorowie, opłacający komorne 30 rs. i wyżéj . . . . „ 1 „ 50.

„ V. Utrzymujący handle wiktuałów, kasiarze, mączarze, piekarze, rzeźnicy, karczmarze w karczmach 2-rzędnych, emeryci i inni opłacający komornego 50 rs. i wyżéj, oraz dzierżawcy mniejszych folwarków do 50 włók . . . . . „ 3 „ —

„ VI. Właściciele więksi, niezaliczeni do klasy wyższéj, dzierżawcy większych folwarków nad 50 włók, doktorzy, utrzymujący pomniejsze zakłady przemysłowe z czeladzią jak: kuźnie, młyny, olearnie, karczmarze po austeryach, utrzymujący handle otwarte korzenne, łokciowe oraz żelazne . . . . „ 5 „ —

„ VII. Znaczniejsi właściciele ziemscy, dzierżawcy kilku folwarków, handlujący hurtownie zbo-

żem oraz drzewem w zakupionych lasach, fabrykanci, aptekarze a także kapitaliści zajmujący się wypożyczaniem pieniędzy (lichwiarze) . . . . , ... rs. 7 k. 50.

Nie ulega wątpliwości, że wszelka podobna klasyfikacya nie może być bezwzględną, lecz raczéj powinna służyć jako wskazówka do podziału płatników na kategorye, z możnością pozostawioną właściwym organom gminnym, obniżania podotku o jednę klasę w miarę widocznéj niezamożności lub braku powodzenia w danym rzemiośle lub handlowym fachu.

Taka tylko forma podatku osobistego daje środek gminie pociągnąć do udziału w jéj ciężarach i potrzebach liczną nieraz klasę przemysłowców i zarobkujących, którzy znaczne nieraz zyski ciągną przeważnie z mieszkańców gminy dotąd wyłącznie tylko opodatkowanych. Podatek ten jako zarobkowy nie może opiérać się na progresyi zastosowanéj bezwzględnie do obszaru posiadanych nieruchomości, skoro te opłacają już inny podatek w tym właśnie stosunku wzrastający, skala zaś korzyści stosunkowych z własnéj pracy wcale nie odpowiada obszerności warsztatu, ze wzrostem któréj już tylko kapitał nakładowy główną odegrywa rolę. Pomimo to jednak w załączonym wzorze, w nizkiéj stosunkowo klasie zamieściliśmy zarobek drobnych właścicieli, jako płacących składkę od nieruchomości, mając głównie na widoku dotknięcie tym podatkiem klas, wolnych dotąd od wszelkich ciężarów gminnych. Jesteśmy zmuszeni dodać w końcu, że zarobkowy charakter podatku osobistego musi z kolei mieć to następstwo, że opłacie jego każdy powinien podlegać jeden raz tylko, i to w miejscu rzeczywistego swego pobytu, niezależnie od urzędowego miejsca zamieszkania. Ztąd nie powinni go ponosić właściciele, którzy wcale ani nawet peryodycznie w swéj własności nie przemieszkują, oraz i wszyscy inni tak zwani stali mieszkańcy gminy, którzy gdzie indziéj pobyt swój założyli. Ostatnie to prawidło praktykuje się w Warszawie, gdzie podatek klasyczny od rzekomo stałych mieszkańców nie mających wszakże w mieście siedliska wcale się nie pobiéra.

Stosując powyżéj przytoczony szemat podatku osobistego do rozmaitych kategoryj mieszkańców gminy gidelskiéj, podług posiadanych przez nas wiadomości, dochód możliwy w téj gminie z cytowanego źródła przedstawi się następnie:

Klasy	Rodzaj zatrudnienia	Ilość płatników po szczególe	Ilość płatników w ogóle	Taryfa opłaty pojedyńczéj rs.	Taryfa opłaty pojedyńczéj k.	Suma opłaconéj składki rs.	Suma opłaconéj składki k.
I.	Służących dworskich . . .	45					
	Wyrobników	114	159	—	15	23	85
II.	Właścic. niżéj 3 mórg . .	70					
	Karbowych dworskich . .	2					
	Rzemieśln. bez czeladzi . .	70	148	—	30	44	40
III.	Właścicieli osad wyż. 3 m. .	395(1)					
	Rzemieśln. z 1 czeladnik. .	6					
	Oficyalistów dworskich . .	5	406	—	75	304	50
IV.	Felczerów	4					
	Drobnych handlarzy vel przekupniów	15					
	Lokatorów z komorn. rs. 30 i wyżéj	8	27	1	50	40	50
V.	Utrzymujących sklepy z drobnym handlem	19					
	Karczmarzy 2-go rzędu . .	17					
	Opłac. komornego nad r. 50	1	37	3	—	111	—
VI.	Właścicieli ziemskich . .	5					
	Właśc. zakładów z czeladzią	2					
	Karczmarzów w austeryach	4					
	Utrzym. sklepy większe . .	5	16	5	—	80	—
VII.	Właścicieli ziemskich . .	1					
	Dzierżawców	1					
	Handlujących hurtownie .	4	6	7	50	45	—
	Razem . .	—	822	—	—	649	25

Co do opłaty wpisu szkolnego przyjmujemy następujące zasady: a) opłata normalna może wynosić od jednego i dwojga dzieci 1 rs. rocznie; b) każdy, posyłający do szkoły więcéj niż dwoje dzieci jednocześnie, obowiązany jest opłacać po 50 k. od każdego i c) niezamożni i zasługujący na uwzględnienie od wszelkiéj opłaty powinni być uwolnieni; w projekcie poniższym budżetu, liczbę niezamożnych uwolnionych od wszelkiéj opłaty wpisowéj przyjęliśmy na 10%.

Na zasadzie wszystkich powyżéj przytoczonych danych i wniosków, domniemany budżet gminy Gidle przedstawi się w następujących cyfrach:

(1) Właściciele w klasie II i III wykazani o tyle o ile z innych tytułów nie należą do klas wyższych.

1.	Z poborów sądowych jak wyżéj . . .	81 r. 15 k.
2.	Z wpisowego szkolnego za strąceniém 10%, przyjmując połowę rodzin wysyłających po jedném dziecku wypada	192 „ — „
3.	Podatku gruntowego gminnego w stosunku 30% ogólnéj sumy takiegoż rządowego co wynosi po 9 r., 6 k. z morga	911 „ 84 „
4.	Składki od domów do wysokości w ogóln. sumie 30% podymnego	520 „ 80 „
5.	Podatku osobistego jak wyżéj	649 „ 25 „
	W ogóle	2355 „ 04 „
	Że zaś obecna składka wynosi .	2250 „ 34 „
	Otrzymaliśmy przewyżki . . .	104 r. 73 k.

Pomimo jednak téj superaty w budżecie, składka od właścicieli gruntowych w ogóle tak większych jak i mniejszych uległaby znacznemu obniżeniu. Gdy obecnie rachując z morga przy należytéj onych redukcyi 23.6 k., składki gminnéj opłacają przeciętni właściciele: więksi z 690 morgów i mniejsi z 13 morgów:

pierwsi 162 r. 84 k. drudzy 3 r. 7 k.

Przy podanym przez nas wzorze budżetu opłacaliby w przybliżeniu:

pierwsi 83 r. 74 k. drudzy 2 r. 50 k.

Łatwo przewidziéć, że w gminach czysto wiejskiego charakteru gdzie mniéj jest handlujących i przemysłowców podatek klasyczny mniejsze kwoty wyniesie, i rezultat cokolwiek inaczéj się przedstawi; dla porównania więc, podajemy budżet gminy Radziechowice o charakterze bezwarunkowo wiejskim, zrobiony na podstawie wyżéj wyłuszczonych zasad, nie wdając się w uzasadnienie klasyfikacyi podatku osobistego. Rzeczony zatém budżet przedstawi się następnie.

1.	Z poborów sądowych w cyfrze przypuszczalnéj	90 rs. — k.
2.	Z poboru szkolnego	196 „ 50 „
3.	Ze składki gruntowéj w stosunku 21% ogólnéj sumy podatków rządowych od ziemi co wynosi po 6 k. od morga . .	844 „ 84 „
4.	Ze składki od domów do wysokości 21% podymnego	337 „ 58 „
5.	Podatku osobistego	490 „ 60 „
	Razem	1999 „ 52 „
	Że zaś obecna składka wynosi . .	1846 „ 77½ „
	Otrzymujemy przewyżki	149 „ 74½ „

W gminie téj gdzie przeciętna większa własność wynosi 682 morgów, mała zaś—12 morgów—.

opłata z 1-ej wyniesie 58 r. 42 k. z 2-éj 1 rs. 97 k.

a gdy przy obecnych stosunkach

pierwsza opłaca 92 rs. 7 k. druga zaś 1 rs. 62 k.

opłata więc z mniéjszéj własności podniosłaby się przeciętnie o 35 kop. rocznie.

Podwyższenie to jest skutkiem małéj wydajności w téj gminie podatku osobistego od nie posiadających, w obec wprowadzenia w rachunek składki od domów, i jest małego znaczenia w obec gmin takich, gdzie utrzymanie szkółek gromadzkich stanowi obowiązek stowarzyszonych, nie ciążąc wyłącznie jak w naszych przykładach na ogólnym budżecie gminnym.

Jeśliby jednak to podwyższenie, jakkolwiek nieznaczne, mogło stanowić zarzut przeciw projektowanéj reformie, to i ono dałoby się łatwo zmodyfikować, podnosząc w pewnéj mierze skalę podatku osobistego, lub zmieniając stosunek składek od ziemi i od domów, z określeniem wysokości pierwszych na 30—35% podatku gruntowego rządowego, drugich zaś na 15—20% podymnego. W takiém położeniu różnica ta znikłaby zupełnie, przenosząc się stosunkowo na większe obszary gruntów dworskich.

Po za obrębem ogólnych budżetów gminnych, mogłyby jeszcze, a nawet powinny exystować specyalne, na stowarzyszeniu oparte; do tych ostatnich należéć musi składka na szkoły elementarne wioskowe, równie jak i składka na stróżów polowych; ta ostatnia winna obciążać jedynie zainteresowanych w ochronie i czerpać zasiłek z podwójnéj skali: w stosunku przestrzeni gruntów wyłącznie uprawnych, niemniéj jak i w stosunku posiadanego bydła i koni.

Obmyślanie nowych zródeł dochodów gminnych, jak np. z urządzenia straganów na targach, lub z innych danych, jakie miejscowe warunki nastręczyć mogą, mogłoby być dozwolone organom samorządu z warunkiem wszakże wyjednania za każdą razą zezwolenia władzy prawodawczéj, jak to zastrzega ustawa miejska w Cesarstwie.

W zakończeniu niniejszego przeglądu ekonomicznych stosunków gminnych zaznaczyć musimy również konieczną potrzebę rewizyi podziału dróg na 2-o i 3 rzędne, z obowiązkowém wezwaniem do narady kompetentnych przedstawicieli, znających miejscowe stosunki i potrzeby. Ażeby zaś tak ważna gałąź administracyi gminnéj, jaką jest ulepszenie środków komunikacyi, mogła się rozwijać skutecznie, należy ją usunąć z pod apatycznéj dowolności organów gminnych, wyznaczeniem, jak się to już dawniéj praktykowało u nas, pewnéj liczby dni obowiązkowego szarwarku w naturze od domów

i utrzymywanego przez mieszkańców sprzężaju, z prawem spłaty téj powinności według oznaczonéj taksy, stosownie do życzenia kontrybuentów, jak to ma miejsce we Francyi. W ten tylko sposób w obec obowiązkowéj roboty, drogi boczne, będące dzisiaj w stanie tak bardzo opłakanym, mogą się cokolwiek ulepszyć, żebyśmy się choć cokolwiek zbliżyli do sąsiadujących z nami prowincyj Prus a nawet Galicyi, od których w tym względzie nieskończenie niżéj stoimy.

VI.

Załatwiwszy się z treścią życia ekonomiczno-społecznego w gminach obranych za przykład, pozostaje nam rozpatrzéć się w formie, za pomocą któréj to życie może się legalnie objawiać. Nadmieniliśmy już nieraz, że forma choćby najlepsza nie odpowiada swemu zadaniu, skoro się nie znajdzie odpowiedniego materyału do jéj wypełnienia, lecz i odwrotnie najlepszy materyał nie da się zużytkować, skoro wadliwość lub nieodpowiedniość formy nie da się mu prawidłowo rozwijać i poruszać.

W kraju przysłowiowego samorządu jakim jest Anglia, nie ma właściwie żadnéj jednolitéj formy administracyi gminnéj, tak jak nie ma w hrabstwie właściwéj administracyi politycznéj czyli rządowéj, nie ma więc ani antagonizmu, ani też zależności. Samorząd więc, jak powiada Rembowski, nie rozwijał się kosztem państwa jak na stałym lądzie, lecz przeciwnie nieustannie wzmacniał jego organizm. Polegał on głównie na tém, iż państwo funkcye publiczne, stykające się z interesem lokalnym, powierzało organom przez siebie wybranym i złożonym z bezpośrednio zainteresowanych, nie przyznawało im do tych funkcyj prawa, tylko zlewało na nich część swéj władzy, nadzorowało zaś ich i organizowało nieustannie.

Samorząd ten, powstający w zarodku w parafii, w celu uregulowania interesów parafialnych i kościelnych, a składający się z zebrania (vestry) i wybranych dozorców kościoła (Church wardens) rozszerza się stopniowo w miarę, jak mu władza prawodawcza nowe zadania społeczne przekazuje. Tak powstają zupełnie prawie niezależne od siebie instytucye dozoru i utrzymania ubogich, administracyi dróg komunikacyjnych, opieka nad zdrowiem publiczném i td., które pierwiastkowo składając się z osób od rządu mianowanych, wyłącznie jednak z obywateli miejscowych pełniących obowiązki bezpłatnie, jak: „Overseers of the poor“, „Surveyors of Highway“, przechodzą stopniowo do systemu rad wybieralnych „Boards“ do każdéj oddzielnéj poleconéj sobie gałęzi.

Gwarancya samodzielności instytucyi, prawidłowego biegu interesów, oraz możności uniknienia szkodliwych kollizyj, polega na interwencyi i decyzyi w razie potrzeby władzy sądowéj zupełnie niezależnéj, w osobie sędziego pokoju, mianowanego przez króla, z obywateli miejscowych, nieodwołalnego i pełniącego swój urząd bezpłatnie, a który spełnia po części funkcye administracyjne, z rzeczy sądownictwa policyjnego i zwierzchności nad instytucyą konstablów. Odwołanie się od decyzyi sędziego idzie pod rozpoznanie kwartalnéj kadencyi sędziów pokoju, a w dalszéj kolei do sądu królewskiéj ławy (Queens Bench), szczególniéj w wypadkach w których ministeryum, w skutek ostatnich reform, uzyskało wpływ na niektóre gałęzie wspomnionych instytucyj.

Taki ustrój angielskiego samorządu, zatrudniający ogromną liczbę obywateli, powołanych do rozmaitych bezpłatnych specyalnych posług społecznych, według zdania wszystkich prawie publicystów, najbardziéj przyłożył się do rozwoju owéj politycznéj dojrzałości, która pozwala prawodawstwu angielskiemu, czerpiąc coraz nowe siły od dołu, postępować naprzód bez rewolucyi i wstrząśnień. W ostatnich tylko czasach, według zdania tychże publicystów, zaszczepiający się już po części zwyczaj, powierzania przez odpowiednie rady niektórych posad płatnym agentom, osłabił współudział ogółu w bezpośrednim zarządzie, i od owéj reformy, według spostrzeżenia Maya, którego cytuje Rembowski, stronnictwa polityczne w Anglii stały się radykalnemi. I rzeczywiście bez osobistéj czynności i nabytego ztąd praktycznego społecznego wykształcenia, w umysłach bardziéj ruchliwych wyrabia się gust do krytycyzmu i doktryny.

Na przeciwległym angielskiemu samorządowi biegunie stoją instytucye municypalne francuzkie. Naczelnik jednostki administracyjnéj—municypalności, mer nominowany przez władzę z pomiędzy członków rady wybieralnéj, jest tylko agentem biurokracyi administrującéj, jedyny zaś wyraz niby samorządu—rada, ma głos prawie tylko doradczy i we wszystkiém od prefekta zależy.

Austryacka ustawa gminna z d. 12 Sierpnia r. 1866 większą bez porównania samoistność pozostawia gminie. Rozdziela ona funkcye gminnych instytucyj na własne, jakby z natury życia w gminie wychodzące, i na poruczone czyli pochodzące z nadanego przez władzę polityczną mandatu, jak np. pobór podatków państwowych, dostarczenie rekruta i tp. Ta teoretyczna formuła zdaje się nie mieć żadnego praktycznego znaczenia, w obec wyżéj przytoczonych przykładów, gdzie jak w Anglii wszystkie czynności są samorządowi przekazane, lub, jak we Francyi, gdzie żadne temuż poruczone nie są, w obec urzędniczego charakteru mera i doradczych atrybucyj

rady municypalnéj. Gmina jednak w Galicyi, pomimo swojego szczupłego zakresu i charakteru wyłącznie wioskowego, w obec wyłączenia z niéj obszarów dworskich, ma bez porównania więcéj samoistności od francuzkiéj. Uchwały bowiem rady gminnéj, w zakresie tak zwanego własnego działania, podlegają jurysdykcyi wyższego organu samorządu, jakim jest w powiecie wydział, wysadzony z łona rady powiatowéj. Pomimo to jednak i polityczna władza powiatu: starosta, według § 105 ustawy, ma prawo zakazać wykonanie uchwały, jeśli ta przekracza podług jego opinii właściwy zakres działania. Przeciw takiemu zakazowi służy rekurs tylko do politycznéj władzy krajowéj (prowincyonalnéj), nie daje zatém gwarancyi bezstronnego sądowego wyroku.

Pomijając ustawę dla gmin wiejskich cesarstwa Rosyjskiego, które mają charakter wyłącznie włościański i pomimo to podlegają juryzdykcyi nie administracyjnych ogólno państwowych urzędów, lecz raczéj administracyjno-sądowéj odrębnéj jurysdykcyi pośredników pojednawczych (mirowoj posrednik), najlepszym podług naszego przekonania wzorem ustawodawstwa gminnego jest ustawa miejska w Cesarstwie. Jakkolwiek ma ona we wszystkich względach ściśle określone formy, zdaje się jednak w wielu ważnych szczegółach być następstwem zapatrywania się na samorządne instytucye angielskie.

Samorząd miejski w Cesarstwie opiéra się na dwóch głównych organach, radzie miejskiéj pochodzącéj z wyborów (Gorodskaja Duma) i zarządzie miejskim czyli magistracie (Gorodskaja Uprawa), wysadzonym z łona rady a składającym się z prezydenta (Gorodskoj Gołowa) i najmniéj 2 członków zarządu (Czleny Gorodskoj uprawy). Rada miejska we wszystkich miastach prowincyonalnych składa się z 30 do 72 członków, stosownie do zaludnienia; wyjątek stanowią stolice gdzie, jak w Petersburgu, jest 252, w Moskwie zaś—180 radnych.

Dla wyboru członków rady miejskiéj, wszyscy wyborcy miejscy, podobnie jak w austryackiéj ustawie gminnéj, dzielą się na 3 grupy, z których każda odpowiada jednéj trzeciéj części opłacanych od nieruchomości podatków i każda téż w tym stosunku wybiera $1/3$ część członków rady miejskiéj, niezależnie od liczby osób reprezentujących grupę. Wykonywanie uchwał rady, oraz zarząd gospodarstwem miejskim, są obowiązkiem kollegiéalnego zarządu miejskiego, w tych zaś tylko wypadkach do prezydenta należy, jeśli na to pozwala instrukcya wydana przez radę (art. 76). Ale i zarząd miejski nie jest wyłącznym organem wykonania uchwał i administracyi. Rada miejska do szczególnych kwestyj lub zadań ma prawo ustanawiać osobne komitety, które obradują pod prezydencyą jednego z człon-

ków zarządu, lub téż i osoby postronnéj, która w takim razie zalicza się do składu członków zarządu miejskiego. W ten sposób nietylko rozmaite zadania mogą być wykonane dokładniéj, ze znajomością rzeczy, przy powołaniu odpowiednich specyalistów, lecz jeszcze manipulacya taka pociąga większą liczbę obywateli do bezpośredniego zajęcia i zainteresowania się w sprawach ogólnego pożytku.

W kwestyach nieporozumienia z radą miejską, czy to osób prywatnych czyli téż władz administracyjnych, rozpoznawanie sporu nie jest udziałem pojedyńczych osobistości solidarnych z owemi władzami, lecz wyłącznie obowiązkiem oddzielnego urzędu administracyjno-sądowego, urządzonego ad hoc pod nazwą gubernialnego urzędu do spraw miejskich (Gubernskoje po gorodskim diełam prysutstwije), a złożonego pod prezydencyą gubernatora, z wice gubernatora, zarządzającego izbą skarbową, prokuratora sądu okręgowego, przewodniczącego w zjazdach sędziów pokoju, prezydenta gubernialnego zarządu ziemskiego i prezydenta miasta gubernialnego. Nie zadowoleni z decyzyi tego urzędu, nie mniéj jak i rada miejska nie zgadzająca się z wydaną przez urząd opinią, mają ostateczny rekurs do 1-go departamentu (prawodawczego) rządzącego Senatu.

Dwa przytoczone rysy, załatwianie interesów za pomocą specyalnych delegacyj i gwarancya niezależności pod opieką najwyższego w państwie prawodawczo-sądowego instytutu, stanowią w naszych oczach owo częściowe podobieństwo do instytucyj angielskich, o którém napomknęliśmy wyżéj.

Przechodząc do stosunków krajowych, nie możemy pominąć owych przeróżnych prądów i kierunków w ustroju społecznym, respective gminnym, które od czasu upadku rzeczypospolitéj przeleciały nad krajem, pozostawiając po sobie niejakie ślady prób lub i projektów niedoszłych do skutku, a najprzód za Ks. Warszawskiego, najniższa jednostka administracyjna—municypalność, miała się składać z burmistrza mianowanego przez króla (art. 68 konstyt. 1807) i rad municypalnych, również mianowanych przez władzę najwyższą, z liczby kandydatów przedstawionych przez zgromadzenia komunalne, składające się z przedstawicieli wszelkiéj własności nieszlacheckiej, oraz osobistości nie posiadających własności nieruchoméj, którym z tytułu zasług lub położenia społecznego służyło prawo do udziału w sprawach publicznych. Zgromadzenia te w liczbie 40 na cały obszar księztwa miały oprócz układania listy wspomnionych kandydatów, wybierać posłów na sejm i członków rad departamentowych. Układanie list tak wielkiéj liczby potrzebnych osób, przez niewielką ilość nielicznych zresztą zgromadzeń, okazało się bez wątpienia niepraktycznén a nawet niemożliwém skoro niedoszło do sku-

tku. Dekretem więc z dnia 23 Lutego r. 1809 pozostawiono prefektom mianowanie wójtów i przy nich pewnéj liczby ławników, z listy kandydatów przedstawionych przez miasto lub wieś, za wspólną naradą gospodarzy w mieście lub we wsi osiadłych, na posiedzeniu do którego prefekt ich wezwie. O ile ciągłe wojenne zaburzenia pozwoliły doprowadzić do skutku ten projekt nie wiemy; to tylko pewna, że konstytucya r. 1815 o radach gminnych żadnéj nie zrobiła wzmianki, postanowieniem zaś namiestnika w radzie stanu z d. 30 Września r. 1816 (art. 69) orzeczono dodanie do pomocy wójtowi, mianowanemu przez komisyą spraw wewnętrznych, pewnéj liczby ławników. Dopiéro ukaz z d. 3 (15) Marca r. 1859 uznaje potrzebę dodania wójtowi rad gminnych, złożonych z mieszkańców wybranych przez ogół gminy, których obowiązkiem nieść wójtowi pomoc i radę przy obmyśleniu środków zaspokojenia potrzeb miejscowych, do gminy odnoszących się; skład tych rad mieli zatwierdzać naczelnicy powiatu. Ukaz wszakże nie określał ani ilości radców, ani téż ich kwalifikacyi, oraz właściwych im atrybucyj, i z tych zapewne powodów projekt ten praktycznego skutku nie osięgnął.

Pierwszy dopiero zarys dokładnie rozwiniętéj i ściśle motywowanéj ustawy gminnéj spotykamy w projekcie ułożonym przez komisyą sprawiedliwości za rządów margrabiego Wielopolskiego. Ogólna zasada samorządu gminnego opiéra się tu, jak i w większéj części cytowanych wyżéj ustaw, na dwóch organach z wyboru pochodzących, jakiemi są: naczelnik, czyli wójt lub burmistrz i rada gminna. Do liczby wyborców należą: mieszkańcy płci męzkiéj stale w gminie osiedli i pełnoletni, bez różnicy stanu i wyznania, posiadający pewne kwalifikacye: a więc właściciele, posiadcze wieczyści, dzierżawcy, rządcy dóbr, czynszownicy, okupnicy, właściciele fabryk, proboszcze; z tytułu dochodu: opłacający komorne 15 r. i wyżéj, pobierający stałéj płacy rs. 90 i wyżéj, z tytułu zaś zatrudnienia: kupcy, fabrykanci, rzemieślnicy z patentem, profesorowie, nauczyciele, artyści i emeryci oraz przełożeni zakonów męzkich.

Jednym z warunków kwalifikacyjnych na urząd wójta lub burmistrza, było ukończenie 4 klass powiatowych, lub złożenie odpowiedniego egzaminu. Atrybucye wójtów i burmistrzów ściśle określone w trzech oddzielnych kategoryach: policyjnéj, administracyjnéj i sądowéj. Te ostatnie, nie nadając prawa sądzenia jakichbądź spraw, określały tylko czynności mające ściślejszy z sądownictwem związek, jak rady familijne, opieki, spadki, akta stanu cywilnego, umowy o najem, depozyty i spełnienia poleceń sądowych.

„W dotychczasowym stanie rzeczy" powiadają motywa komisyi sprawiedliwości „atrybucye wójtów gmin i burmistrzów sprawowane

w troistym charakterze zwierzchników administracyi, policyi i sądownictwa gminnego, w żadnéj ustawie zbiorowo i stale oznaczonemi nie były. W miarę wydanych praw i przepisów, jedne z tych atrybucyj były rozszerzane, inne znoszone lub ograniczone. Wójci i burmistrze gdyby poznać chcieli cały obszar ciążących ich obowiązków, musieliby posiadać naukę i wiedzę ustawodawstwa całego kraju, naukę tak skomplikowaną i trudną, jaką rzadko posiada który z urzędników najwyższe szczeble hierarchii urzędowéj zajmujących. Wyradzała się ztąd dwojaka niedogodność, raz, że wójci gmin i burmistrze najczęściéj nieuzdolnieni, większéj części obowiązków swoich, prawami im wskazanych, nie znali, a więc spełniać ich nie umieli, powtóre, że zachodziły kolizye między władzami z powodu, że w jednéj osobie zlewały się atrybucye różnorodne, nigdzie linią demarkacyjną nieodznaczone".

Do składu rad gminnych oprócz członków z wyboru pochodzących, w liczbie od 6 do 12 stosownie do zaludnienia, z urzędu mieli należéć: proboszcze, wójci lub burmistrze, rektorowie szkół i nauczyciele oraz sołtysi.

Do atrybucyi rad takich, oprócz zarządu i dyspozycyi co do sposobów używania dobra wspólnego gmin i wsi pojedyńczych, a w szczególności lasów, należały: oznaczenie ilości gajowych i polowych gminnych, konserwacya dróg, czuwanie nad całością i zarządem zakładów publicznych, niemniéj jak i układanie budżetu gminnego, w którym na zaspokojenie potrzeb administracyi gminnéj, rada, o ile nie wystarczają dochody ze stałych funduszów gminy, uzupełnia takowe przez rozkład składki jednorazowéj lub przez nałożenie groszy dodatkowych. Uchwały w przedmiotach wspomnionych powyżéj podlegają zatwierdzeniu naczelnika powiatu, w kwestyi zaś budżetu—kontroli i aprobacie rządu gubernialnego.

Jedną z ważnych zalet ustawy jest obowiązek utrzymywania policyi wiejskiéj, polowéj i leśnéj, który jest bezwarunkowo na gminy włożony.

Ustawa ta jakkolwiek już dzisiaj w szczegółach mogłaby ulegać niejakim zarzutom, niezaprzeczone jednak posiada zalety. Zawierucha polityczna nie dając jéj wejść w życie wywołała w r. 1864 obecnie aż dotąd obowiązujące u nas prawodawstwo gminne.

Charakterystyczną cechą tego urządzenia, która go odróżnia od wszystkich znanych i obowiązujących na kontynencie Europy, jest brak organu reprezentacyjnego z wyboru i zastąpienie tegoż przez tłumne zebranie wszystkich właścicieli ziemskich aż do 3 morgów włącznie i z wyłączeniém wszelkich innych, choćby najbardziéj czynnych i wpływowych w gminie warstw społecznych. To odstąpienie

od ogólnie przyjętéj i utrwalonéj zasady tém bardziéj zastanawia, że zasada ta przeprowadzoną została nawet w ściśle włościańskiéj instytucyi cesarstwa Rosyjskiego, jaką jest tam gmina wiejska „Wołost“, w któréj uczestnikami są równi co do ukształcenia i majątkowego stanu członkowie, a pomimo to na mocy 71 art. ustawy włościańskiéj w zgromadzeniu gminném uczestniczą: oprócz przedstawicieli zarządu, wybrani z pomiędzy mieszkańców wysłańcy w liczbie jednego na każde dziesięć domów właścicieli wiejskich, a oprócz tego jeszcze w guberniach zachodnich po jednym reprezentancie od każdych 20 dorosłych osób ze stanu nie posiadających ziemi wyrobników wiejskich. Wyjątek ten na korzyść gubernij zachodnich wypływa, z nieścisłego zresztą, jak to widzieliśmy wyżéj, pojęcia, że wspólne posiadanie ziemi uniemożliwia zupełnie egzystencyą proletaryatu wiejskiego, w skutek czego usuwa się potrzeba reprezentacyi podobnéj klasy mieszkańców. Prawo to jednak jeśliby egzystowało dla gubernij wielkorosyjskich mogłoby się stać pożytecznêm dla owych odrzuconych przez komunę agrarną ochrzczonych w niéj mianem bezduszných.

Dziwném się wydaje, że nasza gmina, nie mająca żadnego charakteru wyłączności i zawierająca w swém łonie wszelkiego rozmiaru fortuny, wszystkie warstwy społeczne, najróżnorodniejsze pod względem wykształcenia i intelligencyi, pozbawioną została przywileju przysługującego nawet gminie włościańskiéj w Cesarstwie, jakim jest posiadanie prawidłowéj reprezentacyi. Zamiast, na podobieństwo wyższych organizmów, wszystkie wyższe funkcye życiowe mieć koncentrowane w mózgu, gmina nasza zlaną została w niekształtny jednostronny konglomerat posiadaczy gruntowych, na podobieństwo owych komitiów na forum, lub owych wieców słowiańskich, które oprócz gwaru i wywijania bułatem nigdy żadnych organicznych nie stworzyły czynów. Znowu tu chyba wyłania się ów wieczny motyw gromadzkiéj schadzki, która jednak mniejsza liczebnie, ograniczając się prawie zawsze do jednéj wioski, przedstawia nie społeczne, lecz jedynie prawie majątkowe, a raczéj agrarne interesy, a pomimo to wszystko, potrafiła wypielęgnować w swém łonie szczególny wytwór wyzyskiwaczy dobra wspólnego, znanych zwiedzającym uważnie Rosyą pod nazwaniém „Mirojedów“.

Oprócz wszelkich teoretycznych zarzutów przeciw skuteczności schadzek ogólnych, które w gminach opisanych przez nas wyrażają się co do ilości członków w liczbach, 494, 540 i 775, praktyka życiowa i przekonanie naoczne utwierdziły w nas najmocniéj przekonanie, o ich niedogodności. W zgromadzeniach, które z powodu ilości swych członków nie mogąc się pomieścić pod żadnym wiejskim da-

chem biwakują pod gołem niebem i nie mają przepisanego żadnego regulaminu, wszelkie obrady przeradzają się w gwarzenie bezładne i dyskusye w pojedyńczych kółkach, i nigdy do żadnego rezultatu nie prowadzą.

Po kilkagodzinnéj bezowocnéj gadaninie, gdy znużeni, albo i zgłodniali członkowie zaczynają się rozchodzić, wójt z pisarzem, jeśli uznają potrzebę uchwały, lub mają sobie to zaleconém przez zwierzchność powiatu, piszą postanowienie, które za nie znających pisma przez kogokolwiekbądź podpisaném bywa. Głosowanie przez rozchodzenie się na dwie strony bywa praktykowaném bardzo rzadko i to w wyjątkowych tylko gminach, w których się trafi wójt sumienny i rzetelnie swój obowiązek pojmujący. Przykład taki widzieliśmy przed parą laty w gminie Radziechowice, to téż wójt téj gminy obranym został na urząd sędziego.

Niemniéj brak regulaminu przy wyborach wywołuje zwykle nieprawidłowość i często nawet niespodzianki. Przed kilku np. laty w gminach Gidle i Zawada jeden z byłych naczelników powiatu, lubiący rygor wojskowy, przeprowadził wybór na urzędy wójtowskie dwóch ziemskich strażników, którzy sprzeniewierzyli się niedługo potém w interesach piénięźnych gminy.

W obec takich precedensów, gdy podobnaż manipulacya przygotowaną była dla gminy Kruszyna, wdanie się większych właścicieli, którzy przybyli na zebranie, podtrzymało energią naiwnych członków i uchroniło gminę od panowania wojskowego intruza.

Rzadki z zwierzchników powiatowych po zagajeniu wyborów usuwa się od nich zupełnie, pozostawiając głosującym niczém nieskrępowaną swobodę; najczęściéj zaś sam głosowaniem kieruje. W takich zdarzeniach dwie zanotowaliśmy metody: jedna po ogłoszeniu imienia pożądanego kandydata, powołuje oponentów do wystąpienia z gromady, co zadaje przymus moralny pozbawionym odwagi cywilnéj i nie chcącym się narażać, druga zaś przy ogłoszeniu dwóch kandydatów powołuje obecnych do rozdziału na grupy za tym lub owym. Ta ostatnia medota w zupełnéj jest sprzeczności z wszelkiém elementarném pojęciem o głosowaniu, zmusza bowiem do dania głosu koniecznie za jednym z dwóch kandydatów, kiedy dla kogoś być może żaden z nich nie jest pożądanym, lub obaj mogą być zarówno przyjemni.

Przy odpowiednich przepisach, tak koniecznych w podobnych wypadkach, żadna nieprawidłowość nie może mieć miejsca. W gminie austryackiéj głosowanie odbywa się kartkami, lub w razie nieumiejętności pisma przez zapisanie na liście ustnie wymienionego kandydata, jeszcze zaś racyonalniéj w gminie miejskiéj cesarstwa

Rosyjskiego, gdzie wotowanie na każdego kandydata odbywa się sekretnie gałkami.

Nieprawidłowość z braku przepisów jeszcze się bardziéj może mnożyć przy wyborach na sędziów gminnych, które się odbywają odzielnie w każdéj z gmin należących do sądowego okręgu. Gdy w każdéj gminie może być obrany oddzielny kandydat, i żadne powtórne ściślejsze zbiorowe głosowanie pomiędzy wybranymi nie bywa praktykowane, wybory uznają się nieraz za niedoszłe i naznacza się sędzia z urzędu, w obec mnóstwa czepiających się powiatu amatorów na takie stanowisko, wyżéj bez porównania opłacane w stosunku do uposażenia sędziego z wyboru. Jeszcze pewniejszy bywa rezultat, jeśli przy pewném staraniu i zapewnionéj protekcyi, krzykacze jednéj z gmin oświadczą, że chcą mieć rządowego przedstawiciela temidy, a jednak to postępowanie jest zupełnie sprzeczne z duchem przepisów, które nie przypuszczają podobnego wyboru i orzekają mianowanie z urzędu w razie jeśli wybory nie doszły do skutku. Po przeprowadzeniu więc prawidłowego głosowania na wszystkich danych kandydatów, jeśli wybór rzeczywiście nie nastąpi, wtedy dopiéro może być uznanym za niedoszły; próba ta jednak choćby tylko dla formy nigdy się zwykle nie odbywa.

Niepodobna przypuszczać, ażeby stan taki miał przejść w chroniczną chorobę, albowiem przez to wszelki możliwy postęp samorządu nie mniéj jak i rozwój owoców społecznéj pracy byłby zatamowanym na zawsze. Jedyném na to lekarstwem byłaby rada gminna, na słusznych i racyonalnych podstawach oparta.

Zastosowanie metody wyborów przepisanéj dla miast w cesarstwie Rosyjskiém, jako opartéj na wyłącznie finansowéj podstawie, nie uważalibyśmy za zupełnie dla gmin wiejskich stosowne. Przedstawicielstwo różnorodnych interesów w radzie dałoby się w inny wprawdzie, więcéj empiryczny, ale i bardziéj demokratyczny sposób załatwić. Przypuśćmy np., że reprezentacya od małéj własności, dziś wyłącznie do rządzenia interesami gminy uprzywilejowanéj, byłaby ustanowioną na wzór rosyjskiéj gminy w ilości jednego radnego od każdych 10 dymów, od małéj własności nie uczestniczącéj w zebraniach gminnych tj. od posiadających mniéj niż 3 morgi, jednego radnego na 20 domów, oraz od nie posiadających ziemi, lecz opłacających składkę gminną, 1 radnego na 30 do 40 domów, w takim razie więksi właściciele, opłacający blizko połowę wszelkich powinności mogliby już wejść bez wyboru na członków Rady, tak jak to ma miejsce w gminach austryackich, w których obszary dworskie dobrowolnie do związku gminnego przystąpiły; żadna bowiem obawa o ich wyłączną przewagę, przy wyrażonym stosunku nie mogłaby mieć

miejsca. I rzeczywiście przy podobném uregulowaniu kwestyi reprezentacya w radzie, np. gminy Gidle, przedstawiłaby się następnie:

Wielkich właścicieli bez wyboru	6	osób.
Nadleśny rządowych lasów z urzędu	1	„
Przedstawicieli drobnéj własności uprzywilejowanéj	39	„
Przedstawicieli drobnéj własności nieuprzywilejowanéj	4	„
Przedstawicieli opłacających składkę gminną niewłaścicieli	8	„
Razem .	58	osób.

Liczba powyższa radnych na gminę o 5.000 ludności może nawet się uważać za dużą i mogłaby jeszcze uledz modyfikacyi co do liczby wybieralnych członków, zawsze bez obawy o przewagę większéj własności, która wszakże w ten tylko sposób może przyjść do jakiegokolwiek głosu, potrzebnego jéj w celach starania o uwzględnienie interesów liczebnéj mniejszości, która w stosunkach płatniczych wszakże mniejszością nie jest.

Wójt gminy, który podług ustawy z r. 1864 jest wyłączną opatrznością téjże i sam jeden musi wszystko zarządzać i załatwiać, tak jest obarczony mnogością i różnorodnością zajęcia, że bez właściwéj pomocy nie wszystko może z należytą bacznością i znajomością rzeczy wykonać. Wielkiém więc byłoby dobrodziejstwem dla gminy w razie ustanowienia rad gminnych, włożyć na nie obowiązek dodawania wójtowi w zarządzie dwóch przynajmniéj stałych radców czyli asesorów gminnych, oraz dozwolić tymże radcom podług wzoru rosyjskiéj miejskiéj ustawy mianować oddzielne komitety do szczególnych zadań i bliższego nad niemi nadzoru, chociażby w każdym razie pod okiem i kontrolą tegoż wójta. Wzór do tego mamy nawet u siebie w dozorach kościelnych, które dotąd zachowały odrębny i od gminnych instytucyj niezależny charakter, i pomimo to, a może raczéj dla tego, w swoim zakresie niezaprzeczone i rzetelne oddają przysługi. Nie mniéj w liczbie atrybucyj rad gminnych pożądanémby było prawo stanowienia przepisów pomniejszych, tyczących się policyi miejscowéj i polowéj, jeśli ta ostatnia przez władzę prawodawczą w zasadzie ustanowioną zostanie, czego ogólny interes tak materyalny jako też i moralny nieodwołalnie wymaga.

Nie przecząc konieczności złożenia dyscyplinarnéj władzy w rękach naczelnika gminy, pozwalamy sobie wyrazić zdanie, że władza ta w naszym gminnym ustroju jest za obszerną, skoro może sięgać po wolność osobistą każdego z mieszkańców gminy, zagrożonego w myśl art. 27 dwudniowym aresztem. Władza wójtów podobnie jak w au-

stryackiéj ustawie, powinnaby się ograniczać do prawa wymierzania kar piénię̇żnych z wyłączeniem osobistego przymusu, chyba jedynie w razie nieuiszczenia wymierzonéj kary. Wspomniana ustawa zaleca przytém nawet, nałożenie kary piénię̇żnéj, poddawać kolegialnéj decyzyi wójta i asesorów zarządu gminnego. Podobne ograniczenie prawa dyscyplinarnéj władzy wójta we względzie przymusu osobistego, nieścieśnionego w naszych przepisach żadnym, choćby najmniejszym wyjątkiem, przeważnie dawałoby się usprawiedliwić, z dwóch głównych względów: 1) że nasza gmina zawiéra w sobie wszystkie warstwy społeczne, z których nie jedna stoi bez porównania wyżéj po nad warunkami wybieralności na urząd wójtowski, i powtóre, że nasza ustawa o karach wymierzanych przez sędziów pokoju i sądy gminne obejmuje wszystkie możliwe wypadki przekroczeń, przez co już obok łatwych form postępowania sądowego, temida wójtowska zdaje się być zbyteczną.

W obec jednak możliwego ograniczenia dyscyplinarnéj władzy urzędu wójtowskiego, byłoby może właściwém zapwnić mu większą gwarancyą urzędowéj powagi, przez zabezpieczenie nietykalności indywidualnéj, która jest zagrożoną 7-dniowym aresztem policyjnym, na zasadzie osobistego jedynie orzeczenia naczelnika powiatu. Taka dotkliwa bez żadnéj wątpliwości kara, nie gwarantowana nawet kolegialnym postanowieniem urzędu powiatowego, zależną się staje od humoru i osobistych poglądów zwierzchnika na subordynacyą i ubliża godności wybieralnego przedstawiciela gminy; szeroko téż bywa szafowaną, i nasi wójci często bardzo na skinienie owéj władzy osobistéj w cichości udają się do kozy, nie korzystając nawet z prawa rekursu do gubernatora, w obec poczucia naturalnego, że w téj nierównéj walce nie mają żadnéj szansy powodzenia, tém bardziéj, że kara więzienia może się nawet łatwo przemienić w destytucyą; nie spotykamy téż w żadnéj ustawie gminnej podobnego rygoru, tyle uwłaczającego osobistéj godności naczelnika gminy. Owszem wspomniany wyżéj projekt ustawy gminnéj w Królestwie Polskiém ułożony przez byłą komisyą sprawiedliwości, szczególnie zabezpieczał urzędową powagę przedstawicieli samorządu gminnego, orzekając, że ciż „za przestępstwa lub wykroczenia spełnione w urzędowaniu, oddawani będą pod sąd karny, nie inaczéj jak za decyzyą kwalifikacyjną komisyi spraw wewnętrznych lub komisyi sprawiedliwości, w miarę atrybucyi zwierzchniczéj, jaka każdéj z tych władz służy.“

Prawo nakładania kary piénię̇żnéj na opieszałego wójta odpowiadałoby dostatecznie pojęciu o potrzebie władzy dyscyplinarnéj, czyniąc zbytecznym rygor przymusu osobistego, który niezawodnie jest jednym z ważnych powodów uchylania się ludzi ukształco-

nych, z rozwiniętym wyżéj pojęciem godności osobistéj, od ubiegania się o poważny zkąd inąd urząd naczelnika gminy.

VII.

Jakkolwiek przy najpomyślniejszych warunkach samorząd gminny mógłby się rozwinąć, nie wyczerpuje on wszakże wszystkich zadań miejscowego interesu, o ile tenże dotyczy spraw wspólnych kilku gminom zjednoczonym w obszerniejszych granicach wyższéj jednostki administracyjnéj. Po za obrębem gminnego zarządu pozostaje jeszcze zawiadywanie i użycie składanych od gmin funduszów na utrzymanie dróg, kapitałów na ubezpieczenia od ognia, składek kwaterunkowych, transportowych, niemniéj jak i zarząd instytutów leczniczych oraz dobroczynności publicznéj i więziennych, egzystujących w obrębie większych jednostek administracyjnych. Wszystko to jest dotychczas zadaniem scentralizowanych u nas władz administracyjnych i podlega jedynie biurokratycznéj kontroli. Wyrazem tych potrzeb wspólnych wielu gminom, są zwykle samorządne instytucye powiatowe i gubernialne, jakiemi są rady departamentowe we Francyi, rady powiatowe, i sejmy prowincyonalne w Austryi, oraz najbliższe nam Instytucye Ziemskie w cesarstwie Rosyjskiém.

Rzecz ta w naszym kraju nie byłaby właściwie nowością, mieliśmy bowiem w tym względzie różnorodne próby, jakiemi były rady powiatowe i departamentowe za Księztwa Warszawskiego, rady wojewódzkie wynikłe z konstytucyi r. 1815, oraz rady powiatowe i gubernialne, postanowione na mocy Najwyższego ukazu z dnia 5 Czerwca roku 1861, przedwcześnie zgasłe z powodu nieszczęśliwych politycznych wypadków. Wszystkie te jednak instytucye oraz próby ich działalności miały przeważnie zakrój francuski z charakterem nie tyle autonomicznym, ile raczéj doradczym u boku organów władzy administracyjnéj. Stanowczo więc wyróżniają się i daleko pozostają w tyle w obec samoistnego charakteru urządzeń ziemskich w Cesarstwie.

Kiedy u nas, podstawa centralizacyi administracyjnéj, wydoskonalonéj we Francyi, założona przez konstytucyą roku 1807, przechowała się prawie bez zmiany dotychczas, przekazując dzisiejszemu naczelnikowi powiatu, zakreślony w téj ustawie opatrznościowy charakter prefekta, który wszystko robi, kontroluje, doziera i wszystkim osobiście zarządza; w cesarstwie, nawet przed urządzeniem ziemstwa, nietylko nie było podobnéj centralizacyi, lecz śmiało możemy powiedzieć, egzystował pewnego rodzaju nawet dosyć obszerny lokalny

samorząd. Nic tam nie było podobnego do pochłaniającego u nas wszystko powiatowego zarządu. Naczelny urząd powiatu nosił tylko zawsze charakter władzy policyjnéj i wykonawczéj, czego zresztą sama jego nazwa dowodzi (Ujezdnoje policejskoje uprawlenye). Za przeszłego panowania, które dzisiaj zwykle jest kozłem ofiarnym publicystyki rosyjskiéj, cały skład tego urzędu pochodził z wyborów. Naczelnika (Ziemskij Isprawnik dzisiaj Ujezdnyj) obierano na sejmikach szlacheckich z terminem trzechletnim, członkowie zaś byli przedstawicielami stanów: szlacheckiego, kupieckiego, oraz włościan rządowych (Sielskij zasiedatel). Wszystkie zaś gałęzie administracyjno-finansowe miejscowego interesu pozostawały w zawiadywaniu instytucyj stanowych, lub mieszanych komisyi i urzędów, z udziałem przedstawicieli pochodzących z wyborów. Na tle właśnie téj niezaprzeczonéj decentralizacyi administracyjnéj, powstała instytucya ziemstwa, zupełnie samoistna, z rady ziemskiéj z własnym organem wykonawczym pod nazwą Ziemskiego Zarządu, oddzielnie w powiatach i w gubernii. Gwarancya samoistności w ziemstwie, tak jak i w ustroju miejskim Cesarstwa, polega na ostatecznych, w razie kolizyi władz, orzeczeniach 1-go departamentu rządzącego senatu. Łatwo się przekonać o rzeczywistéj wartości téj gwarancyi przy czytaniu ważniejszych decyzyj zamieszczanych w osobno wydawanych podręcznikach, zawiérających zbiór postanowień tyczących się samorządu prowincyonalnego (1).

Przy zaprojektowaniu wprowadzenia u nas jakiéjkolwiek instytucyi podług wzorów Cesarstwa, odnośne ustawy podlegają zwykle osobnéj rewizyi, w celu zastosowania ich do miejscowych warunków (soobrazno s miestnymi usłowijami kraja).

Jeślibyśmy mogli spodziéwać się dobrodziejstwa w zastosowaniu u nas instytucyi ziemskich, pragnąćby należało, ażeby takowe w całéj rozciągłości, bez szczególnych ograniczeń, mogły stać się naszym udziałem.

Komitet urządzający, wydając przepisy rozwijające obowiązującą u nas ustawę gminną, zwykle w konkluzyach uznawał ich charakter czasowy z możliwością modyfikacyi, w miarę wytrzymanéj próby i nabytego doświadczenia. Nieszczęśliwéj pamięci, stworzone przez

(1) Sbornik uzakonienij otnosiaszczychsia do ziemskich uczreżdienij, so wkluczenijem reszenij Prawitelstwujuszczawo senata. Nowgrod r. 1879.

komitet dawne sądy gminne, na instynktach oparte, zostały pogrzebane; odzyskaliśmy prawidłową organizacyą i prawo pisane; spodziewać się należy, że i inne piérwiastkowe próby przyjdą na porządek dzienny właściwych organów władzy prawodawczéj. Droga tych reform z natury rzeczy musi być powolną, by dawać mogła gwarancyą ostróżności i rozwagi; dłużéj może na pożyteczne reformy potrzebujemy oczekiwać, na téj wszakże drodze, możemy się czuć zabezpieczeni od eksperymentów in anima vili.

Julian Łapicki.

SYLWEK CMENTARNIK.

(Dokończenie).

Po jednéj z burzliwych i w gorączce spędzanych nocy takich, Sylwek o zapadającym zmroku wchodził na obszerny i ozdobny dziedziniec, położony przy szerokiéj, ale z rzadka zabudowanéj wpół-wiejskiéj ulicy. W głębi dziedzińca stał dom jednopiętrowy, lecz któremu wielkie zwierciadlane okna i balkon na wdzięcznych kolumnach wsparty nadawały pozór wytworności. Dom ten posiadał w dole sutereny, był jednak dość nizkim, aby przez okna jego przy sztuczném szczególniéj oświetleniu, można było z zewnątrz dokładnie widziéć jego wnętrze. Sylwek zbliżył się do jednego z okien, na dużym kamieniu w kształcie niziuchnéj ławki wyrzeźbionym, postawił swoję katarynkę i zwolna okręcać zaczął korbę. Okręcał korbę tak powoli, że z pozytywki wydobywały się często skrzypiące i zgrzytliwe tony, dla tego, że spojrzenie jego ze skupioną i chciwą uwagą zatapiało się w szybę okna i w przedstawiający się za nią obraz. Za oknem była piękna sala jadalna, pośrodku któréj stał okrągły stół błyszczący od szkieł i srebra a nad którym zwisała od sufitu na bronzowych łańcuchach wielka, rzęsiste światło rzucająca lampa. Przy stole siedziało cztery osoby; wysoki, siwiejący mężczyzna; nie piérwszéj młodości, lecz piękna jeszcze kobieta; młoda dziewczyna świeża jak wiosna i młody człowiek, w którym Sylwek od piérwszego spojrzenia poznał Morysia. W jadalni téj, któréj wysokie gzémsy obiegał szlak złoty a któréj kąt okna przeciwległy błyszczał srebrném naczyniem, rozstawioném na kunsztownie rzeźbionym bufecie, odbywała się wielce prosta i spokojna scena rodzinnego życia. Siedzące przy stole osoby jadły obiad, lecz były tak ożywione i wesołe, że daleko więcéj mówiły i śmiały się niż jadły. Niemłody mężczy-

zna szczególniéj uśmiechał się często do pięknéj dziewczyny, ojcowsko głaskał ją po płowych włosach i z uprzedzającym pośpiechem podawał jéj różne znajdujące się na stole przedmioty, pragnąc snać spełniać jéj wolę wprzód nim słowami wyrazić ją mogła. Ona szczebiotała i śmiała się, coś wesołego widocznie opowiadając a nieco zalotnie zwracając się ku Morysiowi, który wpatrywał się w nią z rozczuleniem, nadającém twarzy jego bardziéj komiczny niż wzruszający wyraz. Dokoła stołu, czarno ubrani słudzy przesuwali się cicho jak cienie. Nic, żaden powiew mroźnego na dworze wiatru, żaden głos natrętny i obcy, żaden cień, któryby w rzęsistą światłość tę wmięszał się dalekiém choćby przypomnieniem smutku czy niepokoju, nie mąciły tu ciepła, ciszy i pogody rozlanych pośród ścian tych i na tych twarzach.

Zmąciły je rozlegające się tuż za oknem, przez katarynkę wygrywane trele i zawodzenia uwięzionego trubadura. Obejrzała się na okna piękna panna, spojrzał też na nie pan domu i rzucił w stronę służby gest taki, jak gdyby odpędzić chciał od siebie i swoich natrętny owad, który nagle nad uchem jego zabrzęczał. Lecz w téjże chwili katarynka skrzypiéć i zgrzytać przestała, korba jéj poruszana z szalonym pośpiechem rzuciła w okno rój zawrotnych, chaotycznych, rozpaczliwych tonów. Sylwek szeroko rozwartémi oczami wpatrzony wciąż w okno grał zapamiętale, szalenie a dwie łzy ciężkie zwolna płynęły mu po ciemnych policzkach. W tém uczuł silne uderzenie w ramię. Przed nim stał człowiek od stóp do głowy czarno ubrany, z długą brodą i białą serwetą w ręku a nastrajając pełną powagi fizyonomią swą do wyniosłości i gniewu, rozkazywał mu, aby szedł precz, bo państwo jedzą obiad i skrzypienie jego rozmawiać im przeszkadza. Z oczu katarynkarza posypały się zrazu iskry a łzy jego oschły od płomienia, którém mu twarz zagorzała. Zdawało się, że chciał stawić opór, że na ustach drgała mu zuchwała odpowiedź, lecz po chwili, krótkiéj jak oka mgnienie spuścił głowę, ochłódł i przez zaciśnięte zęby odpowiedział.

— Pójdę, pójdę.

Wspaniały sługa odszedł, ale on pozostał, tylko nie grał już a spojrzenie przesuwał po twarzach osób przy stole siedzących, po ścianach rzęsiście oświetlonych, po pięknych roślinach u jednéj ze ścian w gęsty kląb ustawionych. Najdłużéj jednak patrzał na wyniosłą, choć łagodną twarz pana domu. Wziął nakoniec na plecy ciężar swój, z trudnością widoczną odwrócił się od obrazu, posiadającego znać dlań czar niewysłowiony.

Wieczoru tego wszedłszy do izdebki Kępy ze spuszczonemi oczami i stłumionym głosem rzekł.

— Cicho, pięknie, jasno... jakby nie na tym świecie!

— Gdzie? zapytał Kępa.

Sylwek rzucił ręką w stronę zaułka i ze spuszczonym wciąż wzrokiem, monotonnie odpowiedział.

— Tam... za tym pustym ogrodem i tą gromadą drzew... na wiejskiéj ulicy, w białym domu...

— A któż tam mieszka?

— Ten... co mi kiedyś, gdym skoczkiem ulicznym był pięć rubli dał... a kiedym z maskaradą po mieście chodził, powozem jechał i garść dziesiątek rzucił... dobrodziej! żeby go ziemia pochłonęła!

— A! ten... przeciągle wymówił Kępa i usta jego skrzywiły się tajemniczym uśmiechem. Spotykacie się, jak widzę, często, w téj ziemskiéj wędrówce waszéj. Cóż? dał ci co dzisiaj?

— Wysłał lokaja, ażeby mię od okna odpędził.

— Dobrze! wybornie! bravissimo! zawołał Kępa, i śmiać się zaczął tak jak nie śmiał się nigdy, zanosił się i kurczył niemal cały ze śmiechu, przerywając go wciąż wykrzykami.

— Wybornie! nie może być lepiéj! Chciałbym, żeby świat na to patrzył, żeby się gwiazdy boże razem zemną śmiały!

Sylwek nie wiele zważał na szczególne miotanie się to i wykrzykiwanie Kępy. Zajęty był cały myślami własnemi. Gdy obaj do snu już się położyli a Kępa ustawicznie dręczony bezsennością, przewracał się i stękał na posłaniu swém, z garści słomy złożoném, Sylwek w grubych ciemnościach przemówił.

— A był tam także i ten wasz fircyk, co to go uczniem swoim nazywacie... Siedział przy stole i do pięknéj panny umizgał się...

— Córka jego... piękna? zapytał w ciemności głos drugi.

— A śliczna... taka pewnie jak te dziewczyny z morskiego dna! Niech ją... ognisty piorun pocałuje!

— Czy uważałeś... kocha on ją... bardzo?

— Głaszcze ją wciąż po włosach... takich jak księżyc...

— A żona jego? zapytywał daléj, lecz coraz ciszéj głos w ciemnościach.

— Gdyby królowa siedzi naprzeciw niego a patrzy mu w twarz... gdyby w słońce!...

Po chwili milczenia Kępa zaszemrał.

— Szczęśliwi ci, którzy jako wieczór pogodny zachodzą zwolna przy blasku swoich gwiazd...

Upłynęła godzina. Nie spali znać obaj, bo Sylwek odezwał się znowu.

— Srebra tam tyle, że wystarczyłoby go na ogłoszenie przed światem dziesięciu pisań takich jak wasze...

A po chwili, znowu.

— Choć śnieg na dworze leży... w nich zielony gaj rośnie a w gaju stoi kamienna kobiéta... cudna...

Kępa zaszemrał.

— Patrzcie! patrzcie! co z nim a co... zemną!

Nazajutrz o zwykłéj porze swéj, Moryś Lirski przyszedł do Kępy i znalazł go stojącego na środku izdebki, w długim, zapiętym po brodę surducie, z osobliwym cylindrem na głowie i wypchaną teką pod ramieniem. Niezrażony spotykanemi niepowodzeniami, z uporem rozpaczy i pychą człowieka, który nad wszelkie upokorzenia wyższym się czuje i dla tego stawi im żelazne czoło, Kępa odbywał wciąż wędrówki swe po zamożnych domach miasta, i teraz właśnie na jednę z nich się wybierał. Sylwek znajdował się też w izdebce. Siedział na katarynce swéj i jadł chléb, którego czarne i twarde kęsy kroił sporym składanym nożem. Ujrzawszy go Moryś nie doświadczył snać żadnéj trwogi, ni przykrości, bo powitał go uprzejmém i wesołém skinieniem głowy. Dzień był biały i zresztą, rad był może zblizka i długo popatrzéć na młodego katarynkarza, bo od razu zatopił w nim ciekawe i badawcze spojrzenie. Szybko potém i chciwie niemal rozejrzał się dokoła, tak jakby czegoś, lub śladów czegoś po izdebce szukał. Pusto tu było przecież i nago. U stóp piecyka, gliniana podłoga zasłaną była łupinami od kartofli, pośród których stał garnek, z resztą zastygłéj, mętnéj jakiéjś strawy.

Kępa ujrzawszy wchodzącego, zdjął kapelusz, położył tekę na skrzyni i ze szczerą serdecznością wyciągnął ku gościowi obie ręce.

— Gdzie się to pan wybierałeś? zaczął Moryś. Przepraszam... nie przeszkadzam... wpadłem na chwilę tylko, ażeby panu dać dowód jak bardzo pamiętam o panu i jak mi sprawa nasza na sercu leży... Wczoraj, mówiłem o pańskiém dziele z wujaszkiem...

Kępa drgnął. Sylwek przestał jeść i rękę trzymającą nóż w powietrzu zawiesił.

— Mówiłem o panu i o dziele pańskiém z wujaszkiem. Powiedziałem mu jak się pan nazywasz i żeście się kiedyś dobrze znali. Przypominał sobie długo a potém przypomniał i powiedział: „Prawda! prawda! znałem kiedyś jakiegoś Kępę, i zdaje mi się, że był to jeden z tych głupców, którym się zdaje, że świat na to zrobionym został, aby go oni przerabiać mogli...“

Kępa roztworzył szeroko usta, Moryś mówił daléj.

— Chociaż mi bardzo idzie o to, aby wujaszek był łaskaw na mnie, nie mogłem jednak wytrzymać i zrobiłem uwagę, że jednako-

woż... istotnie... na świecie jest wiele rzeczy nieprzyjemnych, któreby przerobić należało. Czy wiesz pan, co on mi na to odpowiedział? Odpowiedział mi, że przerabianie świata rozpocząć powinienem od siebie samego. Ale to nic. Nasłuchałem się ja od niego komplementów takich nie mało, to i ten także przełknąłem gdyby ostrygę a postanowiwszy sobie pracować dla pana i... dla naszéj idei... zacząłem wujowi o dziele pańskiém opowiadać. „A! zawołał, to ty znasz tego waryata, który od miesięcy paru od domu do domu ze swojém dziełem chodzi! Słyszysz Aurelko! ciekawą byłaś zobaczyć to indywiduum! poproś Morysia niech ci je zaprezentuje...“

Kępa zwarł już usta, lecz jak ściana był blady; za plecami zaś Morysia Sylwek machinalnie, lecz tak szybko spuszać i podnosić zaczął nóż swój, że błyski żelaza rozpalały w powietrzu stalowe elipsy. Moryś nie widział tego ani spostrzegał wzruszenia Kępy. Z gadatliwością sobie właściwą a tym razem przez chęć chwalenia się podniecaną, prawił on daléj.

— Z tego wujaszka to dziwny doprawdy człowiek. Niby rozumny, czyta ciągle i z przyjaciołmi swemi bardzo uczenie rozprawia, a tego co się pod nosem jego dzieje ani widzi... Z pana naprzykład wyśmiewa się a nie wié, że pan téż na świecie coś znaczy i tęgiego figla jemu i jego przyjaciołom wyciąć może... dla tego choćby, że znajdują się na świecie tacy co po stronie pana stoją i pomagać panu gotowi... Ja naprzykład...

Tu obejrzał się i gwałtownie zerwał się z pieńka, na którym siedział jak na koniu.

— Co pan robisz? krzyknął.

Zląkł się migocących za plecami jego stalowych błysków.

— Jak można tak nieostrożnie bawić się ostrém narzędziem! dodał lękliwie trochę, lecz bardziéj jeszcze ciekawie na Sylwka patrząc.

Sylwek spokojnie opuścił ręce na kolana i z zamyśleniem rzekł.

— Chciałbym widziéć go z blizka.

— Po co pan nóż ten nosisz przy sobie? zapytał Moryś.

— Jak to po co? ze szczerém zdziwieniem odparł Sylwek; alboż to nam jak wam lokaje nakrywają stoły?

Po chwili powtórzył znowu.

— Chciałbym widziéć go z zblizka.

— Kogóż to? zapytał Moryś.

— Wujaszka waszego.

Krótką odpowiedź tę wymówił z uśmiechem, w którym błysnęły białe jego zęby. Kto inny, byłby może uśmiechem tym zaniepokojony, ale Moryś, pomimo ciekawości swéj, dalekim był od badania fizyonomij ludzkich.

Możesz go zobaczyć. dla czego nie? dziś choćby. Matka moja nagadała mu o biedzie i nieszczęściach Szarskich, że zaś wuj znał kiedyś Szarskiego i lubił go nawet, postanowił przez delikatność nie posyłać mu jałmużny, ale przywieść ją osobiście. Aurelka uparła się też jechać z ojcem na tę szczególną wizytę i pewno pojedzie, bo jak ona czego zechce to już tak być musi... Za godzinę jaką przyjadą do Szarskich a pan będzie mógł zaspokoić swoję ciekawość i zblizka na wuja mego popatrzéć. Warto zresztą, warto. Wielki pan co się zowie i z urodzenia, i z majątku, i z postawy... a Aurelka! no! ale o niej, nie miejsce tu mówić. Jakiekolwiek powody mam do użalania się na wuja, a nawet gniewania się na niego, nie mogę przecież nie szczycić się, że jestem jego krewnym, albo nie być mu wdzięcznym za to, że sprowadził na świat taką cudowną istotkę jak Aurelka....

Mówił w sposób ten długo jeszcze, chwaląc się i uskarżając naprzemian, lecz nikt go nie słuchał. Kępa z łokciami opartemi na skrzyni, z twarzą w dłoniach wpadł w kamienną zadumę, Sylwek zaś katarynkę swą wziął na plecy i wyszedł.

W téj saméj prawie chwili, Placyda Lirska wzruszona i zdyszana wbiegła do mieszkania Szarskich.

— Heleno! Heleno! wołała chwytając za ręce bladą, wątłą i nagłém wejściém jéj chorobliwie wzruszoną kobietę. Będziecie mieli gości, przygotuj się, uprzątnij trochę w mieszkaniu.... przyszłam cię uprzedzić.

Helena patrzała na nią osłupiałym wzrokiém.

— Gości? zaczęła; takeś mię przelękła moja pani Placydo... któżby to mógł być? Któż sobie o mnie przypomniał? Czy nie krewni moi......

Nie twoi, ale moi, Heleno; Tytus Tarżyc z córką wnet tu przybędą. Dowiedzieli się oni o waszych nieszczęściach i pragną wam przyjść z pomocą, zarazem też krewny mój życzy sobie odnowić znajomość z mężem twoim....

Helena nie słuchała. Jak ktoś, na kogo spadło niespodziewane a wielkie szczęście, splotła ona chude swe ręce modlitewnym gestem a turkusowe oczy wzniosła ku pajęczynom sufit okrywającym.

— Nakoniec, nakoniec ktoś z rodzinnego świata mego, przypomniał sobie o nieszczęsnéj wygnance? Tak, wiém; to pewno rodzina moja upominać się o mnie zaczyna...

Przebaczyła mi już mezalians mój, przysyła po mnie... Nowy dzień świta nad moją głową.... O! jakże mi serce bije....

Porwała się z siedzenia i zaczęła gorączkowo krzątać się po mieszkaniu.

— Jakże ja ich przyjmę? szeptała. Boże mój, jak ja jestem ubrana! Ani kanapy, ani dywana żadnego, ani służby... O jaki wstyd! wstyd!

Tymczasem, brudny szezląg z poduszką sianem wypchaną, z gorączkowém wysileniem wyciągnęła na środek izby, przystawiła doń stolik poplamiony stearyną a obejrzawszy się dokoła, ku przyozdobieniu zapewno rzuciła na stolik ten parę podartych i strasznie starych książczyn, z francuzkiemi tytułami. Potém pobiegła ku komodzie i odsuwając szuflady a przyglądając się w nadtłuczoném lusterku przypinała sobie do włosów zmiętą kokardę a stanik podartéj sukni okrywała różowym łachmankiem.

Lirska patrzała na nią z litością. Po chwili zapytała.

— Gdzie mąż twój, Helenko? dzieci?

— Jestem tu, moje uszanowanie... wymówił w drzwiach głos stłumiony, do ciężkiego szeptu podobny. Szarski znajdował się wówczas w epoce trzeźwości. Przychodził do domu na obiad a pod luźnym, poplamionym paltotem swym, przynosił mnóstwo różnéj wielkości zawinieńć i pakietów. Oddawszy Lirskiéj cóś na kształt ukłonu, zbliżył się do komody, przy któréj Helena gorączkowo przyozdabiała i uświetniała osobę swoję i zaczął wydobywać z pod paltota przyniesione przedmioty. Przytém jednostajnym zawsze, ciężkim szeptem mówił.

— Herbata... pamiętaj Heleno, kiedy dzieci przyjdą z podwórza, z mrozu... a tu trochę krup, dla Klarki... świece, cukier, ot! i drobnych trochę. Jeślibym jutro nic nie zarobił...

Helena z błyszczącemi od gniewu oczami zwróciła się ku mężowi i gwałtownym gestem przyniesione przez niego przedmioty z komody na ziemię zrzucając, krzyknęła.

— Weź to, weź! sprzątnij! o Boże mój, po co on tu jeszcze przyszedł, w takiéj chwili!

Szarski obojętnie wzruszył ramionami i zapytał.

— Czy zupełnie już zwarjowałaś?

— Żona twoja, kochany panie Szarski, spodziewa się gości, wytłómaczyła Lirska, krewny mój ..

Nie miała czasu dokończyć, bo drzwi pierwszéj izby roztworzyły się i córkę prowadząc pod rękę wszedł Tytus Tarżyc.

Wówczas, Helena Szarska z ustami i rękami drżącemi, z plamami ceglastych rumieńców na zapadłych policzkach postąpiła ku wchodzącym, przybierając postawę, ruchy i wyraz twarzy światowéj, swobodnéj i pełnéj wdzięku kobiety. Podnosiła głowę wysoko i usiłowała uśmiechać się. Gdy jednak stanęła już przed gośćmi, którzy zatrzymali się także, znieruchomiała, wyciągnęła a potém cofnęła rę-

kę, wyszeptała coś niedosłyszalnego aż wreszcie na twarzy jéj wstrząsanéj nerwowemi drganiami i w oczach, które łzami zapływać zaczęły, odmalowała się niewysłowiona męka. Ze swéj strony, Hilary Szarski miał pozór człowieka osłupiałego. Usta jego roztworzyły się nieco ze zdumienia, co rzuciło mu na twarz cały wyraz głupowatości, a tylko spłowiałe, obrzękłe jego oczy patrzyły na przybywających z pod brwi i z takim wyrazem jak gdyby zapytywały. Czego oni chcą odemnie?

Tarżyc z wprawą i łatwością doskonale światowego człowieka przedstawił córkę swoję gospodyni domu, i uwalniając ramię jéj zwrócił się do Szarskiego.

— Nie poznajesz mię panie Szarski, jesteśmy przecież dawnymi znajomymi. Przybywałem do pana niegdyś za interesami i spotykaliśmy się téż w paru wspólnie znajomych domach. Ale postarzeliśmy obaj.....

W sposób ten wesoły i uprzejmy mówił dość długo, przypominaniem dawnych dobrych jego czasów usiłując ośmielić i zbliżyć ku sobie nędzarza tego, który stał przed nim w ociężałéj i przygarbionéj postawie z głupowato otwartemi usty a zagasłą źrenicą zdawał się ciągle pytać.

— Czego on chce odemnie?

Był tak beznadziejnym, że nawet te niespodziane odwiedziny człowieka możnego nie sprawiały mu otuchy żadnej a tak w samym sobie zawstydzonym, że ani dobroć mu okazywana, ani przypomnienie dostojniejszéj przeszłości podnieść go w oczach własnych nie mogły. Tarżyc umilkł, bacznie w twarz mu popatrzył i zmieniając ton mówienia, poważnie wyrzekł.

— Należysz pan, panie Szarski, do kategoryi ludzi, dla których ogół nasz, posiada niejakie obowiązki. Odebrano ci możność uczciwego pracowania bez żadnéj z twéj strony winy. Skrzywdzono cię dla solidarności twéj z ogółem. Nie powinieneś dziwić się, ani obrażać, jeżeli ktoś przypomniał sobie obowiązek śpieszenia ci z pociechą i pomocą.

Szarski szybko podniósł powieki, lecz wnet spuścił je znowu i powoli ramionami wzruszając.

Jaka tu może być pomoc... szepnął.

— Chciałbym z panem sam na sam i długo pomówić, rzekł Tarżyc i poufale ująwszy go pod ramię poprowadził ku oknu.

Tymczasem, Helena Szarska bawiła młodą i piękną dziewczynę, która pomimo ciemnego i skromnego ubioru swego, w mieszkaniu tém i otoczeniu wyglądała jak zjawisko z innego świata. Kosztowne futro jéj, zdawało się kłócić z brudnym szezlągiém, na którym,

pośrodku wielkiéj, nagiéj, zimnéj izby usiadła. Helena przysunąwszy sobie krzeszło ze złamaną poręczną i wypadającą z materaca sierścią, zaczęła od zawiadomienia młodéj panny, że niegdyś znała dobrze strony, w których położonym jest Targów, że w strony te przyjeżdżała z rodzicami swemi, którzy nieopodal dobra swe mieli, że ojciec jéj był w ścisłéj przyjaźni z sąsiadem Targowa, księciem Henrykiem a ona sama bardzo lubiła w strony te jeździć, w zimie szczególniéj, karetką na saniach... obładowaną strojami, które służyć jéj miały na odbywające się tam zabawy... Zresztą i latem także doświadczała wielu przyjemności... rodzice jéj mieli także piękne lasy... ona zaś bardzo lubi naturę, choć z drugiéj strony, nadewszystko przekłada świat i życie światowe... Oddawać wizyty, wyjeżdżać na przejażdżki, wieczory spędzać w teatrach lub na koncertach.., co za przyjemność!

W tym roku bawią się podobno w mieście wybornie... słyszała, że książę Henryk z rodziną swą przybył do miasta na zimę. Żyje tak ustronnie, że nawet nie wié na pewno jakie panują mody, zdaje się jéj jednak, że suknie *à panier* najwięcéj są noszone a kolory najmodniejsze.... Mówiła to wszystko śpiesznie bardzo a tak nieprzerwanie, że ani Aurelia, ani Lirska, która ją od czasu do czasu, w znak przestrogi, za suknię pociągała, wtrącić nie mogły ani jednego słowa. Przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, mieszała w mowę swą francuzkie wyrazy, czasem całe okresy żywcem z książki wyjęte, a nieustannie drżącemi rękami dotykała to włosów swych, to różnych części ubrania. Przytém, na policzkach jéj rozszerzały się rumieńce a zapadłe, turkusowe oczy co chwilę zachodziły łzami, które, przygryzając zsiniałą wargę, powstrzymywała. Miała w ogóle pozór istoty choréj i w gorączce bredzącéj. Piękna panna patrzała na nią ze zdumieniém naprzód, potém z niewypowiedzianą litością, nakoniec z głębokiém zmieszaniem, gdy w tém, z koralowych ust jéj wydobył się wesoły okrzyk, pochyliła się i pieszczotliwie wyciągnęła ramiona ku wbiegającéj do izby Klarce. Dziecko, zarumienione od mrozu było prześliczném. Drobne nóżki jéj okryte były cienkiém i wytworném, lecz w szmaty już rozpadającem się obuwiem, podarte i brudne hafty jakieś wydobywały się z pod sukienki dziurawéj i oblepionéj błotem, od bladego czoła na nagą szyję spływały potoki złotych kędziorów.

Kiedy Tarżyc po dość długiéj rozmowie z gospodarzem domu, zwrócił ku izbie twarz okrytą wyrazem zniechęcenia i smutnego wzruszenia, Klarka siedziała na kolanach jego córki, ciekawie dotykając i oglądając wszystkie szczegóły jéj toalety, Aurelia zaś bawiła się z dzieckiem i wydawała się niém żywo zajętą.

— Ojcze! zawołała wstając i w ramionach swych podnosząc Klarkę; czy pamiętasz dziewczynkę tę? Przypomnij sobie ojcze, gdzieśmy ją widzieli?

Tarżyc przypomniał sobie wybornie gdzie i jak widział to piękne dziecko. Spójrzeniem przecież ostrzegł córkę, aby o tém nie mówiła, lecz Klarka zaczęła sama szczebiotać o maskaradzie, o tém jak była za małpeczkę przebrana, jak siedziała na ramieniu Sylwka i jak jéj pani (tu wskazała na Aurelię) rzuciła garść cukierków. Wszystkich nie zjadłam, dodała z nadąsaną minką, Tomek jak zobaczył tak powalił mię na ziemię i odebrał... żeby jego licho wzięło!

Teraz, w ciemnych oczach Aurelii wpatrzonych w dziecko, stanęły łzy. Biedna! biedna mała, szepnęła. Potém, pieszczotliwie skłaniając głowę ku ramieniu ojca, mówiła cóś do niego pocichu i długo a z prośbą składając ręce głośniéj dokończyła. Mama będzie bardzo, bardzo rada! ona taka dobra i tak lubi dzieci!

Tarżyc zsunął brwi z niezadowoleniém pewném, zdawało się, że namyśla się i waha.

— Mój drogi ojcze! powtórzyła dziewczyna.

Uśmiechnął się do niéj jak ojciec do dziecka kochanego nad życie. Obejrzał się dokoła, wzrokiém szukając Szarskiego.

Szarski pozostał pod oknem, z tym samym wyrazem twarzy i tą samą postawą, z jakiemi przedtém przez dobry kwadrans z gościem swym rozmawiał. Była to postawa ociężała i przygarbiona a wyraz twarzy pełen kamiennéj dla wszystkiego i wszystkich obojętności, obojętności z za któréj przeglądał tylko uśmiech, drwiący jakby z próby téj dokonywanéj nad poprawieniem jego i losu jego. Możnaby myśléć, że z tajoną niecierpliwością oczekiwał końca uciążliwych dlań odwiedzin, że nie myślał i nie czuł nic, nie spodziewał się i nie pragnął niczego. Jednak, obrzękłe powieki jego drgnęły a głupowate usta zacisnęły się w chwili, gdy Tarżyc z wymuszoną więcéj niż szczerą wesołością oznajmił mu, że córka jego pragnie zabrać ze sobą Klarkę na czas jakiś a jeśli pokochają się wzajemnie może i na długo.

— Państwo macie podobno dwoje jeszcze dzieci, dodał; u nas, żadnéj małéj istotki w domu już nie ma... Żona moja i córka niezmiernie lubią dzieci... bawić się będą z Klarką a może potém i uczyć ją trochę...

Z Szarskim działo się cóś dziwnego. Możnaby powiedziéć, że człowiek przemieniony w kamień stawał się znowu człowiekiem; człowiekiem, którego całe ciężkie, zgarbione ciało, pod luźną i poplamioną odzieżą drżéć zaczynało, którego głupowate usta przybie-

rały wyraz bezdennego żalu a zgasłe oczy zapalały się blaskiem niewysłowionéj radości.

Szybkim choć ciężkim krokiem zbliżył się ku gościowi swemu, chciał coś powiedzieć, nie mógł, ramiona rozpostarł, dokonał niemi kilku gestów i z głuchym jękiem runął na ziemię, obejmując i pocałunkami okrywając kolana Tarżyca. Radość upoiła go jak upajała wódka. Z ust popłynął znowu potok słów, pośród których wciąż, nieustannie z różnemi nagięciami głosu wymawiany, powtarzał się wyraz: dzieci! Nie obwiniał się i nie usprawiedliwiał, nie przyrzekał nic i nie skarżył się na nic. O dzieciach swych mówił tylko, o ratunek dla nich błagał, na rany Boga ukrzyżowanego zaklinając, rozpowiadając niedolę ich i wszystkie niebezpieczeństwa, które im groziły.

— Dzieci... dzieci... dzieci! powtarzał. Ratujcie dzieci! Kiedy wzruszony, ciche słowa współczucia wymawiając, Tarżyc dźwignął go z ziemi a do Heleny zwrócił się z prośbą, aby dziecko czémś cieplejszém okryła, bo nie może przecież, tak jak jest, na wiatr i mróz wyjeżdżać, Szarski pobiegł do starego kufra stojącego w drugiéj izbie i otworzywszy go, trzęsącemi się rękami grzebać w nim zaczął. Wydobył nakoniec sukienną szmatę jakąś a owinąwszy w nią Klarkę podniósł dziecko w ramionach i długo, z szerokim uśmiechem, w którym rozpacz mieszała się z szaloną radością, całował włosy jéj, czoło i usta...

Helena, wspierając się ręką o złamaną poręcz krzesła, stała w postawie pełnéj zawstydzenia. Widać było, że to co działo się wkoło niéj, upokarzało ją śmiertelnie. Do krwi już teraz przygryzała sobie wargę i blada była tak, jakby wnet zemdléć miała. Usiłowała jednak ciągle uśmiechać się i do Aurelii, która powtarzała jéj prośbę o pozwolenie zabrania Klarki, przerywanym i ledwie dosłyszalnym głosem, mówiła.

— Boleśnie mi jest bardzo... że z córką moją rozstać się muszę... ale istotnie... znajduję się w położeniu tak dziwném i niespodziewaném... Zresztą, mam nadzieję... że rodzina moja przypomni sobie o mnie i z położenia tego mię wydźwignie... wkrótce będę u państwa, aby Im za pamięć Ich podziękować... tylko wybaczą państwo że.... toaleta moja...

Nie dokończyła. Twarz jéj wykrzywiła się spazmatycznie, pierś wzdęła się, zachwiały się nogi i w histerycznym ataku, pełnym łkającego śmiechu, na szezląg upadła.

W parę minut potém, przed bramą dziedzińca Tarżyc i córka jego siadali do sań ozdobnych i zaprzężonych parą pięknych, rwących się do biegu koni a Szarski podawał im Klarkę kawałem sukna

okrytą. Aurelia siedziała już na saniach, Tarżyc, z nogą postawioną na stopniu zatrzymał się nagle. Kiedy wychodził z bramy mignęła mu przed oczami twarz stojącego przy bramie człowieka. Minął ją zrazu, ale potém obejrzał się i znieruchomiał na chwilę. Przy bramie stał Sylwek z katarynką swą na plecach, wpatrzony w niego jak w tęczę, znowu, twarz w twarz i oko w oko patrzali na siebie przez chwilę. Potem Tarżyc wskoczył do sanek, które pomknęły lotem strzały.

— Czy widziałaś katarynkarza tego co stał przy bramie? z zamyśleniem zapytał córki.

— Zdaje mi się, że jest to ten sam chłopak, któregośmy w tedy, przyjeżdżając tu spotkali... niepodobna nie poznać go! taką ma piękną i szczególną twarz...

— Szczególną! powtórzył Tarżyc i zdaje mi się, żem go już kilka razy spotykał i zawsze przypomina on mi kogoś... cóś... lecz kogo i co? nie pamiętam.

— Ale, dodał po chwili, czego się on na mnie tak wypatrzył, kiedym do sań siadał? Coś niedobrego było w jego oczach...

Klarka, która uważnie rozmowy téj słuchała, z wyrazem niezadowolenia wydęła drobne usta i zawołała.

— Nieprawda! pan kłamie! Sylwek bardzo dobry; Jak papcia upije się i na drabinę lezie, Sylwek papkę z drabiny znosi, albo sprowadza... a kiedy Damek albo Mis głodni, to do niego idą, żeby im jeść dał... Dla mnie czasem pierniki kupuje i nie pozwala Tomkowi szczypać mię i tłuc... a pan Łukasz mówi, że on lepszy dla niego jak jaki rodzony syn... A jak Sylwek ślicznie gra... Co niedzieli przychodzi do szynku i gra... Chaim mu za to złotówkę daje.., w szynku wesoło!.. tańczą i tak czasem biją się...

— Wielki Boże! westchnął Tarżyc, zdaje się, że to pięcioletnie dziecko mogłoby już pisać tajemnice miasta tego.

Aurelia całując dziecko upominała je, aby o drabinie, na którą papcia lezie, o Tomku, Chaimie i szynku, nie mówiła nigdy. Klarka zaś ścisnęła drobne pięstki i uderzając jednę o drugą, krzyczała. Będę gadać o papci, o Sylwku i o szynku! będę! Jak Boga kocham, będę!

Od dnia tego, Sylwek nie rozmawiał prawie z Kępą. Tarżyc nie omylił się, spostrzegając w oczach jego cóś niedobrego. Teraz więcéj niż kiedy wyglądał tak, jak gdyby w źrenicach „siedział mu nieczysty z rozpalonym żużlem w gębie".

Po kilku dniach dopiéro rozchmurzył się po raz pierwszy, kiedy do sklepionéj izdebki wpadło małe stworzenie, krzyczące, zanoszące się od śmiechu i całe błękitne. Była to Klarka. Miała na sobie

błękitny płaszczyk, błękitny kapturek i błękitne nawet buciki. Jednym skokiem znalazła się na kolanach Sylwka i drobnemi ramionami szyję jego objęła. Wtórując jéj śmiechem i ciemną ręką głaszcząc ją po rozrumienionéj twarzy, chłopak wołał.

— A to ty, mały głuptasku! Zkądżeś się tu wzięła, łotrzyczko jakaś! Myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę. Przypomniałaś sobie o swoich starych przyjaciołach, duszyczko ty maleńka. Ale jakim sposobem dostałaś się tutaj. Czyś na tych ślicznych saniach jak na obłoku zleciała?

— Uciekłam! krzyknęło dziecko, jak Boga kocham uciekłam. Niech ich diabli wezmą! Tak mnie tam nudno, tak smutno, że choć powiesić się! Musztrują, przestrzegają: Klarka mów, Klarka nie mów, Klarka siedź prosto, Klarka nie krzycz a mnie, dalibóg i nie chce się gadać, bo o niczém nie pozwalają. O papie gadam... czy o szynku, czy o Tomku... nuż na mnie jak na jakiego psa! Myślę sobie, ucieknę! Jak na spacer pójdę z tą panną, co mnie pilnuje jak diabeł złéj duszy, ucieknę. Poszłam i uciekłam. Ona w jednę stronę a ja w drugą. Myk! i schowałam się za ścianę, potém patrzę a jéj już nie ma..

Mówiąc to wszystko, stroiła nadąsane minki, albo zanosiła się śmiechem.

— A w domu byłaś, ty mała kozo? zapytał Sylwek.

Klarka wydęła usta i skarżącym się głosem odpowiedziała.

— A jakże, zaszłam. Papcio za te piéniądze co mu pan dał już sobie pije w szynku, mama szyje suknię na wizytę do państwa, kroi i szyje, porze i szyje i znów porze i płacze... Miś tak śpi, że dobudzić go się nie można, a Damek z Antką koty karmią w drwalni... Niech ich tam, z takiemi rodzicami i takimi *braciami*!

— No, to u nas zostać możesz. Zdejmę z ciebie te pańskie ubranie, przebiorę znowu za małpeczkę i będziem bawić się. Jakże dziwna, miękka czułość napełniała srogie przed chwilą oczy dzikiego chłopca tego, gdy rozmawiał z tém dzieckiem!

— Jak raz! zawołała Klarka, płaszczyk mój tobie oddam, pewno, taki śliczny! i zostanę się tu, żeby znowu głodem mrzéć i pod rynnami walać się...

Roztworzyła szeroko turkusowe swe oczy i bawiąc się guzikiem odzieży Sylwka z powagą opowiadać zaczęła.

— Tam prześlicznie! Takie smaczne rzeczy jedzą a pokoje wielkie jak świat. Dziś będzie muzyka i dużo, dużo gości. Muzykanty jakieś, het, z końca świata przyjechali a pan dał im dużo piéniędzy za to, żeby przyszli do niego i przed gośćmi grali. U pani w szufladach, świecących kamieni, strach jak dużo! panienka ma takie białe paciórki piękne i sukien tyle co trzasek w drwalni. Oho! nie

zostanę się, nie zostanę się tu, za nic. Może mnie co pięknego darują, sukien nasprawiają... pobędę tu troszkę a potém polecę... trafię, aj aj!

— Będą grali, w zamyśleniu wymówił Sylwek i zapytał, a kiedyż?

— Wieczorem, w nocy, czy ja wiem? dość, że będą grali, na jakichś takich dziwnych skrzypcach, że nawet pan i pani jeszcze ich nigdy nie widzieli. I panienka będzie śpiewać... ona jak śpiewa to tak krzyczy, że po całym domu rozlega się... i lody będą. Sylwek, czy ty kiedy jadł lody? Ja jadłam! takie słodkie...

Długo szczebiotała jeszcze, dziwne dziwy opowiadając o domu, w którym przebywała teraz, szczególniéj zaś o wieczorze, który dnia tego odbyć się miał w tym domu.

— Te panowie co grać będą noszą złote suknie, mówiła, a na głowie mają takie zawoje jak wstążki... Sylwek, przyjdź ty zobaczyć!

Sylwek milczał chwilę, potém ze szczególném nagięciem głosu, odpowiedział.

— Przyjdę.

W kilka godzin potém, szedł istotnie Wiejską ulicą, w stronę białego domu, stojącego w głębi obszernego i ozdobnego dziedzińca. Dziedziniec usłany warstwą topniejącego śniegu i otoczony bezlistnemi drzewami pogrążony był w ciemnościach; wielkie zaś zwierciadlane okna domu płonęły rzęsistém światłem. Wieczór był późny, północy blizki. We wnętrzu domu toczyły się gammy przyciszonego gwaru i od chwili do chwili odzéwało się strojenie czy dorywcze próbowanie muzycznych instrumentów. Sylwek przyśpieszył kroku. Z za drzew bezlistnych i zakrytej niemi budowy jakiéjś ozwały się poszczekiwania psa; w stronę tę rzucił cóś wydobytego z kieszeni, kęs żywności jakiéjś zapewne. Z pośpiechem gorączkowym przypadł ku ścianie domu, przylgnął do niéj piersią a w ogromną szybę zatopił chciwy wzrok.

To, co za ogromną szybą zobaczyć miał, w nieznanym mu języku nosiło nazwę muzykalnego wieczoru. Chwila, w któréj oczy jego, jak dwa czarne płomienie zaświeciły za cienką oponą szkła, była kulminacyjnym momentem uroczystości téj raczej niż zabawy.

W wielkim salonie, o niepokalanie białych ścianach, gorzała setka gazowych płomyków. Część ich tworzyła piramidalny snop, który spływając od sufita na niedojrzalnych prawie łańcuchach zdawał się być zawieszonym w powietrzu. Pośrodku przestrzeni téj zalanej światłem, dokoła kolumny, z której szczytu opuszczały się szerokie liście zielonej rośliny, na bezładnie z pozoru ustawionych fo-

telach i taburetach, siedziało kilkanaście kobiét, których suknie rzucały na błyszczącą posadzkę, fale różnobarwnych jedwabiów. Głowy kobiet tych strojne i ukwiecone zwracały się w strony różne, stosownie do umieszczenia siedzeń; twarze ich i wpół-odkryte ramiona, pod białém światłem gazu, posiadały przezroczystą białość alabastru. W tym punkcie salonu, słychać było cichy szelest poruszanych wachlarzy i gdzie niegdzie tęczowém światłem iskrzyły się, niby rosa na klombie kwiatowym, drogie kamienie. Dokoła klombu tego, rozsiani po całej przestrzeni salonu, albo skupieni w małe gromadki, przy stołach obciążonych księgami o złoconych brzegach lub fortepianie z klawiaturą odkrytą i oświetloną kilku ramiennemi świecznikami, stali, przechadzali się i przytłumionym głosem rozmawiali mężczyzni, na monotonném, czarném ubraniu których, wykwintnie odbijały białe krawaty i złote łańcuchy. Ciepła, woni, błyszczączych spójrzeń, miękkich uśmiechów i czarownych kształtów salon ten był tak pełen, że przedstawiały się one przez zamknięte okna i upajającą falą oblewały przyciśniętą do szyby twarz nocnego włóczęgi.

Jednego przecież, byle znającego się nieco na rzeczy spójrzenia trzeba było, aby poznać, że w salonie tym i wśród towarzystwa tego panowało ciekawe, wytężone oczekiwanie.

Wszystkie szczególniej kobiéce twarze zwracały się ku niewysokiej estradzie w stronie salonu przeciwległej oknom urządzonej, na której stały trzy poręczowe krzesła, a za którą znajdujące się wysokie zamknięte drzwi wiodły zapewne w głąb mieszkania. Po chwili szmer wzmógł się i zarazem wszyscy, tak siedzący jak stojący i przechadzający się znieruchomieli a oczy w jeden punkt salonu zwrócili.

Drzwi znajdujące się za estradą otworzyły się szeroko a przez nie weszli trzej ludzie, w barwistych malowniczych ubraniach i z małych rozmiarów instrumentami muzycznemi w ramionach. Okryci fałdzistą draperyą aksamitnych swych, złotem połyskujących dolmanów, z okryciem głów zakreślającém nad śniademi ich czołami tęczowe smugi, wysmukli, piękni i uśmiechnięci, trzej artyści z dalekiego południa przybyli, niby bogowie przynoszący ludziom dar estetycznych roskoszy, przeszli estradę, usiedli na przygotowanych miejscach i białe dłonie położyli na strunach mandolin. Wzmożony przed chwilą w salonie szmer ustąpił przed niepokalaną ciszą, w którą po chwili polało się morze lotnych, tęsknych, przeczystych tonów. Były one tak lotne, iż zdawać się mogło, że zamiast podnosić się od dołu spadały z góry skrzydlatym rojem a takie tęskne, że możnaby też wziąć je za deszcz rzewnych łez i takie czyste, iż salon zdawał

się być przemienionym w świątynię z kryształu, na ściany któréj rytmicznie spadał deszcz srebrnéj rosy. Czarodziejska muzyka ta, zdająca się być niezgłębioną tonią, odźwierciadlającą wszystkie ognie i uroki południowego nieba, pod którém powstała, przerywana krótkiemi pauzami i pełnemi tłumionego zachwytu szmery, trwała dość długo. Potém, żadnemi jakby względy powstrzymać się nie dające oklaski, niby głuchy grzmot, rozpiérały przez chwilę ściany salonu; artyści podnieśli się z siedzeń swych i tłumnie otoczeni, promieniejący tryumfem, z uprzejmą powagą rozpowiadający obecnym o sposobach zapewne jakiemi w kilku stronach, zaklinać umieli nieprzebrane bogactwo dźwięków, zeszli z estrady. Po salonie, krążyli przez chwilę, ze srebrnemi tacami w rękach, czarno ubrani słudzy, aż znowu zapanowała głęboka cisza i wszystkie spojrzenia skierowały się w stronę jednę. Gospodarz domu prawadził córkę swą do fortepianu. Zwolna przebywali całą długość salonu; on, z uśmiechem szczęścia na ustach i pełném zachęty spojrzeniem w twarz jéj patrzący, ona, kształtna jak posąg ręką mistrza wyrzeźbiony, ciągnąca za sobą falę jedwabiu, z wpółnagiemi ramiony przysłoniętemi strugą płowych włosów, z pochyloną nieco głową i spuszczoną powieką. On był dumny ślicznem dzieckiem swém i szczęśliwy, że w pełni wdzięków jego ukazać je może światu; ona była zalękniona nieco i spłoniona, lecz ufnie i z rozkoszą, pośród mnóstwa obcych spojrzeń wspierająca się na opiekuńczém i ukochaném ramieniu. Piękna para ta przesunęła się tuż około okna za szybą, którego jak dwa czarne płomyki, namiętnym ogniem i palącemi się w nim łzami, gorzało dwoje czarnych oczu ludzkich a po chwili, w punkcie salonu, którego oczy te dosięgnąć nie mogły, zabrzmiało męzką ręką z fortepianu wywołane huczne preludyum i wzniósł się w powietrzu potężny a wszystkiemi tajemnicami sztuki doskonale władający kobiécy śpiew. Zrazu, tłumiony nieco i tamowany falą wewnętrznych drżeń, śpiew ten stał się wkrótce szerokim, śmiałym i rzucił w powietrze ogromną aryą z Roberta. Potężne wołania o litość i łaskę rozległy się po salonie i zdawały się rozpiérać ściany jego bezbrzeżną rozpaczą. W téjże chwili, czarne płomyki, świecące dotąd za szybą jednego z okien zniknęły, bo stojący tam nocny włóczęga osunął się na klęczki i rozpalone czoło nurzając w topniejącym śniegu, wybuchnął łkaniem.

— „Łaski! łaski! łaski!...“ rozległy się wewnątrz domu coraz potężniejsze, w niebo zda się bijące lub w powietrzu rozpacznym szałem, miotane wołania. Za ścianą domu nizko przy błotnistéj ziemi, wtórował im płacz głośny, konwulsyjnemi łkaniami w nocną cie-

mność buchający a postać ludzka, czarna pod spływającym na nią z okna snopem promieni wiła się w bólu i żalu bez granic.

Potém, wytworną ręką gospodarza domu ze strun fortepianu wywołane, wpółsennemi tony śpiewały długo ciche kołysanki i miękkie nokturny. Lecz ani marzenia, snujące się łagodnie i cicho, ani monotonnie kołyszące się, senną rozkoszą przejęte pieśni nie ukołysały dziecka, które tam za oknem, ramionami obejmując kolumnę, podtrzymującą strop balkonu, twarz mokrą od łez wychylało pod migotliwe światło, palącéj się nad kolumną latarni. Wszystko, co zobaczył dziś i wszystko, co usłyszał, wzięło znać ducha jego na takie tortury, że bezprzytomny, roznamiętniony, rozpiérany ogniem niepojętych żalów i żądz, ze wzdętéj płaczem piersi, drgającemi usty, ciskał on w noc ciemną i w niebo kilku nikłemi gwiazdami świécące, głośne pytania, jakieś prośby, czy przekleństwa... Podniósł się z klęczek wtedy dopiéro, gdy dziedziniec zahuczał głuchym po śniegu turkotem karet, zatętniał pod kopytami koni i zajaśniał światłem, przebiegających go w różne kierunki, u powozów zapalonych latarni. Podniósł się wtedy i jak cichy, chwiejny cień przesunąwszy się pod drzewami, zniknął w ciemnościach ulicy...

Nocy téj, jak najczęściéj zresztą bywało, Kępa nie spał. Przewracając się na garści słomy, wzdychając lub półgłosem wypowiadając przed sobą samym i ciemnościami zalegającemi izdebkę, długie monologi, *oczekiwał on powrotu towarzysza swego. Usłyszawszy szmer otwiérających się drzwi, omackiem przypełzł do skrzyni* i zapalił stojącą na *niéj świeczkę.*

— *Zapalam świecę, zaczął półgłosem, bo chcę, żebyś opowie*dział mi coś widział i słyszał...

Urwał nagle i zawołał.

— Cóż ci to? upiłeś się?

Sylwek zatoczył się od progu aż ku skrzyni i rękami szukając w powietrzu punktu oparcia bezwładnie opuścił się na ziemię.

— Upiłem się... szepnął; prawdę mówicie! upiłem się! tylko nie wódką, ale czémś takiém... ja nie wiem jak nazywa się to, czém się ja tam upiłem...

Zakrył twarz rękami i znowu wybuchnął niby płaczem, nie płaczem jednak, bo oczy miał suche, lecz jękami, krzykiem i niezrozumiałém zawodzeniem. Chwilami, z piersi jego wychodziły dziecinne prawie przewlekłe i rzewne skargi, lecz chwilami wydobywało się z nich jakby ryczenie rozwścieklonego zwierzęcia. Był to straszny wybuch natury piérwotnéj, nieposkromionéj żadną z tych władz wewnętrznych, które wytwarzają się i potężnieją pod wpływem kultury: refleksyą, wstydem lub sumieniem.

Był to wybuch człowieka dzikiego, który we krwi swéj, w każdym atomie istoty swojéj nosił zarody cywilizacyi i gwałtowne ku niéj popędy, a w którym, nurtujące go od lat wielu zawiści, gorycze, zażalenia, niezaspokojone żądze i zgwałcone skłonności dosięgły teraz kulminacyjnego punktu wzrostu swego i w piersi wznieciły mu nieugaszoną niczém pożogę i burzę.

To téż, kiedy umilkł nakoniec i opuścił ręce, twarz jego nie była ani smutną, ani rozżaloną, lecz wprost i tylko, wściekłą. Piekły ją ogniste rumieńce i wstrząsały spazmatyczne drgania.

Twarz tę, od któréj buchało gorąco, wysunął z cienia, przysunął ją blizko, blizko ku twarzy Kępy i ciężkim szeptem zapytał.

— A czy... jeżeli nie oddają, nie można wziąć?

Kępa drgnął i pobladł.

— Co... co mówicie? odszepnął.

Sylwek, pospiesznie i z namiętną gestykulacyą szeptał:

— Mówię, że buty te, w których pół świata przeskoczyć można są... tam! I wody te w których gdy człowiek zanurzy się, traci pamięć o wszystkiém co było... są tam! I pałace morskie, w których mieszkają dziewczyny białe jak perły, z włosami jak księżyc są... tam! I skrzydła na których można do wysokiego słońca lecieć są... tam! I wszystko jest tam, czego oko i ucho napić się pragną! Pójdę... i wezmę.

Kępa nagle zdmuchnął świecę, w ciemnościach zaszemrał naprzód pełen zgrozy wykrzyk: Wielki Boże! a potém słychać było długie, długie szeptanie, pełne rozmyślań z jednéj strony a uniesień z drugiéj, rozmowę dwu tych chorych, rozjątrzonych, zbuntowanych duchów.

Ani Kępa, ani témbardziéj namiętnie wzruszony towarzysz jego nie spostrzegli, że w chwili gdy izdebka napełniła się dzikiemi łkaniami i krzykami Sylwka, w kącie izby, podniosła się, zbudzona zapewne niemi, postać staréj kobiéty, pochyliła ku dwom przy skrzyni siedzącym ludziom głowę w brudną szmatę owiniętą i bacznie nasłuchiwać zaczęła. Gdy świeca zgasła wraz z piérwszym wykrzykiem Kępy zaszemrało w izdebce coś na kształt pełznącego po ziemi ludzkiego ciała...

Nazajutrz zaś, kiedy o dość późnéj godzinie dnia, po śnie krótkim i niespokojnym, Kępa otwierał oczy, w kącie izby, na garści zmiętéj słomy, stara Kępowa siedziała wyprostowana, uroczysto i zeschłym, sczerniałym palcem swym groziła synowi blizko, bardzo blizko oczu swych, napełnionych łzami.

W kilka godzin potém, Wiejską ulicą szedł Moryś Lirski, wesoły, swobodny jak ptak, oczami liczący przelatujące wrony i gwi-

żdżący przez zęby nieokreśloną jakąś śpiewkę. Wesoły był, bo na wieczorze wczorajszym bawił się wybornie a rozmarzonym nieco, bo kuzynka Aurelia nigdy jeszcze nie wydała mu się tak piękną jak wczoraj i najmniéj trzy razy przywoływała go do siebie, żądając niby drobnych przysług; Moryś jednak wiedział i najmocniéj był przekonany, że czyniła to z innych wcale pobudek. Niezawodnie, była ona nim zajętą, może już nawet rozkochaną, cóż, gdy wuj, wedle wyrażenia jego, nie miał go za bożą podszewkę a wujenka, to już doprawdy obchodziła się z nim jakby z uczniem jakim, który jeszcze z czwartéj klasy gimnazyalnéj nie wyszedł. O ten samolub! i ta godna jego małżonka! oni się za nic, za nic na uszczęśliwienie jego nie zgodzą, oni muszą koniecznie wynaléźć dla Aurelki krezusa jakiego, objadacza świata, pijawkę taką jakiemi są sami...

Tak dumał Moryś. W tém usłyszał tuż za sobą jękliwy i od starości dygocący głos żebraczki, wołający.

— Paniczu, paniczu złoty! zaczekajcie. Mam coś powiedziéć... ważnego, zaczekajcie chwileczkę.

Obejrzał się i zobaczył starą Kępową, która kijem swym o kamienie stukając, spiesznie dreptała za nim. Znał ją i jako matkę człowieka względem którego uczuwał podziw zmięszany z instynktową sympatyą, nie mógł dać jéj odprawy takiéj jakiejby nie omieszkał udzielić każdéj innéj istocie ludzkiéj jéj stanu i położenia, któraby go w dzień biały i śród ulicy zaczepić śmiała. Z niezadowoleniem połączoném z żartobliwością, zapytał.

— Czego chcecie odemnie? przecież nie o jałmużnę prosić macie u jednego z najlepszych przyjaciół mogę powiedziéć ucznia waszego syna?

Stara, obie ręce wspierając na kiju swym patrzała na niego wzrokiem dziwnym, w którym były i ból i trwoga i tajemniczość wyzywająca zda się, pytania.

— Nie jałmużny chcę ja dziś, paniczu złoty, zaczęła wstrząsając głową, z któréj na twarz pomarszczoną i zczerniałą spadały z pod brudnéj chusty białe jak mleko włosy. Nie jałmużny ja dziś chcę, powtórzyła, ale mogiły takiéj głębokiéj, żebym z za piasku żółtego nie widziała już świata... Chcę ja, nim stanę przed sądem Bożym, sumienie mieć czyste i nie dopuścić, aby sroga zbrodnia wyszła na świat z wnętrzności moich... Chcę pomówić z tobą paniczu tak, żeby nas ptak nawet żaden nie podsłuchał.

Niewiele trzeba było, aby obudzić ciekawość Morysia. Dziwny wyraz z jakim stara żebraczka w twarz mu patrzała i tajemniczość ostatnich jéj słów skłoniły go do wysłuchania jéj proźby, co zresztą, stanowiło dlań pewną rozrywkę i sposób zabicia czasu, z którym jak

zwykle nie wiedział co uczynić. Ażeby jednak nie być widzianym w tak kompromitującéj kompanii, rzucił się w boczną, pustą prawie uliczkę i spiesznie zapytał.

— I cóż tam takiego? Co? mówcie.

Stara jednak, przez chwilę mówić nie mogła; głowę spuściła a żółte pokurczone wargi jéj drżały coraz silniéj. Nakoniec, pogrążona jakby w zamyśleniu, monotonnie i trzęsąc głową mówić zaczęła.

— Powiedzcie mi, paniczu złoty... wyście wysoko urodzeni i z edukacyą pewną, powiedzcież mnie, co to takiego, ludzkość. Do połowy dni moich słowa tego ani słyszały uszy moje, potém zato słuchałam go, o mój Boże, słuchałam tak często, że mi od niego przed czasem włosy posiwiały i zgarbiły się plecy. Oj kosteczki moje kosteczki! one mi od ludzkości téj bolą. Oj wątroba moja wątroba! od ludzkości to ona mi spuchła! Powiedźcie mi, czy to jest rzecz jakaś taka wielka i taka ciężka, że jéj człowiek mizerny w żaden żywy sposób udźwignąć nie może a jeżeli ot, na grzeszny grzbiecik swój wziąć ją sprobuje to i w błoto! Jak Boga kocham, prościuteńko, z ciałem i duszą w błoto!

— Co mi to wy dziś gadacie, matko, przerwał Moryś, upiliście się może, czy co?

Wpatrzone wciąż w twarz jego oczy staréj błyszczały bolesną iskrą.

— Oj kosteczki moje, kosteczki! zawołała, piły one przez długie lata srogie bóle i zawody to i upiły się już tak, że pod ziemię im się chce. Mówię ja jemu bywało, nie raz, nie sto razy. Co to ludzkość? pokaż ty mi ją, niech ją oczy moje zobaczą i palce dotkną... po cóż tobie tak od razu skakać het, aż pod niebo wysokie. Przecież wielka bardzo drabina ta po któréj Aniołowie święci w Jakóbowym śnie wstępowali. A na piérwszym stopniu téj drabiny, toć chyba matka rodzona co cię w bólach i umartwieniach rodziła i hodowała znajduje się, a na stopniu drugim znajduje się, czy ja wiem? może ot, te kamienie po których całe życie chodzisz, może i te ludzie między którymi wyrosłeś, może... ja nie wiem... nie uczonam, ale że nie ludzkość, to pewno... bo to takie jakieś stworzenie co gdzieś za morzami i górami mieszka a w powietrzu pływa niby mgła i nie zobaczysz jéj i nie obejmiesz rękami i nie złapiesz... Musisz tylko do niéj skakać a kto skacze ten i kark złamać sobie może... Tak ja jemu mówiłam, nie słuchał, nie wierzył, skoczył i przepadł!

Moryś nie cierpliwił się już trochę.

— No matko, dość już tego paplania. Gadasz dziś jak najęta a jedno nie trzyma się drugiego. Co masz mówić to mów a nie, to puszczaj mię ztąd, bo czasu nie mam. Miał czasu aż nadto i dla tego

nie odchodził, żebraczka pochwyciła go za rękaw paltota, przysunęła się ku niemu tak, że czuł niemal oddech jéj na swéj twarzy i śpiesznie szepnęła.

— Ratujcie dusze ludzkie od zbrodni... ratujcie niewinnego od krzywdy! Powiedźcie panu temu co w tym białym domu mieszka, do którego wy chodzicie często, żeby ostrożny był... bardzo ostrożny, bo będzie źle...

Teraz Moryś pochwycił ją za ramię.

— Co? czy to o wuju moim mówisz? Czy to jemu grozi niebezpieczeństwo jakie?

Stara potwierdzająco i w milczeniu wstrząsała głową a z wyrazu twarzy jéj tak mało nawet badawczy wzrok jak Morysia, wyczytać mógł, że ani żartowała, ani kłamała.

To téż, nagląco i niecierpliwie Moryś zarzucił ją pytaniami. Co miało, co mogło zagrażać wujowi jego?

— Gadajcież, krzyknął prawie i uparcie, ponuro, milczącą kobiétą silnie wstrząsnął.

— Oj kosteczki moje kosteczki! zajęczała a po chwilowém jeszcze milczącém wahaniu się, parę słów tak cichych jak tchnienie, Morysiowi do ucha szepnęła.

— A! tak! zawołał, mimowoli cofając się o kroków parę, lecz w mgnieniu oka znowu pochwycił ramię staréj i natarczywie pytać zaczął.

— Zkąd wiesz? kto? kiedy? kto?

Jęknęła głośno i z rąk mu się wyrwała.

— Nie wiem, żałosnym głosem krzyczéć niemal zaczęła, nie wiem ani gdzie, ani kto, ani kiedy! żebyście mię paniczu trupem na miejscu położyli, nie powiem... Na rany Chrystusa Pana przysięgam, że nie powiem... Co wam do tego: gdzie, kto i kiedy.

— Jakto co do tego! zawołał Moryś, a to dobre! co mnie do tego! Chciałbym przecież złapać ptaszków i tęgiego zadać im pieprzu.

Stara z powagą wstrząsnęła głową. Coś jakby szyderstwo zadrżało pomiędzy zmarszczkami jéj twarzy.

— Nie dla tego wcale powiedziałam wam to paniczu, oj Bożeż mój, nie dla tego wcale, żebyście ich łapali i gorzkiego pieprzu zadawać im mieli. Powiedziałam wam to, bo żądam z czystém sumieniem przed blizkim sądem bożym stanąć i żądam téż, więcéj może niż zbawienia duszy własnéj, aby jedna dusza ludzka nie miała możności obciążenia się ciężkim grzechem. Młody jesteś paniczu i nie wiesz, że można srodze gniewać się, a jednakowoż miłować, wyrzekać a żałować, łajać a błogosławić... Ty nie wiesz paniczu mój wiele jeszcze rzeczy... ale ja wiem dobrze, że tacy wielmożni jak

ten pan, co wujem twoim podobno jest, mają także sposoby pilnowania domów swoich, aby ludzi pokusa nawet nie brała w szczeliny ich zaglądać. Niechże pilnuje, a ja stare kości moje pod kościół powlekę i na nieszporach prosić Boga, Ojca naszego miłosiernego, żeby mi prędzéj oczy do snu wiekuistego zamknął a na tamtym choć świecie, z łaski swéj Przenajświętszéj, objawić mi raczył, co to takiego ta ludzkość!

Odwrócila się i stękając a kijem swym o kamienie bruku uderzając, powlekła się ku środkowi miasta. Moryś stał długo jak w ziemię wryty, pogrążony cały w czynności, któréj oddawał się niezmiernie rzadko, w myśleniu. Potém, podniósł twarz drgającą całą od uśmiechu, klasnął w palce i zawołał. Mam cię ptaszku! mam!

A patrząc w stronę, w któréj zniknęła stara żebraczka, śmiejąc się już głośno prawie, dodał.

— Niby to nie powiedziałaś, wiedźmo kijowska, kto i co a ja wiem! Ech! doprawdy! głowę nie dla proporcyi na karku noszę. Wiem. Nie darmo cygańskie oczy te dwa razy już za oknem wujaszka zobaczyłem. Mam cię ptaszku!

Zamyślił się znowu i z troską, która nagle odmalowała się mu na twarzy, zapytał siebie.

— Ale co teraz robić? jak zrobić? Wiedźma wygadała się... podobno tam i mistrz mój paluszki swoje umoczyć chce a jeżeli jemu noga pośliznie się... co będzie z odrodzeniem się świata?... z ideą? Co tu robić? co robić.

Z palcem w głębokiéj zadumie do ust przyłożonym, od chwili do chwili, muskając rudawy wąsik, albo wznosząc oczy ku wronom przelatującym pod niebem, Moryś, przechadzał się długo po najustronniejszéj części miasta. Pragnął snać być samotnym, bo unikał ulic ludnych a toczył z samym sobą rozmowę pełną świetnych pomysłów, to znowu smutnych wątpliwości, bo zadumana twarz jego zachmurzała się i rozjaśniała z kolei, wyrażała na przemian tryumf pełen radości, to głęboki na duchu upadek. Wieczór był późny już i ciemny, pora w któréj zwykle pijał herbatę przeszła już była dawno, gdy nakoniec, wrócił do domu.

W skromnym, lecz wygodnym i czystym jak kryształ saloniku, który zarazem był sypialnią Morysia, Lirska oczekiwała syna z utęsknieniem i niepokojem. Samowar wciąż odgrzewany kipiał i dymił się na stole, łóżko uściełane zwykle własnemi rękami Lirskiéj, piętrzyło się miękkiemi poduszkami, woniało uperfumowaną bielizną, lśniło jedwabną w hafty zdobną kołdrą. Przy samowarze stała przygotowana przekąska i butelka najdoskonalszego Jamajskiego rumu. Jakież jednak zdziwienie i jaka trwoga ogarnęły Lirską, gdy

syn jéj zdjąwszy paltot i kapelusz, na przekąskę przelotnego nawet wejrzenia nie rzucił zamyślony niezmiernie, muskając z lekka wąsiki i uśmiechając się do siebie, począł wielkimi krokami po saloniku chodzić.

— Morysiu! zaczęła Lirska, czy byłeś gdzie na herbacie?

Nie, odpowiedział.

— Morysiu, powtórzyła, doskonała szynka i rum..

Stanął i gniewnie zawołał.

— Czy mama będzie kiedy cicho, czy nie? o to doprawdy, męka czysta! tra ta ta! tra ta ta! tra ta ta nad uchem! pomyśléć nawet spokojnie nie można.

Grobowe milczenie zapanowało w pokoju. Lirska ze schyloną głową pogrążyła się w szydełkowéj robocie swéj i tylko od czasu do czasu, ze zniecierpliwieniem oglądała się na szumiący samowar. Zdawało się, że chciała nań zawołać. Cichoże! nie przeszkadzaj mu myśléć!

Nagle, pośrodku pokoju, rozległ się wykrzyk Morysia.

— Zdecydowałem się! jak Boga kocham, niech sobie już będzie co chce. Zdecydowałem się...

Zbliżył się do stołu, porwał przygotowaną dlań szklankę herbaty z rumem a przełknąwszy od razu, połowę prawie zawartości jéj, spotkał się z utkwionym weń, lękliwie pytającym wzrokiem matki. Parsknął śmiechem.

— Co mama na mnie tak patrzy, jakby mi rogi na głowie wyrosły! zawołał a potém, puszczając się znowu na przechadzkę swą po pokoju, mówić zaczął.

— Rogi mi na głowie nie wyrosły, ale żem urósł sam, to pewnie. Ho, ho! figura teraz ze mnie... nie mała! Wié mama? losy kilku ludzi w ręku swojém trzymam i stanie się z nimi to, co ja zechcę, aby się stało... ale ja już wiem czego chcę. Zdecydowałem się... Wié mama, że dziwne dziwy dzieją się czasem na tym świecie?

Lirska z cicha odpowiedziała.

— Nic nie wiem, moje dziecko i nic nie rozumiem, ale boję się czyś trochę nie chory, bo takie masz rumieńce i błyszczące oczy...

— To ze wzruszenia, odrzekł Moryś, chory nie jestem ani trochę, ale bardzo wzruszony. Jest bo czego! No, jednę rzecz to już mogę mamie powiedziéć... ale nie poleci mama jutro z językiem nigdzie i nie rozpowié? pewno?

— Mój Morysiu, zaczęła, kiedyż to ja gdziekolwiek z językiem...

Nie dokończyła, bo pochylił się ku niéj i tajemniczym szeptem, mówić zaczął.

— Położenie jest takie... niech mama tylko dobrze słucha... położenie jest takie, że jeżeli ja, słyszy mama? ja, nie przyjdę mu z pomocą... Tu głosem pianie koguta nieco przypominającym dokończył.

— Wujaszeczek kochany cienko zaśpiewa!

— A niechże Pan Bóg broni! zawołała Lirska, dla czego on ma cienko śpiewać!

— Dla czego? dla czego? a dla czego mama nie mądra? ot tak sobie... przez jakieś zrządzenie Boże i koniec! tak samo i to! przeznaczenie znać chciało, abym był takim ubogim rycerzem jak ten, który uratował królowi życie i któremu za to król, córkę swą i połowę królestwa swego oddał.

— Mój Morysiu, tobie się chyba coś stało...

— Stało się! co miało stać się? Stanie się jeszcze coś... to pewno, ale coś takiego, że mama ze zdziwienia chyba jak żona Lotowa w słup soli się zamieni... Przybliża się już, moja mamo, czas wielkich katastrof... ta o któréj ja wiem ma być zapewne katastrofą pierwszą, no, ale niech już sobie z innego końca zaczynają... albo to świat bez téj jednéj katastrofy odrodzić się nie może?

Dokończył pić herbatę i z wyraźném zadowoleniem śledził na twarzy matki wrażenia, które na nią słowa jego sprawiały. Rozkoszował się nową mu rolą sfinksa a język aż palił się mu od wielkiéj chęci wygadania wszystkich nadzwyczajności, któremi był przepełniony.

Skrzyżował ramiona i zapytał.

— Czy mama wié, co to: idea?

— Dla czegóżbym wiedziéć nie miała, dziecko moje? idea jest pojęciem o czémś...

— Otóż to; idea jest pojęciem o czémś. Bardzo dobrze mama się wyraziła. Jest to pojęcie o czémś wielkiém, ogromném, nadzwyczajném, o czémś takiém, co ma odrodzić i uszczęśliwić ludzkość. Czy mama wié, że ja niedawno, ot, w początku jesieni jakoś, poznałem się z jedną taką ideą, bardzo ją pokochałem i chciałem był poświęcić się na jéj usługi. Ale teraz... pomyślałem sobie: albo to mało jest ludzi na tym świecie? Niechaj sobie służą idei, bezemnie obejdzie się ona i postanowiłem służyć samemu sobie...

Zsunął brwi a pełnym powagi krokiem przechadzając się znowu po pokoju, z oratorskiemi gestami, mówił.

— Bo przekonałem się zresztą i *on* już także przekonał się, że świat nie na miłości stoi, ale na nienawiści. Nie miłość jest sprężyną poruszającą ludzkiemi czynami, ale nienawiść. Przekonałem się o tém z doświadczenia. Żebym cygana tego nie nienawidził, możebym i nie zrobił tego co zrobię, ale ja jego tak nienawidzę. Uf!

Uczynił obu rękami gest taki jakby komu szyję skręcał i stanął przed matką.

— Czy mama wié, zaczął uroczystym głosem, że jest na świecie człowiek jeden, który mi raz wielką, ale to bardzo wielką nieprzyjemność zrobił... Nie cierpię go tak, że kiedy na niego patrzę, wszystkie złości mię biorą i żałuję, że nie jestem pszczołą, aby mu żądło aż w samo serce zapuścić... Otóż teraz będę pszczołą taką!... otóż zgniotę! otóż pomszczę się! ha! aż Aniołowie w niebie razem zemną śmiać się będą!

Tymczasem, śmiał się już sam, bez anielskiego akompaniamentu. Blade oczy jego błyszczały gorączkowo, z lekka czerwonawa cera zachodziła ciemnym rumieńcem.

Lirska zaczęła już drżéć z niepokoju.

— Mój Morysiu, zaczęła błagalnie, możebyś położył się już, uspokoił. Ja nie wiem co ci jest, ale lękam się...

— Nudna mama jesteś z tém swojém wiecznėm lękam się! ale istotnie, położę się z ochotą. Czuję się zmęczonym trochę... Prawdę to jednak mówią ludzie, że praca umysłowa to djabelnie męcząca rzecz... Napracowałem się... aż mi głowa zaczęła boléć!

Lirska zakrzątnęła się pospiesznie; postawiła przy łóżku syna wodę, sok, trochę konfitur, flakonik z perfumą a potém, jak małe dziecko, rozebrała go własnemi rękami i gorąco w czoło ucałowała. Moryś, topiąc się w puchach, pocałował też matkę w obie ręce i przymilając się do niéj rzekł:

— Ot, dobra z mamy kobiécina i jeżeli ja mamę czasem, słowem jakiem obrażę, to przez prędkość tylko... doprawdy! proszę nie gniewać się na mnie i dobrze spać!

A gdy ze łzami rozczulenia w oczach i radośnym uśmiechem na twarzy odchodziła, zawołał jeszcze.

— Ja przecież staram się i różne plany obmyślam nietylko dla siebie, ale też i dla mamy, bo jak mnie będzie dobrze na świecie, to i mama będzie szczęśliwa, prawda? Kiedy zostanę wielkim panem i z Aurelką ożenię się, mama będzie mieszkać sobie przy nas, jak u Pana Boga za piecem i ptasiego mleka nawet mamie nie zabraknie, jak Boga kocham!

Lirska nie odpowiedziała, bo w ciasnéj szufladce swéj rozbierając się, półgłosem odmawiała pacierze; tylko mruczenie jéj wzdęło się radośnemi jakby i błogosławiącemi westchnieniami.

W godzinę potém, w ciemności napełniającéj mieszkanie, ozwał się jeszcze głos Morysia.

— Czy mama nie śpi?

— Nie spię, moje dziecko, jestem trochę niespokojną o ciebie i nie spię...

— I ja nie mogę spać! jęknął Moryś, rzucam się po łóżku jak ryba w wodzie, nie mogę...

Tu ziewnął szeroko, ale w przyległéj szufladzie zaszeleściło tak jakby ktoś zrywał się z łóżka...

— Może ci czego potrzeba? zapytała Lirska, herbaty ci może zrobić? a może trochę laurowych kropel dla uspokojenia nerwów?

W odpowiedź na te pełne troskliwości pytanie, ozwał się w saloniku przyciszony, ale serdeczny śmiech.

— Jak Boga kocham! zawołał Moryś, aż mi serce skacze od śmiechu, kiedy sobie pomyślę, jakto wkrótce wujaszeczek cienko zemną zaśpiewa!...

VII.

Nigdy jeszcze w burzliwém jednak życiu swojém, Szymon Kępa tak bardzo wzburzonym nie był, jak gdy następnego dnia, do izdebki jego wszedł Maurycy Lirski. Stał on pośrodku izdebki, z rękami rozkrzyżowanemi w powietrzu i z uniesieniem niezmiernėm przemawiał do Sylwka, który siedząc na ziemi przed pełnym żaru piecem, z pozoru przynajmniéj, zajęty był pieczeniem kartofli. Na widok wchodzącego, Kępa urwał mowę swą w połowie wyrazu i zaszamotał się, jak człowiek pochwycony znienacka śród tajemnych czynności czy myśli i nie wiedzący co mówić lub czynić mu wypada. Lecz wesołość i swoboda humoru, którą od samego wejścia okazał Moryś, oprzytomniła go wkrótce.

— Mówiliśmy, jąkając się i z nieprzytomnym jeszcze trochę wzrokiem rzekł do gościa, mówiliśmy tu o wpływie, który wywrzéć muszą na przyszłość ludzkości wielkie katastrofy, które w uśpione jéj sumienie jak grom uderzą...

— A! wielkie katastrofy, powtórzył Moryś, rozumiem, mówiłeś już mi pan o nich nieraz. Sądzisz więc pan, że sumienie ludzkości jest uśpione? słowo honoru, lubię za to tę ludzkość; że tak sobie drzémie, bo i sam dziś chciałbym to tylko czynić. Tak się téj zimy bawię, że nigdy wyspany nie jestem. Zawczoraj naprzykład, u wujaszka na muzykalnym wieczorze bawiono się do piątéj... A śliczny był wieczór, prawda?

Ostatnie pytanie to skierował najwyraźniéj ku Sylwkowi, który téż zwrócił ku niemu twarz swą oblaną czerwonem światłem żaru

i przez ostatnie dni widocznie zmienioną. Policzki mu schudły i zapadły oczy. Za całą odpowiedź obojętnie wzruszył ramionami.

— No nie zapieraj się pan, zaśmiał się Moryś, widziałeś doskonale wieczór ten, bo patrzałeś przez okno, nikt tego nie spostrzegł, ale ja...

— A no patrzałem, śmiało patrząc mu w twarz odrzekł Sylwek. Myślicie, że zapierać się będę? Alboż zjadłem wam kawałek téj waszéj zabawy?

— Ależ nie! gdzie tam! i żebyś zresztą nadgryzł jéj trochę, nicby w tém złego nie było. Możnaby ztamtąd nietylko cząsteczkę jakąś, ale połowę wziąć i jeszczeby tyle zostało, że w przyjemnościach różnego rodzaju, wujaszek z całą familią swoją kąpaćby się mógł aż po włosy. Strach jaki on bogaty! W biórku jego, w jednéj szufladzie, widziałem na własne oczy przynajmniej trzydzieści tysięcy, w biletach bankowych, cały posag Aurelki. U wujenki brylantów i różnych drogich kamieni choć przesypywać garściami. A srebro stołowe, a futra kosztowne... he, będzie tam tego wszystkiego razem na jakie pół milionika najmniéj...

Tryumfującym wzrokiem potoczył do koła, bo w jakichkolwiek tajemnych zamiarach opowiadał on o bogactwach krewnego swego, chełpienie się tém, że był to jego krewny sprawiało mu żywą przyjemność. Pomimo jednak, że wyraz oczu jego był tryumfującym, był on też zarazem badawczym i przenikliwym. Nie uszło też jego uwagi, że spojrzenia dwóch obecnych ludzi nagle spotkały się z sobą i rozbiegły się wnet z błyskawiczną szybkością, poczém Sylwek patrzał w czerwony żar nieruchomém okiem a źrenice Kępy znowu na chwilę zmąciły się wyrazem bezprzytomności. Moryś wygodniéj rozsiadł się na pieńku, który służył mu za siedzenie i z nieporównaną swobodą wymowy i humoru daléj prawić zaczął.

— Dziwna to jest rzecz moi panowie, jak dalece piekielna pycha zaślepia tych krezusów i objadaczy świata. Myślą oni, że są tak wielkimi, ale to tak wielkimi, że nikt i nic szkody im żadnéj przynieść nie ośmieli się, że sam Pan Bóg rozkazał katastrofom wszelkim, aby dotykać ich nie śmiały. Oni myślą, że wszyscy ich jak panów bogów szanować muszą. Wujaszek naprzykład... co za nieostrożność z pychy i wiecznéj pomyślności pochodząca! będąc tak bogatym, bogactwa swego strzeże tak, jak ja z przeproszeniem, parę starych butów. Nic tam nigdy nie zamknięte, nie pilnowane. Nie raz mówiłem mu, że będzie kiedyś katastrofa, odpowiada, że całe życie tak przebył i nigdy mu się nic nie stało... Co to panu? sparzyłeś się?

Pytanie to skierowane było znowu do Sylwka, który istotnie przeciągle syknął. Tym razem jednak chłopak nie odwrócił twarzy

a machinalnie wygrzebując z popiołu kartofle, odmruknął raczéj niż odpowiedział.

— Nie, nie sparzyłem się. Albo to od ognia tylko boli gdy go dotknąć...

— Aha! wiele, wiele rzeczy na świecie boli! Ot jak pan, panie Kępa, dzieło swoje wydrukujesz i jak sprawiedliwość stanie się już na świecie, nikogo już nic boléć nie będzie. Ale wracając do wujaszka... bo mam tam nimi teraz głowę nabitą... jadą dziś wszyscy całą czeredą na bal, najstarszy lokaj, który porządku w domu dogląda jedzie z nimi, a w domu tak: chłopcy z kredensu do suteren, z kucharzem i kuchcikami w karty grać! panna służąca do znajomych, hulać! pokojówki na górę, na alkę i śpią jak zabite...

Tu, pochwycił nagle kapelusz i zerwał się z pieńka.

— Aj, zagadałem się, zawołał, a mama z obiadem czeka i sam djabelnie jestem głodny. Panie Kępa, przyrzekłeś mi pan już dawno przeczytać najważniejszy rozdział swego dzieła, ten, o suchych drzewach na spalenie przeznaczonych. Przyjdę jutro, trochę wcześniéj i będę korzystał... A i pan idziesz także?

Sylwek istotnie z pośpiechem wciągnął na siebie bluzę, na plecy wziął katarynkę i stanął przy drzwiach.

— Jeżeli pan pozwoli... jeżeli pan wstydzić się nie będzie kompanii mojéj, rzekł z cicha, pójdziem razem kawałek drogi, tylko do któréj ze środkowych ulic i... pogawędzim.

— I owszem i owszem, z niezmierną uprzejmością zgodził się Moryś.

Wyszli obaj. Sylwek wrócił do izdebki ledwie o zmroku. Postawił na ziemi katarynkę, usiadł na niéj i odezwał się.

— Dziś... mój dzień.

— Dziś! jak echo, lecz echo grozy pełne powtórzył w zmroku Kępa. Potém, po chwilowém milczeniu, zwolna, z powagą wielką i głębokim smutkiem mówić zaczął.

— Nie tego pragnąłem... nie o tém marzyłem, nie takiemi sposoby zamierzałem piérwotnie odrodzić ludzkość. Ale idea moja ma wymagania swe dziwne, niepojęte, rozwoje przyczyn i następstw nieprzewidziane a człowiek, chociażby tak jak ja, miał wolę najsilniejszą i najpotężniejszy rozum, jest jako kula, która toczy się nie tą drogą, którą sobie obrała, ale na którą popycha ją punkt jéj wyjścia. U punktu wyjścia mego była miłość, sama tylko przeczysta i przegorąca miłość, lecz Wielki Boże! ileż żywiołów innych przybrała w siebie ta piérwotna sprężyna życia mego, tocząc się drogą pełną kamieni obrazy i fatów morganów, pełną przeróżnych nadziei, zawodów i nędz...

Po chwili milczenia zaczął znowu.

— Marzyłem o tłumnych scenach, zbiorowych działaniach, o katastrofach, któreby rozeszły się od końca do końca świata i postać jego szybko od razu zmieniły. Tymczasem, ciasne ramy ziemskiego życia strasznie zwęziły mi wymarzone obrazy. Zgodzić się muszę z twardą rzeczywistością, działać dorywczo, karcić i zawstydzać jednostki i jednostki téż popychać ku domierzaniu sprawiedliwości.

Milczał znowu chwilę, potém z wielkim wybuchem głosu, tak zupełnie, jakby w tej chwili dokonał uszczęśliwiającego jakiegoś odkrycia, zawołał.

— Bo i w istocie, dla czegóż miałoby być wzbronionémjednostce to, co wedle idei mojéj jest świętém prawem tłumów!

W cieniu, odezwał się przytłumiony, ponury głos.

— Gdym dzieckiem był powiedziałeś mi, żem srodze skrzywdzony przez jednego z tych, którzy mieszkają tam, wysoko. Powiedziałeś mi, że miejsce moje własne i rodzone znajduje się tam, wysoko. Powiedziałeś mi, żebym rósł na to, aby uczynić pomstę. Pytałem się potém każdej godziny i każdej minuty mego życia, czy mówiłeś mi prawdę a każda godzina i minuta i każda kropla własnej mojéj krwi, krzyczały: prawda! prawda! prawda!... Darmo, darmo teraz, wczoraj i dziś, zawodziłeś zemną sprzeczki. Co kamieniem ciężkim wpadło w serce, to zeń nie wypadnie, co we wnętrznościach człowieka rosło przez długie lata, tego w jednéj minucie nie zdmuchnąć, nie zniweczyć. Kiedy przyszedł mój dzień, kiedy idę naprawiać krzywdę swoję, pomstę czynić i zabierać sobie rodzone miejsce swoje, które jest tam, wysoko;—nie przeszkadzaj, nie zabraniaj,—nie posłucham.

Długo, godzinę może całą, milczeli obaj. Potém szept głośny i wyraźny, rzucił w zmrok, jeden tylko wyraz.

— Idź.

Sylwek wstał i wyszedł z izdebki. Kępa zapalił świeczkę i stojąc nad skrzynią ze skrzyżowanemi ramiony a w rozrzucone arkusze rękopismu swego wbijając wzrok, z nieopisaném, radości pełném szyderstwem mówić zaczął.

Jestem więc jednym z tych głupców, którym się wydaje, że świat na to został zrobionym, aby go oni przerabiać mogli. Tak powiedziałeś o mnie, ty, wielki, który ciężkim cieniem ległeś na drodze mojéj. Zobaczymy teraz, kto z nas możniejszy i czy głupiec ten, ten waryat, na świetną dolę twoję opuścić też nie potrafi ciężkiego cienia. Jakkolwiek stanie się, czy dziecko to, z ognistej próby tej wyj-

dzie tak czy inaczej, ja, ja zatruję ci serce i życie. To będzie roskosz moja, korzyść moja cała, nagroda moja za wszystko a pożytek dla świata jaki? Oto widok i odgłos wielkiej katastrofy, od której zadrżéć musi sumienie ludzkości.

W kącie izby, stała niewielkich rozmiarów z prostych i starych desek zbita, skrzynka Sylwka. Kępa, z elastycznością zwierzęcia rzucającego się na łup swój, poskoczył ku niej, grzebał w niej chwilę, aż w kieszeni starej jakiéjś odzieży, wynalazł zżółkły i zmięty arkusz papiéru, pośpiesznie zasunął go za surdut swój, który szczelnie i uważnie zapiął aż po brodę.

W téj chwili Sylwek wszedł na dziedziniec Szarskich i zatrzymał się przed otwartemi drzwiami starej drwalni.

— Antka! Antka! zawołał półgłosem.

— Ha? ozwało się lakoniczne pytanie, kędyś w górze i dał się słyszéć szelest zsuwającego się z dachu ciała.

Dziewczyna w krótkiej spódnicy i rozwartej u piersi koszuli, ze zwinnością małpią czepiała się przez chwilę gzémsów i belek a potém, ze znacznéj jeszcze wysokości, lekko jak pióro na ziemię skoczyła.

— Czego? zapytała i wnet podnosząc twarz ku szczytowi dachu wołać zaczęła.

Kici! kici! kici!

— Antka!... zaczął Sylwek, ale ona nie słuchała go.

Tą samą drogą, którą schodziła, żółty kot złaził z dachu, z najniższego gzémsu wprost na ramię jej skoczył i wplątał się w rozpuszczone jej włosy tak, że aż syknęła. Nie skarciła go jednak za ból, który jej sprawił, tylko pogrążyła się całkiem w wydobywaniu włosów swych z drapieżnych jego uścisków.

— Rzuć precz to zwierzę! krzyknął prawie Sylwek, lecz ona odskoczyła i spójrzała na niego oczami w zmroku nawet błyszczącemi od gniewu.

— Rzuć! krzyknęła, jak raz! rzuć! kici, kici moje! kici kici!

— No to słuchaj, głupia dziewko, co ci powiem, uważnie tylko słuchaj. Czy znasz biały ten dom, duży, co tam, na Wiejskiej ulicy, za temi pustemi ogrodami i za tą gromadą drzew, w wielkim dziedzińcu stoi...

Ajaj! odpowiedziała i wykonała piruetę, w której nogi jej zatrzepotały w powietrzu jak skrzydła ptasie.

Sylwek wiedział, że była to zwykła jéj twierdząca odpowiedź. Bardziej jeszcze zniżonym głosem zapytał.

— A wiesz najlepszą drogę do tego domu?

— Ajaj! wykrzyknęła znowu i tym razem nie siebie samę, ale kota swego wyrzuciła w powietrze.

— Ale taką drogę, słyszysz? którą nikt... nikt... nigdy nie chodzi...

— Oj oj! odpowiedziała i obu ramionami tuląc do piersi kota a gorliwie zajęta jak najlepszém ukrywaniem go w zgarniętych na piersi włosach, recytować zaczęła.

— Hyc! przez płot, na zagony, w prawo, pod krzakami.. aż do dziury w chlewie tym co wali się...

Szmyk! przez dziurę, koło parkanu wysokiego, gdzie furtka ze szczeliną, co w nią jak palec włożył to i klamkę z tamtej strony otworzył... przez furtkę, między dzewa! od drzewa do drzewa i pod samiuteńkie okna!

— Poprowadzisz? zaszemrał w zmroku głos cichy jak tchnienie.

— Cha cha cha! cha cha cha! cha cha cha! rozległ się śmiech szalony i niewielka postać niby ludzka, z długiemi nogami a rozwiewającemi się włosy, wykonywała pod ścianą drwalni napowietrzne, niby skrzydłami ptasiemi, łopocące skoki.

— Cicho! waryatko! szepnął gwałtownie niewielki też cień, który wysunął się z czarnego jak otchłań wnętrza drwalni i schwyciwszy wpół, ręką jej usta przycisnął.

— Damek! zadusisz! krzyknęła Antka.

— A ja wam niepotrzebny? cichutko zapytał Sylwka syn Szarskiego.

Sylwek odszepnął mu jeden tylko wyraz.

— Dobrze, odpowiedział chłopiec, dla czego nie? byliście zawsze dobrzy dla nas wszystkich. Co mi to szkodzi przysługę wam oddać. Gdzież i kiedy przynieść wam to żelaztwo.

— Jak pierwsza wybije na kościelnej wieży... od Chaima wyjdę..

Jakby mu rozmowa ta strasznie ciężyła, odwrócił się szybko i odszedł.

W handlu Chaima, przez całe prawie noce, żółty płomyk świecił w odymionym kominie lampki i rozczochrana dziéwka, ze wschodniém, płomienném okiem, zawieszona na wysokim stołku, bezmyślnie wpatrywała się w ściany okryte pudełkami z tytuniem. Nocy téj, dziéwka ta miała chwilę przestrachu, gdy z idyotycznéj zadumy jéj wyrwał ją stuk gwałtownie otwierających się drzwi i gdy zobaczyła wchodzącego przez nie człowieka, który znajomym jej był wprawdzie, ale przystąpił do bufetu takim krokiem i z takim wyrazem twarzy, że mimowoli i instynktownie, krzyknęła.

— Tate! tate!

Z za drzwiczek przysłoniętych z wewnątrz firanką, pośpiesznie wysunął się Chaim.

— Wódki! stłumionym głosem i ze spuszczonemi oczami zawołał gość.

W mgnieniu oka Chaim podał mu blaszaną czarkę pełną żądanego napoju. Gość wychylił ją od razu, zakrztusił się, spąsowiał cały i oddając ją gospodarzowi handlu, głucho wymówił.

— Jeszcze!

— Nu, co waści stało się, panie cmentarnik, zagadał żyd; waść jeszcze jak żyw, kruczka wódki u mnie nie wypiłeś a dziś... no, węglem na kominie zapisać...

Wypił i drugą czarkę. Żyd mówił prawdę. Musiał on mieć dotąd wstręt do wódki i nie pić jéj nigdy, bo nieprzyzwyczajony, po dwu jéj czarkach, zachwiał się na nogach, zatoczył aż pod ścianę i stał tam chwilę z czołem do pudełek z tytuniem przyciśniętém. Upojenie to przecież, było chwilowém. Przeciągły, basowy, jeden tylko dźwięk, zdala kędyś, ze środka miasta dolatujący, rozbrzmiał w powietrzu.

— Pierwsza bije! zauważył Chaim.

Rozczochrana dziéwka głośno i szeroko ziewnęła. Cmentarnik wyprostował się i wyszedł z szynku, na zaułek.

Tu, przy ścianie domostwa, nad rynsztokiem, podniosło się, jakby z ziemi wyrosło, kilka niewielkich cieniów.

— W drogę szczury... o tam... co będę wam rzucał, łapcie!

Jeden z cieniów pomknął przodem, biegł chwilę wzdłuż starego parkanu, potém, wdrapał się na szczyt jego i giętkie ciało ku towarzyszom wyginając, zawołał z cichym chichotem. Kici! kici! kici! kici!

W pobliżu, kędyś za węgłem jakiegoś domostwa rozległ się szept radosny. Mam cię ptaszku! mam cię Aurelko!

I szczupły, wysmukły człowiek śpiesznie podążył w stronę zaułka, wiodącą ku szerszym i widniejszym ulicom.

Nie wiele później Kępa także, opuścił swą izbebkę i powolnym uroczystym krokiem posuwał się w tym samym kierunku, choć inną drogą.

Tytus Tarżyc na bal nie pojechał. Kiedy córka jego, oplatając mu szyję ramiony swemi i pocałunkami czoło okrywając, prosiła go aby towarzyszył jéj na tę świetną zabawę, która bez niego, będzie dla niej smutną, śmiejąc się odpowiedział, że widocznie stworzony

jest na wieśniaka i hreczkosieja, bo zmęczonym czuje się trochę tém arcy światowém życiem, które w mieście prowadzić musi; że tęskni za chwilą ciszy i samotności; że od miesiąca już książki żadnej otworzyć nie miał czasu; że tylko obowiązek zapoznania ją z ludźmi, pośród których żyć jéj przyjdzie i wielka też chęć pochwalenia się nią przed ludźmi, skłonić go mogły na starość, do rzucenia się w wir wizyt tych, wieczorów i zabaw wszelkich... A gdy, jak rozpieszczone dziecko, nieprzywykłe do przeciwności najlżejszej, zachmurzyła się nieco, z powagą rzekł.

— Jedziesz z matką, pod szanowną i przez wszystkich szanowaną jéj opieką a jakkolwiek ja tam z tobą nie będę nie przestanie strzedz i osłaniać cię to, że jesteś moją córką.

Niewiele przed północą zaturkotały na dziedzińcu koła karéty, Aurelja, wesoła już, piękna, strojna, wybiegła z głębi mieszkania i rzuciła się ojcu na szyję. Pożegnanie trwało długo. Nie rozstawali się z sobą nigdy prawie, nie mogli się téż od siebie oderwać.

— Ojcze! ojcze! konwalje moje! zawołała dziewczyna, gdy zbyt mocno przycisnął ją do piersi a ukazawszy ojcu kilka zgniecionych u sukni kwiatów, rzuciła mu w powietrzu ostatni pocałunek i pobiegła ku matce, którą on pośpieszył okryć troskliwie kosztowném futrem. Ucałował potém ręce żony i gdy turkot karéty oddalił się od okien a służba pogasiwszy światła w pokojach, zniknęła, z zapaloną lampą w ręku, wszedł do gabinetu swego. Był to piękny, obszerny pokój, pełen sprzętów wygodnych i wytwornych, z wielkiém biórem pośrodku, ozdobnie przybraném, okrytém książkami. Tytuły książek okrywających bióro i parę wysmukłych, zgrabnych etażerek, obrazy zdobiące ściany, pianino otwarte, z pulpitem obciążonym nutami, świadczyły o wykształceniu właściciela pokoju tego wysokiém, lecz przeważnie i może nawet wyłącznie artystyczném. Artystyczne to może skłonności i zajęcia sprawiały, że pośród światowego gwaru, w którym od paru miesięcy zostawał a który przecież złożonym był z samych tylko miłych dlań wielostronnie żywiołów, tęsknił on za chwilą ciszy i samotności, pragnął skupić się w sobie, nad tém co było zastanowić się i o tém co będzie pomarzyć. Jak wszyscy ludzie, których życie kołysało miękkiemi pieszczoty a piękno pała nektarem szlachetnych i roskosznych wzruszeń, lubił on niekiedy samotnie i w niezmąconym spokoju myśléć i marzyć.

Teraz, dom jego pustym był i cichym.

Usiadł przy biórku, wziął do ręki książkę i czytał ją chwil kilka. Widać jednak było, że nie do czytania czuł się usposobionym. Aurelka, śliczna córka jego, w balowym stroju i z licem spłonioném nadzieją zabawy, jak zaklęta stała mu przed oczami. Pomyślał

najprzód, że wkrótce, wkrótce zapewno przyjdzie mu rozstać się z dzieckiem tém, które stanowiło przeważną część jego szczęścia. Westchnął i pomyślał znowu, że znajduje się w bardzo ważnej epoce życia swego. Wiek jego był tym, w którym człowiek nie tracąc jeszcze energii młodości czuje przecież zbliżający się jéj koniec. Włosy zaczynały coraz gęściej srebrzyć się mu nad skrońmi, jedyne dziecko jego dorosło i rozpocząć miało wkrótce życie samoistne, stać się ogniskiem i zawiązkiem rodziny innéj. Mógł więc powiedzićć sobie, że dzień jego pochyla się ku końcowi i że wszystko, co odtąd dlań nastąpi, będzie długim może, pogodnym zapewne, lecz już—wieczorem. Myśl ta przecież nie zasmuciła go wcale, tylko nasunęła mu dwa pytania: czy przez dość długi już szereg lat przeżytych był szczęśliwym i czy na szczęście swoje zasłużył? Na pierwsze z pytań tych, bez chwili wahania, odpowiedział sobie twierdząco. Tak; dola jego była jednym z tych promienistych szlaków, które z rzadka, niby dla dania wypoczynku zmęczonym oczom ludzkim, przewijają się pośród ziemskich niedostatków i nędz. Były zapewne na szlaku tym i ciemne także punkty, przedstawiające chwilowe troski, konieczne i naturalne straty, cierpienia nie z osobistych źródeł płynące. Lecz były to punkty drobne, szybko znikające, nieliczne. Zresztą, wszystko mu się zawsze wiodło, wszystko mu sprzyjało. Dobre wieszczki dostatków, stanowiska społecznego, zewnętrznych darów, które dla posiadaczy ich serca ludzkie jednają, dobre te wieszczki splotłszy się w wieniec z mocami krzeszącemi we wnętrzu człowieka zdolność poznania i ukochania piękna, w chwili urodzin jego otoczyły jego kolebkę i wiernie już towarzyszyły mu aż do chwili obecnej. Nad drugiém jednak pytaniem samemu sobie zadaném, Tarżyc zadumał się długo i głęboko. Czy był godnym szczęścia swego? Któryż człowiek z sercem w piersi i sumieniem wykształconém przez myśl oświeconą, na pytanie podobne, bez namysłu i wahania, odpowiedzićć sobie może: tak! Tarżyc jednak, czuł w téj chwili głęboką, niezmożoną potrzebę, zdania przed samym sobą rachunku z życia tego, o którém wprzódy śmiało już był powiedział sobie, że było szczęśliwém. Nie należał on do tych, którzy radzi są mówić sobie i innym: jesteśmy wielcy! Lecz także nie zeznał tego przed sobą, aby był małym. Z ręką na piersi położoną, pomyślał, że przecież, spełnił chyba wszystkie obowiązki, które w spuściznie pozostawili mu przodkowie i które następnie włożyły nań okoliczności i koleje własnego jego losu. Nie zmarnował dóbr pozostawionych mu w darze przez pracę kilku zbiegłych pokoleń, nie oddał na pastwę ruinie i zatracie, jak to czyniło tylu innych, ścian rodzinnego domu i ziemi, w której spoczywały czczone przezeń zawsze popioły ojców.

Rodzinne życie jego płynęło bez burz i niezgód, owszem, w czystéj i spokojnéj atmosferze serdecznych uczuć, które, przez przybycie na świat jedynego dziecka, wzmogły się w potęgę i w dalszą już przyszłość sięgnęły. Czy dostatków, których używał sam, skąpił i strzegł przed innymi? Nie, jeżeli cokolwiek wyrzucać sobie mógł, to chyba zbytnią skłonność do czynienia dobrodziejstw, które często na niewdzięczną padały glebę. Czy wytwarzał z nich mętne źródło występnych i poniżających uciech? Nie, sztuka i szlachetne roskosze przez nią sprawiane były zawsze namiętnością jego, najżywszą uciechą, przedmiotem, dla którego poświęcić był zawsze gotów część mienia swego i czasu.. Z resztą, cóż? Honor jego, rodowy klejnot ten, który wraz z tarczą herbową, po długim szeregu nieskazitelnych, często nawet wielkich przodków swych otrzymał, nieskazitelnym téż i najmniejszą szczerbą nienadwerężonym przekazać mógł jedynemu dziecku swemu. Wyryte na klejnocie tym słowa: „Szlachectwo obowiązuje“, świeciły mu zawsze przed oczami, jak rozkaz wykrzykiwany doń przez przeszłość wiekową, od rozkazu tego nie uchylił się nigdy, cześć imienia swego, cześć swą szlachecką i ludzką, mogąc w każdej chwili, niby księgę o białych kartach, przedstawić przed światem, aby w nią patrzał.

Nie idzie zatém, aby Tarżyc w cichej tej i szczerej zupełnie spowiedzi przed samym sobą uczynionej, uznał się za świętego, za wolnego od wszelkich błędów i grzechów. Były to przecież błędy małego znaczenia, grzechy powszednie, z naturalnéj i powszechnéj ułomności ludzkiej płynące. W młodości swej żywym był, gwałtownym nawet nieraz, miewał zachcianki i przemijające upodobania, dogadzaniu którym sprzyjały w szczególny sposób warunki stanowiska i fortuny jego. Wtedy a może i później jeszcze, zbłądzić mógł, uczynić coś, czegoby z zimną krwią i w innych okolicznościach nie uczynił pewnie. Wszystkie te jednak drobne zboczenia i powszednie grzechy nie stanowiły wcale o treści jego życia, które było poważne i czyste, ani w najmniejszym stopniu nadwyrężać nie mogły honoru jego, który był nieskazitelnym....

Gdy tak rozmyślał, przywodząc sobie na pamięć mnóstwo szczegółów swojego życia, uśmiechając się ku jednym z nich, nad innemi długo dumając, płomyk zawarty w małej lampie umniejszał się coraz, aż zgasł zupełnie. Nie zauważył tego. W ciemności lepiej jeszcze, spokojniej było mu myśléć. Nie zauważył też jak po obszernych ciemnych pokojach jego mieszkania rozbiegło się echo basowego donośnego dźwięku, którym z wieży kościoła, zegar miejski ogłaszał pierwszą po północy godzinę. Nie dosłyszał potém także i nie zauważył lekkiego bardzo szmeru, który zaszeleścił w oknach przylegają-

cej do gabinetu sali jadalnej. Był to szmer podobny do przesuwania się ostrza jakiegoś po jakimś twardym przedmiocie, trwał on dość długo, poczém lekko zadzwoniło szkło i do gabinetu wpadł szeroki powiew mroźnego powietrza. Powiewem tym dopiéro, z głębokiej zadumy swej zbudzony Tarżyc, szybko zapalił jednę ze świec w ozdobnych lichtarzach na biórku stojących i jakby sprężyną z miejsca ruszony zerwał się z siedzenia swego. O kilka od niego kroków, pomiędzy biórem a otwartemi na oścież drzwiami jadalni, stał w pochylonej nieco naprzód postawie, szczupły wysmukły chłopak w manszestrowej bluzie i jaskrawo czerwonej chustce na szyi. Nad śniadą tak, że aż prawie bronzową twarzą jego piętrzyły się czarne jak noc włosy, a z za drobnego czarnego wąsa, w dziwnym, bolesnym i zajadłym uśmiechu błyskały białe zęby. W jednym ręku trzymał głuchą latarenkę, w drugiém ciężki pęk żelaztwa. Na widok roznieconego światła i podnoszącej się nad biórkiem wysokiej postaci pana domu, chłopak ten drgnął i cofnął się kroków parę. Był to przecież ruch instynktowy tylko, nie z lękliwości wcale, ani w zamiarze ucieczki dokonany. Stanął bowiem wnet jak w ziemię wryty i tylko latarenka z ręki mu wypadła i zgasła.

— Kto pan jesteś i czego chcesz? głosem w którym najlżejsze nie ozwało się drżenie zapytał Tarżyc?

Zarazem uczynił ruch ku wiszącej u bocznej ściany gabinetu taśmie od dzwonka. Lecz ruch ten jego dostrzegłszy, szczególny ów gość nocny pochylił się nieco i jednym sprężystym skokiem drogę mu zagrodził. W téjże chwili błyskawicznym ruchem z kieszeni wydobyty, w ręku jego błysnął niewielki, ale jak stal najczystsza połyskujący nóż. Tarżyc nie drgnął, cień trwogi nie odmalował się na twarzy jego, która ani zbladła, ani wyrazu pogardliwej nieco wyniosłości nie utraciła. Cofnął się tylko ku biórku, skrzyżował ramiona i przenikliwie a niewzruszenie patrzał w twarz złoczyńcy. Lecz i ten także powiek nie spuszczał. Podniósł owszem głowę, oczy mu zagorzały płomieniem ciemnéj, ponuréj dumy a na ustach zawisł znowu wpół bolesny, wpół nienawistny uśmiech. Tak przez sekund kilkanaście stali naprzeciw siebie milczący obaj, śmieli i różną, lecz jednako niezgiętą dumą wyniośli, a pomimo przepaści niepodobieństw, która ich dzieliła, dziwnie, dziwnie do siebie podobni...

W tém, w przyległej sali dały się słyszéć pośpieszne i tłumne kroki. Na odgłos ich dopiéro, zmąciło się i z twarzy Tarżyca spłynęło spójrzenie złoczyńcy. Jak wprzódy, machinalnie i instynktowo raczéj niż z chwilowego choćby namysłu rzucił się ku drzwiom. Tu jednak, powstrzymał go mur piersi i łańcuch ramion ludzkich. Pomiędzy policyantami, którzy z jeńcem swym gromadnie wtłoczyli się

do gabinetu, lękliwie jeszcze nieco, lecz więcej już tryumfalnie wszedł Moryś Lirski. Złoczyńca, gdy go pochwycono nie stawił najlżejszego oporu, tylko zwrócił twarz w stronę otwartego okna i donośnym głosem zawołał.

— Zmykajcie szczury!

Moryś zaś zbliżył się do Tarżyca, który obu dłońmi wspierając się o biórko, jak w tęczę wpatrywał się w twarz złoczyńcy i pełnym przymilenia a zarazem tryumfu głosem mówić zaczął.

— Zbawiłem ci życie, wujaszku... widzisz, mówiłeś zawsze, że nie mam serca, widzisz, poświęciłem się dla tego, aby cię uratować, słowo honoru, z narażeniem siebie samego na najstraszniejsze katastrofy pilnowałem domu twego. I głowę też mam nie dla proporcyi, żeby nie płoszyć ptaszka, nie dzwoniłem do drzwi głównych, ale tych panów wprowadziłem przez sutereny, gdzie szanowna służba twoja wujaszku hula sobie i zagrywa się w karty.

Jak Boga kocham, żeby nie ja, zrabowaliby cię, a może i zamordowali. Zbawiłem cię wujaszku, czy słyszysz... wujaszku!

Mógłby mówić w ten sposób do dnia sądnego, Tarżyc nie słyszałby go i nawet nie widział. Patrzał on na złoczyńcę ze szczególną, chciwą prawie ciekawością. Słuchał też z niezmierną uwagą urywanej rozmowy, którą prowadził z nim, najstarszy z pomiędzy obecnych stróż publicznego bezpieczeństwa.

— Aha? wytrychy! oto i dowód, że kraść tu przyszedłeś.

Złoczyńca podniósł powieki i patrząc prosto w twarz mówiącego, odpowiedział.

— Nie; kraść nie chciałem, ale zrabować dom ten... do szczętu.

— A tenże nóż? Czy kogo zabijać nim myślałeś.

— Nie, bo mam dwie silne ręce, któremi zadusić go mogłem!

— A taki jeszcze młody jesteś! wykrzyknął urzędnik.

Spuszczając znowu powieki, ciszej jak wprzódy odpowiedział.

— Chciałbym wcale nie być.

Teraz, Tarżyc zadrżał. Taka nienawiść i taka rozpacz przeraziła go do głębi. Z litością bardziej niż z gniewem a zawsze z ciekawością wielką patrząc na tego, który przyszedł tu po majątek jego a może i życie, mówić zaczął.

— Widziałem cię już kilka razy. Zaciekawiasz mię. Kto jesteś?

Z zaciśniętych zębów zapytanego wyszła odpowiedź.

— Nie wiem.

— Nie miałeś chyba nigdy na świecie nikogo... Któż jest twój ojciec?

Tak samo jak wprzódy odrzekł

— Nie wiem.

— Ale ja wiem, zaszeptał nad samym prawie uchem Tarżyca, człowiek w długim zapiętym po szyję surducie z dwoma końcami czerwonawéj chustki stérczącemi nad głową, człowiek, który wszedł tu za innymi a teraz krokiem uroczystym, z wyrazem namaszczenia na małéj skurczonéj twarzy przebył pokój i obok pana domu stanął. Lecz gdy tu się już znalazł, uroczystość i namaszczenie jego zniknęły. Przekonany, że w kapłańskiéj roli idzie spełniać „krwawą ofiarę“ lub budzić sumienie ludzkości wywołaniem „wielkiéj katastrofy“ Szymon Kępa,—wcielona ta utopia,—gdy znalazł się w bezpośredniéj blizkości Tarżyca uczuł w sobie tylko człowieka, człowieka miotanego zmięszanemi namiętnościami: zawiści, gniewu i pomsty.

— Ale ja wiem, syknął i palcem na złoczyńcę wskazując, z cichym, głębi istoty jego sięgającym chichotem, dodał jeszcze słów parę, których obecni dosłyszéć nie mogli. Ale Tarżyc usłyszał je i wielka bladość spadła mu na twarz. Obie ręce wyciągnął przed siebie, jakby od śmiertelnego jakiegoś ciosu bronić się chciał i zawołał.

— Co? jakto, zkąd wiesz? dowody! dowody! dowody!

Kępa sięgnął za surdut, wydobył arkusz zżółkłego papieru, roztworzył go, przed oczy Tarżyca przysunął i sam, półgłosem, powoli, z wracającą mu znowu uroczystością, przeczytał.

— „W roku x dnia x w parafialnym kościele Targowskim, ochrzczoném zostało dziecię płci męzkiej, urodzone z Rozalii Klinównej włościanki i niewiadomego ojca. Na imię mu dano Sylwester“.

Tarżyc obie dłonie podniósł do czoła i krzyknął—tak! tak! tak! na koniec... przypomniałem! pamiętam! wiem! zachwiał się i bezprzytomny prawie runął na sprzęt najbliższy.

Kiedy odzyskał przytomność i dłonie odjął od twarzy, w gabinecie znajdowali się już tylko przerażeni i z Morysiem na czele krzątający się dokoła niego domownicy.

Zerwał się i biegnąc w głąb mieszkania wołał.

— Wróćcie! wróćcie! Przyprowadźcie mi tego... tego... to dziecko!

I do służby zwrócił się, w niezwykły sobie szorstki i natarczywy sposób, rozkazując jej, aby szła, biegła i z drogi zwróciła tych, którzy tylko co ztąd odeszli.

Lecz nie wraca nigdy przeszłość i nie zwracają się z drogi swéj następstwa, niezłomnym łańcuchem toczące się z łona swéj przyczyny....

Na ciemną noc, na mroźny wiatr, wiejący śnieżną zamiecią, Tarżyc wysuwał przez okno otwarte twarz śmiertelnie bladą, a w ruchu jego, nieskończone, nieprzerwane, wiekuiste zda się tętniały po bruku ulicy ciężkie stąpania kilkunastu ludzi, w nieskończoną, niezgłębioną, wiekuistą ciemność uprowadzających tego... tego... to dziecko.

Szczury zemknęły. Dały one nurka na dno śmietniska, gdzie znajdą pewnie opiekę i naukę Szymona Kępy.

E. Orzeszkowa.

KONIEC.

OSTATNIE LATA WITOŁDA.

(Dokończenie).

Nie potrzebujemy dodawać, że tak zawiłe i drażliwe kwestye jak mazowiecka, mołdawska, jak wreszcie królowej mogły być wcale pożądanemi od krzyżaków, o których prawie zapomnieliśmy, zajmując się opowiadaniem wypadków w okolicach tak dalece odległych od Malborga. Ani przez myśl, sądzę, nam nie przeszło, żeby w tych kwestyach miał odgrywać jakąś tajemniczą rolę mistrz Russdorf. Wszakżeż i nie wypadałoby szlachetnemu zakonowi, spełniającemu zaszczytną missyą, maczać ręki w kale, dla tego też mistrz, pilnujący spraw zakonu w Malborgu, zdaje się o niczém z tego nie wiedzieć.

Natomiast pilnuje on sprawy wiecznego pokoju, tak że zdaje się być tylko nią zajęty. Bo, że tam jakiś z komturów zakonnych, np. Toruński, pod sekretem skłamie przed którymś z dygnitarzy królewskich np. którymś z Ciołków, jako Witołd w obec mistrza sekretnie podejrzywa prawość dzieci królewskich, to przecież o takich rzeczach nie potrzebowała wiedzieć *święta dusza*, ani ją tak płaski dowcip jego podwładnego obchodził. Russdorfa obowiązuje tylko to, co komtur na mocy instrukcyi wydanej z kancelaryi zakonu powié, nie zaś plotka, która się przypadkowo temuż z ust wymknęła. Zresztą obchodzi Russdorfa tylko pokój wieczny, a zjazd około Drezdenka spełzł, jak wiadomo, w Maju t. r. (1427) na niczém.

Wnet po owym nieudanym zjeździe śpieszy poufnik mistrza, znany nam już Vochs, do Litwy i tajne jakieś sekreta powierza księciu. Nie zostały po nich piśmienne ślady, ostrożny zakon załatwia tajemnice ustnie; list zaś Witołda z piérwszej połowy Czerwca, w którym tenże dziękował za nie mistrzowi, również jak i odpowiedź potwierdzająca ze strony Russdorfa prawdziwość tego co Vochs powiedział, zniknęły, lecz nie bez śladu, nie przechowały się tylko

w archiwach. Trudno pomimo to na pewno odgadnąć, jaki to właściwie był sekret Vochsa; nie będziemy atoli sądzili, ażeby nim była wyrażona księciu radość z powodu jego wyzdrowienia, lub jakiś podarek, lub jakakolwiek inna drobnostkowa sprawa. Natenczas bowiem nie wyrażałby się Witołd w liście z 22 Czerwca z Międzyrzecza datowanym, jako go mocno zadziwia, aby to, co mu Vochs powiedział, miało być prawdą. Dziwném się atoli wydaje, że właśnie podtenczas oszczércze podejrzenia rzucone na królowę wzmagają się w Polsce, wywołując ogólne zgorszenie, a co ważniejsza dla potwarców podejrzenia ku Witołdowi.

Główniejszym pozornie przedmiotem od owego sekretu były skargi Russdorfa na upór Polaków. Przypominamy sobie, jak je Witołd pilnie i z przejęciem słuchał, jak wyrażał przed mistrzem ubolewanie i chęć zaradzenia złemu, jak wyrażając głęboki żal Jagielle, że z winy Polaków sprawa pomimo zaręczeń królewskich, pomimo dokumentów pieczęciami obojga ich stwierdzonych tak niegodnej doznaje zwłoki.

W Polsce, zda się, zupełnie przeciwny skutek wywierały usiłowania Witołda. Tam to gniew i oburzenie przeciwko zakonowi, drwiącemu widocznie z usiłowań korony, dochodził kulminacyjnego punktu. W Polsce obwiniano zakon nietylko o udaremnianie owych prób zjazdowych celem rektyfikowania granicy, ale także i o umyślne przeszkadzanie w wyznaczeniu jéj ze strony Nowej Marchii. Jak już bowiem wiemy z poprzedzającego król Zygmunt nie odmawiał na prośby Jagiełły w tym celu wysłać swoich pełnomocników z czego korzystając król zgodził się na termin i miejsce w sprawie wyznaczenia granicy od Nowej Marchii. Miał on wypaść w lecie t. r., jakoś wkrótce po nieudałym zjeździe z krzyżakami. Pełnomocnicy tak Zygmunta jak i Jagiełły zjeżdżają się—wszystko idzie dobrze, porozumiewano się szybko, gdy w tém przybywają posłowie Russdorfa zapewne celem poinformowania pełnomocników Zygmuntowych; rospoczęły się nieporozumienia i obustronne komisye rozjechały się bez załatwienia sprawy. Polacy obwiniają zakon jako jemu mają zawdzięczyć, że rozgraniczenie nie przyszło do skutku; uznano za stosowne oskarzyć mistrza przed Witołdem, a co większa, ażeby zaradzić sprawie nigdy zakończyć się nie mogącej, poczęła szlachta wielkopolska burzyć się na improwizowanych w tym celu zjazdach. Ta okoliczność wpływa ponoś najbardziej, że król wyznacza zjazd w Nowym Korczynie 15 Sierpnia odbyć się mający, a miano tam obradować właśnie nad środkami mającemi zapobiedz ociąganiu się zakonu w wykonaniu pokoju melneńskiego. W Wielkopolsce gorąca krew szlachty zakipiała żądzą wojny przeciwko krzyżakom.

Mistrz Russdorf, jak gdyby tego tylko pragnął, spokojną układał minę, ciesząc się w duchu z dojrzewającego owocu swoich zabiegów.

Oto w Polsce, z powodu znanych nam już spraw, mnożą się i wkorzeniają podejrzenia przeciw wielkiemu księciu. Możemy się dorozumiewać, że obojętne traktowanie przezeń skarg polskich, a co gorsza wymówki z tego powodu czynione królowi, podsycały tylko nieufność i mnożyły w Polsce obóz jego przeciwników.

I jakżeż bowiem mógł Witołd szczerze się zająć tak drobną sprawą jaką była rektyfikacya granic polsko-pruskich, gdy on był całą duszą zajęty prawdziwie wielkiemi dziełami litewskiemi. Właśnie podówczas odbywał on olbrzymią swą ruską wyprawę, do której od miesięcy już czynił przygotowania, (Lipiec i Sierpień r. 1427). Z tego to powodu, jak z jednej strony naciskał na Polaków, tak z drugiej przeciwnie schlebiał on zakonowi podarunkami i uprzejmemi listami, starając się tém przynajmniej zapobiedz możliwemu konfliktowi.

Russdorf pojmował sytuacyą. „Sto mil byłem za Smoleńskiem pisze doń uszczęśliwiony Witołd dnia 14 Sierpnia, a zostawiając kraje Moskiewskiego w. księcia po lewej ręce, kierowałem się ku wschodowi słońca. Tam to spotkali nas z powitaniem książęta Perjasławscy, Brańscy, Nowosielscy wraz ze swemi dziećmi, książęta i księżna wdowa Odojewscy, książęta Wrotyńscy itd., którzy nam wszyscy złożyli hołd, zaprzysięgając wierność i posłuszeństwo“. Była to olbrzymia wyprawa bez rozlewu krwi i szczęku oręża bojowego. Witołd wyznaczał granice Litewskie na wschodzie i godność protektora małoletniego syna córki jego a wielkiej księżny Moskiewskiej, była mu w tym celu pomocną, nakazywała bowiem uszanowanie i powolność, zarówno jak na to wpływały olbrzymie i nieprzeliczone jego hufce, składające się z całej rzeszy ludów, którą we wzorowym porządku utrzymywał karny jego miecz i genialny umysł.

Russdorf chociaż pozornie zda się obojętnym być względem wyprawy Witołdowoj, chociaż pali kadzidło przed księciem z powodu jego tryumfów, w gruncie rzeczy jest nią bardzo zajęty. Nie nadaremnie wysłał on z Witołdem Hennego, znanego i lubianego trefnisia, który obok trefnisiostwa mógł mieć i inne specyalne zadanie do wykonania. Trefnisie pod owe czasy są w istocie nietylko dowcipni, ale i rozsądni ludzie, jak ich Szekspir maluje, a nasz Henne umiał wybornie kreślić depesze, donosić *swemu panu mistrzowi* o szczegółach wielkich czynów *swego pana Witolda*, a z relacyi tych wytryskiwał często rymowany i nierymowany dowcip i uderzała wielka znajomość ludzi i stosunków. Witołd lubiał dowcip a bardziej

jeszcze dowcipnisiów, i Henne od niejakiego czasu dość często towarzyszy księciu w jego wyprawach. Podczas zeszłorocznéj wyprawy Pskowskiéj obraził był jakimś za śmiałym dowcipem księcia, za co otrzymał policzek. Oczywista, że nie wziął to za karę, lecz raczéj za pasowanie go na rycerza, zwłaszcza, że stało się to podczas wojennéj wyprawy. Dla czego téż zawezwany tego roku stawia się Henne w pełnym rycerskim stroju. Witołd zdziwiony z powodu stroju trefnisia, zapytuje o powód i nakazuje mu przybrać strój błazeński. Henne zasłania się tém, jako go książę raczył przecież pasować na rycerza, policzkiem tylko—kończy Witołd i grozi Hennemu, że mu sprostuje krzywą z natury gębę za pomocą podobnego uderzenia z drugiej strony policzka, skoro nie przywdzieje szaty błazeńskiéj. Ja jéj z sobą nawet nie przywiozłem odpowiada Henne, ale książę wydał rozkaz, aby mu ją natychmiast sporządzono. Henne przystał stawiając jednakowoż warunek, że przedpołudniem będzie rycerzem, popołudniu zmienia toaletę i spełniać będzie powinności błazna, na co książę przystał.

Dowcipniś ten miał, jak widzieliśmy, przywilej drwienia sobie z księcia, a nie wiemy ażali nie w celu podrażnienia ambicyi książęcej zmierzały jego dowcipy, to pewna że „kurka“ jak go z powodu jego niemieckiego imienia nazywał Witołd. zdawał mistrzowi dokładne relacye z wypraw Witołdowych, i że nietylko dla rozrywki księcia bawił na Litwie.

Król i Szafrańce, lubo nie wiedzą, o sposobach jakich w tym celu używał zakon domyślają się, iż krzyżacy starają się wszelkiemi sposoby wszczepić nieufność księcia do Polski. Protektorat jakim Witołd otacza zakon, broniąc jakoby jego interesu, wszczepia w nich zapewne nieraz już sekretnie powierzaną sobie myśl, że krzyżacy straszą księcia rozwielmożnieniem się Polski i że książę niejako z powodu zazdrości stara się ją pognębić, nie pozwala jéj wzrastać i rozszerzać granic, sam zaś z pomocą Polaków rozszerza granice Litwy. Takie zdania o Witołdzie upowszechniają się podówczas w Polsce, gdzie król i Szafrańce dość niechętném okiem patrzą na jego wojenne wyprawy.

Witołd postępowaniem swém zdaje się usprawiedliwiać dorywcze te sądy, które niestety i do potomności przeszły. On bowiem nie przyjmuje skarg królewskich w równy sposób, jak je uwzględnia, skoro mu mistrz skargę na Polaków przyśle. Odpowiada on wprost królowi, jak na to, że krzyżacy przeszkodzili zgodzie z komisarzami Zygmunta przy rozgraniczaniu od Nowej Marchii; „że król raz już uwolnił zakon od téj sprawy, pocóż więc go obwinia o jakieś kabały w sprawie, która jest mu obcą. Jeżeli pomiędzy królem a zakonem

istnieją jakieś różnice, to niechajby je, według układu grodzieńskiego załatwili sędziowie polubowni, gdy komisarze załatwić ich nie mogą. Dla czegóż król nie kończy raz przecież sprawy? Jak najgoręcej doradzam, aby ci polubowni sędziowie załatwili sporne kwestye, i ażeby król zakonu z powodu Marchii nie obwiniał“.

Zapewne, że ten hardy ton listów Witołdowych do króla, a kopie ich przesyła książę mistrzowi w dowód jak gorliwie pracuje w interesie pokoju i zakonu, mógł się bardzo podobać w Malborgu. Nie zadziwi nas, skoro dodamy, że tak czułe i czynne protektorstwo ze strony w. księcia było w stanie napełnić Russdorfa pewną dozą zaufania we własne siły, tak że zdaje się nie obawiać groźnej miny Polaków. Przeciwnie on ich ponoś wyzywać się zdaje, gdyż snać nie bez tajnego nakazu ze strony mistrza, sołtys Nowej Marchii każe zrąbać most polski nad Drawą i zrzucić go w rzekę. Skutek mający być zapomocą tego środka wywołany następuje. Polacy wołają na gwałt, król Jagiełło apeluje do Witołda, a Witołd z walnej swej wyprawy odpowiada łagodząco, ażeby tak drobne nieporozumienia oddano do rostrzygnięcia owym sędziom polubownym, co tylko podrażnia króla i Szafrańców.

Ale gdy w Polsce z powyżej wyłuszczonych powodów stronnicze i subiektywne sądy wydawano o Witołdzie, to jednakowoż mistrz, któremu na takowych jak najmocniej zależało, nie łudzi się co do powziętego zdania o charakterze książęcych planów. Pojmuje on dokładnie stosowane doń słowa listów Witołdowych, jako książę w pełnej wierze pragnie i chce dotrzymać artykuły pokoju wiecznego a i króla Jagiełłę do dotrzymania nakłaniać będzie. Zanadto jest on domyślny, aby nie uczuć, że Witołd lubo go proteguje i zasłania w obec Polaków, daje mu niejednokrotnie poznać, aby nie nadużywał dobroci księcia. Z drugiej znowu strony przekonał on się, i to nieraz tylko, jak wielce potrzebnym stał on się Witołdowi i ile księciu na przyjaźni i pokoju ze strony zakonu zależy. Czuje on, że ambitny książę, już to dla wypraw swych, już to że sam wdał się w sprawy pokoju, nie dopuści do zerwania dzieła, i że lubo dostrzega machinacyj zakonnych, patrzy na nie przez palce niejako i nie dozwoli, aby mu Polacy krzywdę wyrządzili. Co wszystko rozważając, postanawia Russdorf podwoić ostrożność w działaniu nad dalszą intrygą i uzbroić się w cierpliwość i wytrwałość, na czém zresztą świętej duszy nie zbywało. Czyż mógł się zresztą łudzić Russdorf co do istotnéj życzliwości księcia dla zakonu, gdy właśnie w tym roku za przyczyną jego zakon Inflancki musi wejść w konflikt z Pskowianami. Wprawdzie Witołd uprzedzał mistrza, iż Pskowianie mają zamiar nowo przez Inflantczyków na Dźwinie zbudowany zamek

zburzyć, ale zakon nie był znowu tak naiwnym, aby się nie domyślał za czyim wpływem podniesiono ten zamiar. Witołd wszakże podejmując wyprawę w głąb krajów ruskich potrzebował mieć boki zabezpieczone, wszakżeż on w zeszłym roku już starał się, lecz bezskutecznie, wciągnąć zakon do wojny z Pskowianami.

We Wrześniu t. r. nastąpił zjazd Witołda i Jagiełły w Horodle, gdzie, jak już nam wiadomo, traktowano w drażliwéj sprawie potwarzy, rzuconej na królowę, przyczém Witołd naraził się na nowe podejrzenia tak ze strony króla jak i niechętnéj mu partyi kanclerskiéj.

Obradowano tamże i w sprawie sporów z zakonem, przyczém król łatwo powziął przekonanie, iż Witołd, jak to mu Szafrańce częstokroć prawili, więcéj sprzyja zakonowi aniżeli Polsce. Witołd bowiem nakłania go wszelkiemi sposoby, aby zdał spory na polubownych sędziów, na czém w końcu stanęło, ale w tak dobitny sposób, iż król uczuł nacisk księcia, skoro się nawet zdecydował napisać do mających być na tę godność wybranymi, aby dla lada drobnostki, jak to się dziać zwykło, nie zrywali zjazdu i rzecz do końca doprowadzili. W tym duchu stara się Witołd przemówić i do mistrza, ale w jak delikatny sposób. Oto opowiada on mu sposób, w jaki zniewolił króla do zadość uczynienia swej woli! Wyznaczono mistrzowi trzy termina do wyboru na zjazd owych sędziów, a pierwszy z nich przypadał na dzień 1-go Stycznia r. 1428. Witołd spodziewa się pomyślnego końca sprawy i jedzie z królem do Litwy.

Russdorf i na taki obrót rzeczy jest przygotowany. Obawiając się, aby go ofiarami ze strony Polski, pozostającéj pod naciskiem Witołda, nie zmuszono do całkowitego dokończenia dzieła pokoju, stara się poplątać sprawę i jakby od niechcenia i niewiadomości pomięszać szyki braci Gedyminowiców.

Ku temu zmierzając celowi wysyła on Vochsa na Litwę, który też pod koniec Października stanął w Kownie. Nie wiemy ażali i tym razem nie przynosił on tajemnic z sobą, któreby starego księcia wprawić mogły w zdumienie. To tylko pewna, że przedłożenia jego wyrachowane były na to, aby pod pozorem niewiadomości o uchwałach w Horadle zapadłych, (1) za pośrednictwem nowego projektu zgody, udaremnić ich wykonanie. Vochs przedkłada Witołdowi, iż mistrz pragnąc, aby nie mogące się nigdy skończyć spory graniczne doszły do końca, chce wysłać swych pełnomocników do Litwy, zanim jeszcze król odjedzie, dając mu przez to niejako do zrozumienia, iż życzyłby so-

(1) Nie przeczymy, aby mistrz miał o nich nie wiedzieć, podnosimy tylko, że on na pewno mógł liczyć, że Witołd zmusi króla, aby spory załatwili sędziowie polubowni według ugody grodzieńskiej.

bie, aby sprawa pod okiem księcia w Litwie się zakończyła, aby książę był niejako rozjemcą sporów granicznych zakonu z Polską.

Nie potrzebujemy dodawać, jak wielce ujął sobie mistrz Witołda, przymawiając do jego dumy i łechtając ambicyą. Witołd mógł pragnąć, aby rostrzygnął sprawę, którą nadaremnie starał się wziąć w swe ręce. W tej chwili połechtana jego ambicya przebacza nawet winy i nie widzi wraz i matactw zakonu a tém mniéj nowéj zasadzki. Witołd jest obecnie przekonany o prawości i szczerości mistrza, dla tego, że przez złożenie w ręce jego sądu robił mu niezwykły zaszczyt, honorował go. Nie tając uciechy z położonego w nim zaufania odpowiada Witołd mistrzowi, iż mu pozostawia do wyboru wysłać swoich sędziów polubownych na granicę polską (jak to się z listu, który go jeszcze nie doszedł dowié) albo, jak to mistrz obecnie proponuje, może ich wprost wysłać do Litwy. Gdyby ten drugi projekt zdawał się mistrzowi być odpowiedniejszym, on (książę), który obecnie będzie na Litwie, dołoży wszelkiego starania i wszystko poświęci, aby zakończyć raz przecież sporne kwestye. Trosk, starania, funduszów, słowem wszystkiego nie będę na ten cel szczędzić, zaręczał mistrzowi Witołd, zechciéj tylko kochany mistrzu szybko się zdecydować, czy wyszlesz swych sędziów na granice Polski, czy téż do nas na Litwę.

Mistrz nie wyczekuje tej odpowiedzi, on dobrze wié czego się miał spodziéwać po takiém przymówieniu do ambicyi księcia. Po wysłaniu Vochsa otrzymuje on ów list o uchwałach w Horodle powziętych i aby jeszcze bardziéj przekonać Witołda, jak szczérze pragnie końca sprawy, wysyła w cwał za Vochsem oświadczenie, iż dowiedziawszy się o postanowieniach horodelskich, chętnie przystaje na termin zjazdowy na granicach Polski i wybiéra pierwszy t. j. dzień pierwszego Stycznia.

Na drugi dzień po przybyciu Vochsa otrzymuje Witołd to nowe oświadczenie mistrza. Wyraża mu tedy serdeczną radość z powodu jego ochoty do zgody z królem i powtarza, aby mu odpisał, na co się ostatecznie decyduje. Russdorf, który mógł się spodziewać takiéj odpowiedzi, uwiadamia wojewodę poznańskiego Ostroroga, który miał być pełnomocnikiem króla do traktowania z zakonem przed cztéroma sędziami polubownymi, że wybiera termin 1-go Stycznia na granicach polskich. Do Witołda zaś pisze całkiem odwrotnie a mianowicie, iż wysyła doń posłów do Litwy, co téż natychmiast uskutecznił. Oczywista, że musiał przed Ostrorogiem odwołać termin zjazdu i zasłaniać się Witołdem, sprawa się wikłała, Polacy nie wiedzieli na czém stoją, a co najgłówniejsza, już i tak wkorzenione podejrzenia względem Witołda mogą swobodnie wzrastać i szérzyć się w Polsce.

O tém wszystkiém nie wié jeszcze król Jagiełło, który pod ten czas wyjechał był z Kowna do Połągi, aby obaczyć niewidziane przezeń morze. Dowiedziawszy się po powrocie od Witołda, że do Litwy ma przybyć poselstwo krzyżackie, nie chce nawet na razie o tém słyszéć. Podejrzywając zakon o matactwa i wykręty a zniecierpliwiony już i tak wielce uwłaczającém jego powadze przewlekaniem sprawy granicznéj, odparł wręcz Witołdowi: obrałem już termina w sprawie uregulowania granicy, wyszlę tam cztéru z mojej rady, jak się na to zgodziłem, a skoro sprawa w ten sposób nie zostanie załatwioną, natenczas będę wiedział jak mam sobie postąpić. Miał też Witołd wiele trudności do pokonania, gdyż stary król okazywał nadto wojownicze usposobienie względem zakonu, upierając się, że tylko pod warunkiem ustępstwa ze strony zakonu połowy rzeki Noteci, rad zakończy całą sprawę na Litwie. Witołd przyobiecuje nakłaniać mistrza do ustępstwa, wyłuszcza jako do wojny nie ma powodów, listami mistrza dowodzi szczerych jego chęci, słowem, zdaje się pracować nie tyle w interesie swej wyprawy, którą na przyszły rok na Wielki Nowogród miał przedsięwziąć, ale raczej jako wdzięczny zakonowi za położone w nim zaufanie książę, który rad będzie zakończyć dzieło pokoju. Niedziwna, że król ustąpił i zgodził się na przyjęcie posłów. Bawiący podówczas na dworze książęcym krzyżak Andrzej donosi natychmiast o tém wszystkiém swemu mistrzowi.

Doniósł mu o tém i książę, ale w innym zamiarze a mianowicie, aby go nakłonić do ustąpienia królowi połowy koryta rzeki Noteci, czego się król tak wielce napierał. Chcąc mu jeszcze wyraźniéj dać do poznania chęć swą, każe on oświadczyć mistrzowi, iż dziwi go to, że mu mistrz żadnego podarunku nie przysyła w dowód przyjaźni, niechaj go odmierzy piędzią tylko—mówił on a ja się mu odpłacę łokciem. Książę obiecywał hojnie wynagrodzić podarunek ustępstwa i sądził, że ma prawo liczyć na wdzięczność ze strony Russdorfa.

I rzeczywiście mistrz wybrał już miarę na podarunek zanim się jeszcze o brzmieniu słów Witołdowych dowiedział. Nie zgrzeszymy przesadą skoro powiémy, że posłowie zakonni, wielki szpitalniczy, komtur z Bałgi, dwaj rycerze i dwaj burmistrze zakonu, przynoszą do Litwy podarunek Danaów. Przybywają oni pod koniec pierwszej połowy Grudnia, lecz nie z żądaném ustępstwem.

Instrukcye tych posłów były tak ułożone, iż okazywały jako zakon przenosi i wyżej ceni księcia aniżeli króla, aby tym sposobem z lekka dotknąć ostatniego, poczém według skutków tej dyplomacyi możnaby im było działać. Uroczystą tedy legacyą odprawili oni w taki sposób, iż nasamprzód zwrócono się do Widołda samego,

później dopiero do obojga t. j. do króla i księcia. Księciu dziękowano w pełnych pokory słowach za jego starania i trudy podjęte około ukończenia spraw spornych z Polską, upraszając, aby nie wierzył w skargi jakiemi zakon oczerniają Polacy i przedkładano życzenie zakonu, jako tenże pragnąłby, aby decyzyą i sąd nad spornemi kwestyami granicznemi odbyła się tu, w obecności króla i księcia a w końcu oznajmiono, iż mistrz nie mogąc działać przeciwko prawnym dokumentom zakonu, nie może ustąpić połowy Noteci i dlatego gotów jest nawet obesłać termin pierwszego Stycznia na granicach Polski.

Teraz dopiéro zwrócono się do króla i do księcia i liczne przedłożono punkta to prośb, to skarg naprzemianę, a miały one dowieść, iż wina zwłoki w wykonaniu pokoju wiecznego nie leży po stronie zakonu, lecz po przeciwnéj. Nadto oświadczają posłowie, iż mistrza codziennie dochodzą ostrzeżenia o zbrojeniach się Polaków; nie dość na tém, Polacy w kuryi pracują nad szkodą zakonu, jak w sprawie Gdańska i tp., słowem, pragną zguby zakonu.

Oczywista, że zakon pomimo tych dosadnie zastawionych i dokumentami popartych zażaleń wyraża gotowość zadość uczynienia warunkom pokoju wiecznego jako też ugody grodzieńskiej. Udana ich rezygnacya ustępuje miejsca ufności w sprawiedliwość, skoro przypominają oni królowi, jako niedawno polecił oświadczyć mistrzowi, iż gdyby jego uszu doszła jaka pogłoska, skutkiem której podniósłby wątpliwość co do dotrzymania pokoju wiecznego ze strony Polski, aby temu mistrz nie wierzył. To też i zakon ze swéj strony ufa, że pokój trwać będzie i pragnie, aby sprawa sporna obecnie w Litwie się zakończyła.

Zaiste trudnoby było określić jedném słowem czego właściwie żądają krzyżacy, tak niejasne i nieokreślone są ich instrukcye. Nie wątpimy, że król po wysłuchaniu posłów zapytał Witołda: pocóż właściwie oni przyszli; połowy Noteci nie chcą ustąpić, a był to wszakżeż warunek mój, pod którym zgodziłem się ich przyjąć, oskarzają mnie tylko i widocznie szukają wykrętów. Sądzić należy, że król nalegał, aby krzyżacy ustąpili, wiemy bowiem, iż posłowie zaopatrzeni byli w dokumenta Waldemara i inne nadania i przywileje, dowodzące jasno, że cała rzeka należy do zakonu wraz z Drezdenkiem, którego w żaden sposób ustąpić nie mogą. Russdorf jeżeli zaopatrzyć kazał swych posłów w pergamina, to tylko na to, aby udaremnić żądania króla.

Niewątpliwie i Witołd zadawał sobie pytanie, czego właściwie żądają krzyżacy a sądzić można, że dopatrywał się poniekąd tego o co mistrza podejrzywa król, to jest o nową zwłokę i o krętactwo.

Zapewne, że nie w téj mierze jak król, ujęty był bowiem pochlebstwem i udaném zaufaniem przez posłów wyrażoném. Nadto sytuacya jego nie pozwalała mu na zupełne podzielanie królewskiego sądu, to zawiodłoby chyba do wojny z zakonem, któréj sobie nie życzył, a uraziłoby ambicyą i dumę jego, gdyż nie mógł on dla w gruncie rzeczy błahych powodów zrywać dzieła pokoju, na wykonaniu którego nietylko, że mu wielce zależało, ale ku czemu poświęcał trudy i prace, nie szczędził zachodów i nakładu, przez przeszło już cztéry lata. Witołd musiał starać się o pogodzenie stron i uwzględniać, że skoro mistrz nie oddaje połowy Noteci, to czyni to na prawnéj podstawie dokumentów, że skoro zwala winę na Polaków dowodzi prawdziwość swych skarg, że skoro w końcu odwołuje się do zaufania księcia i żąda, aby sprawa zakończyła się w jego domu, nie czyni tego z prostéj tylko grzeczności.

Bądź co bądź książę nie czyni tego bez głębokiego namysłu, skoro stara się obecnie rostrzygnięcie całej sprawy chwycić w swe dłonie. Dwa razy próbował on załagodzić ją, bezskutecznie; raz w Wielonie i powtórnie na zjezdzie grodzieńskim—uchwały atoli tych zjazdów miały, według jego widzenia rzeczy, te wady, że polecano ich wykonanie komisyom, dając obu stronom sposobność do wykrętów i bezcelowych drobnych sporów a obustronny upór udaremniał zgodę. Zażądam, sądził Witołd, abym sam był sędzią stron i rostrzygnął ich błahe spory a zaraz się dowiem, ażali krzyżacy szczerze życzą sobie, aby u mnie zakończyła się sprawa.

Zażądał Witołd być rozjemcą w kwestyi sporów. Natychmiast oświadczają krzyżaccy posłowie, jako mistrz Russdorf składa kompromis ze strony zakonu w ręce księcia. Był to podarunek Danaów! Król bowiem Jagiełło, ze swej strony, odmówił kompromisu! Tego tylko żądał mistrz a skoro dał posłom tak daleko idące instrukcye, widoczna, że na coś podobnego na pewno liczył.

Książę mógł się z powodu tego zajścia wielce zmartwić. Znając drażliwość i tkliwość jego ambicyi, można sobie wyobrazić, że jak z jednéj strony schlebili i niejako ujęli go dla się krzyżacy, tak z drugiej tém głębiéj odczuwał on postępek królewski, tém bardziéj bolał nad urazą i upokorzeniem. Król nie chciał mieć brata swego sędzią sporów w sprawie z zakonem. Czyż nie dowodził tém właśnie ukrywanych aż dotąd podejrzeń, czyż nie wykazywał publicznie jak mało ufności pokłada w księciu, skoro nie ufa mu nawet tyle, ile to chociażby dla pozoru tylko czynił Russdorf?

Król, jak się domyślać godzi na podstawie późniejszych wzmianek o tém zajściu, byłby może i przystał na sąd Witołda. Stawiał on atoli upornie warunek, na namowę tych, którym od pewnego

czasu silnie zaufał, aby książę wyrokiem swym przysądził mu połowę Noteci. Czyż miałby sądzić, aby Witołd, szlachetny i sprawiedliwy książę, jak go zowią współcześni, mógł być tak dalece stronniczym? Podejrzliwość nie pyta o takie względy; odmówna odpowiedź księcia utrwala ją tylko i wzmaga i król i Szafrańce wierzą, że książę jest w zmowie z krzyżakami.

Domyśla się tego Witołd a chociaż wielce zmartwiony, radby przecież aby zjazd ten na Litwie, trzeci już z rzędu, zamiast utrwalić dzieło pokoju nie stał się krokiem do wojny, ku czemu to wielką ochotę okazuje król Jagiełło. Załagodzono przeto, za jego głównie wpływem sprawę w ten sposób, aby zjazd na granicach polskich, który już 1-go Stycznia dla braku czasu nie mógł się odbyć, odłożono na drugi termin według postanowień horodelskich. Miał on nastąpić w Szamotułach na dniu 22-go Lutego.

Sędziom polubownym mającym być tam wysłanym, podyktowano pytania i odpowiedzi w kwestyach spornych około granic, które rostrzygnąć mieli. Gdyby się nie zgodzili, miał sprawę rostrzygnąć superarbiter, wybrany za zgodą obu stron a król Jagiełło wchodzi w tym celu w stosunki listowne z Frydrykiem brandeburczykiem, widocznie chcąc jemu powierzyć kompromis, którego się napróżno odeń domagał Witołd.

Wspomniéć należy nam jeszcze o jedném zajściu z tego zjazdu, charakteryzującém dyplomatów zakonnych. Jagiełło wkrótce jakoś po przyjęciu posłów zakonu dopraszał się ponownie, aby mu mistrz dozwolił na przyszłe lato zwiedzić Gdańsk i grób świętéj Brygidy. Życzenie to oświadczył komturowi Elbląskiemu, ten zaś nie omieszkał zapytać poufnie Witołda o radę jakby miał sobie względem téj prośby królewskiéj postąpić. „Unikać z nim w tej kwestyi rozmowy, aż do czasu, gdy spory graniczne pomiędzy wami całkowicie będą załatwione“, odparł Witołd, nie ukrywający przed krzyżakiem niechęci, jaką czuł z powodu uporu króla. Gdy potém król nie przystał na kompromis, komtur widząc, że Witołd jeszcze bardziej ochłódł w stosunku do króla Jagiełły, zbliża się do ostatniego, starając się mu wytłómaczyć, dla czego to podróż jego do Gdańska jest niemożebną i nadmieniając poufnie, jak się na zamiar króla zapatruje Witołd. Można się domyśléć jak się tym sekretem zbudował podejrzliwy Jagiełło. Oczywista, że natychmiast po powrocie posłów wié o tém zajściu mistrz Russdorf i że ten, korzystając z wzrosłéj niechęci Witołda do króla, napisał do księcia, jako żywi obawę, żeby nieprzyszło z powodu chęci króla zobaczenia Gdańska do jakiéj scyssyi pomiędzy Polską a zakonem, gdyż w mieście tém mnóstwo narodu i wiele tłumu ulicznego i łatwo mogłaby pomiędzy konwojem królewskim

a niesforną ulicą powstać awantura. Nieporadny Russdorf prosi tedy księcia, aby mu jéj udzielił, gdy tymczasem on podrażnionego w ambicyi księcia wyciągał za słowo i poddawał sposób, w jaki książę ma zasłonić zakon od wizyty królewskiéj. Godzi się dorozumiewać że sposób taki wyrachowany był, aby znowu obudzić podejrzliwość króla Jagiełły.

Dopatrując się coraz bardziéj krętych pasem intrygi zakonnéj, zapytajmy ażali Witołd może nieszczerze działał w sprawie owych sporów polsko-krzyżackich, gdyż mogły mu one być na rękę, zajmując Polskę drobnostkową polityką i pozwalając mu swobodnie normować stosunki litewskie na Rusi i Tatarzech. Istotnie i o to, co najmniej posądzają Witołda król i Szafrańcy. Historyk atoli musi się zastanowić, czy Witołd mógł swobodnie gospodarować na wschodzie i południu swych państw, gdy na północnym zachodzie lada chwila grozi wojna z zakonem, wojna, która pociąga zwykle za sobą zerwanie stosunków z Inflantami, ze Pskowem i Nowogrodem. Zresztą pominąwszy już inne powody, to przynajmniej skonstatować wypada, że gdyby był Witołd nieszczérze działał, byłby niewątpliwie nie żądał godności sędziego w sporach polsko-krzyżackich. To też Russdorf, chcąc dotrzéć do najskrytszych myśli księcia i zbadać najstaranniéj ukrywane zamiary, musiał już bardzo wielkie na tém polu poczynić odkrycia, skoro się zdecydował na podarunek Danaów. On jest przekonany o szczérości zapatrywań książęcych na kwestyą pokoju wiecznego, ale zarazem widzi interesowność Witołda, z czego, jak widzieliśmy, należycie korzysta. On pojmuje, że pokój wieczny jest prawie koniecznym dla w. ks. Litwy, zajętego pracą ustalenia granic we własném państwie, a jego podwładni komturowie starają się, aby niechętne Witołdowi w Polsce stronnictwo inaczéj pojęło jego zamiary. Russdorf pojmuje ich czystość i szlachetność, gdyż widział, iż jeżeli książę popiera zakon w obec Polaków, to czyni to do pewnej tylko miary, że dwakroć musiał zakon gorzką połknąć pigułkę od szlachetnego Witołda, skoro w bezczelności swéj miarę tę przekraczał, zanadto zuchwale okazując zamiary wojenne. Czyż atoli to przeszkodziło zdolnym agentom krzyżackim rozsiewać wieści, jako Witołd z zazdrości ku Polsce, z obawy silnego jej rozrostu i Bóg wié z jakich jeszcze powodów popiera zakon przeciwko Polsce. W obec silnéj agitacyi w tym duchu partya Szafrańców, którzy zawojowali starego króla, zyskuje popleczników i mało kto w Polsce zdaje sobie sprawę, że gdyby książę popierał Polskę przeciwko zakonowi, nastąpiłoby niezawodnie zerwanie krwawo okupionego pokoju wiecznego, że książę natenczas nietylko, żeby postąpił sobie nieszlachetnie, gdyż on sprawę pokoju wziął w swe ręce, ale

nadto nie mógłby normować stosunków litewskich, dzieło daleko ważniejsze tak dla Litwy jako też dla korony aniżeli nowa wojna ze strupieszałym zakonem. Kto wié ażali Russdorf i innych tajemnic jeszcze nie wiedział, a mianowicie, że zazdrosném okiem patrzący na wojenne Witołda wyprawy Szafrańcy nie życzą sobie rozwielmożnienia się Litwy, że z tego powodu dążą do nowej wojny z zakonem; że radzi oczekują śmierci bezdzietnego księcia, aby się rozgospodarować w niej, zaczerpnąć fortuny dla *genealogii* z napełnionego skarbca pod pozorem, że pracują w interesie korony. Vochs lub Henne mogli nawet oto posądzać Szafrańców przed Witołdem; prostaczkowi i trefnisiowi wszystko wszakże uchodzi. To pewna, że Witołd nie cierpiał kanclerza i w ogóle Szafrańców. Była to szczęśliwie obrana, lecz także i głęboko obmyślana chwila, w której Russdorf składał kompromis w ręce Witołda.

Witołd jest namiętny i gwałtowny i ulega téj jeszcze wadzie, że dotknięty lub urażony w swej ambicyi sprawia sobie ulgę wywnętrznianiem się, okazywaniem tego, co go boli. Dziś on już stary i zrzęda, nałogi młodości występują dobitniej, cóż więc dziwnego, że niemoże utaić urazy powziętej do króla. Zawsze dumny, potrafi on się w tym wypadku poniżyć, spoufala się z otoczeniem swym, z bojarami, z przybyłym posłem krzyżackim, z odwiedzającymi go rycerzami polskimi i opowiada im o swej urazie. Sprawia mu to widocznie ulgę i poprawia humor. Szczególniéj rad pokazuje on ranę swą, przed tymi, którzy potrafili go sobie ująć. Wrodzona przebiegłość i nadzwyczajna ostrożność opuszczają go w tym wypadku i stary książę zrzędzi, rozczula się i opowiada chytremu nieraz wrogowi bolesne tajemnice.

Gdyby był Witołd cokolwiek głębiéj zastanowił się nad niektóremi cechami, postępowania Russdorfa, byłby zapewne uznał za stosowne nie okazywać mu obecnie swéj rany. Stało się przeciwnie. On bowiem wnet po pożegnaniu króla w Wilnie opowiada szeroko mistrzowi jak boleśnie go król dotknął, nie wręczając kompromisu, i jakby chcąc uniknąć najmniejszego chociażby wyrzutu ze strony zakonu, zapewnia już po nie wiedziéć który raz, iż nie żałował niczego, że próbował wszelkich środków, aby tylko wziąć sprawę sporną, w swe ręce, że atoli wszystkie trudy i starania rozbiły się o upór króla. Dziękuję wam szczérze, pisał on, za zaufanie, które zakon we mnie położył, składając kompromis w me ręce, srodze mnię to dotknęło, że król, który mi jest przecież bratem, nie zgodził się na to i ze swéj strony odmówił. Upraszam was, nie chciejcie mi to wziąć za złe, iż sprawa ta u nas się nie zakończyła, jak tego się spodziewałem i z serca pragnąłem. Król chce do Gdańska do was podczas lata

przybyć, a wy nas zapytujecie, co z tym fantem zrobić? Moją radą ociągać się dopókąd nie załatwicie całkowicie sporów jakie pomiędzy wami zachodzą. Zachciewa mu się do Gdańska, dodawał z ironią, ale czyż nie widział i tak już morza tu u nas około Połągi, a do świętej Brygidy wszakżeż i w domu mógłby się pomodlić". Kancelarya zakonna umié być czasami niedyskretną, i cóż mógł zawinić Russdorf, jeżeli gorliwszy o dobro zakonu któryś z sekretarzy zechciał skorzystać z tej drobnostki i list Witołda dostał się w kopii do kancelaryi krakowskiéj.

Były to czasy, w których intryga była na porządku dziennym i korzystano z najdrobniejszego faktu, z najmniejszego zajścia, z listu, z mimochodem napomknionego słowa, słowem, ze wszystkiego, a jeden z nowszych historyków niemieckich, śledzący podobne intrygi w Niemczech, oświadcza się za tém, że podówczas wszyscy wszystkich bez różnicy starali się wyzyskiwać i oszukiwać.

Ale Witołd skoro był gniewny, był wtenczas mniéj ostróżny, nawet względem krzyżaków, których znał na wylot. Możemy śmiało sądzić, że nikt ze współczesnych nie znał ich tak jak on, uczeń i wychowaniec krzyżacki, który pod niejednym względem przewyższał swych mistrzów i nie taimy zdziwienia, starając się motywować najdrobniejszemi szczegółami, w jaki to sposób stał się on pomimo nabytego doświadczenia i pomimo wiedzy i woli narzędziem zakonnych machinacyj.

Gdyby był Witołd nie tak tkliwym na urazy i nie podpadał wadzie zwierzań się, byłby niewątpliwie głębiéj się zastanowił nad listem króla Zygmunta, który go pod koniec Stycznia w Łucku doszedł. Zygmunt bowiem zapytywał w nim księcia, czy pogłoska, według której książę wraz z królem Jagiełłą przyobiecali Hussytom użyczyć pomocy, jest prawdziwą. Witołd powinien był zaraz zadać sobie pytanie, kto jest sprawcą tych pogłosek i byłby wtedy zapewne ostróżniejszym względem zakonu, tém bardziéj, że plotka ta nie była pierwszą, że i przedtém musiał zbijać przed Zygmuntem posądzenia, według których miał podburzać książąt Szlązkich przeciwko królowi Zygmuntowi lub podejmywać na nowo myśl poszwagrzenia się z Fryderykiem Brandenburczykiem, śmiertelnym wrogiem Zygmunta.

Witołd zbił i te pogłoski, nie zastanawiając się głębiéj nad ich źródłem jako téż nad umizgami Zygmunta, który go widocznie nie bez zamiaru raczył nimi obdarzać. Nie zdumiał się książę nawet, skoro się dowiedział, że zjazd polubownych sędziów w Szamotułach spełzł bezowocnie, gdyż skutek taki mógł przewidywać. Sprawa cała spadała teraz na superarbitra, którego strony jeszcze nie obrały, a Wi-

tołd zajęty przygotowaniami do wielkiéj wyprawy na Nowogród tuszył sobie, że pomimo to i owo on rostrzygnie spory polsko-krzyżackie.

Wspomniany Zygmunt Luksemburczyk, prócz zapytań do Witołda wystosowanych, zwrócił je zarówno i do Jagiełły i upraszał króla, aby mu wysłał pomoc na zamierzoną przeciwko Turkom wyprawę. Podążył do Węgier sławny z rycerskiego rzemiosła, Zawisza Czarny, a w ślad za nim poselstwo polskie z żądaniem, aby Zygmunt coś stanowczego postanowił względem rozgraniczenia Nowéj Marchii. Mieli oni nadto wybadać jego myśli i zapatrywania, ażaliby nie zechciał przyjąć godności superarbitra w sporze polsko-krzyżackim. Podążmy za posłami, aby bliżej poznać osobę, która w opowiadaniu naszém tak ważną ma odegrać rolę.

Wspominano już kilkakrotnie w opowiadaniu naszém imię króla Zygmunta. Jest to postać niesympatyczna, ale nadzwyczaj ciekawa, a cokolwiek historycy niemieccy o niéj dotychczas powiedzieli, nie można tego uważać za stanowcze i ostateczne słowo. Jako króla Niemiec osądzili go oni zbyt surowo i odmawiając mu zalet dobrego monarchy, wliczyli do rzędu mizernych głów koronowanych, nie bacząc na rozprzęgnięte stosunki jego państwa, w pośród których rola królowania natrafiała na trudne i nie do pokonania trudności.

Nas głównie obchodzi Zygmunt w stosunku do intrygi a z tego stanowiska charakterystyka jego wypadnie inaczej, aniżeli ją znajdujemy u niemieckich historyków. Przedewszystkiém wypada zaznaczyć, że Zygmunt jakby urodzony pod nieszczęśliwą gwiazdą, gdzie tylko rękę przyłoży tam na pewno sprawa nie uda się, skoro godzi przeciwników, ci po dokonanéj pozornéj zgodzie jeszcze bardziéj się poważnią, skoro weźmie kogoś w swój protektorat, ten z pewnością dozna losu wojewody Dana. Wojenne jego wyprawy znamionuje fatalizm złowrogi i zdają się być prowadzeniem ludów na rzeź formalną. Z wszystkimi żyje w niezgodzie, na wewnątrz i zewnątrz ma pełno wrogów. Elektorowie rzeszy prowadzą z nim ustawiczną wojnę dyplomatyczną, tak samo w Węgrzech panowie węgierscy a Czesi odsądzili go nawet od prawa do korony świętego Wacława. Małych zdolności, próbuje on intrygą sobie dopomagać, a ma dzielnych kancelistów, prowadzących dział intryg dyplomatycznych. Dwór na olbrzymią prowadzi stopę, skąd mnogość długów i brak kredytu, dodajmy do tego, że i życie jego prywatne nie wolne od brudnych i plamiących go sprawek, a będziemy mieli w głównych zarysach obraz Zygmunta.

Względem Polski i Litwy zajmuje on bardzo dwójznaczne stanowisko, już to że Jagiełło był szczęśliwszym współzawodnikiem do

korony polskiéj, już znowu, że Polska zaczęła zajmować podówczas rolę piérwszorzędnego mocarstwa we wschodniéj Europie, czego sobie nie mógł życzyć król Rzymski. Nadto musiał on jako król Rzymski obraniać interesa krzyżaków w obec Polski, pozostając pod tym względem w pewnéj nawet zawisłości od zakonu, który umiał za pośrednictwem elektorów rzeszy wywierać na niego nacisk. Zresztą używa on ich celem osłabienia Polski i nie bardzo zda się brać sobie do serca, jeżeli zakon w wojennych zapasach, które jemu tylko ma do zawdzięczania, ostatków sił dobywa a miasto zyskiwać w walce, ustawicznie traci grunt pod nogami.

W Polsce jest Zygmunt stanowczo niecierpianym i właśnie z powodu protektorskiéj swéj roli w obec krzyżaków. Nic bardziéj nie zraża Polaków jak protegowanie białych płaszczy, których król i naród nie nawidzą z całego serca, a w Polsce podówczas nie ma popularniejszego hasła, jak wojna z zakonem. To też Zygmunt, skoro wydał osławiony swój wyrok w sprawach spornych pomiędzy Polską a Litwą z jednéj a zakonem z drugiéj strony, zmuszony był srogo odpokutować tę więcéj jak obronę interesów zakonu. Wiadomo, że wyrok ów był powodem do wysłania Korybuta do Czech, wysłanego wprawdzie tylko w imieniu Witołda, która to okoliczność sprawiła, że stosunki pomiędzy Zygmuntem a Polską były jak najgorsze. Naprawił je pokój w Kezmarku w Marcu r. 1423 pomiędzy Jagiełłą a Witołdem z jednéj a Zygmuntem z drugiéj strony zawarty; na mocy tegoż zrzekał się król niejako protektorstwa i w ogóle mieszania się w interesa Polski i Litwy z zakonem, Jagiełło zaś i Witołd odwołali Korybuta i przyrzekali nie krzyżować nadal planów Zygmunta z Czechami.

Zgoda ta miała wszelkie pozory szczerości i warunki do trwałéj przyszłości, skoro ustępstwa obustronne były zarówno wielkie i ważne, iż prawie równoważyły się na szali. Lecz nie potrwała długo, a przyczyny należy szukać w nacisku jaki krzyżacy umieją wywierać na Zygmuncie przez elektorów i książąt rzeszy niemieckiéj. Badając stosunki Zygmunta do Polski, widzimy i tu zaledwie dostrzegalne węzły intrygi mistrza Russdorfa.

Zestawmy napomknione w powyższém przedstawieniu fakta a unaoczni się nam intryga ta dosadniéj, co posłuży nam do lepszego zrozumienia następnéj części opowiadania.

Napomknęliśmy, że krzyżacy wnet po zawarciu przez Zygmunta pokoju w Kezmarku starają się zdyskredytować go w opinii Niemców. Russdorf przystępuje do obozu Fryderyka Brandeburczyka, śmiertelnego wroga Zygmuntowego, który znowu na czele elektorów nieprzychylnych królowi uskutecznia związek w Bingen, bardzo po-

dejrzany, antimonarchiczny a skierowany wprost przeciwko Zygmuntowi Luksemburczykowi.

Związek elektorski w Bingen zdołał tém bardziéj przestraszyć Zygmunta, że głowa związkowych, elektor Fryderyk, pozostawał węzłami więcéj jak przyjacielskiego stosunku związany z Polską. Syn jego miał dokumentnie przyrzeczoną rękę córki Jagiełły, jedynaczki, a z nią ewentualnie i koronę Polską. Niedziwna przecie, jeżeli Zygmunt zaproszony na uroczystość koronacyjną w Krakowie stara się wszelkimi sposoby zerwać te węzły, zniszczyć traktat brandeburski, by tym sposobem znieść przemożny wpływ swego wroga elektora Fryderyka. Elektorowie i papież gorliwie popierają ostatniego; Eryk Duński wspiera Zygmunta w Krakowie, podczas uroczystości weselnych, odgrywa się bardzo ciekawy akt intrygi, krzyżaccy tylko posłowie zdają się obojętnie przypatrywać z boku, oczekując na czyją stronę przechyli się zwycięztwo. Jeden z nowych historyków niemieckich twierdzi, cokolwiek może za lakonicznie, że Zygmunt i Eryk ponieśli w Krakowie całkowitą klęskę. Jagiełło nie orzekł nic stanowczego, odwoływał się na Witołda dokąd téż odesłał Zygmunta, a król ten wiedział, że postępowanie takie oznaczało delikatną odmowę. A jakkolwiek Zygmunt osłabił znaczenie, jakie miał Fryderyk w oczach Jagiełły i Witołda, wykazał im bowiem dukumentami, jako Hohenzoller jest jego lennikiem i Marchią Starą tylko tytułem wyderkafu posiada, gdy atoli pomimo to celu nie osiągnął, nie mógł odjeżdżać z Krakowa zadowolnionym.

Ale nietylko z powodu téj dyplomatycznéj porażki był Zygmunt niezadowolniony z sukcesu rokowań krakowskich. Uchwalono tam bowiem walną na Husytów wyprawę, król i Witołd po wtóry już raz wysłali listy wypowiednie do Czech, ale czy zamysł ich natrafił na opór ze strony panów polskich, nie życzących sobie zbrojnéj interwencyi na rzecz Zygmunta, czy téż brakło subsydiów piéniężnych, o których pozyskanie trzeba się było za pośrednictwem papieskiém starać u duchowieństwa koronnego, czy téż wreszcie ogłoszona na Husytów wyprawa natrafiła na niechęć szlachty w Wielkiéj i Mało-Polsce podobnie jak wywołała niechęć na Rusi, dość że z krzyżową wyprawą, któréj termin pozostawiono decyzyi króla, szło bardzo leniwo. O ile na tę niechęć wpływało stronnictwo husyckie w Polsce, nie wiemy; przypominamy tylko, że jemu to zawdzięczyć należało, że do krzyżowéj wyprawy nie przyszło już wnet po owym pokoju w Kezmarku, przeciwnie tracono czas na bezowocnych dysputach teologicznych, mających za cel na drodze pokoju przejednać Husytów z papieżem. Zygmunt rad nie rad musiał przystać i na to i wręczyć pełnomocnictwo Jagielle, jako temu, który posiada

zaufanie u kacerzy, do rokowania z nimi. Oczywista, że dysputy były bezowocne, a co gorsza Husyci jakoby ośmieleni zaufaniem króla Polskiego zdają się drwić w roku 1424 z uchwalonéj w Krakowie na nich krucyaty, gdyż jakby w odpowiedź na te groźby, wysyłają, jak ongiś po owym wyroku wrocławskim, poselstwo do Jagiełły, ofiarując mu koronę czeską. Jagiełło jak dawniéj nie przyjmuje korony, ale jak dawniéj odsyła posłów do Witołda. Prawda, że książę zabrania Czechom na przyszłość i nogą stąpać na Litewskiéj Ziemi, ale co się w sercu Zygmunta dziać musiało, skoro się dowiedział o odnowionych umizgach Husytów do Polski. Ta okoliczność tłómaczy nam, że Zygmunt na zebraniu elektorskim w r. 1424 mógł otwarcie obwiniać Polskę, że z Husytami nie może przyjść do ładu.

Zastanawia to jednego z nowszych historyków téj epoki, skoro wyczytuje w glejtach czeskich posłów, że ich król Zygmunt wprost kacerzami, Jagiełło zaś czeskimi przeciwnikami Jego królewskiéj MCI nazywa. Nie tłómaczy atoli nam przyczyny téj różnicy, gdyż nie wié o istnieniu tajnego stronnictwa husyckiego w Polsce, które pomimo traktat kezmarski pragnie wyzyskać stosunki w Czechach na korzyść własną i Polski, stara się wmówić w dwór papieski, że król Zygmunt nie jest w stanie pokonać Czechów, sprawuje owe dysputy i zwłoki, radby oręż husycki nawiedził Szlązk i dał koronie sposobność do zbrojnéj interwencyi, któraby ich prywatne ambicyjki zaspokoiła i koronie sposobność nastręczyła do odzyskania dawnéj jéj prowincyi. Stronnictwo to pracuje tajnie a posiada wpływ i znaczenie, skoro sprawuje owe wahanie się i brak decyzyi ze strony króla. W parę lat późniéj nastąpią wypadki, które odkryją głowę stronnictwa. Był nią ksiądz kanclerz królestwa Jan Szafraniec.

Niepewne i wahające się postępowanie króla Jagiełły w kwestyi husyckiéj, jak z jednéj strony wzmaga niechęć Zygmunta do Polski, tak z drugiéj strony dodaje odwagi stronnictwu husyckiemu. Dziwnym sposobem stało się, że gdy król nie może zebrać przyobiecanych na krucyatę posiłków, ambitny bratanek królewski, Zygmunt Korybutowic, znalazł i środki i pomoc i prawdziwie dowcipną, lecz przykrą psotę wyrządził stryjowi, skoro zebrawszy mu z przed nosa ochotników na krucyatę podążył z nimi do Czech celem połączenia się z kacerzami po tryumfy wojenne i koronę czeską.

Po doznanéj szkodzie i kompromitacyi, stał się król mądrzejszym i energiczniejszym aniżeli nim był do tych czas, chodziło tu bowiem o honor jego i królestwa. Ale pomimo tysiącznych usprawiedliwień, pomimo energicznego zbierania wojsk na krucyatę, pomimo edyktu wieluńskiego, w którym trudno nie dojrzéć wpływu energicznego Witołda, król Zygmunt nie mógł nie czuć urazy do króla a su-

bsydia polskie spotkał ten despekt, że ks. Albrecht austryacki nie chciał ich, z powodu obawy wpuścić w mury miasta Ołomuńca. Musiały z niczém wrócić do domu.

Zygmunt był rozdrażniony i zły na Jagiełłę, dyplomatyczne stosunki trwały zawsze, ale o serdecznych nie było mowy. Nadto irytował go Brandeburczyk i o nim to powiedział on w Wiedniu, że tylko pod tym warunkiem się z nim zgodzi, skoro mu tenże wyda dokumenta związku z Jagiełłą. Ze złośliwą ironią dodał on, iż słyszał z własnych ust Jagiełły, iż młody książę nie poślubi nigdy córki królewskiéj. Celem zabiegów Zygmunta było zniszczyć Brandeburczyka, to téż podburzał nań książąt szczecińskich a książę Fryderyk musiał się uciekać pod opiekę Jagiełły i błagać go o pomoc. Ale poselstwo, które w tym celu pod koniec Maja r. 1425 przybyło do króla, odprawił tenże bez stanowczéj odpowiedzi.

Nie potrzebujemy dodawać, że wrogowie korzystają co chwila z téj naprężonéj sytuacyi. Roje plotek kursują właśnie z tego powodu na dworze krakowskim jako téż na dworach Zygmunta i Fryderyka. Jacyś bliżéj nieznani przestrzegają króla Eryka Duńskiego, który jest wrogiem Brandeburczyka, aby nie wracał przez Polskę do swego królestwa, gdyż tam zamyślają go uwięzić. Pomimo to Eryk udaje się przez Kraków do domu i nie wiadomo czy nie jego to staraniom należy przypisać chwilową zmianę króla Jagiełły. Postanawia on dla miłości i zgody z Zygmuntem poświęcić Brandeburczyka, a zaciężni Polacy wsparli książąt pomorskich w walce z Fryderykiem, który téż w jesieni r. 1425 walną od nich poniósł porażkę.

Niebawem przekonywa się chwiejny Jagiełło, że nie warto szczerze wspierać Zygmunta i poświęcać dlań chociażby tak samolubnego i wątpliwego przyjaciela, za jakiego niezawodnie poczytywał Brandeburczyka. Zygmunt bowiem zamiast wdzięczność okazać, wspiérał wyłamujących się z pod zwierzchnictwa korony książąt mazowieckich, przypominamy omawianą wyżéj widymacyą dokumentów, a to wystarczyło, żeby zazdrosny o powagę swéj korony Jagiełło nie zrobił dotkliwego z tego powodu wyrzutu królowi Zygmuntowi. Skutkiem téj nowéj podniety nieszczerego stosunku, Zygmunt godzi się z Brandeburczykiem w Wiedniu 16 Marca r. 1426, co wcale nie przeszkadza Husytom zadać krzyżowym wojskom olbrzymią klęskę pod Auszką na dniu 16 Czerwca t. r. Równocześnie kurya na nowo proponuje, aby starano się Husytów na drodze pokoju pojednać z kościołem, a propozycya ta znajduje na krakowskim dworze posłuch. Szlązcy książęta garną się pod opiekę Jagiełły i chcą pośredniczyć w godzeniu Husytów z kuryą. A Zygmunt zajęty podczas tego daleką swą wyprawą na Wołoszczyznę nie może się dość

nairytować, że papież wyraźnie pomija go, chociaż jest prawdziwym królem Czechów a przez *obcych* koronie czeskiéj stara się wejść w układy z kacerzami. Papież, poinformowany przez kancelaryą polską, podpowiada, iż pominął go z tego powodu, iż już samo imię jego jest ogólnie znienawidzone w Czechach. Szczęściem dla Zygmunta owa próba przejednania Husytów z kuryą nie udaje się i Korybut 17 Kwietnia r. 1427 osiadł w więzieniu pragskiém a towarzysze jego, Polacy, musieli opuścić Czechy. Radykalni Husyci zwyciężyli i rozpoczynają myśléć o wojnach zaczepnych, ale Zygmunt nie potrzebuje się już obawiać o Korybuta i o powodzenie polityki ugodowéj, którą protegował król Jagiełło.

W Niemczech zaczynają na seryo myśléć o zbrojeniu się przeciwko Husytom. Dziwna rzecz, że ten, którego Zygmunt wyznacza na dowódcę krzyżowéj wyprawy, elektor Brandeburgski, z którym się niedawno był pogodził, popada w podejrzenie o zdradę. Knuje on ją rzeczywiście z kacerzami. Wchodzi on mianowicie w związek z reakcyjném stronnictwem, którego upadek Korybuta jeszcze nie zupełnie zniszczył a które usiłuje za pomocą katolików i zagranicy zwyciężyć Taborytów. I już porozumiał się Fryderyk z dowódcami reakcyjnéj partyi, ale zawistny los stanął mu na przeszkodzie; wojska krzyżowe 4 Sierpnia r. 1427 haniebnie uciekły z pola walki podczas gdy Taboryci jeszcze miecza z pochwy nie wyciągnęli. Brandeburczyka poczęto obwiniać o zdradę.

Klęska pod Tachowem, lubo tak dotkliwa i upakarzająca dla Niemiec, poprawiła jeszcze bardziéj stanowisko Zygmunta względem Husytów, aniżeli to upadek Korybuta zdołał uskutecznić. Zygmunt nie potrzebuje się więcéj obawiać największego z wrogów Brandeburczyka, zdyskredytowanego w opinii całych Niemiec, zmuszonego w pokornych słowach usprawiedliwiać się z zarzucanéj mu winy zdrady.

Tak więc prawie bez współudziału Zygmunta, zajętego węgierskiemi sprawami i obojętnego na pozór o Niemcy, poprawia się stosunek jego do korony czeskiéj; dwaj współzawodnicy runęli na zawsze jako niezdolni do dalszéj walki, pozostaje trzeci Polska, o którą się on najbardziéj obawia i wszystko złe rad jéj przypisuje. Na pozór pozostaje on na dobréj stopie z królem Jagiełłą, przyjmuje posiłki na tureckie wyprawy, prosi o nowe, ale w gruncie rzeczy pała tajoną nienawiścią ku niéj, a płomień jéj podsycają agenci krzyżaccy. Dochodzą go jakieś pokątne plotki i ostrzeżenia, że Jagiełło wzywa książąt szlązkich, aby się wyłamali z pod zwierzchnictwa Zygmunta, że wstawia się u Husytów celem uwolnienia Korybuta z ciężkiego więzienia, że na nowo chce wejść w ścisły związek z Bran-

deburczykiem i t. p. Zapytajmy kto rozsiewa te wieści, w których zresztą jest okruszyna prawdy, i chętkę mamy posądzić o wyzyskiwanie przynajmniéj tych wieści sołtysa zakonu Redewitza, który od roku już w charakterze posła zakonu bawi przy dworze Zygmunta. Zapewne jego to usiłowaniom przypisać również należy, że król Zygmunt niejasno i widocznie nieszczérze działa w sprawie rozgraniczenia Nowéj Marchii. Z tego to właśnie powodu król Jagiełło powziął skrytą nienawiść do Zygmunta i tém bardziéj daje sobą powodować stronnictwu husyckiemu, które po odkryciu machinacyi Zygmunta z książętami mazowieckimi nabrało otuchy a teraz zaczyna podnosić głowę. Stronnictwo to rozpoczęło tajnie się porozumiewać z partyą Korybuta w Czechach, było to po ucieczce wojsk niemieckich z pod Tachowa, lecz z partyą najbardziéj umiarkowanych, na których czele stał zasłużony w sprawie podniesienia stosunków polsko-czeskich Hinko z Kolsztyna. On to postanowił w związku z katolicką szlachtą czeską uwolnić Korybuta z więzów niewoli; próba atoli, na dniu 6 Września r. 1427 przedsięwzięta, nie udała się całkowicie.

Mistrz Russdorf niezwykle interesował się tą sprawą i kazał sobie dokładne z Czech zdawać relacye o losach litewskiego księcia; wiadomości te dochodziły i Zygmunta, i nie powinno nas zdziwić, jeżeli Zygmunt dał wiarę jako król Jagiełło po owéj nieudałéj próbie Hinka miał wstawiać się u Prażan za Korybutem, żądając jego uwolnienia. Możemy sądzić, że powziął on jeszcze większe podejrzenia tak, że nawet listom i usprawiedliwieniom się królewskim nie dawał wiary. Husyci bowiem pod koniec tego roku napadają na Węgry i przygotowują się z olbrzymią wyprawą na Szlązk, a uskuteczniają potężny napad wtedy, kiedy Zygmunt najbardziéj zajęty jest na południu Węgier. Było to w początkach roku 1428.

Zygmunt już podczas piérwszego napadu Husytów na Szlązk w r. 1427 podejrzywał króla, że to jego sprawka; że Polacy chcą mieć Husytów na Szlązku, aby pod pozorem niesienia pomocy Szlązakom mieć powód do zbrojnéj interwencyi, przyczém by mogli dawno względem téj ziemi żywione zamysły rewindykacyjne wykonać. To też gdy podczas téj drugiéj wyprawy Husytów, szlązcy książęta poczęli jeden po drugim wchodzić z nimi w układy a Jagiełło zalecał zbrojenia w pogranicznych Szlązkowi województwach i obiecywał Szlązakom z pomocą przybyć, to chęć ta interwencyi ze strony Jagiełły bardziéj dotknęła Zygmunta aniżeli klęski Szlązaków. Nie wiadomo czy nie dał on téj niechęci poznać królowi, co wnosićby należało z powodu téj okoliczności, że do interwencyi ze strony Polski nie przyszło.

Słowem, stosunki pomiędzy Zygmuntem a Polską pomimo pozorów przyjaźni były naprężone. Na nieszczęście Zygmuntowi nigdzie się nie wiedzie, i wyprawa, jaką podjął w Serbii pod koniec Kwietnia r. 1428, skończyła się klęską pod Gołąbcem. Starał się on wprawdzie zmniejszyć znaczenie zwycięztwa Turków, ale nadaremnie. Co gorsza, pod Gołąbcem stracił on jednego z największych bohatérów polskich, Zawiszę Czarnego z Garbowa, pozostawiając go na pastwę Turkom, gdy sam ratując życie umknął na drugą stronę Dunaju. Wiedząc jak boleśnie przyjmą Polacy wiadomość o stracie Zawiszy, i że z tego powodu stosunki jeszcze bardziéj pogorszyć się mogą, stara się on tak w obec Jagiełły, jak szczególniéj w obec Witołda usprawiedliwić się, że śmierć bohatéra nie cięży na jego sumieniu ani ją spowodował opieszałością, lecz że jest wprost winą złego losu. Wszystko naderemnie, Polacy mu tego nie przebaczą, sądzi przeto, że najlepiéj zrobi, jeżeli zwali całą winę nieudałéj wyprawy na wojewodę wołoskiego, którego powtórnie już oskarża, jako nie przybył mu z pomocą, do czego przecież na mocy traktatów z Polską jako jéj wasal był obowiązany.

Aby jeszcze lepiéj zamaskować klęskę, a nadto zawikłać Polskę sprawą mołdawską i odciągnąć jéj uwagę od pobratymczych Czechów, projektuje on pomysł w jakie obfituje bujna jego imaginacya a do wykonania którego chce użyć pomocy zakonu. Chce on wprost użyć sił zakonu niemieckiego przeciwko niewiernym Turkom i przesiedlić jakąś część rycerzy krzyżowych przy ujściach Dunaju, aby mieć w nich stałą zaporę przeciwko nawale Tureckiéj. Wysyła w tym celu pod koniec Marca zdolnego Kaspra Schlicka do Malborga, wręczając mu stosowne instrukcye.

Słusznie się dorozumiewa historyk pruski Voigt, że poselstwo Schlicka w wysokim stopniu nie podobało się mistrzowi. Bo że mistrz miał brać zakonną zaopatrzyć w potrzeby wojenne i na własne koszta wysłać w dalekie kraje, to nie mogło go tak srodze dotknąć, uśmiechała mu się bowiem myśl zakupienia Nowéj Marchii na dziedzictwo zakonu, co mu sam Zygmunt ofiarowywał. Ale gdy Schlick argumentował ze strony Zygmunta, że zakon założony jest w tym celu, aby wieść wojnę przeciwko niewiernym, a że mistrz obecnie z takimi niczego nie ma do czynienia, przeto powinienby wesprzeć króla Zygmunta w wojnie przeciwko Turkom, to w argumentacyi takowéj widział mistrz intrygę lub co najmniéj posądzał o nią Polaków, którzy opinią taką szerzyli przez pisma i mowy po całéj Europie. Projektu Zygmunta nie wypadało odrzucać, więc rozpoczął Russdorf o nią rokowania z Zygmuntem, okazując jak największą uległość a przedstawiając w żywych kolorach niebezpieczeństwo grożące mu

ze strony Polski. Zapewne że nie mamy na to dowodu w jakiéjś współczesnéj relacyi, znajdziemy atoli potwierdzenie naszego zdania w późniejszych wypadkach jako téż w téj okoliczności, że właśnie poseł Zygmunta Kaspar Schlick prowadzić będzie dział intrygi zawiązywanéj pomiędzy Jagiełłą a Witołdem w kancelaryi Zygmunta. Oprócz omówionego projektu przedkładał Schlick mistrzowi, że król Zygmunt chce ostatecznie dokonać rozgraniczenia od Nowéj Marchii i pokazywał jakie w tym celu otrzymują pełnomocnicy instrukcye od Zygmunta. Co na to Russdorf odpowiedział, nie wiadomo.

Wiadomo atoli jak sobie w obec téj zmiany sytuacyi postąpił. Oto Schlick odbył swe poselstwo na dniu 5 Maja r. 1428. Na dniu 18 Maja miał Russdorf zjechać się z Jagiełłą, aby się wreszcie zgodzić na superarbitra. Po zjeździe w Grodnie była, jak wiadomo, mowa o Brandeburczyku jako sędzi sporów polsko-krzyżackich, wreszcie o królu Zygmuncie do którego król Jagiełło tym celem nawet poselstwo wysłał. Ale mistrz Russdorf zjechawszy się z królem żąda tylko Witołda mieć sędzią i argumentuje tak stanowczo, że rzecz dziwna, Jagiełło, który miał i tak już żal do Witołda i bezpodstawne doń żywił podejrzenia, nie bacząc nawet na to, że traktował równocześnie o tę godność z Zygmuntem, przystał na życzenie mistrza i tegoż dnia kazał wysłać kompromis na rzecz wielkiego księcia jako superarbitra.

Trudno dopatrzéć w tym kroku królewskim jakiéjś głębszéj politycznéj myśli. Nasuwa nam się zaraz pytanie, dla czegóż król na prożbę księcia w Litwie nie wręczył mu kompromisu a wręcza go obecnie na prożbę mistrza, dla czego nie wyczekuje odpowiedzi Zygmunta. Te i tym podobne pytania uzasadniają uczyniony już powyżéj wniosek, że w postępowaniu królewskim widoczne przebija się wahanie, że każdy czyn i krok jego znamionuje niepewność, słowem, nie wié na co się zdecydować i jak sobie postąpić. Zapytajmy atoli jakie były następstwa téj niepewności? Oto król Zygmunt jakby uradowany z nadarzającéj się mu sposobności rozjemstwa, przyjmuje zaproszenie królewskie i ofiaruje się być sędzią sporów. Proponuje w tym celu zjazd wspólny a przytém uprasza króla, ażeby mu król dopomógł w wojnie przeciwko wojewodzie Wołoskiemu, ażeby zabronił Polakom wstępu na Szlązk i odwołał ztamtąd Puchałę i jego towarzyszy. Na dniu 29 Czerwca wysłał Zygmunt poselstwo swe do Polski. Sprawowali je rycerz Henryk Berzewicz i magister kanonicznego prawa Zeiselmeister a równocześnie uwiadomił Zygmunt o tém wszystkiem w. mistrza, dając mu instrukcye na wypadek, gdyby Jagiełło w ręce jego złożył kompromis. Swoją drogą krzyżak Redewicz, sprawujący interesa zakonu w charakterze radcy

króla Zygmunta, zdał poszczegółową sprawę mistrzowi o téj dyplomacyi, „która się obecnie na nowo i mocno poplątała.“ Zanim król Jagiełło zdecydował się co począć w obec wyraźnego życzenia Zygmunta, mistrz Russdorf już o wszystkiém wiedział na dniu 7 Sierpnia a agenci jego pospieszyli, by dać znać Witołdowi, że król nie myśli dotrzymać kompromisu złożonego w ręce księcia, kiedy on rokuje z Zygmuntem. W zawiłéj sytuacyi łatwo plątać dalsze pasma intrygi.

Król Jagiełło skutkiem nowych przedłożeń Zygmunta bardziéj się jeszcze zawahał i nie wiedział coby miał począć, aniżeli to się stało skutkiem zjazdu z mistrzem Russdorfem. Nie umié on się zdecydować czyby miał poprzestać na Witołdzie jako superarbitrze, czy téż miałby pozyskać sobie wyborem Zygmunta. Wreszcie posyła ostatniemu wiadomość, iż przystając na propozycyą jego chciałby się z nim i w. księciem zjechać, dał mu atoli do poznania, iż nie przystaje na wspieranie go w wojnie zamierzonéj przeciwko wojewodzie wołoskiemu. Witołd skoro się o tém dowiedział, że mianowicie król pomimo złożenia kompromisu w jego ręce, rokuje o godność superarbitra z Zygmuntem, zawrzał cały gniewem. Pomiędzy królem a wielkim księciem rozpoczęła się wojna kancelaryjna. Podówczas, w Sierpniu, zajęty był książę wyprawą na Ruś a wśród niéj i z powrotem nie ukrywa swego niezadowolnienia z powodu braku decyzyi u króla. Pod koniec Września stosunki były tak naprężone, że król musiał celem złagodzenia gniewu księcia wysłać do Litwy królowę i siostrę swą Aleksandrę księżnę mazowiecką.

Z tego naprężonego stosunku korzysta o wszystkiém tém wiedzący mistrz i uwiadamia przedewszystkiém Zygmunta o nowéj niezgodzie pomiędzy Jagiełłą a Witołdem. Nietrudno przychodzi agentom zakonu przekonać Zygmunta, iż król Polski nie przystaje na podział Mołdawii z tego li tylko powodu, gdyż wasal mołdawski potrzebnym mu jest, by krzyżować plany Zygmunta na Węgrzech, że król, który z Zygmuntem traktuje w sprawie godności superarbitra dość łaskawie przyjmuje poselstwa husyckie, że kacerze czescy ofiarowują się nieść Polsce pomoc przeciwko zakonowi i t. p. Donosił daléj agent krzyżacki o powodach niechęci pomiędzy królem a księciem i że ostatni ważny wpływ na króla wywiera, a ostrożnie działając, będzie można przy pomocy księcia i podział Mołdawii uskutecznić i zająć przez to Polskę na wschodzie i faworyzowaniu Husytów przez Polaków, które się tak ciężko daje Zygmuntowi we znaki, zadać cios dotkliwy. Kto wié, czy nie otrzymał bawiący przy Zygmuncie Redewicz specyalnych instrukcyj, na mocy których miał doradzać Zygmuntowi coby teraz począć należało, aby sytuacyą jak najlepiéj wyzyskać.

I rzeczywiście król Zygmunt usłuchał głosu mądrego Russdorfa, i jakby pojął cały plan intrygi, wysyła do króla Jagiełły i Witołda drugie poselstwo, a mianowicie Piotra Łęczyckiego i Antoniego Roskowana. Przyjmuje on godność superarbitra, ale stawia ponownie kategoryczny już warunek, iż skoro król nie przystanie na użyczenie mu pomocy przeciwko wojewodzie mołdawskiemu, skoro nie zabroni Polakom wstępu do Szlązka i wspierania Husytów, on nie przyjmie ofiarowywanéj mu godności i nie chce nawet zjeżdżać się z królem.

Co tylko piérwsi posłowie Berzewicz i Zeiselmeister załatwili swe poselstwo w Polsce, było to pod koniec Września, i podążyli do Litwy, gdzie się wreszcie i Witołd zgodził na zjazd i proponował Łuck jako najdogodniejsze do tego miejsce, gdy w tém przybywa drugie poselstwo z wzmiankowanym powyżéj kategorycznym warunkiem. Że podobny zwrot rzeczy zdziwił mocno króla, który w zasadzie przyjął był propozycyą zjazdu, że nadto w Krakowie podejrzywano Zygmunta o jakąś intrygę lub zmowę z krzyżakami, z czego atoli sprawy zdać sobie nie umiano, możemy na śmiało sądzić. Oczywista, że odprawiono posłów z odpowiedzią, iż w sprawie wojewody wołoskiego jako téż husyckiéj, będzie się można porozumiéć na zjeździe, gdzie nasamprzód trzeba będzie zbadać o ile zawinił wojewoda przeciwko traktatom i tp. Poselstwo według zwyczaju zdąża z temiż samemi przedłożeniami do Litwy.

Rokowania Jagiełły z Zygmuntem gorszą jak wiemy Witołda. Musiał on atoli uledz prożbom królewskim i odprawił piérwsze poselstwo z odpowiedzią z jaką ich odprawiono w Polsce, proponując ze swéj strony Łuck na miejsce zjazdu, gdyż na Litwie, łatwiéj mu było godzący swarliwe strony wpływ wywierać, aniżeli w Polsce lub gdzieindziéj. W tém nadchodzi drugie poselstwo przynoszące znane nam dodatki. Możemy śmiało twierdzić, że Witołd był poniekąd zgorszonym z powodu treści dziwnéj téj legacyi; posłowie bowiem wręczają mu list Zygmunta, w którym król, powołując się na słowa jakoby przez księcia kiedyś wyrzeczone, wpraszał się doń na gościa. A czyż nie mógł się oburzyć, gdy posłowie oskarżając króla Jagiełłę, dodawali, iż król Zygmunt chciałby się sam na sam zjechać z księciem wykluczając króla Polski?

Witołd wnet dostrzegł, że przedłożenia Zygmunta były bardzo podejrzanéj treści i odpowiedź swą zastosował do tego domysłu. Odpowiedział on mianowicie, że go mocno zastanawia, dla czego piérwsi posłowie żadnego warunku nie stawiali drudzy, je stawiają, że gdyby byli piérwsi z takowém przedłożeniem przyszli jak drudzy, mógłby był im coś stanowczego odpowiedziéć, podówczas bowiem

król Polski znajdował się w pobliżu miejsca pobytu jego. Dziś zaś, gdy król już o setkę mil odeń oddalony nie mógłby tak rychłéj dać odpowiedzi i doradza, aby na wspólnym zjeździe, jak na to już w zasadzie przystali, i te kwestye załatwiono. Wmawianie ze strony Zygmunta jakoby go miał kiedyś już zapraszać w gościnę omija Witołd bardzo dyplomatycznie, gdy pisze do Zygmunta: „Wprawdzie poseł W. Kr. MCI. Hołub miał wam donieść, jakobym miał się przed nim wyrazić, że życzyłbym sobie, aby mnię WKMć odwiedzić raczył a mianowicie w Łucku, atoli rzecz ta cokolwiek inaczéj się miała. Prawdą jest, że ilekroć Hołub od W. Kr. MCI. do nas przychodził, tyle razy referował nam, że życzycie sobie zjechać się z nami. Odpowiadałem mu tedy, że chętnie zjechałbym się z Wami, gdyby W. Kr. Mć zechciał nas nawiedzić w naszym domu.“ Witołd zręcznie umiał wymijać zasadzkę i odpiérać wykręty. Czyż nie miał tak sądzić o poselstwie Zygmunta, skoro mu tenże proponował zjazd bez współudziału króla Polski. Niemniéj zręcznie umiał on sobie i względem téj półapki poradzić. Oto odpowiada, „iż lubo by mu przyjemném było gdyby się mógł z królem Zygmuntem zjechać, to jednakowoż zjazd taki nie mógłby się obyć bez króla Polski. Prawdą jest, mówi daléj książę, jakoby pozornie przyjmując podstępnie podsuwane mu przez króla Zygmunta argumenta, iż bez króla polskiego mógłbym W. Kr. Mść daleko łatwiéj i przystojniéj podjąć i ugościć, lecz gdy w braku Jagiełły nie moglibyśmy powziąć uchwał w wielu wspólnie nas obchodzących sprawach, prosimy, aby i on był uczestnikiem zjazdu i abyśmy, według ugody z piérwszymi waszymi posłami powziętéj, wszyscy trzéj razem zjechać się mogli.“ Taką była odpowiedź Witołda. Dodaćby jeszcze należało, że Witołd tak treść tych powtórnych przedłożeń Zygmuntowych jak i odpowiedź na nie odesłał królowi Jagielle, i że w Polsce zaczęły się, nie wiedzieć za czyim wpływem, mnożyć słuszne podejrzenia, że Zygmunt chce użyć przeciwko Polsce Witołda, a co gorsza, że posądzano księcia jakoby rad słuchał podszeptów Zygmuntowych. Jak się wkrótce dowiemy, odpowiedź Witołda dana Zygmuntowi nie zmiejszyła tych podejrzeń i nie uciszyła głosu wrogów Witołdowych w Polsce, posądzających go o skryte jakieś machinacye z Zygmuntem.

Tymczasem Zygmunt otrzymawszy odpowiedź Witołda, a widząc z niéj, że zabiegi jego się nie udały, uznał je jako przedwczesne i oświadcza królowi zarówno jak i księciu, iż chętnie odbędzie z nimi zjazd byle tam poruszono i sprawę mołdawską. Pod sam koniec Listopada nastąpiła umowa, wyznaczono Łuck na miejsce a dzień 9 Stycznia na termin zjazdu. Natychmiast dał o tém znać Zygmunt Russdorfowi i polecił mu, aby wysłał do Łucka swoich pełnomocni-

ków gdyż, dodawał: „odbędą się tam traktaty o granice Marchii i Drezdenka, oraz i inne sprawy i to w ten sposób, aby zakon z tego wszystkiego korzyść mógł odnieść.“ Na żądanie Zygmunta spieszy Redewicz bawiący chwilowo w Malburgu do Węgier, a równocześnie znany nam poufnik mistrza Vochs udaje się na dwór Witołda, który ufa, że zjazd przyjdzie do skutku i że zakończą się na nim drażliwe a do znudzenia wyczerpujące cierpliwość jego sprawy i czyni do zjazdu olbrzymie przygotowania. Mistrz uwiadamia księcia, iż wysyła do Łucka swych pełnomocników w osobach Komtura z Bałgi i rządcy z Rastenburga a książę odpowiada z nietajoną radością, iż może raz przecież kwestya pokoju wiecznego się zakończy. Nie wiadomo czy Russdorf utrwalał księcia w téj nadziei, to pewna, że wiedział, iż w Krakowie z największym niedowierzaniem spoglądano na nową próbę ugodową, czwartą już ponoś z rzędu od czasu zawarcia pokoju nad Melnem. Agenci zakonni zbierają kursujące na ten temat plotki i donoszą o nich Russdorfowi a trudno dziś dojrzéć o ile na nich wprost sami wpływają krzyżacy.

Było to pod koniec Grudnia r. 1428. Król z Witołdem bawią według zwyczaju w Grodnie. Nieporozumienia pomiędzy nimi jakby nie ustały, król pokryjomu żywi podejrzenia ku księciu i ku Zygmuntowi jako téż ku krzyżakom, i jakoby mu się nie podobało, że zgodzono się na zjazd w Łucku, którego przecież sam był sprawcą, gdyż nie zasiągnąwszy nawet rady Witołda traktował w sprawie tegoż z Zygmuntem. Niepodobna mu skłonić Witołda, aby mu na przypadek, gdyby go miał obrać sędzią polubownym, przyobiecał Drezdenko i połowę koryta rzéki Noteci, gdyż książę upornie trwa przy zdaniu, że superarbiter powinien szanować prawo i badać wprzód dokumenta i prawne wywody stron zanim wyda wyrok; nawet groźby i postrachy Husytami na nic się nie przydały, Witołd szydzi sobie z Husytów. Podejrzliwy król coraz bardziéj utrwala się w nieuzasadnionych domysłach i posądzeniach a w przeddzień zjazdu Łuckiego stosunek pomiędzy królem a księciem jest pomimo pozorów zewnętrznych w istocie gorszy aniżeli był nim przedtém kiedykolwiek w czasie licznych i daremnych zjazdów granicznych z krzyżakami.

Rzućmy teraz okiem na okres poprzedzający ważny w dziejach zjazd Łucki a przypomnimy sobie, że w okresie tym szło Witołdowi o wykonanie pokoju melneńskiego, które dotąd jeszcze kuleje z powodu nieodbytych rozgraniczeń spornych ziem, dzielących Prusy od Polski. Zobaczyliśmy, że Russdorf dostrzegłszy różnicy zadań politycznych zachodzącéj pomiędzy Witołdem a Polską, sprawuje oporność ze strony Polaków, zniecierpliwia ich zarówno jak i Witołda, że atoli przez podstęp pozornie legalnego działania i us-

tępstw dla księcia czynionych, przy rozgraniczeniu ze strony Litwy sprawuje, że książę, który obie strony zarówno gorliwie nakłaniał do zgody, począł więcéj doraźnie naciskać na króla Polaków, podczas gdy względem zakonu używał w tym celu pochlebstwa i rzekoméj protekcyi. To spowodowało mistrza, że użył ostrożnych i zgrabnych intryg, aby z jednéj strony podsycać nieufność względem księcia w Polsce, z drugiéj zaś zniecierpliwiać księcia i bodaj pozornie tylko pozyskiwać jego protektorat i sprawiać presyą wywieraną na Polaków. Uzyskują oni przez to upragnione poróżnienie pomiędzy podejrzliwym z natury królem Jagiełłą a nieugiętym i energicznym Witołdem; król, który się począł emancypować z pod wpływu Witołda, pozostaje pod wpływem Szafrańców, wrogiego Witołdowi stronnictwa w Polsce. Chodziłoby teraz o to, aby nieporozumienia te, o których w Polsce tylko i Litwie wiadomo, zapomocą jakiéjś intrygi obliczonéj na wyzyskanie ambicyi księcia rozgłosić światu, iskrę tlejącą w zarzewiu podsycić w płomień. Rzecz rezykowna dla ostrożnego zakonu, to téż Russdorf pracuje, aby użyć do tego pomocy Zygmunta Luksemburczyka. Król ten przekonany przez zakon o szkodliwości Polski, pragnie jéj zaszkodzić i łatwo poucza się o sposobach korzystania z nieporozumień zachodzących pomiędzy Jagiełłą a Witołdem, ale próba w tym celu przed zjazdem w Łucku odbyta nie udaje się. Mogło go to tylko zachęcić do tém ostrożniejszego postępowania, które przedsięwziął w spółce z mistrzem Russdorfem. Starannie ukrywany owoc intryg, którego się obawiają w Polsce, miał dojrzéć na zjeździe Łuckim. Tajemne pragnienia Russdorfa, aby zrzucić z siebie brzemię pokoju wiecznego i szczére chęci Zygmunta, aby zawikłać Polskę jakąś piekącą sprawą wewnętrzną i odciąć ją od Czechów, mają się spełnić na zjeździe Łuckim.

Antoni Prochaska.

Koniec części pierwszéj.

SZKICE Z ANGLII.

(*Dokończenie części piérwszéj*).

XII.

— Cóż to, więc i marzyciele w City gonią za interesami, wołał z uśmiechem dobiegając mnie na City-Road kapitan.

— Albo podobna kochany kapitanie, odparłem wyciągając na przywitanie rękę, mieszkać w Londynie i nie prowadzić interesów?

— Brawo! kto mieszka w parafii musi chodzić do jéj świątyni.

— Zbliżamy się do podwoi, rzekłem poważnie, pokazując na czarny gmach banku angielskiego.

— A na jéj ołtarzu, kończył kapitan, ulany ze złota siedzi *biznes* (1) bóg. W obec niego upada wszystko, przedewszystkiém zaś moralność, cnota, obowiązek, godność. *Biznes* jest wszystkiém, początkiem dobrego i złego, jedynym celem, rezultatem, bo jest bogiem.

— Kapitanie, zapalasz się, a gdzież równowaga? bo inaczéj egzystencya stałaby się niemożliwą, jak na giełdzie wiedeńskiéj.

— A któż mówi, że nie ma równowagi, lecz ona wytwarza się dla biznesu i z biznesu. Wielkie domy walczą kapitałami, punktualnością i rzetelnością do przesady, gdyż to dla ich biznesu jest konieczne. Nakręcona w tym kierunku maszyna, daje im najlepsze rezultaty. Mniejsze domy muszą naśladować wielkie, aby się kiedyś niemi stały, lecz gdy bez hałasu i wrzawy można dobry interes zrobić, przyprowadzając do bankructwa i nędzy sto rodzin, bądź spokojny nie zawahają się ani chwili, tak wielcy jak mniejsi.

(1) *Business*, interes, zajęcie, przedsiębiorstwo i t. d., wymawia się *biznes*. Piszę go podług brzmienia, z tego powodu, że wszystkie narodowości zamieszkujące Anglią, mówiące najrozmaitszemi językami, przyjęły ten wyraz za swój.

— Rozciekawiasz mnie.

— Obejścia, zasadzki, podstępy na porządku dziennym. Posłuchaj: pan Klarck naprzykład et compagnie, poważny, ogolony dżentlemen, zawsze czarno ubrany i zawsze w cylindrze, jednem słowem *respectable*, zakłada ze wspólnikami, mając naprzód upatrzone drogi zbycia, dom, bank, komisyą, słowem co mu jest najdogodniejszego. Z początku małe partye towarów płacą gotówką, lub biorą na kredyt, z krótkiemi terminami. Weksle wypłacają najsumienniéj, tym sposobem zyskują zaufanie i coraz większy kredyt, z którego korzystając zabierają towaru za 10 tysięcy funtów, pozbywają go jak najprędzéj i odpowiednio przygotowawszy swoje księgi bankrutują.

— I idą do więzienia za długi, dodałem.

— Nie tak prędko! najpiérw bankrutują podług wszelkich form prawnych, a zatém jest to bankructwo *respectable*, powtóre tylko biedacy idą do więzienia, bankrutujący wyżéj nad 50 funtów są wolni od téj przykrości.

— Wróćmy do przedmiotu, zdecydowałem.

— Pan Klarck i towarzysze bankrutują, stwierdzając księgami upadek, a że są *respectable* dżentlemeni, płacą zatém wierzycielom pena (1) za funta. Biznes wybornie się udał, zarobionym kapitałem dzielą się. Każdy ze wspólników zarabia po trzy tysiące funtów, (26.000 rubli). Urzędnikom swym dają po dwa funty gratyfikacyi, zamykają dom i zwijają firmę, aby ją pod innem imieniem założyć; mimo to, cieszą się dobrą opinią jako *very-respectable*.

— Chciałbym nareszcie dowiedzieć się o rzeczywistém znaczeniu waszego *respectable*.

— Czarodziejski ten wyraz w Anglii oznacza bardzo wiele. Nie masz narodu arystokratyczniejszego na świecie od Anglików, a *respectable* jest to miara oznaczająca wybitne stanowisko w swém otoczeniu. Chodzić w cylindrze i mieć czarny surdut znaczy respectable, płacić długi — respectable, ubierać żonę — respectable, mieć pokój bawialny — respectable.

— Znakomite respectable!

— Wieleż razy dla niego znoszą nędzę i upokorzenie; wieleż razy to słowo staje się powodem upadku i hańby!

— Czy nie zbyt jaskrawo malujesz kapitanie, zawołałem.

— Wejdź do naszych rodzin, a przekonasz się, jak wielkie ofiary składają swemu respectable. Często cała rodzina głód cierpi, aby mieć pokój respectable i wyjść na ulicę ubraną respectable.

---

(1) 240 penów stanowi 1 funt, który ma 20 szylingów, 1 szyling 12 penów, 1 peny 2 sous czyli pół pena. Fardyng 4-ta część pena.

— Przypominam sobie, moja praczka mówiła mi, że na piérwszém piętrze ma pokój respectable.

— Na utrzymanie którego oddaje piątą część swego dochodu, aby tylko mieć przyjemność powiedziéć ci o tém, a zarazem być dumną w obec sąsiadek.

— Córka jéj, gdy mówiła matka, dodałem, spuściła wtedy oczy, nie śmiejąc ich podnieść może, aby nie patrzały zbyt dumnie.

— Tak, tak, miała prawo być dumną, myśląc, że i ona jest respectable, siadając czasami w respectable pokoju swéj matki.

— A ci co długów nie płacą, rzuciłem pytanie.

— Płacić długi stanowi wysoki stopień respectable, ale o tym, kto nie płaci, byle dobrze mieszkał i ładnie się ubierał, powiedzą: „Wprawdzie ten dżentlemen niestety długów nie płaci, lecz zawsze jest on respectable.“ Gniewają się na niego, ale szanują w nim ideę respectable.

— Wybornie!

— Nie przesadzę jeżeli powiem, że respectable jest ideałem tutejszych stosunków, za którym wszyscy się ubiegają, a każde kółko ma swoję stopę do oznaczenia jego wartości. W jedném kole od posiadania pałacu, willi, dwudziestu koni na stajni, zaczyna się dopiéro respectable, a w ostatniém mieć całe obuwie i bieliznę, jest już nieporównane respectable.

— A zatém respectable myje i ubiera jednych, a rujnuje drugich.

— Trzecich pcha do łotrostw, a przynajmniéj do oszustwa. Słuchaj daléj: nasz pan Klarck z kompanią, mając trzy tysiące funtów zysku, po piérwszém bankructwie urósł w opinii na całéj ulicy, którą zamieszkuje, na wysoko respectable; to go pobudza, aby zostać również wysoko respectable i w całéj parafii. Powstaje zatém nowy dom, firma naprzykład Harison et compagnie. Szanowna współka zaczyna odrazu grubsze interesa, posiada bowiem swoich agentów do wyszukiwania placu na ich towary. Płacą świetnie, egzystują dwa lata, cierpliwie czekając na zdobycie zaufania. Obracając szybko kapitałem, bez żadnych zysków, a nawet choćby ze stratą, łatwo zdobywa się zaufanie w Anglii, gdzie produkta zalegają w magazynach, a z kapitałami nie wiedzą co robić. Stanowczy czas nadchodzi: po dwuletniéj pracy księgi ich wykazują obrotu sto tysięcy, a conta w wielkich domach dochodzą do kilkudziesięciu tysięcy funtów; wtedy nabierają na sto przeszło tysięcy towaru, na trzy miesięczny termin wypłaty; sprzedają ze stratą byle jak najprędzéj; bankrutują lojalnie i legalnie; poczém zamykają *biznes*, kupują domy, stawiają kaplice, należą do rozmaitych dobroczynnych sosajty, słowem są

u szczytu sławy, wery-respectable w całéj parafii, a pastor często w kazaniach stawia ich za przykład biedakom...

Chcąc nie chcąc musisz być takim, jakim jest społeczeństwo, a ono stawia sobie bogi jakie mu są potrzebne...

— Mister Pyrke! zawołał przerywając swą mowę kapitan do zbliżającego się małego człowieczka, żółtawéj cery, o cienkich nóżkach a długich stopach, spiczastym nosie, ruchliwych oczach, dużym halsztuchu, wysokich kołnierzach, z podniesionóm lekko ramieniem prawém.

— Good day sir, good day sir, odrzekł cicho człowieczek.

— No i cóż, czy myślisz skończyć, odpowiadaj stanowczo?

— To nie ja kochany panie, to zasada i refleks, moja osoba tu nic nie znaczy, nie patrz na nią ser i omijaj ją.

— A jednak to pańska zasada i pański refleks...

— Przeciwnie, zasada jest zasadą nienaruszoną, a pańskie są refleksa...

— Dla tego, że chcę odebrać swoje?

— Ja tylko stoję obok zasady, bronię jéj i co innego jestem ja, a co innego zasada. Chciwość pańska budzi w nim rozmaite refleksa i temi pan atakujesz zasadę.

— Co pan pleciesz?

— Zasada kochany kapitanie, to filar naszego domu.

— Rusztowanie, zawołał kapitan.

— Powtarzam filar, na którym spoczywa sklepienie naszego domu, a pańskie refleksa usiłują go podkopać. Człowieczek zaczął parasolem uwidoczniać ruchy, jakiemi kapitan pragnie podkopać filar jego domu.

— Jak się nazywa pańska zasada, zapytałem.

— Pospolicie się nazywa, ale mimo to jest nieugiętą i niewzruszoną... nazywa się: niewypłacalność przed ostatnim terminem.

— A po terminie także niewypłacalność, i to drugi filar, dodał kapitan.

— Nigdy tego nie powiedziałem; zasada jest jedna, a pańskie refleksa rozbudzone życiem czynném, wojskowém, są drażliwe, tu człowieczek powtórnie zaczął pokazywać parasolem zamiary kapitana.

—Najlepiéj was wszystkich powyzywać i jak kaczki wystrzelać, oczyścić Londyn i Anglią, krzyknął zniecierpliwiony kapitan.

— Aha! szanowny kapitan wyzywa na pojedynek, prowokuje, grozi i straszy! Człowieczek wyjmuje pugilares, wyciąga ołówek, pisze: „Morgatti strit, obok domu pod numerem 43, o godzinie,“ która godzina panowie? wyjmuje zegarek, dwunasta, minut 14, tak, czterna-

ście. Człowieczek pisze; kapitan założył w tył ręce i patrząc na mnie, uśmiechał się.

— Kapitan Wiliam Roggat groził, prowokował, wyzywał. Mówisz dear sir jak kaczki?

— Tak, jak kaczki, odparł kapitan.

— Domyślamy się dzikie kaczki, ciągnie człowieczek pisząc daléj.

— Nie, swojskie.

— No proszę, zatém swojskie.

— Zjadające wszystko, dodaje mój towarzysz.

— Mniejsza o szczegóły z zoologii, 25 minut straconego czasu, za każde 5 minut funta, zatém 5 funtów. Napaść, groźba... Czy powiesz ser, człowieczek zwraca rozmowę do mnie, swoje nazwisko, jako świadek.

— Nie powiem, odpowiadam krótko.

Człowieczek wyjmuje portmonetkę.

— Jestem w stanie ofiarować ci pięć szylingów, za wyjawienie.

— Nie przyjmuję.

— Nawet ośmiu?

— Nawet.

— Zatém cię znajdę za dziesięć przez detektywa (1).

— Zobaczymy, przerwał kapitan, przysuwając się bliżéj do człowieczka.

— Jaki pan chce zrobić użytek ze swych notatek, zapytałem.

— Ja nic... to zasada.

— Więc co pańska zasada zamierza uczynić?

— Iść prosto do sądu Lorda Mera i wnieść skargę. Mój refleks mi każe, refleks wywołany potrzebą obrony mojéj zasady. Sir powiesz swój adres za dziesięć szylingów?

Kapitan częstuje człowieczka boksem w bok, człowieczek się zatacza i opiéra o sztachety, odchodzimy.

— Dżentlemeni! lub która Lady, widzieliście uderzenie w prawy mój bok pięścią? wołał człowieczek, pół korony kto widział.

— Chcesz przekupywać refleksie świadków, mówił kapitan obracając się, nauczę ja twoję zasadę!

Tłum jak fale morskie schował w swych nurtach małego człowieczka.

— Zaręczam, mówił mi kapitan, że gdyby miał choć jednego świadka, pozwałby mnie i proces mógłby wygrać.

---

(1) Na City są osobne prywatne bióra i osobna prywatna policya do wyszukiwania mieszkań, osób i ich prawdziwych nazwisk.

— Cóż to za figura?

— Naczelnik domu, którego biznesem, pod filarem zasady niewypłacalności, brać co można, a przedewszystkiém wytaczać procesa, komu się tylko da. Respectable naczelnik był z początku nauczycielem, późniéj księdzem, doradzcą prawnym, a dziś filozofem biznesowym, jak widziałeś.

— Ciekawy egzemplarz.

— Jego zasada ograbiła moję matkę na 5oo funtów.

Zaledwie uszliśmy kilkanaście kroków spotykamy innego przyjaciela dżentlemana, znanego nam ze swych senegalskich pchnięć. Przedstawiłem go kapitanowi i w trójkę ruszyliśmy daléj, pókiśmy się nie oparli w wielkim domu, o ogromnéj restauracyi, schadzki agentów i interesantów z City.

Tu dopiéro można się przekonać, że czas to piéniądz. Dżentlemeni wbiegają kłusem, w pół minuty dostają żądaną porcyą, w pięć minut zjadają, duszkiem piją piwo i uciekają. Tysiąc ludzi przesuwa się, nikt nie zabiera miejsca drugiemu. Czas to piéniądz! Właściciel restauracyi wié o tém najlepiéj, to téż jego biesiadnicy nie czekają ani chwili.

— My co innego, my ani Clerki (1), ani agenci, ani dorabiający się, my mamy prawo mieć czas, zapracowaliśmy na odpoczynek. Tak zdecydował dżentlemen, wprowadzając nas na piérwsze piętro.

Przy butelce portwainu i ogromnych czopach (kotletach) baranich dżentlemen rzuca nam pytanie.

— Co kupujecie? bo nie chcę nawet wiedziéć co sprzedajecie.

— Dla czego? przerwałem.

— Dla czego? o naiwności! dla tego, że jeżeliś dobrze kupił, to i dobrze sprzedasz.

— Nie zawsze.

— Zawsze jeżeli możesz czekać. Nie kupuj, jeżeli nie umiesz lub nie możesz czekać, sprzedawać to drobnostka, ale kupować to podstawa handlu.

— Kupuj tanio, dorzucił kapitan.

— Oto tajemnica rozumu narodu, kupuj tanio! Żaden naród nie zna tajemnicy handlu, nawet Żydzi. Wszystkim idzie o sprzedaż; sprzedawać byle tylko sprzedawać, a nam idzie o kupno. Dobre kupno decyduje o sprzedaży.

— Ależ Anglicy umieją także sprzedawać, zauważył kapitan.

---

(1) Clerk, urzędnicy w bankach, sklepach i urzędach nazywają się klerkami.

— Bo umieją kupować; kto od nas lepiéj kupuje bawełnę, skóry, kawę, kości, gałgany; kto lepiéj od nas sprzedaje perkale? Albo tu na City, kto robi interesa?

— Rozumié się, że ten, kto wié, gdzie kupić, zdecydował kapitan.

— Doskonale! o 20 procent a czasem i połowę taniéj może kupić ten, kto wié, gdzie kupić. Dżentlemen uderza się ręką w czoło.

— Dla czego ja nie handluję winem!

— *Za* to ja niém handluję, odrzekł kapitan.

— Powiédz mi ser czy jest gdzie lepsze i tańsze wino jak w londyńskich dokach!

— Prawda.

— Kto o tém wié, prócz nas, gdy tymczasem cała Europa szuka go w Bordeaux, lub na miejscowych targach, dla tego téż wino wraca ztąd znowu na te same miejsca, lub do Bordeaux gdzie je sprzedają.

— Tego nie pojmuję, rzekłem.

— A jednak jest to tak proste. Francuz naprzykład w Bordeaux potrzebuje piéniędzy gwałtem, natychmiast do zapłacenia wekslu. Nie chce pożyczać na miejscu dla stu i jednéj przyczyny, wysyła więc wino do Lodynu, składa je w dokach, bierze kwit, zastawia go w banku za połowę wartości, otrzymanemi piéniędzmi płaci należytości i szuka kupca na swoje wino. U nas piją piwo powszechnie, wino należy do zbytku, kupca nie zawsze więc znajdzie, a chociaż chce sprzedać ze stratą, nie ma nabywcy. Jeżeli posiada piéniądze do wykupienia zastawionego w banku kwitu, wykupuje i wino napowrót odsyła do Bordeaux lub Paryża, jeżeli zaś nie ma, zostawia beczki na miejscu, a w dokach po upłynionym terminie wystawiają je na sprzedaż przez licytacyą. W ten sposób wino jest u nas artykułem nadzwyczaj tanim. Doki a w nich magazyny szacunkowe to wynalazek angielski. Dżentlemen spojrzał na mnie przymrużając oko. One miliony przynoszą Londynowi, Anglii, całéj ludności.

— Panowie, rzekł przysuwając się do nas młody człowiek, jeśli się nie mylę mówicie o winie w dokach? Jutro licytacya na 300 beczek. Jestem specyalnym agentem od wina w dokach, rozdaje nam swoje karty, jutro o dziesiątéj czekam przy bramie.

— To nie mój biznes, moim biznesem nateraz jest perkal en gros, odparł nasz dżentlemen.

Obcy skłonił się i odszedł.

Po niejakim czasie wbiega figurka, starająca się być bardzo poważną, w śmiesznie wysokim cylindrze i w śmiesznie olbrzy-

mich a spiczastych kołnierzykach. Figurka zbliża się do dżentlemena.

— Przyjaciel mój, zaczyna przy artystyczném podaniu naprzód swego korpusu, przyjaciel mój Rodryk Hupe, mówił mi, ja zaś jestem Baltazar Pikles, wielu zna Baltazara Pikles, którzy robią biznesa en gros bawełną i perkalem... Ser Baltazar Pikles może ci usłużyć.

— Czem możesz usłużyć panie Baltazarze Pikles? słucham, odparł dżentlemen.

— Wielki dom, fabryka z Manchester wyprzedaje pewną część zeszłorocznych zapasów w Londynie, wyborowe gatunki, taniéj o pięć procent. Korzystaj ser, wyprzedaż zaledwo od paru dni ogłoszona; jest w czém wybrać. Oto moja karta, na drugiéj stronie adres domu. Usłuchaj sir Baltazara Pikles, a dobry biznes zrobisz.

— Pomyślę, odpowiada dżentlemen.

— Pójdę uprzedzić i przygotować zawiadowcę magazynu. Sir nie zawiedziesz się na Baltazarze Pikles.

— Ufam ci Baltazarze Pikles.

Figurka odchodząc, usiłuje ruchami swemi zwrócić na siebie uwagę.

— Jakby mi z nieba spadła ta żaba, właśnie szukam takiego domu, zawołał nasz przyjaciel po odejściu figurki.

Kapitan zerwał się, spiesząc do swych zajęć, a mnie dżentlemen pociągnął z sobą do znakomitéj firmy manczesterskiéj fabryki.

U wejścia figurka należąca do Baltazara Pikles robiła nam honory. Dżentlemen z miną protekcyonalną traktuje klerków i zawiadowcę. W magazynach zadziwiająca obfitość... Kupujący dowiódł znajomości rzeczy w swym zawodzie, wybierając doborowe gatunki i zręcznie choć jaskrawie dobrane kolory. Wartość kupna wynosiła 5 tysięcy funtów. Pomimo, że dżentlemen miał wyborne referensa, od własnego bankiera, chciał zapłacić gotówką wystawiając czek, lecz za to żądał dyskontu 5 od sta; zarządca magazynu dawał tylko dwa. Wszczęła się żywa dyskusya w kantorze.

— O co to idzie? zapytał przechodząc w téj chwili, łysy, spokojny, bladéj cery, łagodnych rysów, na pół przymkniętych oczów jegomość.

— Płacę gotówką, odparł dżentlemen, kupuję odrazu za pięć tysięcy funtów, mam więc zdaje mi się prawo wymagać pięc procent eskontu.

— Ani fartynga nad dwa, odpowiedział spokojnie poważny właściciel.

— Choć płacę z góry?

— Ej ser co mnie obchodzą pańskie pięć tysięcy funtów, czy dziś, czy za trzy miesiące.

— Gotówką, zawołał dżentlemen.

— I my mamy troszkę gotówki, bo przeszło milion funtów i nie wiedząc co z nią zrobić, trzymamy w konsolach na dwa i pół procentów.

Dżentlemen trącił mnie lekko łokciem w bok.

— Więc pan nic nie chcesz zrobić dla naszych afrykańskich kolonij, spytał właściciela fabryki.

— Ej ser żartuję ja sobie z kolonij afrykańskich.

— Co... co?

— Ja nie mam towaru dla kolonij afrykańskich, my nie handlujemy z koloniami, nasz towar dla kontynentu i Indyi.

— A cóż dla kolonij?

— Nic... Anglia ma już dosyć tych kolonij i w Parlamencie oponowałem przeciw nabywaniu nowych od Holendrów.

— Ho! ho! cóż one wam zawadzają?

— Dużo kosztują a korzyści mało.

— A gdzież to bez nich produkta swoje będziecie zbywać?

— Do pozbycia się wybiorków i odpadków nie potrzeba nowych kolonij, tak drogo opłacanych. Dwa od sta jak zwykle i ani pena więcéj. Z temi słowy uspokojony fabrykant i meamber of parlament wyszedł.

— Korzystaj ser, pięć z wyprzedaży, dwa eskontu (razem siedm od sta), a taki dobry towar, szkoda go dla kolonij.

Dżentlemen w milczeniu napisał czek na pięć tysięcy funtów do swego bankiera, wręczył go zawiadowcy dodając:

— Doki Katarzyny, okręt Sardanapal, trzy dni.

— Wybornie ser.

Jesteśmy na ulicy; dżentlemen w wybornym humorze, porywa mnie w pół i podnosi w górę. Tym sposobem robi folgę wybuchowi uczucia.

— Zaimponował mi, woła: Milion w banku, handluje z kontynentem, kpi sobie z kolonij i ma racyą! Anglika nie złapiesz?! Alboż on uwierzył, że ja dla kolonij kupuję? Człowiek parlamentu, wielki dom, zna on stosunki handlowe świata na palcach.

— Więc dla kogóż ser kupiłeś, zapytałem.

— Jakto i pan do tego czasu nic się jeszcze nie domyślasz?

— Zupełnie.

— Jeżeli się dwóch białych bije, tam zwykle trzeci biały korzysta. Domyślasz się, co?

— Domyślam się...

— Dla czarnych zakupiłem na licytacyi i przez pokątne domki, blisko za połowę ceny; prócz tego dwa tysiące zegarków, po trzy i pół szylinga (4 franki) sztuka.

— Muszą być dobre.

— Dla dzikich wyborne! Odpoczniemy w Bayonne'nie, zakupiony przed chwilą towar tam wyładujemy, mamy tam nasze składy broni i prochu, a potém tędy i owędy, rozumiesz?

— Do Karlistów.

— A co się zostanie, do Madrytu i do Sewilli. Karliści płacą nadzwyczajne ceny, a republikanie zwyczajne.

— Piérwszeńswo więc należy się Karlistom.

— Nie ma o czém mówić. Zgadnij ser wiele wojna hiszpańska przyniosła już Anglii brutto?

— Nie mam pojęcia.

— A ja się założę, że do dwudziestu milionów funtów, rozumie się obie strony.

— A wiele wasi katolicy posłali Don Karlosowi, obliczyłeś pan? spytałem.

— A co mnie to obchodzi, gdy te piéniądze wracają do nas protestantów. Karliści oddają je nam z procentem, a inaczéj anibyśmy oglądali angielsko-katolickich piéniędzy.

Dżentlemen spotyka swoich przyjaciół, zdaje się z kolonii, poznaję to po głośnych przywitaniach i dosadnych konceptach. Zostawiam go więc z dobraną drużyną sam kierując się do pałacu lorda mera.

XIII.

Owalny plan, ozdobiony kolumną Welingtona, u jéj stóp kwiaciarki wiją bukiety dla przechodniów. Ze wszystkich stron krzyżują się wozy ładowane towarami, omnibusy z całego Londynu nadciągają, jako krew arteryi do serca miasta; powozy, keby, tłok. Drogi wyłożone asfaltem czynią ten wielki ruch poważnym, przyduszonym, a nawet spokojnym. Przejścia byłyby zamknięte, gdyby ich nie otwierali czujni policyanci skinieniem ręki, robiąc chwilowe miejsca przechodniom.

Wśród tego wiru i zamętu, czarno przybrani dżentlemeni, zajęci własnemi myślami, na pozór roztargnieni, nie widząc nikogo, na nic nie patrząc, kręcą się jak mrówki w mrowisku wydeptanemi ścieżkami.

Wokoło ciemne gmachy ze złotemi napisami obcych państw, krajów, nawet części świata. Bank Australii, Bank Amerykański, Austryacko-angielski... a nieco w oddaleniu drzémie pan świata, ponury czarny Bank angielski. Wokoło miliony a milion milionów w pośrodku.

Otwiérają się tajemnicze okiennice piwnicy, na grubych łańcuchach wysuwa się na ulicę płyta żelazna, a na niéj sto brył złota. Litera A. odbita na każdéj; to złoto Australii do zmiany na drobne wydatki dla jednego z domów bankowych. Dwóch ludzi jednę bryłę zaledwo udźwignąć mogą, kładąc ją na wóz. Gromadka ciekawych chciwie pożera złoto oczami; wszyscy uśmiechnięci, wszyscy łykają ślinę...

Od połowy placu City wznoszą się wspaniałe schody, a na nich portyk korynckiego budynku prowadzi na giełdę londyńską.

Na schodach siedział mężczyzna, żółtéj twarzy, rozszerzonych źrenic; czerwona plama gorączki na jednym policzku. Spoglądał na przechodniów smutno, oczami, z których wyglądały głód i nędza; uśmiechał się i szeptał coś jakby do siebie. Patrzał długo, lecz nikt go nie widział; wszyscy zajęci, czas to pieniądz, a jest to właśnie chwila, w któréj wygrywa się miliony, albo traci tysiące.

Spojrzałem na siedzącego, skinął na mnie ręką, abym się zbliżył: podchodzę.

— Od czterech dni nic w ustach nie miałem, przemówił ledwo dosłyszanym głosem.

Wiem ja, co jest głód, podaję mu rękę, podnoszę, łzy zaświeciły w jego oczach. Dałem mu znak, aby za mną poszedł; chwieje się, zatrzymuję go...

— Oprzéj rękę na mojém ramieniu, odpowiadam.

Przechodzimy przez środek ulicy; dżentlemeni oglądają się, missy patrzą zdumione, domyślając się strasznéj tajemnicy, łączącéj mnie z nędzarzem. Dostajemy się nareszcie do publikhausu, przynoszą grogu i kawałek mięsa.

— Ser, mięsa nie jadłem już trzy miesiące.

— Napij się trochę.

— Jestem bardzo zmęczony, odrzekł biedak, głowę pochylając na piersi.

— No, no, pocieszam jak mogę, jesteś młody, siły odzyskasz.

— Moja stara głowę o mur sobie rozbije.

— Staréj kupisz ciepłą odzież i węgli do pieca na zimę.

— Nie kupię ser, nie kupię, ja już się podnieść nie mogę.

Nie miał na sobie koszuli, buty poobwiązywane sznurkami.

— Od sześciu tygodni sypiam nad brzegiem Tamizy, w nocy zimno, rano mgła przejmuje do kości. Nadchodzi dzień i znów głód pali.

— Cóż to za przyczyna takiéj nędzy?

— Opuściłem wioskę, aby szukać zajęcia. Z początku pracowałem przy kolei, robota się skończyła, oddalono nas; poszedłem więc z innymi do Londynu. Przez dwa tygodnie nic nie znalazłem, zapasy się zjadły, zastawiłem co było można, schudłem i wynędzniałem.

— Odpocznij, napij się i zjédz jeszcze cokolwiek.

— Ser ja już jeść nie mogę, przyszedłeś zapóźno! Gorączka widocznie się wzmagała.

— I nic nie znalazłeś?

— Gdzie tylko zaszedłem, odprawiano mnie jednêm słowem: going (idź precz)! Późniéj wzruszano tylko ramionami, odwracając się odemnie.

— Dla czego nie udałeś się do Workhauzu?

— Do Workhauzu (domu roboczego), tyle prawie u nas znaczy, co do więzienia. Czyż tam idzie się dobrowolnie? Miałem nadzieję z dnia na dzień, a gdym ją stracił, po cóż iść?

— Pojedziemy, odpoczniesz, nakarmię cię, nabierzesz sił, robota się znajdzie.

— Rób ser jak chcesz, tylko mnie na ulicy nie zostawiaj.

Przywołałem jednokonną karetkę; zaledwie ruszyliśmy, biedak zasnął natychmiast. Zajeżdżamy przed obszerny budynek na City-road.

— Patrzcie, w waszéj wielkiéj Anglii ludzie na ulicach z głodu umierają, odzywam się do jednego z dygnitarzy Workhauzu, który przyjmował chorego.

— Dla czego nie przyszedł wcześniéj?

— Strzygą, golą, w mundur ubierają, mówił biedak z goryczą.

— I każą pracować, a pić nie dają, przerwał dygnitarz. Tego roku z kolei 76-ty wypadek; w roku poprzednim mieliśmy ich w Londynie 107 podług statystyki, podług mnie 112.

— Sto siedm?! zawołałem oburzony.

— Podług mnie 112 i stoję przy swojém, chociaż nie lubię się sprzeczać. Ten biedak kwalifikuje się do szpitalu; dostanie zupę i kąpiel, doktór przyjdzie za godzinę.

— Miéj nadzieję mój przyjacielu, odzywam się do nieszczęśliwego.

Chory przywołał mnie bliżéj do siebie.

— Ser napisz do mojéj staréj.

— Dobrze, lecz cóż jéj donieść?

— Napisz jéj tylko ser, że ja żyję, Alfred Harding, wymienił mi adres.

— Nie jestem bogaty, poszlę jéj co będę mógł, pomyśli, że pracujesz, mówiłem pocieszając biedaka.

— Pomyśli, żem nie w Warkhauzie; stara i ja tylko nas dwoje na świecie...

Odprowadzono nieszczęśliwego,

— Alfred Harding, 76-ty i nie mylę się, że nim będzie. Za trzy dni przyjdź ser, a przekonasz się, że zastaniesz skonstatowaną śmierć z zapalenia płuc, lub kiszek, oraz ogólne wycieńczenie z braku pokarmu. Filip Pikok ma dobre oko i długie doświadczenie: tacy nie wychodzą. Gdy to mówił Filip Pikok dygnitarz Workhauzu, bił się palcem po białéj kamizelce, a potém lekko oblizywał.

— Panie Filip Pikok, jesteś zasłużonym mężem.

— Dwadzieścia lat ciężkiéj pracy w Workhauzie, trzykroć sto tysięcy ludzi przesuwa się przecięciowo dziennie, pod naszą opieką w samym Londynie, i dla tego to stargane siły, sterane zdrowie. W téj chwili Filip Pikok lekko musnął ręką po okrągłéj wypukłości, która dość silnie podnosiła jego kamizelkę.

Biedny ludu angielski zostawiony sam sobie na pastwę nędzy i konkurencyi! Zdobyłeś sobie wolność, potokami krwi a dotąd dobrze jeszcze nie wiesz co z nią zrobić; pragniesz pracy, a jednak do niéj tylko przebojem i walką dostać się możesz. I gdy ci zabraknie sił do jéj zdobycia, umierasz wydziedziczony nędzarzu, sam jeden bez oparcia, pod opieką workhauzu, z piętnem upokorzenia, lub z głodu, boś się nie nauczył korzystać z wolności!

Organizacya, stowarzyszenia, społeczeństwa w społeczeństwie, to są klasy, kasty, cechy dziewiętnastego wieku i przyszłości.

Niech żyje wolność angielska, precz z opieką, która zawsze i wszędzie daje niezdarność, słabość, ospałość, a w rezultatach, tylko znikczemnienie i niewolę. Niech żyje wolność, chociażby tysiące wydziedziczonych z głodu umierało, lecz niechaj z nią wzrasta wychowanie! Gdy w obec nauki nie będzie wydziedziczonych, nie będzie ich potém na arenie życia, zniknie nędza i upodlenie u ludu, a hańba dla narodów i ludzkości. Organizacya, stowarzyszenia, znajdzie się miejsce dla wszystkich i prawo życia dla wszystkich; straszne teorye Malthusa, grożące ludzkości, zbledną i rozwieją się, wszyscy zasiędą przy obfitym stole przyrody w stowarzyszeniach i organizacyi, jeżeli wychowanie uzdolni ich do tego.

Niech żyje wolność angielska, gdy w rękach swych zatrzyma tylko jedne, jedne kajdany, przymusowe nauczanie!

XIV.

Od godziny dziesiątej do czwartej pracuję w Hoome office (ministeryum spraw wewnętrznych), a oprócz tego jestem sekretarzem Trade unione societies (stowarzyszenie handlowe dla wspólnych zakupek), gdzie często wieczory przepędzam, pracując nad książkami, lub zapisując uchwały i sprawozdania z posiedzeń. Tak mi opowiadał 24-letni młodzieniec, z którym zabrałem znajomość w Agriculturalhall.

— A oprócz tego jesteś pan żołnierzem w batalionie ochotników.

— Podoficerem w drugiej kompanii strzelców szkockich.

— I nie brak panu czasu na ścisłe wypełnienie tych wszystkich obowiązków?

— Dodaj ser do tego, że mam już od roku narzeczoną, z którą chodzę do teatru, na koncerta, spacery, a w niedziele robimy wycieczki na prowincyą.

— W pańskim wieku już narzeczona! czy to nie trochę zawcześnie?

— Jeszcze nie idziemy do ołtarza, ser, mamy czas i musimy czekać aż do chwili, kiedy będę miał zapewnione 4 funty dochodu tygodniowo.

— Dużo jeszcze brakuje do tej upragnionej cyfry?

— Dziś na początek dostaję w biurze półtora funta na tydzień, w sosajty 10 szylingów co razem daje 2 funty.

— A gdy podczas długiego wyczekiwania poznasz pan drugą miss, która podoba się tobie jeszcze więcej od dzisiejszej narzeczonej?

— To być nie może.

— A to dla czego?

— Dla tego, bo straciłbym całą swoję karyerę bez nadziei wyjścia.

— Jakim sposobem?

— Matka mojéj narzeczonéj natychmiast wytoczyłaby mi proces o zawód i stracony czas swéj córki, a ja nie mając piéniędzy na wynagrodzenie, poszedłbym do więzienia pracować w deptaku przynajmniéj pół roku.

— Zatém sąd czuwa nad pańską stałością?

— Czyli sprawiedliwość pilnuje, aby się nie stała krzywda słabszemu, odpowiedział mi młodziutki a już tak poważny anglíczek.

— A zatém za dwa lata masz ser nadzieję być żonatym?

— Może dopiero za pięć i wtedy wynajmę cały dom, urządzę się i zostanę house-holder. (1).

— Na co potrzeba pewnego kapitału.

— Matka narzeczonéj obiecała dać mi na początek 100 funtów, a późniéj dokładać ze swych dochodów funta na tydzień—tymczasem my oboje robimy małe oszczędności.

— Które chowacie...

— Oddajemy na procent do naszego sosajty.

— Czy to jest pewne umieszczenie?

— Najkorzystniejsze; żadne jeszcze sosajty tego rodzaju nie zbankrutowało.

— To jednak szczególna.

— Owszem, system nasz rozrasta się, przerabia, przetwarzając się w rozliczne odcienia, a zawsze z jak najlepszém powodzeniem.

— Zkąd robotnicy angielscy przychodzą tak prędko do kapitału?

— Tylko wytrwałością i prostotą organizacyi. Naprzykład jednemu z nich przychodzi szczęśliwa myśl założenia pewnego konsumcyjnego, lub handlowego stowarzyszenia. Dzieli się wtedy swoim projektem z kilkoma innymi, zakładają razem komitet organizacyjny, propagują swoję myśl i wyszukują zwolenników. Po zebraniu odpowiedniej liczby ludzi przygotowanych i chętnych, zwołują ogólne zebranie, na niém przedstawiają swój projekt, układają pierwszy zarys statutów, wybierają komisyą i kasyera, oznaczają wysokość wkładek tygodniowych—zwykle jednego a najwięcej dwa peny—i odkładają otwarcie czynności stowarzyszenia do czasu zebrania odpowiedniego kapitału.

— A gdy się znajdzie protektor, który gotowym kapitałem wesprze sosajty?

— Rzadko się to zdarza i niechętnie bywa przyjmowane.

— Przyznam się panu, że to ciekawe, zauważyłem.

— A jednak to jest bardzo proste. Protektor zwykle za wysoką ofiarę swej wkładki chce wynagrodzenia, czy to w protekcyi, czy też przez narzucenie swych opinij, a nawet interesów, chociażby tylko moralnych. Jestto zwykle pierwszy początek intryg: przytém wyradza się w towarzystwie, brak gorliwości i pewna opieszałość, która rachując na obcą pomoc, zapomina o własnej sile, spoczywającej w pracy i oszczędności.

---

(1) Trzymający na siebie dom cały.

— Zupełnie podzielam zdanie pańskie i tém więcéj radbym się dowiedziéć o ogólnym celu waszych stowarzyszeń.

— Jeżeli nie zniszczyć, to przynajmniéj do minimum doprowadzić pośrednictwo w handlu, które dając łatwy zarobek, wyradza próżniactwo, a tak okropnie cięży na klasie robotników, wyzyskując ją w najhaniebniejszy sposób.

— Ciężka to rzecz usunąć go na razie, zresztą pośrednictwo ma swoję wartość, oddaje pewne usługi, skraca czas, upraszcza łatwość nabycia, i dla tego zniszczyć się nie da.

— Prawda, lecz pośrednictwo składa się z dwóch rodzajów. Jedno za uczynioną przysługę, ułatwienie, wygodę zaspokojenia fantazyi ludzkiej i kaprysów, każe sobie płacić—i słusznie, a wtedy jest na swojém miejscu, cenione i szacowane; lecz gdy to samo pośrednictwo odwraca się do biednych, którzy nie mają fantazyi, nie szukają wygód, tylko zaspokojenia pierwszych swych potrzeb, a pomimo to każe sobie jednakowo płacić, jednakowo wynagradzać, wtedy ta druga strona pośrednictwa staje się wyzyskiwaniem, zdzierstwem, ciążącym na najuboższych pracowników w społeczeństwie.

— Przy dobrze zorganizowanym handlu, pośrednictwo nie może być tak drogie, zdobyłem się na uwagę.

— Przeciwnie ser, jest niesłychanie wysokie, opodatkowując produkta w dwójnasób.

Każdy towar jeżeli przejdzie przez pietnaście rąk, zanim dojdzie do konsumenta, wzrasta podwójnie. Naprzykład funt herbaty, kupując en gros w dokach, można dostać za szylinga, gdy ten sam funt w sklepie kosztuje co najmniéj dwa szylingi. To samo z mięsem, mąką, suknem....

— A zatém?

— A zatém sosajty robotników składa kapitał przez rok, lub dwa, werbując jak największą liczbę członków, następnie się organizuje, otwiera swój skład albo sklep, kilku lub najlepiej jednego produktu, naprzykład skład sukna, zakupując je po cenach fabrycznych z fabryki, a płacąc zgóry, dostaje je nawet z pewnym rabatem, i sprzedaje swym członkom za cenę zakupna, a publiczności z podwyżką jak najmniejszego procentu. Członkowie stowarzyszenia znając się wybornie na produkcie, który wyrabiają „umieją go wybrać i kupić". Jest zatém taniość i gwarancya dobroci i nie dziw potém, że potrzebujący się cisną.

— Cóż na to kramarze?

— Z początku podnoszą wielki lament, krzyki i ubolewania, skargi i intrygi, a w chwili otwarcia sklepu naszego towary ich natychmiast spadają i sami zniżają ceny swych produktów.

— Dlaczego wasze sosajty nie zakładają również fabryk?

— Powoli ser, powoli; fabryki wymagają wielkiego kapitału zakładowego, rozległych stosunków handlowych z całym światem, znajomości przedmiotu, szerokich i rozlicznych operacyj. Trzeba być zdecydowanym na ryzyko, a zatém i na straty, gdy przyznam ci się ser, przecięciowo fabryki nie dają więcej nad 5 do 8 procentów, a mały kramarski handel, to rzeczywista lichwa, obdzierająca biédnych i potrzebujących na 5o pr. od sta. A zatém trzeba najprzód walczyć przeciw kramarzom.

— Czy jednak kramarze nie przeszkadzają wam, nie starają się wam szkodzić?

— Wszelkiemi sposobami. Przecież zanosili skargę do rządu, aby nam urzędnikom nie wolno było pracować w sosajtach.

— A to na jakiéj podstawie?

— Znaleźli protektorów, którzy faryzeuszowsko-scholastycznie zaczęli dowodzić, że wprawdzie nikt nie ma prawa mięszać się do czasu, pozostawionego nam po za biurowemi godzinami, mimo to pobożnie rozważali czy umysł urzędnika, który się oddaje innym zajęciom, prócz załatwienia czynności swego urzędu, nie jest czasem zbyt silnie zabsorbowany tą uboczną pracą, do tego stopnia, że swe obowiązkowe zajęcia nie może z odpowiednią dokładnością wypełniać.

— I cóż się stało z tak wyrafinowanym oskarżeniem?

— Upadło, ale byliśmy na pewien czas w niebezpieczeństwie. Pobiegłem natychmiast do naszego komitetu, przedstawiając rzecz całą.

— Jakąż pan otrzymałeś odpowiedź?

— Jednogłośnie uradzono, abym został, a w razie dymisyi ofiarowano mi dyrektorstwo spółki. I przyznam ci się ser, że kiedy mi ofiarują tę posadę, rzucę swą urzędową karyerę.

— I wtedy nie będziesz pan zbyt długo czekał, aby swoję narzeczoną nazwać żoną?

— W miesiąc po nominacyi.

Gdy to młody człowiek mówił, zbliżała się do nas pospiesznie młoda osóbka, skromnie ubrana, uśmiechnięta, wesoła i jakby czegoś uradowana.

— Dla czego tak późno? moja droga—rzekł trochę urażony młodzieniec.

— Czyż mogłam wcześniéj? odpowiada dzieweczka—tyle rachunków, tyle dzisiaj wypłat,—nie uwierzysz...

— Miss także pracuje? zapytałem.

— A czyż mogłoby być inaczéj? odpowiada zdziwiona.

— Jest kasyerką w bławatnym sklepie na Apperstreet, objaśnia narzeczony.

— I dużą masz pani pensyą?

— Ośmnaście szylingów na tydzień, z herbatą na podwieczorek.

— Winszuję.

— Muszę się ser za to ubrać i jeszcze pięć szylingów odłożyć do wspólnéj kasy, aby za nie późniéj kupić sobie nasze szczęście, czyli inaczéj, aby zostać misses, to jest żoną tego niegodziwca, który mi jeszcze robi miny i udaje rozgniewanego, ale to tylko dla tego, aby go przepraszać.

Miss podaje rękę młodemu człowiekowi, poczém oboje się kłaniają i odchodzą, szczęśliwi!...

Sewer.

Koniec części 1-éj.

Nowe książki dla dzieci.

PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY.

II.

1) **Ze świata rzeczywistości i ze świata fantazyi.** Pięć powiastek dla czytelników od 10 do 14 lat. Napisała Teresa Jadwiga. Ozdobione 5 rycinami, rysunku Ksawerego Pillatiego. Warszawa. Nakład M. Orgelbranda 1880, str. 321.

2) **Szlachetna zabawa**. Oryginalne powiastki, opowiadania i komedyjki dla młodzieży. Zbiór drugi z drzeworytem. Wydał Władysław Nowicki, mag. nauk hist. fil. Warszawa. 1880, str. 257.

3) **Kalendarz dla młodego wieku na rok zwyczajny 1881**. Warszawa 1881, str. nlb. 16 i 142.

Imię autorki zbiorku powiastek „ze świata rzeczywistości i ze świata fantanzyi“ nie jest już obcém czytelnikom *Ateneum*; zapoznał z niém p. Łagowski w poprzednim zeszycie. Zdaje się, że napisała go autorka później od „Obrazków dziejowych“, znać tu bowiem pewne zmężnienie talentu.

Najpierwsza i najobszerniejsza z powiastek ma napis *Marzycielka*. Możeby wypadało napis ten w liczbie mnogiéj napisać, gdyż jeśli nie zdaniem autorki, to zdaniem recenzenta są tu właściwie dwie marzycielki: jedna korzystająca ze wszystkich wygód położenia towarzyskiego i majątku a druga biedna, prześladowana przez los, dręczona zbyt wcześnie a bujnie rozwiniętą wyobraźnią. Ta druga jest widocznie ulubienicą autorki, bo się nią z początku bardzo szczegółowo zajmuje i dopiéro w połowie powieści zaniedbawszy ją, uczyniwszy chorą, zwraca się do właściwéj marzycielki, którą popra-

wić pragnie. Rzecz tak się miała. Ogrodnik pewien wracając do domu podczas ulewy spostrzegł dziewczynkę dwunastoletnią w dziupli drzewa ukrywającą się, wystraszoną, bierze ją z sobą i, pomimo chwilowego oporu żony, przyjmuje ją do służby. Dziewczynka miała uczyć czytać 6-letniego synka i niańczyć córeczkę ogrodnika. Dotąd wszytko dobrze, tu dopiéro zaczyna się małe nieprawdopodobieństwo. Dziewczynka umié nietylko czytać, pisać i rachować, ale nadto ma dzienniczek i w tym dzienniczku wrażenia swoje spisuje. Ledwie pokładli się wszyscy spać, ona pomimo zmęczenia i zziębnięcia wyjmuje z woreczka zeszycik i notuje w nim przygodę, która ją spotkała. W samym fakcie nicby bardzo dziwnego nie było; dziewczynka straciwszy rodziców, dom i opiekę wszelką, wszedłszy wśród obcych ludzi, nie mając i nie mogąc z nikim podzielać gniotącego ją smutku, możeby i zapomniała na chwilę o śnie i odpoczynku, ażeby oddać się miłemu zajęciu wyspowiadania się ze swoich uczuć i myśli. Dowodziłoby to tylko umysłu nad miarę rozwiniętego, zdolności zastanawiania się nad sobą. Autorka nie poprzestając jednak na tém, podaje nam dzienniczek ten w całości; wtedy dopiéro dziwno się nam robi, że 12-letnia dziewczynka pisze tak poprawnie, tak rzewnie i tak czasami pięknie jak sama autorka. Kto miał sposobność robić spostrzeżenia nad przeciętną zdolnością panienek naszych do pisania, temu trudno będzie uwierzyć, ażeby *taki* dzienniczek mogła pisać nawet tak rzutna i śmiała, tak refleksyjnie usposobiona dziewczynka jak Zosia. W każdym zaś wypadku byłby-to objaw bardzo wyjątkowy a jako wyjątkowy mniejby się kwalifikował na przedstawiciela „rzeczywistości“.

Ale przejdźmy do dalszych jéj dziejów. Zrazu Zosia bardzo gorliwie zajęła się dziećmi, bawiła jedno, bawiła i uczyła drugie. Chodząc do ogrodu wpadła w oko panience ze dworu, która miewała tysiące projektów szlachetnych, lecz nigdy ich nie urzeczywistniła, bo albo o nich zapominała, albo téż zrażała się w wykonaniu pierwszą lepszą przeszkodą. Zosia tém sobie głowę nabiła, że panienka ze dworu powinna ją uczyć, bo nauki gorąco pragnęła, panienka jednak jak o wielu innych tak i o zamiarze uczenia Zosi, który na chwilę powzięła, zapomniała zupełnie. Zosia stała się nieuważną w wypełnianiu przyjętych obowiązków, niecierpliwiła się, okazywała się hardą, wolała nawet narwać potajemnie gruszek w ogrodzie pańskim, aniżeli się ukorzyć przed temi, u których służyła. Nie mogąc wreszcie doczekać się, żeby panienka ze dworu naukę z nią rozpoczęła, sprzykrzyła sobie służbę i znowu... w drogę powędrowała, gdzie oczy poniosą. Atoli jak Part w ucieczce, tak ona oddalając się rzuciła strzałę zatrutą, zostawiła swój dzienniczek.

Dzienniczek dostaje się do rąk panienki ze dworu, która robi sobie wyrzuty, że może na zgubę naraziła dziewczynkę swojém marzycielstwem a raczéj niestałością swych upodobań i postanowień... Dręczona temi wyrzutami poszukuje Zosi i zastaje ją na łożu boleści a niebawem i śmierci. Za trumną biednéj sieroty szła panienka, „z głową zwieszoną ku ziemi, jakby przygnieciona wielkim ciężarem, w jéj piersi była zgryzota“. Autorka w formie morału dodaje:„ Za-późno, zapóźno, niestety! zbudził się w jéj sercu głos obowiązku“.

Zapewne autorka nie brała tu wyrazu „obowiązek“ w znaczeniu ścisłém, zapewne myślała o obudzonym głosie szlachetnych popędów w sercu Emilki; ale i w takim razie morał ten będzie jednostronny. Jeżeli już miał być morał, to mógłby chyba wyrazić się w ten sposób. Zosia umarła młodo, bo się nie obrachowywała z rzeczywistością, bo idąc za natchnieniem rozmarzonéj wyobraźni nie poprzestawała na tym skromnym zakresie, w jakim ją okoliczności postawiły, ale zadużo wymagała od ludzi, nie spełniając sama przyjętych obowiązków, żądała od innych, ażeby pragnienia jéj nawet uprzedzali. Emilka doznała wielkiego smutku, patrząc na złamane istnienie dzieweczki, w któréj sercu obudziła pewne nadzieje a potém je zawiodła przez to, iż mając mnostwo zamiarów, na zamiarach tylko kończyła.

Na inną chorobę wyobraźni, na nudy, podaje autorka lekarstwo w formie fantastycznej legendy z błyskawicami i piorunami (*Piękny Sen*). Ażeby wyleczyć bohatérkę na Polesiu osadzoną, pieszczotę rodziców, co się niczém nie zajmowała i roiła tylko nieurzeczywistnione plany, autorka każe jéj słuchać opowiadania służącéj Jagusi o pewnéj królewnie, co to niezadowolniona ze swych bogactw i niepomna na starego ojca wybrała się szukać szczęścia po szerokim świecie, szczęścia nie osiągnęła; „czarny kamień spadł z nieba i zabił ją“. Powiastka ta mocno na nią podziałała mianowicie w czasie snu i sprawiła tyle, że Halina znalazła sobie pracę i nauczyła ładnych rzeczy swą służbę. Cel „Pięknego snu“ niewątpliwie jest dobry i pomysł poprawiania za pomocą powieści trudno także nazwać fałszywym, wprawdzie więcéj na dzieci działa przykład niż słowa, ale i słowom niepodobna odmówić znaczenia. Życie umysłowe składa się z wrażeń, zwłaszcza w wieku dziecięcym; wrażenie odebrane z powieści może równie dobrze podziałać, jak wrażenie z życia rzeczywistego. Jest jednakże coś w „Pięknym śnie“, co się nie bardzo podoba, co się wydaje trochę sztucznem; a jeżeli się nie mylę, to głównym powodem tego uczucia jest legenda fantastyczna przez Jagusię opowiadana; zamało w niéj prostoty, zamało szczegółów interesujących a za dużo wyraźnie wypowiedzianych morałów.

W fantastyczne kształty przybrana jest również powiastka p. n. *Spóźniony gość*. Do szlacheckiego dworku przybywa o spóźnionéj porze niby-to rzeczywista piastunka, niby-to wróżka średniowieczna i odwdzięczając się za doznaną gościnność opowiada dzieciom następną historyą: Na pewnéj wyspie mieszkał starzec, który miał troje wnucząt: Orlika, Różę i Anhellego. Przygnębiony, strapiony, przypomniał im, że powinni się starać o odzyskanie utraconego niegdyś dziedzictwa, a za jednę wskazówkę środków ku odzyskaniu prowadzących podał słowa z „księgi przeznaczeń" wyjęte: „Ten z potomków Gwiazdosza dziedzictwo swych ojców odzyska, kto je ukocha miłością dobrą". Starzec miał niegdyś czterech synów, każdy z nich zapewniał go, że pojedzie do owego dziedzictwa i będzie się starał pokochać je dobrze; wszyscy atoli pojechali a żaden nie wrócił, a Gwiazdosz pozostawać musiał na pustyni piaszczystéj, pod słońcem skwarném, które mu paliło oczy „niby ogień piekielny". Dzieci nie zrażone losem swych ojców wybierają się w drogę i przybywają do utraconéj dziedziny; na jéj skraju mieszkają biédacy w nędznych chatach chylących się do upadku; przed progami tych chat siedzieli mężczyzni wybladli, z rękami założonemi i skarżyli się, że nie mają zajęcia; koło nich kobiéty tuliły dzieci do piersi, które wołały chleba i płakały głośno. W tych nieszczęśliwych poznali przybywający ludzi swego rodu. W głębi miasta rozpościerali się *silni*, obcego rodu, tutaj wznosiły się piękne domy, na wielu z nich widać było napisy w jakimś nieznanym języku.

Anhelli nie chciał mieć żadnych stosunków z silnymi, osiadł w biednéj lepiance, zbierał pamiątki przeszłości, unosił się nad niemi, płakał i jęczał. Przeciwnie Orlik zaraz na wstępie wyratował dziecko kobiety z rodu silnych, wszedł z nimi w stosunki i wszelkich dokładał starań, ażeby się wywiedzieć, jakiemi środkami może odzyskać dziedzictwo. Razu pewnego najstarszy z rodu słabych przyniósł mu dwie księgi: jednę czerwoną, opiewającą szlachetne czyny przodków, drugą czarną, zawiérającą opis ich grzechów. Gdy Orlik przyniósł księgi te Anhellemu, ten schwycił obie, otworzył najprzód czerwoną, spojrzał na napis a twarz mu rumieńcem radości zabiegła, przytulił ją tkliwie do serca, okrył pocałunkami, poczém złożył do skarbca pamiątek, następnie otworzył drugą księgę, lecz zaledwie spojrzał na napis, twarz mu pobladła, usta zadrżały, rzucił księgę daleko od siebie i zawołał z oburzeniem:

— Nie ruszaj jéj, Orliku! To księga świętokradzka; uczciwa ręka dotknąć jéj nie powinna, ona mówi o grzechach naszych ojców, których czcić i uwielbiać powinniśmy.

Orlik nie podzielił zdania brata; owszem pochylił się do księgi, podniósł ją z uszanowaniem i rzekł:

— Taką księgę oddawna pragnąłem posiadać; ona mi powié, co zgubiło mego dziadka, ona mi powié, czego się strzedz powinienem.

Bracia rozstali się. Orlik zagłębił się w czytaniu księgi czarnéj i poznał, co zgubiło dziadka i potém wywiadywał się, co nadało siłę silnym. Od nich (dziwna, że od nich!) dowiedział się, że dla słabych jest jeszcze ratunek, gdyby się pomiędzy nimi znalazł mąż śmiały i wytrwały, coby się odważył iść do *źródła światła*, którego strzegą straszydła, widziadła i potwory. Orlik ucieszony tą wiadomością, nie zraził się przeszkodami, pokonał wszystkie pokusy, dotarł do źródła światłości, stał się rozumnym a następnie bogatym i tak dalece wzmógł słabych, tak dalece wyższym się od silnych okazał, że ci przyszli go prosić na pana, na władcę swojego.

Przestroga nauczająca, że jęki i narzekania nie naprawią niczego, że jedynie działaniem można się dobić przyszłości, że podstawami bytu społecznego oprócz szlachetnych i wielkich uczuć musi być wiedza i zasoby materyalne—przestroga taka, w jakiéjkolwiek formie podana nie traci wartości swojéj. Zdaje mi się jednak, że wyłożona w ten sposób, jak ją „Spóźniony gość“ przedstawia, nie jest dostępną dla czytelników od lat 10 do 14, a nie będąc dostępną, może być fałszywie zrozumianą i poprowadzić do kroków nietylko nierozważnych, ale i zgubnych; mogą być takie związki z silnemi, którychby autorka niewątpliwie nie pochwaliła. Nie znaczy to bynajmniéj, ażebym kwestye tego rodzaju jak podniesiona przez autorkę, uważał za niewłaściwe w odniesieniu do młodzieży. I owszem, potrzeba je wszakże stawiać bardzo i w formie najrealniejszéj; forma bowiem fantastyczna nietylko nie uprzystępnia ich dla młodych czytelników, ale je gmatwa i sprowadza do poziomu wszelkich innych fantastycznych opowiadań, z któremi głębokie przekonanie zwykle się nie łączy.

Myśl pracy usilnej w przeciwstawieniu do biernego badania przeprowadza autorka w innym jeszcze szkicu już na rzeczywistości niby osnutym. „Poczciwy Antek“, straciwszy rodziców w czasie powodzi rozmyśla nad tém, jakby zapobiedz nadal spustoszeniom niesfornego żywiołu. Z początku pragnie zachęcić słowy wieśniaków, ażeby wspólnemi siłami wzięli się do zrobienia tamy; ale doznaje niemiłéj odprawy a nawet szyderstwa. Nie zyskawszy nic perswazyą, postanowił pociągnąć dobrym przykładem. Pewnego tedy razu sam jeden zabrał się do roboty i... szczęśliwym zbiegiem wypadków sprawił to, co zamierzył; właściciel „większej posiadłości“ przyszedł mu

z pomocą a i wieśniacy jéj nie odmówili. Odtąd rzeka pomimo burzliwych zapędów nic złego wiosce wyrządzić nie może. Jak widzimy jest-to swojego rodzaju sielanka, niepraktyczna jak sielanki w ogóle. Że „poczciwy Antek“, wzięty z fantazyi a nie z rzeczywistości, to napewno twierdzić można. Daleko byłoby praktyczniéj a prawdopodobniéj, gdyby ktoś skłonił był gminę do przedsięwzięcia pracy mającéj na celu dobro gminy.

Najwięcéj cech prawdopodobieństwa posiada powiastka p. n. „Syn Wirwicza“ a zarazem zaleca się najjaśniéj bijącym z niéj saméj morałem. Syn niegdyś bogatego kupca, który zbankrutował w skutek nieuczciwości jednego z wierzycieli, postanawia pracą utrzymać siebie i dwie siostry, a jakkolwiek z początku doznaje nader wielkich trudności w znalezieniu odpowiedniéj pracy, energią wszakże dochodzi do zamierzonego celu. Powikłania w które się plącze bohatér są zgodnie z rzeczywistością malowane a jeżeli nie pochodzą wprost z własnéj obserwacyi, oparte są przynajmniéj na dobrze wystudiowanych wzorach. Psuje tylko autorka efekt przez to, że po nader krótkiéj chwili próby zbyt hojnie wynagradza 15 czy 16-letniego młodzieńca pensyą 8 tysięcy rubli. Może gdzie są tak szczęśliwe kraje, ale u nas to się nie zdarza; u nas trzeba długo i usilnie pracować, ażeby zdobyć sobie jakie takie utrzymanie. Jeżeli chodziło autorce o zachęcenie do pracy jakąś spodziewaną nagrodą, to wątpię, ażeby przykład przez nią podany zbawiennie oddziałał. Niejeden zechce odrazu być nagrodzonym hojnie, a nie widząc nawet cienia nadziei, opuści może ręce i zrozpaczy.

Mówiąc w ogólności o wrażeniu, jakie zbiorek powieści Teresy-Jadwigi obudza, powiedziałbym, że dotychczas swobodniéj się jeszcze w świecie fantazyi porusza i tworzy sytuacye zajmujące (np. w początkowych rozdziałach *Marzycielki*), a gdy przechodzi do kreślenia realnych stosunków traci zalety swéj wyobraźni; sceny bywają suche, postaci trochę szablonowe, pozbawione cech życia *indywidualnego*. Niektóre jednak szczegóły jak opisy miejscowości, jak postać babuni „poczciwego Antka“, jak postać doktora wykazują, jak powiedziałem, zmężnienie talentu i każą się spodziewać, że z czasem przyjdą do „świata rzeczywistego te zalety, jakie dotąd bujały w świecie fantazyi“.

Wszelkie zbiory prac autorów rozmaitych mają tę niezaprzeczoną zaletę, że bez względu na wartość istotną, nie nużą przynajmniéj uwagi czytelnika jednostajnością sposobu pisania: można je czytać dowolnie od początku, lub od końca, nie krępując się tém, co poprzedzało, ani tém, co ma dopiéro nastąpić; można polubić jeden

artykuł, jednę powiastkę, rozkoszować się niemi, gdy się inne lekceważąco pomija. Nie sądzę, ażeby to, co dla starszych za dobre uznajemy, miało być koniecznie złém w zastosowaniu do dzieci. I dla nich pożądana jest rozmaitość a może dla nich przedewszystkiém. Pochwalić zatém musimy pomysł p. Nowickiego wznowienia dawniéj już u nas praktykowanych wydawnictw, na które składali się autorowie i autorki, umiejący i lubiący pisać dla małych ludzi. Pierwszy jego zbiorek, wydany w roku 1879, znalazł uznanie i zyskał powodzenie, mieścił parę powiastek dobrych, wyprowadził z ukrycia parę nazwisk kobiecych, które nie zaznaczyły się wprawdzie odrazu jakiemiś arcydziełami, ale bądź co bądź zapowiedziały pożyteczne pracownice na niwie belletrystyki dziecięcéj. Ten dobry początek zachęcił wydawcę do nieustawania w pracy; jakoż w roku 1880 ukazał się zbiorek drugi z kolei, o którym chcemy tu pomówić.

Zbiorek ten mieści w sobie 12 obrazków lub powiastek, poprzedzonych wierszem wstępnym p. Maryi Ilnickiéj. Wiersz ten, pod względem formy wielce udatny, jest niejako poetycznie wypowiedzianém hasłem życia dla dziatwy, hasłem, w którém odbrzmiewa wiara, nadzieja i miłość: wiara w ład i porządek wszechświata, silna nadzieja w zwycięztwo dobrego czynu, miłość wszystkich ludzi, rozjaśniająca nam serce, jakby na nie padał słońca blask złoty.

Po tym wierszyku następują wyjątki z powieści J. I. Kraszewskiego: „Królewscy Synowie“, zrobione zapewne przez samego wydawcę. Nie ganimy bynajmniéj samego zamiaru zużytkowania artystycznie napisanéj powieści na rzecz młodzieży; powiemy nawet, że wybór wyjątków przedstawiających kilka chwil z młodości Bolesława Krzywoustego dokonany został bardzo trafnie, gdyż żywo i energicznemi rysami nakreślone przez Kraszewskiego sceny silnie mogą utkwić w pamięci dzieci, a chociaż przedstawiają tylko męztwo w boju, skłonność do wypraw niebezpiecznych, rwanie się do mięśniowego ruchu, to przecież ze względu na wiek czytelników, żyjących jeszcze ciałem przeważnie, za złe uważać tego niepodobna. Jeżelibyśmy ustępom tym mieli zrobić jaki zarzut, to jedynie ten tylko, że wydawca posunął swą cześć dla naszego mistrza powieści aż do tolerowania błędów gramatycznych i pewnych wyrażeń, których ze względu na wiek młodzieńczy unikaćby należało. Jedenastoletni Bolko odzywa się o wrogach Pomorcach jako o *psiéj* gromadzie; w jego ustach rzecz to bardzo naturalna, ale zdaje się, że nie było potrzeby zatrzymywać to wyrażenie dla dzieci jedenastoletnich wieku XIX. Co do usterek gramatycznych, to zaraz na początku spotykamy niewłaściwie użyte wyrażenie *ująwszy* w boki zamiast ująwszy *się*; wprawdzie strasznie przedstawiłby się frazes (otrząsnąwszy

się z kurzu, śmiejąc *się* stał ująwszy *się* w boki); ale jeżeli nie chciał wydawca zmieniać stylu, należało przynajmniéj uszanować gramatykę. Podobneż zaniedbanie widzimy na str. 7, gdzie czytamy także połączenia zdań: „a on sam, skoro go myśl porwała, *nie zważając* na niebezpieczeństwo, pędził zapamiętale, *nie zważając* na nic“; nicby na tém rzecz nie straciła, gdyby ostatni frazes był wyrzucony; owszem obraz zyskałby na zwięzłości. Nie można też zgodzić się na wyrażenie *doń*, gdyż skrócenia zaimka *jego* tylko w 4-ym przypadku są prawidłowe (*poń*=po ni,—*zań*=za ni), w 2-im zaś są nadużyciem literackiém naszego dopiéro wieku.

Przechodzimy do powiastek oryginalnych, zaczynając od nazwisk znanych.

P. Marrené, która powiastką p. n. *Fortepian Helenki*, pomieszczoną w pierwszym zbiorku *Szlachetnéj zabawy*, dowiodła, że umié z wdziękiem kreślić piękne obrazki dla dzieci, napisała obecnie bardzo rozumnie obmyśloną i trafnie przeprowadzoną rzecz, *Z pamiętników pensyonarki*. Naturalność opowiadania, pewna nawet prostota wyrażenia, obok niewyszukanéj barwności, oto zalety stylu; a co do treści, to najlepiéj udało się autorce przedstawienie taktownie postępującéj nauczycielki, która ze znajomością natury ludzkiéj działając potrafiła ukoić rozpieszczone trochę dziecko, po raz pierwszy w życiu rozłączone z matką, a nadto postać sierotki, złośliwéj, kostycznéj nie z braku serca, ale z braku czułéj nad sobą opieki. Niektórych razi ta postać jako nieprawdopodobna; mnie się zdaje, że tylko belletrystyka nasza zanadto nas przyzwyczaiła do smutnych, łzawych, bolejących sierotek, ale że w rzeczywistości istnieją obok nich także natury krzepkie, energiczne, które nie łzami, ale uśmiechem szyderczym bronią się przed grożącą im obojętnością ludzką. Uważamy zatém za istotną zasługę p. Marrené, że nie poszła drogą utartą, ale że do naszéj powieści dla dzieci wprowadziła postać świeżą, która w belletrystyce dla dorosłych ma tak świetną przedstawicielkę w Dosi *Bożéj Czeladki*. P. Marrené umiała utrzymać się w mierze: nie chciała zrobić ze swéj Koci jakiéjś potwornéj bajronistki, ale tylko energiczne dziecię, które śmieje się dla tego, ażeby nie płakać; jakże piękną i prawdziwą jest scena, kiedy na widok podarków wigilijnych gorycz zwyciężyła silne, ale zawsze dziecięce tylko postanowienie, i zmusiła biedaczkę do płaczu. Zręcznie użytym kontrastem jest Marynia, dziecię łagodne, serdeczne, ale nie ślamazarne, które daje się łatwo powodować *rozumnemu* kierownictwu.

Pani M. J. Zaleska dała do drugiego zbiorku: *Obrazek z życia szkolnego*. Obrazek ten w pierwszéj części jest wierną fotografią niemal mieszkania kilku rozhukanych uczniów, którzy wyśmiewają

nauczycieli, pienią się ze złości, gdy im nie w smak co idzie, marżą tylko o dziarskim mazurze (choć jeden z nich jest drugoklasistą dopiéro), ubranie i sprzęty utrzymują w największym nieporządku. Wszystko to nakreślone jest żywo i śmiało, może nawet za śmiało, tak, że koloryt wpada w jaskrawość; ale czy potrzebnie? Zdaje mi się, że nie. Obrazek taki miałby wówczas tylko racyą bytu nawet w powiastce dla dzieci, gdyby owo hukliwe towarzystwo miało przejść próbę doświadczenia czy-to szkolnego czy życiowego w saméj powiastce, tj. gdyby owe burzliwe temperamenta rozwijały się w obec czytelników i doznawały skutków swego nierozważnego postępowania. Tak jednakże nie jest. Po owéj scenie wychodzi stary profesor, który wszystkiego wysłuchał i kreśli okropne skutki swojéj własnéj burzliwéj natury, która wtedy dopiéro się uspokoiła, gdy groźba śmierci matki nad jego sercem zawisła. Opowiadanie samo jest bardzo dobre; historya profesora zasługiwała na odtworzenie; autorka zapewnia, że po jéj wysluchaniu zaraz się objawiła wielce pocieszająca poprawa w uczniach; ale to tylko zapewnienie autorki, nie zaś wymowa faktów, która właśnie po owém opowiadaniu nauczyciela zająkliwą się staje. Jakoś czytelnik nie może zrozumiéć, że profesor tak doświadczony, tak rozumny nie chwycił się już dawniéj tak skutecznego środka, dozwolił, ażeby uczniowie stojący u niego na stancyi byli poprostu wisusami... I nasuwa się wniosek, że albo wymowa nauczyciela nie wiele pomagała, albo owa huczna scena początkowa wcale nie istniała, w takich przynajmniéj rozmiarach, jak je autorka wystawiła.

Z dziennika młodéj panienki wyjęła p. Antonina Łubowa, znana już z poprzedniego zbiorku, myśl bardzo dobrą, rozumnie karcącą tę zarozumiałość wszystkowiedztwa i tę chęć pokazania się zupełnie dorosłą panną, jakie w kończących naukę pensyonarkach zauważyć można niejednokrotnie. Własném doświadczeniem przekonywa się taka panienka, że choć 14 nauczycielom dobrze odpowiadała, właściwie jednak wiedziała bardzo niewiele i że długo jeszcze uczyć się i rozmyślać musiała, ażeby zdobyć wiedzę prawdziwą, która od zdanego egzaminu różni się niemało. Własném też doświadczeniem sprawdziła, co to jest zmartwienie rzeczywiste i jak je trzeba od urojonych lub drobnych odróżniać. Kończy chwalebném postanowieniem: pracować nad myślą swoją i wypełniać obowiązki. Zaletom myśli nie odpowiada wszakże wykonanie: z początku wprawdzie panienka żywo maluje swoje oczekiwania, nadzieje, rojenia; ale późniéj styl staje się ociężały, przedstawienie scen zbyt jednostronne, bo widocznie tylko w celu moralizatorskim kreślone; postaci nie rysują się wybitnie a nadto jeszcze wkrada się pewne nieprawdopodobień-

stwo: dziwném doprawdy wydaje się wykrzyk zapisany w dzienniczku po wyjeździe stryja: Z kimże ja będę teraz rozmawiać, kogo słuchać po parę godzin"; nie mówiąc o matce, o której nie wiemy czy była w możności uczynić zadość pragnieniu wiedzy, okazywanemu przez córkę, dla czegóż nie przyszedł panience téj na myśl jéj ojciec ukształcony, rozumny, czyżby był tak zajęty gospodarstwem, że już nie mógł pogawędzić z córką, a przecież miał czas czytać wraz z nią poważne, nauczające książki, objaśniając je...

Trzy powiastki p. Cecylii Stattlerowéj, znanéj również z pierwszego zbioru „Szlachetnéj zabawy" nie wykazują postępu w powieściopisarskim zawodzie. W jednéj mglistość pomysłu (*Anioł Stróż*), w drugiéj niejasność morału (*Wycieczka do lasu*), w trzeciéj nieprawdopodobieństwo sytuacyj (*Książkowa Bohatérka*) a we wszystkich brak plastyki w obrazowaniu i rysów rzeczywiście z życia chwytanych sprawiają, że się je czyta dość obojętnie a rozstaje się z niemi bez tęsknoty. Autorka opowiada np. o rozczarowaniu dzieci z dworku *wiejskiego*, które zazdrościły swobody dzieciom chłopskim, a tymczasem dowiadują się jakby o jakiéj niesłychanéj nowinie, że dziewczęta wiejskie chodzą boso i zbierają w lesie grzyby na sprzedaż... Trudno doprawdy uwierzyć w taką naiwność: istnieje ona tylko w dawnych powiastkach francuzkich, które przedstawiają małych baronów i malutkie hrabianki, nie wiedzące z czego chleb się robi. Gdyby to dzieci miejskie przyjechały na wakacye po raz pierwszy na wieś, sprawa łatwiejszą byłaby do zrozumienia. Po tém rozczarowaniu Stasio „w głębi ducha podziękował Bogu, że nie jest wiejskiém dzieckiem"—morał doprawdy dziwny, przypominający owę znaną modlitwę: Dziękuję Ci Boże, żeś mię nie uczynił wołem, boby mię w polu ubili kołem i td. Dodajmy do tego zakończenie: „O jakże wytrwałe, niełakome i niesamolubne są te wiejskie dzieci, te bosonóżki, o czarnym chlebie żyjące!"—a będziem mieli obraz sprzeczności, który nie wiem, czy dobroczynnie oddziała na umysły dziecięce: Więc Stasio w duchu dziękował Bogu za to, że nie został wytrwałym, niełakomym i niesamolubnym!—oto sens moralny, jaki z zestawienia zdań kilkunastu zaledwie wierszami przedzielonych wypływać się zdaje. W *Książkowej Bohatérce* jest myśl bardzo dobra, tendencya rozumna: autorka karci te panny, które porwane niedobraną lekturą marzą o bohatérskich czynach a mdleją na widok krwi z palca, które gotowe są do poświęcenia, a ręki skaleczonéj obwiązać nie potrafią, które rozmyślają o wielkich planach uszczęśliwienia ludzkości, a drelować porzeczek nie umieją: słowem w świecie wyobraźni są heroinami, a w świecie rzeczywistym niezaradnemi niedołęgami. Niektóre sceny są nacechowane prawdą; ale

całość natomiast nieprawdopodobna: dziwnie wyglądają ci rodzice, co się odznaczając wszelkiemi możliwemi zaletami tak źle pokierowali wychowaniem swojéj córki i tak jakoś nieumiejętnie pozwalają rozrość się nieszczęśliwym objawom rozmarzonéj wyobraźni swojego dziecka, że nawet słowa rozsądnego, przekonywającego, nie umieją powiedziéć, patrząc na jéj wybryki i potrzeba dopiéro groźby zbójców, stłuczenia się Ewuni, ażeby ojciec opowiedział historyjkę o praktycznéj Włoszce, co umiała w samę porę gojący balsam do jego rany przyłożyć.

Jaskółka znana już z kilku prac na niwie belletrystyki dziecięcéj dała do „Szlachetnéj zabawy" *Skarbonkę Ludwisi* z bardzo dobrą intencyą. Dziewczynka i chłopczyk nie chcą się uczyć, robią przykrości guwernantce, która zamierza już wyjechać; chcą ją zachęcić za pośrednictwem wynagrodzenia pieniężnego za dobrą i pilną naukę, nic to jednak nie pomaga, skarbonka ciągle jest pusta; dobre dopiéro serce Ludwisi zaczyna ją napełniać, chciało bowiem dopomódz biednéj pogorzałej rodzinie przez kupno krowy a na kupno krowy potrzeba dużo, bardzo dużo piéniędzy. Pomysł nie nowy wprawdzie, ale dobrze zużytkowany, jego wszakże opracowanie jest nader pobieżne; obrazkom brak żywego kolorytu, osobom brak życia! powiastka to nie gorsza od setki innych, ale niestety i nie lepsza.

P. Władysława Izdebska urozmaiciła zbiór powiastek dwoma obrazkami scenicznemi, z których jeden ma napis: *Szarfa różowa*, a drugi: *Stasia w kłopotach czyli Krakowskie wesele.* Pierwszy obrazek pisany deklamacyjnemi wierszami grzeszy przesadą i nienaturalnością wyrażeń, pozuje na jakąś tragedyą czysto teatralną i ma tę wadę nader wielką, że za motyw tragiczny bierze kłamstwo popełnione na scenie tylko przez „zarządzającą domem", ale po za sceną prawdopodobnie i przez ojca... Jadwiga chciałaby się ubrać na bal w piękną suknię z szarfą różową, bo tak się z przyjaciółką ułożyły; tymczasem „zarządzająca domem" przychodzi oznajmić rozradowanéj dziewczynie, że ojciec nie pozwolił na ten zbytek, a nadto, że leży ciężko chory. Panienka postanawia odpisać przyjaciółce, że się na bal nie stawi; wtém „zarządzająca domem" wnosi suknię z szarfą różową i oznajmia, że ojciec wcale chorym nie był. Za dużo patosu nie w miejscu, zadużo nieprawdopodobieństwa na obrazek w jednéj odsłonie: dziwna ta Jadwinia, że sama ojca nie prosi o szarfę, dziwna, że się z nim od rana nie widziała, dziwna, że tak łatwo ulega perswazyi *Sosnosi*, żeby do chorego ojca nie chodziła, a najdziwniejsza, gdy ma czas ,,pieścić się z boleścią" i śpiewać długą elegią rozstania z sukienką,zamiast pomyśléć o ratowaniu chorego (w jéj mniemaniu)

ojca. *Stasia w kłopotach* jest bezwarunkowo lepszą, chociaż w pomyśle również niebardzo prawdopodobna. Babunia wyjechała, wnuczki i wnuczkowie (w liczbie 8) pozostają sami pod opieką jednéj gospodyni, kobiéty prostéj, która dla odwiedzenia Jędrzejowéj wydala się również. I liczba wnucząt i ten brak wszelkiego dozoru nie wyglądają jakoś na rzeczy z życia wzięte; bo téż o to nie chodziło; trzeba było urządzić krakowskie wesele; a bez czterech par chociażby jakżeby ono wyglądało. Że się dzieci chciały zabawić, nie mając żadnéj zadanéj roboty, to rzecz bardzo naturalna, ale że przebrawszy się po krakowsku lękały się gniewu babci i z tego powodu, w obec nadjeżdżających gości, Stasia grać musiała rolę prawdziwéj wiejskiéj dziewczyny, to trudniéj trochę zrozumiéć; że się bawiły nic w tém złego, że podobne zabawy odbywały dawniéj widać po kostiumach, które mają w pogotowiu. Ale pomijając te i inne nieprawdopodobieństwa, przyznać trzeba, że jest wiele ruchu i życia w obrazku, że krakowiaki są dobre.

Na końcu wspominamy o powiastkach p. Michaliny Zielińskiéj, która dawniéj pomieszczała swoje prace dla dorosłych w czasopismach pod kryptonimem *M—a*, a któréj talent, widoczny w dwu tu umieszczonych utworach, różni się wiele od talentu, poprzednio wymienionych autorek. Odznacza się on energią, śmiałością rysów, świeżością barw, chłodnym, trzeźwym rozsądkiem, połączonym z głęboko pojętą uczuciowością, tudzież niepospolitą werwą w opowiadaniu. W kształceniu się jego znać wzory angielskie i amerykańskie; powiedziałbym nawet, że te dzieci, których historyą opowiada, nie są nasze, tak w nich nie ma nic a nic ślamazarnego, nic pieszczotliwego i wszystko dysze pełnią zdrowego, czerstwego życia. Autorka na wzór amerykańskich powieściopisarek umié prostemi motywami wywołać silne wrażenie, ale się nad niemi nie rozwodzi, kreśli je dobitnie i zwięźle. Zalety te jaśnieją mianowicie w *Wyprawie za morze*: trzy szczególniéj postaci oddane są z wielką plastyką: malec, który nasłuchawszy się o Robinsonie, zamyśla wędrować za morze, uczeń namiętnego temperamentu, który przygotowując się na lekcye musi przejeżdżać czuprynę grzebieniem naturalnym o pięciu palcach i rznąć stół scyzorykiem, i Burek pies wierny i zmyślny. Uczeń przestrzegany przez siostrę, ażeby nie psuł stołu, zaczął potakiwać malcowi w jego projektach; ślicznie opisane są ich przygotowania do podróży, ich rozmyślania o trudnościach, ich pożegnanie z rodziną i z burkiem, ich żale, że robią głupstwo, ale zrobić je muszą dla honoru, ich wreszcie pozostanie w domu na odzywający się głos serca. A wszystko to opromienione przepysznym humorem, który na całość rozlewa pogodne, uspokajające światło. Tylko niestety, do pomysłu

zakradły się pewne wady: malec jest za nadto rozwinięty na swój wiek, na wytworzenie takiego okazu, który siedzi jeszcze na wysokim stołku i nie umié czytać, a rezonuje jak dojrzały, potrzeba specyalnego wychowania; a powtóre decydujący o wędrówce moment stanowi wyraz *błazen* wymówiony przez matkę a zastosowany do malca; malec miał trochę racyi obrazić się, gdyż mu wujek nieraz powtarzał, że nikogo przykrém słowem zaczepiać nie należy; a matka wygląda trochę na nierozsądną a przynajmniéj na nietaktowną.

W ogóle mówiąc *Szlachetna zabawa* nie może być wprawdzie nazwana zbiorem doskonałym, ale należy bez wątpienia do dobrych; a staranność wydania pod względem korekty i poprawności języka godna jest naśladowania: oprócz bowiem wspomnianych na początku usterek zaznaczyćby jedynie wypadało niepotrzebne użycie wyrazów cudzoziemskich i mało zrozumiałych, tam zwłaszcza, gdzie one są zupełnie zbyteczne jak np. wyraz *kategoryczny* na str. 28; jako też nieużywaną formę: *fałszywo.*

Był już kalendarz dla kobiét, był osobny dla panien, przyszła teraz koléj na „wiek młody" płci obojéj. Autorka czy redaktorka tego ostatniego kalendarza nie dla okładki tylko, jak się zdaje, wybrała tę formę wydawniczą celem ogłoszenia zbiorku poezyj, wierszy, powiastek, opisów, artykułów dydaktycznych, życiorysów, anegdot, zagadek, przysłów i maksym; miała owszem na oku specyalny cel pedagogiczny. Wypowiedziała go ona we wstępie do „Rozmowy ze Stasiem." Stasio dostał od dziadzi „Kalendarz dla młodego wieku;" mama zobaczywszy te książkę, powiedziała mu, że dostał „bardzo stosowny i pożyteczny podarunek," a nie czekając pytania ze strony synka, sama objaśnia, że „kalendarz to rachmistrz czasu, *którego* często radzić się powinniśmy, aby nie ponieść straty, *która* najczęściéj jest niepowetowaną." Na tę uwagę możnaby odpowiedzieć, że w „młodym wieku" poświęconym kształceniu umysłu i wyrabianiu charakteru czas w ogólnych swych zarysach odmierzany bywa przez zwierzchność domową lub szkolną, przez plan zajęć codziennych, że jeżeli czegoby potrzeba było „młodemu wiekowi," to umiejętnego spożytkowania godzin na uczenie się i zabawę przeznaczonych... Ale nie wchodźmy z redaktorką w tak pedantyczne spory, przyznajemy, że napomnienie co do rachowania się z czasem, dane młodzieży, jest bardzo słuszne, że tytuł książki jako nowość może zachęcić do jéj kupienia i przeczytania, że wreszcie dodanie kilku kartek treści kalendarzowéj w niczém a w niczém nie szkodzi reszcie zbioru.

Idzie tu głównie o sam zbiór.

Zaczyna się on od małych pieśni wybranych z dzieł Pola, Brodzińskiego, Duchińskiéj; są one dobre, przystępne dla młodzieży i poetyczne. Wiersz *Bronisławy* p. n. „Dwie drogi“ nie licuje z poprzedniemi pod względem poetycznym: nietylko że pomysł jest bardzo spowszedniały (choć co do dążności chwalebny), ale nadto język i styl i wierszowanie w wysokim stopniu są słabe.

Następujące potém powiastki (*Pierścionek*, *Pamiętnik lalki*, *Wilia Bożego Narodzenia*, *Niewinne kłamstwa*) nie są bynajmniéj gorsze od setki tych, jakie drukowały i drukują nasze czasopisma dla dzieci lub wydawnictwa gwiazdkowe. To negatywne uznanie dla tych utworów znaczy, że cel ich napisania zasługuje niewątpliwie na pochwałę, któż bowiem zaprzeczy, że dążność wykorzenienia z charakteru młodzieży nieposłuszeństwa, roztrzepania, usposobienia do kłamstwa i tym podobnych wad ułomności jest rzeczą dobrą, zbawienną, możliwą do urzeczywistnienia. Każdy pragnąłby niezawodnie, ażeby jego dzieci były jaknajlepsze, ażeby jak najmniéj zasługiwały na naganę lub karę. Że oprócz innych wpływów, oprócz mianowicie najskuteczniejszego wpływu, jaki miewa dobry przykład, i wpływ książki także, powiastki, opowiadania nie jest urojeniem tylko; na to zgodzić się wypada i zgodzić się potrzeba. Ale pytanie jaka powiastka skuteczniéj na dzieci oddziaływa: czy ta, w której przy każdym frazesie widzi dziecko napis: „tu można znaléźć naukę moralną:“ czy téż ta, w któréj sam rozwój wypadków artystycznie pokierowany pewną prawdę z życia codziennego na jaw wydobywa? Zbyt już długo panuje u nas powiastka moralizująca, pozbawiona swobodnego uśmiechu, dobrego humoru, kwaśna, gderliwa i nudna, w której nie ma *indywidualności* dziecięcych z całą rozmaitością temperamentów i charakterów, ale są *typy* złe lub dobre, wzorowe lub zepsute, wystawiane przez autorów i autorki na pokaz, poruszane maryonetkową nicią, ale nie żyjące życiem samoistném.

Powiastki pomieszczone w „Kalendarzu dla młodego wieku“ nie wykraczają przeciw téj rutynicznéj metodzie pisania utworu dla dzieci. Pod względem stylistycznym pisane są poprawnie, czasem nawet ozdobnie; dają się czytać gładko, są jasne, obfitują w zdania rozsądne a niekiedy i trafne spostrzeżenia; ale układ artystyczny, ale rysunek postaci bardzo a bardzo wiele pozostawia do życzenia. Dobrze i to, że działanie jest po większéj części prawdopodobne; w jednéj tylko zauważyłem pewien pod tym względem usterek. Rzecz tak się ma. Dzieci zostają pod opieką nauczycielki na wsi. Krewni zapraszają starsze do siebie na zabawę. Wybierają się więc wraz z nauczycielką; w domu ma pozostać mały Boleś widocznie pod opieką sługi tylko. Otóż jedna z sióstr *prosi* nauczycielki, ażeby mogła

zostać z braciszkiem, bo mama wyjeżdżając kazała nam mieć go nieustannie na oku, a jakżeż to być może, jeśli wszystkie wyjedziemy z domu... wczoraj narzekał, że go główka bolała...“ Jeżeli scena ta miała miejsce, to albo nauczycielka okazała się mniéj przezorną od swéj uczennicy i nie zasługiwała na pochwały, jakie jéj dała autorka; albo też miał ktoś pozostać w domu, coby opiekę nad Bolesiem rozciągnął i sumienie nauczycielki w zupełności zaspokoił, a o tém autorka nic nie wspomina. Ze wszystkich powiastek najwięcéj ożywienia, a nawet trochę humoru mają „Pamiętniki lalki.“

Dobra jest „Wycieczka do Lublina“ jako wyjęta z „notatek ucznia gimnazyum,“ dobra dla tego, że pisana bez pretensyi, że nie ubiega się za erudycyą, za nagromadzeniem wielkiéj liczby pamiętnych faktów, któreby z powodu właśnie swojéj mnogości w pamięci czytelnika nie utkwiły. Szkoda tylko, że ów „uczeń gimnazyum“ ma trochę przestarzałe wiadomości literackie i w skutek tego powtarza może już stokrotnie wypowiedziane o Klonowiczu frazesa: „biedny poeta, pełen goryczy i zniechęcenia do ziomków, dręczony przez złą i rozrzutną żonę zubożał na starość i nie mając własnego dachu nad głową, jak nędzarz zakończył życie w szpitalu.“ Musiał przecież mieć własny dach nad głową, kiedy po śmierci pozostała po nim kamienica w Lublinie.

Opowiadanie o „boju na Kosowém Polu,“ ułożone z pieśni serbskich, jest i zajmujące i poetyczne, ale ma tę wadę, wspólną niektórym poezyom, że zostaje w rozterku z... geografią. Czytając początek tego artykułu: *na południe od Rosyi* (!) nad sinym Dunajem, leży kraj piękny i żyzny,“ któżby się domyślił, że tu mowa o Serbii? Jak dziwno się zrobi na wspomnienie, że autorowie piszący artykuły historyczne dla dzieci, nawet na mapę nie spojrzą, choć dzieciom zalecają pracowite i pilne przykładanie się do nauk. Jakiż skutek wywrzéć może taka moralna nauka, jeżeli brak owych przymiotów w przewodnikach swoich dojrzą? Objaw ten nie jest odosobniony w „Kalendarzu dla młodego wieku;“ spotykamy podobny w innéni jeszcze miejscu, gdy autorka dla urozmaicenia wiadomości o słońcu opowiada przygodę Faetona. Streściwszy podanie starożytne, dodaje: „Strącony Faeton utonął w rzece *Rodanie*, która się zwała wówczas Erydanus...“ A toć pilny uczeń czytający *Przemiany* Owidyusza wié, że Erydan to nazwa rzeki mitycznéj gdzieś tam na Zachodzie; a jeżeli się używa jako termin geograficzny, to oznacza rzekę Po. Czyż nie lepiéj było powstrzymać się od wszelkiego objaśnienia, niż iść za zwodniczém podobieństwem brzmienia wyrazów?

Do dobrych artykułów zaliczyć należy artykuły biograficzne (*Stanisław Jachowicz*, *August Jeske*, *Kazimierz Brodziński*, *Młodość*

Kraszewskiego). Oczywiście najlepszym z nich z powodu saméj treści jest zarys biedowania Brodzińskiego w latach dziecinnych i młodzieńczych; żałować jedynie wypada, że obrazka smutnéj młodości nie dopełnia pod względem i artystycznym i etycznym obraz jego znaczenia i zasług w literaturze.

Z rozprawek treści przyrodniczéj żadna nie odznacza się szczególnym talentem popularyzowania wiedzy. Rzecz o zmyślności zwierząt jest zbiorem anegdot, które nie dla tego są złe, że są znane (bo dla dzieci jako nowość przedstawić się mogą), ale dla tego, że nie zużytkowano ich należycie; zamiast rozjaśniać pojęcia, zostawiają je w takiém samém przyćmieniu, w jakiém one pospolicie w życiu niewykształconych się pojawiają. W tym np. artykule pojęcia inteligencyi i instynktu nie zostały należycie wyłożone, a przecież wartość artykułu o zmyślności zwierząt od tego głównie zależała. W rozprawie o źródle ciepła i światła znaczenie słońca określono dość dobrze; ale nie zaspokojono naturalnéj ciekawości młodego czytelnika, który niewątpliwie zapyta po przeczytaniu, jakim sposobem mierzono odległość słońca od ziemi, podaną w artykule... Ciekawości téj większość rodziców a nawet nauczycielek nie potrafi zaspokoić. Dla czego artykuł o dyamencie położono przed artykułem o węglu trudno odgadnąć; zresztą oba one są bardzo pobieżne, choć przecie i w naszéj już literaturze istnieją dziełka, mogące dostarczyć dobrego materyału do napisania o tych przedmiotach zajmującéj rozprawki.

Anegdoty, przysłowia, zagadki uważam za prawdziwą ozdobę „Kalendarza dla młodego wieku;“ wynagradzają one braki zaznaczone w powiastkach; po większéj części są dowcipne, panuje w nich ton wesołości, albo téż podbudzają do myślenia, zaciekawiają i mogą się przyczynić do rozwinięcia przytomności umysłu. Sądziłbym tylko, że można było niektóre pominąć; z pomiędzy tych, którebym pod tę kategoryą podciągnął, najniewłaściwszą wydaje się anegdota o policzku (str. 115), takich uczuć, jakie wyraził opoliczkowany „na seryo,“ lepiéj żeby dzieci zawczasu nie znały, bo i starszym przykro bywa, gdy o nich słyszą.

Co się tyczy wydania, jest ono dość staranne, jakkolwiek niestety! niewolne od błędów drukarskich. Język jest wogóle czysty, raz tylko zauważyłem niewłaściwe użycie biernika zamiast dopełniacza (niepodobna *ją* rozeznać str. 62) i kilka wyrażeń bardzo powszechnych obecnie w mowie pisanéj choć błędnych (*większa* połowa, *zeń*, *odeń*). Styl poprawny dosyć; użycie wyrazów właściwe, to téż razi témbardziéj frazes, że Newton *wynalazł* prawo ciążenia (str. 116), lub że paszkwil jest to pismo *uskarżające* kogoś o zbrodnię,

występek lub *śmieszność* (129, uskarżające zapewne zam. oskarżające). Należałoby także sprostować zdanie, że „kawałek miedzanéj blaszki *żadnego* nie ma znaczenia, ale opatrzony stemplem i *stosownym napisem* staje się monetą.“

P. Chmielowski.

Czarodziejskie Baśnie dla młodego wieku, zebrała i przetłómaczyła K. Gościmska. Warszawa. Nakładem G. Sennewalda roku 1879.

Pod tym lubo niekoniecznie co do składni prawidłowym tytułem, wyszła w roku zaprzeszłym wiązanka z kilkunastu powiastek, treści fantastycznéj, mających na celu, jak to widać z przedmowy, w którą zaopatrzyła książeczkę tłómaczka, „aby, zaciekawiając i rozbudzając *uwagę* młodych czytelników, zaszczepiały w ich młodziutkich sercach i umysłach wszystkie cnoty zdobiące szlachetnych i użytecznych ludzi.“ Cel zatém godzien uznania, lubo niedość ściśle określony. Jeżeli bowiem p. G. podaje młodym czytelnikom nauki „przybrane w formę fantastycznych powieści;“ to one ze swéj natury, nietylko na rozbudzenie *uwagi*, ale zarazem i *wyobraźni* oddziaływać powinny. Nie mielibyśmy też nic przeciw takiemu rozszerzeniu założonego sobie celu, wiedząc, jak ważne pomiędzy władzami duszy wyobraźnia miejsce zajmuje i że narówni z niemi odpowiedniego pokarmu i kształcenia wymaga. Wprawdzie dziś przestano już wierzyć w jéj przewagę nad innemi władzami umysłu dziecięcego; ze względu bowiem na szczupły zakres wyobrażeń, jakie dziecko posiada, wyobraźnia jego nie może być ani tak bujną, ani też rozległą, jak to mniemali wszyscy, którzy dzieci uważali za największych poetów. Dziecko tylko wrażenie każde przejmuje żywiéj, odczuwa głębiéj dla tego właśnie, że ma nerwy nadzwyczaj delikatne; każde przeto wrażenie musi odczuwać silniéj. Ale też tém większych starań po wychowawcach i przewodnikach młodzieży budzenie i kształcenie téj zdolności wymaga. Od jakości bowiem dostarczanych umysłowi wrażeń, i co zatém idzie wyobrażeń, zależy przyszły jéj kierunek i nastrój duchowy późniejszego człowieka. Z tego też względu i przy wyborze powiastek, zwłaszcza mających za pośrednictwem wyobraźni oddziaływać na kształcenie umysłu i serca, nigdy zanadto nie można być ostrożnym.

Zobaczymy więc, czy tłómaczka trafny wybór w swych *Baśniach czarodziejskich* zrobiła. Autorką ich jest pani La Princa de Beaumont, która żyjąc w minioném stuleciu i poświęcając talent swój młodemu pokoleniu wydawała *Magasin des enfants*, gdzie obok nauczających pogadanek pomieściła i baśnie tak, że zachodzi py-

tanie, czy baśnie te, zgórą przed stu laty pisane (1), odpowiadają potrzebom umysłowym dzisiejszéj dziatwy, czy mogą „w sercach i umysłach wszystkie cnoty, zdobiące szlachetnych i użytecznych ludzi“ zaszczepić? Otóż z dłonią na sercu, stanowczo odpowiadamy: nie!

Cel każdéj powiastki jest wprawdzie moralny: występek, zbrodnia ukarane, każda cnota otrzymuje hojną, nieraz do zbytku, zapłatę. Tylko środki, które do osiągnięcia tego celu prowadzą, niekiedy zanadto rozmijają się z moralnością i dają wyobrażenie o występkach, o których dzieci wcale wiedziéć nie powinny. Tak n. p. w piérwszéj powiastce: *Książę Szeri* (sic), który z natury jest sobie nicpoń wierutny, spotyka na spacerze tak piękną pastérkę *Zelią*, że z nią natychmiast postanawia się ożenić. *Zelia* jednak odrzuca jego ofiarę, dla tego, że choć piękność jego ocenia, ale dla złych postępków czuje do niego odrazę. Otóż na taki argument *Szeri* rozgniewał się bardzo „i rozkazał dworzanom, ażeby ją gwałtem do jego pałacu zaprowadzili (str. 13).“ Nie dość na tém, „umyślił tego samego dnia iść do pokoju, gdzie była pastérka *i obejść się z nią jak najgorzéj* (str. 14).“ Jakoż po kolacyi „przy któréj *Szeremu* dolewali wina (dworzanie), pobudzali gniéw króla przeciw *Zelii*, tak że ten wstawszy, jak szalony, przysiągł, *że albo mu będzie posłuszną*, albo ją każe sprzedać, jako niewolnicę (str. 15).“

Pytamy, jakie wrażenie może sprawić powyższy ustęp na umyśle młodziutkich czytelników i czytelniczek? Piérwsza kwestya, jaka się im bez wątpienia nasunie, będzie tego rodzaju: Co on jéj najgorszego mógł zrobić?... H! wybić chyba, bo cóżby gorszego być mogło? Ale jeżeli świadomość złego trafem jakim przedwcześnie zaszczepioną w umysł została, to nie trudno odgadnąć, co za kierunek wyobraźnia przybierze. A wtedy, w co się obróci sens moralny całéj powiastki, mającéj niby na celu dowieść, iż jedynym warunkiem szczęścia jest poskromienie namiętności? Niech nam tłómaczka odpowié. Zresztą w jakiż to sposób ów książę poprawę swoję odbywa? Czy przez wewnętrzną pracę nad sobą? Bynajmniéj. Staje się on lepszym, gdy go wróżba w zwierzę zmieniła.

Inne powiastki, jak książę *Dezir* z długim nosem i *Trzy życzenia*, w któréj żonie na życzenie męża za sprawą wróżki znowu do nosa przyrasta długa na łokieć kiełbasa są za nadto trywialne i obudzają wstrętne uczucia. W powiastce znowu o dwóch braciach kró-

---

(1) Nawiasowo dodajemy, że cały Magazyn dziecinny był już tłómaczony na język polski przez Ks. Eustachego Dębickiego i wyszedł w 4 tomikach w Warszawie r. 1768, poczém dwukrotnie jeszcze był przedrukowany (Przyp. Red.).

lewiczach *Tity i Mirtylu* charaktery ich rodziców są za nikczemne, by je można stawiać przed oczy dzieci, dla których wyobrażenie rodziców winno być otoczone aureolą świętości. *Tity*, dla tego właśnie że dobry, szlachetny doznaje najstraszniejszego prześladowania ze strony matki i ojca, którzy dla wyniesienia ukochanego, a złych skłonności *Mirtyla*, nie wahają się go nawet na śmierć nieuniknioną narazić. Wróżka w obec wykrytéj zdrady, doradza królewiczowi *Tity*, by otoczył wojskiem pałac rodziców i *powsadzał* (sic) ich wraz z Mirtylem do więzienia a sam ogłosił się królem. *Tity* wprawdzie odpowiada jéj, że woli raczéj zginąć, niżeli przeciw rodzicom *wojować* (sic) i wróżka pochwala to jego postanowienie. Oznajmia nawet, że chciała jedynie wypróbować jego cnotę synowską i dodaje, że byłaby go opuściła nazawsze, gdyby jéj rady był usłuchał. Widocznie jednak musiały po tém zajść jakieś inne dla nas niewiadome okoliczności, które chyba, jako zbyt gorszące, opuściła tłómaczka, skoro o kilka wierszy niżéj czytamy: „iż książę słuchał wróżki, zadrżał z oburzenia, widząc to, co się działo, powrócił do stolicy i został uznany za króla“ (str. 143). *Coup d'état* przeto dokonaném zostało, bo cóż się stało z rodzicami?

W każdym razie ich stosunek do *Tity* nie robi budującego wrażenia, a opuszczenie okoliczności, powodujących katastrofę, daje pole do jeszcze mniéj budujących domysłów.

Nie powiemy, by wszystkie powiastki były tak chwiejne na punkcie moralności, jak wymienione powyżéj. Są między niemi i takie, które bez obawy można dać dzieciom do ręki. Do nich należą: *Piękna i Potwór*, *Fatalny i Fortunat*, *Rybak i podróżny*, *Książę Szarmant*, *Roland*, *Drwal i jego żona*, w których przynajmniéj myśl zasadnicza, bez użycia drastycznych środków, konsekwentnie przeprowadzoną została. Ale ogół baśni grzeszy tłem i użyciem okoliczności, wśród których rozwijają się wypadki, a które uważamy za niewłaściwe, dla umysłów pokolenia w innéj dziś wychowującego się sferze. Pani *de Beaumont*, pisząc swoje powiastki, miała na myśli samych królewiczów i księżniczki, a przynajmniéj dzieci, których urodzenie przeznaczało zająć blizkie miejsce przy tronie. Ogół bowiem bohatérów, występujących w powiastkach z małemi wyjątkami, jedynie jest brany z téj sfery. Dla przeważnéj jednak większości naszych dzieci, zdaje się, iż nie tyle ważném jest wiedzieć, jak zwyciężać na czele wojska i ze zwyciężonymi, wspaniałomyślnie, po królewsku się obchodzić, jak rządzić krajem i uszczęśliwić poddanych, a obok tego nad blaski tronu przenosić cnotliwe pasterki, ile raczéj od lat najmłodszych zaszczepić w nich to przekonanie, iż życie nie jest fantasmagoryą, zmieniającą warunki bytu człowieka

za lada wróżki skinieniem, ani że nie każdy dobry szlachetny czyn opłaca się orzechami i niesplikami (1), zamieniającemi się w brylanty (*Tity i Mirtyl*); ale że owszem życie jest pasmem trudów, poświęceń, twardych do spełnienia obowiązków, nieraz bardzo bolesnych zawodów, do których trzeba się przygotować nauką, pracą, wyrobieniem w sobie mocy charakteru i woli, zdolnéj przełamywać trudności bez pomocy wróżki-czarodziejki, co ubogą chatkę w jednéj chwili przemienia na lśniące od złota i brylantów pałace. Słowem przekład powiastek pani *de Beaumont* uważamy za spóźniony o całe niemal stulecie. Jeszcze mniéj wydanie tych powiastek możemy usprawiedliwić ze względu na język, jakim się posługuje tłómaczka. Jest on tak zaniedbany i galicyzmami skażony, iż książka ta nie powinna nigdy znajdować się w rękach młodego pokolenia. Bo najprzód, pytamy, dla czego p. Gościmska spolszczywszy jedne nazwy, jak: *Śliczustka*, *Pięknotka*, *Szkarlatna* i *Bielutka* i inne, pozostawiła w formie piérwotnéj takie nazwy, jak książę *Szeri*, *Dezir*, *Szarmant* i tym podobne? Czyż nie właściwiéj było jakieś inne równoznaczniki obmyśléć, więcéj przypadające do polskiego ucha, niż się posługiwać podobnemi dziwolągami? A zresztą co znaczą podobne wyrażenia: „przybrałam postać królika *i schroniłam* się w twoje ręce" (str. 8); „wróżka znaczy więcéj, niż człowiek" (str. 11); nie ma nic brzydszego, jak być dumnym" (str. 12); „gdybym był za to karany, *będąc małym*, nie miałbym teraz z tém kłopotu" (t. j. ze złością i dumą) (str. 12). „Szeri poznał głos Kandidy i *rozwścieczony* (!) odwrócił się" (str. 17). I znowu nieco daléj: „*Oddawał się* wściekłości." „Człowiek ten był to wielki brutal i chociaż potwór (t. j. *Szeri przemieniony w zwierzę*), był bardzo łagodny, gdy był w złym humorze, bił go bez żadnéj przyczyny" (str. 19). Nie wiadomo kto kogo bił: potwór brutala, czy brutal potwora? „Dozorca pochylił się, chcąc pogłaskać potwór" (19); przyszła mu ochota iść ją zjeść w ogrodzie" (str. 20). „A największą ich rozrywkę stanowiły rozmowy o dawnych strojach *i żal za niemi*" (str. 26). Jak *żal* stanowić może rozrywkę? „Jeden z okrętów wiozący dla niego towary *przyjechał* szczęśliwie" (str. 27), zamiast zawinął do portu. „Dzieci zebrały się około niego, lecz zamiast cieszyć się ich pieszczotami, kupiec się rozpłakał, patrząc *na nich*" (str. 30). „Mój mały przyjacielu, czy nie chciałbyś *być u mnie* i paść owce" (str. 48), zamiast przyjąć służby i paść owiec. „Oprócz tego żona i dzieci *kradli* go także. Zobaczywszy *Fatalnego*, bardzo

(1) Gatunek jabłek, podług objaśnienia tłómaczki. Właściwie jednak jest to owoc z drzewa, należącego do rodziny głogów *Mespilus*.

byli kontenci." (str. 48). „Tak była piękna, że nie mógł jéj nie pokochać" (str. 52). „Nie wydawaj na siebie wyroku, *zaczém nie uznasz wszystkie twoje winy*" (str. 111). „Bardzo to dla mnie szczęśliwie, żem oszalał" (str. 121). „Że nie mogła, jak tylko polubić" (str. 139). „Mówiąc, że zaraz każę aresztować Tity *i zrobić mu* proces." Na stronicy 145 pewien król, chcąc onym dworzanom dać w czasie uczty zupełną swobodę, oświadczył, iż kto go będzie tytułował jego królewską mością ten za karę, za każdy raz zapłaci luidora. Tymczasem na stronnicy 147 wróżka, przybywająca pod postacią staruszki przełamawszy ten zakaz siedm razy, oświadcza, iż powinna siedm *rubli* zapłacić.

Pomijamy bardzo wiele innych usterek językowych, gdyż i tak dosyć już znaczną przytoczyliśmy ich liczbę; ale chcieliśmy wykazać, jak pomacoszemu traktowaną jest u nas literatura dziecięca. Chromolitografowana okładka książki, bez wątpienia ponętnie na wystawie wygląda; ale obok tego sądzimy, iż należałoby dołożyć więcéj starania w wyborze samego przedmiotu, na którym chcemy kształcić umysł i serce młodego pokolenia, i w jego obrobieniu wykazać więcéj sumienności i pracy.

1) **Podarek dla grzecznych chłopczyków.** 2) **Zabawy po szkole.** Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 3) **Jak psotnikom bywa?** przerobił z francuzkiego R o m a n N o w i n a. Warszawa. Nakład G. Sennewalda. 4) **Lalka Maniusi**, prześliczna książeczka obrazkowa dla grzecznych dziewcząteк. Warszawa. Nakład F. Hösicka.

Są to wydawnictwa obrazkowe, chromolitografowane, z wierszykami objaśniającemi treść tablic. Przedewszystkiém w tych publikacyach uderza brak swojskiego żywiołu. Tekst bowiem po prostu dorobiony został do klisz niemieckich i francuzkich i na tém cała zasługa wydawców polega. Gdyby zresztą obrazki odpowiadały celom pedagogicznym! Ale z wyjątkiem wydawnictw Gebethnera i Wolffa, które przynajmniéj przeciwko nim nie grzeszą, jakże w wysokim stopniu są nie odpowiednie wydawnictwa pp. Sennewalda i Hösicka. Piérwsze z nich: *Jak psotnikom bywa?* choć według tekstu francuzkiego obrobione, opatrzone zostało 16-ma tuzinkowemi, z klisz niemieckich odbitemi obrazkami, które ani pod względem estetycznym, ani co do treści, nie przedstawiają żadnéj strony dodatniéj. Stanowią one, w karykaturach całą galeryą psotników, z ulicznéj sfery, których za płatane figle spotykają kary, wymierzane im przez osoby dorosłe, ale które dają raczéj świadectwo o swém barbarzyństwie, niż poczuciu sprawiedliwości. I tak zaraz, na trzeciéj tablicy widzimy *Antka*, kreślącego węglem figury na świeżo po-

malowanym domu, za co malarz w najstraszniejszy sposób targa go obiéma rękoma za uszy; nie dość na tém: maluje mu twarz i suknie w całości zieloną farbą. To już nie kara, ale nadużycie brutalnéj siły, domagające się nie mniéj surowéj kary. Czy jednak podobny obrazek odejmie dziecku ochotę do psót podobnego rodzaju? Wątpimy. Przedewszystkiém uczy je złośliwości, zaciera poczucie sprawiedliwości i z myślą zemsty oswaja. Na innéj znowu karcie *Wicek* dusi pieska i kotka!!... To już wstrętem i oburzeniem przejmuje. Jakiż więc cel był podobnego wydawnictwa? Nie inny znowu, jak zapełnić noworoczną wystawę.

A cóż dopiéro powiedziéć o owéj *Lalce Maniusi*, przeznaczonéj dla grzecznych dziewcząték.

Biedne dziewczątka, którym na zabawkę przygotowują takie książeczki!

Oto na tytułowéj karcie jedno z nich strojne zbytkownie, według najświeższego żurnalu, stroi stojącą przed nią lalkę przybraną w paradną suknię z ogonem. Na drugiéj taż sama lalka siedzi za stołem, na którym nie zapomniano uzupełnić serwisu i kieliszkiem do wina, a dziewczynka z gracyą podaje jéj lody czy kremy; na trzecim w parku huśta swoję pieszczotkę; na czwartym udziela jéj na pianinie lekcyj muzyki; na innéj znowu prowadzi ją na spacer, wreszcie na ostatniéj wozi czółnem po kanale w ogrodzie. Nie prawdaż, że niewinne zabawki? Tylko dodajemy, że na każdym z sześciu obrazków i lalka i jéj pani występują w coraz innéj, w coraz strojniejszéj i zbytkowniejszéj teoalecie. Zapewne, by w serduszkach naszych dziewcząték zaszczepić cnotę przestawania na małém i nad stroje cel poważniejszy wykazać im w życiu. Że nie zapomniano i o celu moralnym, może posłużyć za dowód samo zakończenie tekstu, objaśniającego tak wiele mówiące obrazki. Otóż z niego dowiadujemy się, że owa dziewczynka z lalką taką prawdą wzbogaca inne dziewczynki: że

Potrzebną jest zabawa
Lecz potrzebniejszą praca.

Wątpimy wszakże, czy dziewczynki posiadające *Lalkę Maniusi*, zamiast w *pracy*, nie zasmakują raczéj w zbytkach, podkopujących materyalnie i moralnie społeczeństwo i do ruiny doprowadzających pojedyncze rodziny.

Roman Plenkiewicz.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Svod zakonuw slowanskych. V Praze 1880 nakladem F. Tempskeho.

W roku bieżącym ukazało się w Pradze Czeskiéj dzieło pod wyżéj przytoczonym napisem, przedstawiające zbiór starych pomników prawodawczych słowiańskich. Przysposobił je do druku Hermenegild Ireczek, doktór prawa, radca wydziałowy w ministeryum oświecenia w Wiedniu, zaszczytnie znany autor historyi prawa czeskiego, a od lat kilku z chwalebną wytrwałością zajmujący się publikacyą dzieła obszernych rozmiarów, noszącego tytuł: *Corpus juris bohemici,* mającego w sobie objąć wszystkie pomniki prawodawcze Czech i Morawii, tak początku słowiańskiego, jako téż niemieckiego. W dokonaniu ogromnéj téj pracy wspiera go dzielnie brat jego Józef, były minister oświecenia austryacki w gabinecie hr. Hohenwarta.

Ogłoszeniu wspomnianego na czele dzieła, zdaje się, przewodniczyła głównie myśl zwrócenia uwagi ziomków swoich na cały świat słowiański i podania im do rąk książki, któraby przy dalszych badaniach nad historyą własnego prawa ułatwiła im możność zajęcia się studiami porównawczemi z prawami i prastaremi urządzeniami współplemiennych narodów. Skorzysta jednak na tém i reszta świata uczonego, dla którego przystęp do tych pomników jeszcze więcéj jest utrudniony.

Myśl podobną, przedstawienia w jednym zbiorze najcenniejszych pomników praw słowiańskich piérwszy powziął Jędrzéj Kucharski, były prof. warszawskiego liceum na Lesznie, i takową w roku 1838 uskutecznił w dziele pod tytułem: *Najdawniejsze pomniki prawodawstwa słowiańskiego.* Do zbioru jego weszła: *Prawda ruska*, *Za-*

konnik Cara Stefana Duszana serbskiego, tak zwane *Prawa ziemi czeskiéj* i *Wykład na prawo ziemskie* Jędrzeja z Dube, wreszcie tak zwane: *erdo judicii terre*, wszystkie trzy pochodzenia czeskiego.

Jak na czas, w którym dzieło to ukazało się, przyznać mu należy niepospolitą wartość, już to jako nowy pomysł, już to jako usiłowanie obznajmienia z pomnikami do owéj pory po większéj części nieogłoszonemi, lub ogłoszonemi (jak Zakonnik) w przeróbce późniejszéj. Miło jest przy téj sposobności wyjawić hołd wdzięczności dla znakomitych podówczas słowiańskich uczonych Pawła Szafarzyka i Wacława Hanki, którzy z niemałym trudem i poświęceniem dostarczyli potrzebnego do tego dzieła materyału.

I filolog i prawnik ze zbioru Kucharskiego odnieśli nie małą korzyść i zachętę do poszukiwań, leżących jeszcze odłogiem. Zaraz zakres pojęć prawno-historycznych znacznie się rozszerzył i poprowadził do wyższych, wznioślejszych poglądów. W tym kierunku postępując W. A. Maciejowski zaskarbił sobie pełne uznanie nasze przez wydobycie i wydawnictwo licznych drobniejszych pomników prawnych zebranych po ziemiach słowiańskich, a między innemi i przez obrobienie w języku ojczystym Zakonu Winodolskiego i Zakonnika Duszana. Pod tym względem tom szósty historyi jego prawodawstw słowiańskich, w którym wszystkie te zabytki pomieszczone zostały, pozostanie na zawsze nieocenionym skarbem dla dalszych badań.

Niechże w tém miejscu wolno téż będzie złożyć podziękowanie panu Ireczkowi, że w przedmowie do nowego dzieła, nie przepomniał o zasługach jakie na polu badań historyczno-prawnych słowiańskich położyli przed innymi Polacy, czego nam zkąd indziej często zaprzeczają, uważając nawet, że pomniki nasze prawodawcze nie wchodzą w zakres słowiańskich zabytków prawnych, dla tego, że są pisane po łacinie. Gdyby pogląd ten był sprawiedliwy, jakżeby obciąć należało historyą praw włoskich, francuzkich, hiszpańskich i niemieckich i w ogóle całego europejskiego świata cywilizowanego?

Jeśli p. Ireczek występuje w zbiorze swoim, z nierównie obfitszym zasobem pomników, aniżeli Kucharski, przypisać to należy niezmordowanéj pracy, z jaką w nowszych czasach, we wszystkich niemal ziemiach słowiańskich, zaczęto się zajmować poszukiwaniem i publikacyą tego rodzaju zabytków.

Sądzimy, że czytelnicy nasi chętnie chwilkę czasu poświęcą, aby się bliżéj obznajmić z całym obfitym zasobem, który w dziele p. Ireczka znalazł pomieszczenie.

W układzie zbioru swego zachowuje on taki porządek: na początku stawia pomniki ruskie, potem Zakonnik serbski, następnie po-

mniki Dubrownika, Zakonniki czarnogórskie, Zakon sławoński z r. 1273 Mateusza bana Slawonii (Matheus banus tocius Sclavoniae), Statut Winodolski i Policki, tak zwane Zakony zadrużne, a ku końcowi pomniki prawne czeskie i polskie.

Między pomnikami ruskiemi zamieszcza wydawca Sudebnik Kazimierza Jagiellończyka dla Litwy i Statut Litewski z r. 1529 Zygmunta Starego. Ścisła metoda historyczna wymagała, aby pomniki te oddzielić od właściwie ruskich i umieścić w oddzielnym ustępie, jako rusko-litewskie prawodawcze zabytki. W rzędzie tych rusko-litewskich pomników niewłaściwie zamieszczono tłómaczenie ruskie Statutu Krakowskiego z r. 1420 Władysława Jagiełły i Statutu Wartskiego z r. 1423, które nigdy na Litwie nie miały mocy obowiązującéj; w tym względzie jednak nasz wydawca o tyle zasługuje na usprawiedliwienie, że wydawcy pomników zachodnio-ruskiego kraju taki przypisali wzmiankowanym Statutom charakter. Szkoda także, że zabytki prawne rusko-litewskie nie są drukowane pisownią zachowywaną w starych pismach i drukach rusko-litewskich.

Bardzo słusznie w rzędzie pomników czarnogórskich pomieszczony został prócz „Zakonnika" księcia Daniela z r. 1855 dawniejszy Zakonnik z r. 1798, ułożony przez pamiętnego metropolitę Piotra Niegusza, władzcę Czarnéj Góry. Oba bowiem te pomniki, jakkolwiek pod względem czasu powstania swego nie mogą stać na równi z pomnikami starożytnemi innych plemion słowiańskich, ale ze względu na swą, że tak powiemy, piérwotność, dokładnie malującą społeczeństwo stawiające piérwsze kroki na drodze cywilizacyjnego rozwoju, w zupełności zasługuje na postawienie ich obok najstarszych tego rodzaju zabytków.

Wdzięczność téż naszą wyznać winniśmy za podanie do powszechniejszéj wiadomości rozporządzeń o zadrugach południowo słowiańskich, gdyż jakkolwiek rozporządzenia te pochodzą z naszych czasów, oparte jednak są na starym gruncie i dostarczają pełne pojęcie o przedmiocie, którego dotyczą.

W oddziale czeskim wydawca pomieścił reprodukcyą Dekretów Brzecisława I z r. 1039, przywileju Niemców pragskich z r. 1178 dotykającego z blizka stosunków prawnych krajowych, a mianowicie też Statutów księcia Ottona I z r. 1229—1237 i Dekretów Seymu czeskiego z r. 1266. Dla dopełnienia oddziału czeskiego, żałujemy, że o nim nie spotykamy się z wykładem Jędrzeja z Dube.

Ostatni oddział jak wspomnieliśmy obejmuje pomniki prawne polskie, a mianowicie Statuta Kazimierza W. i bardzo słusznie Statut Krakowsko-Wartski.

Trudność do rozwiązania, jaka się przedstawiała w reprodukcyi Statutów Kazimierza, została przez naszego wydawcę szczęśliwie rozwiązaną. Chodziło o zdecydowanie, jaki ze znanych obecnie tekstów wybrać za podstawę druku. Z jednéj strony stała urzędowa wulgata, z drugiéj nowe krytyczne opracowania, przeciw przyjęciu wulgaty mówiły nowsze badania, które w przekonywujący sposób wykazały, że oryginalne Statuta Kazimierza miały inną zupełnie postać w układzie swoim, jak ta, w któréj występowały w wulgacie. Nie podlega bowiem najprzód żadnéj wątpliwości, że istniał zupełnie oddzielny Statut Wielkopolski (Piotrkowski), którego ślady w wulgacie zatarte zostały, nie mniéj okazało się prawie pewném, że i ta część Statutów, która pozostawała po za obrębem Statutu Wielkopolskiego, nie taką była w składzie swoim, jak ją wulgata przedstawiała. Lecz nie dość było usunąć na bok wulgatę, bo powstawało znowu pytanie co daléj robić? Zrazu zdawać się mogło, że nie pozostaje nic innego, jak pójść za jednym z dwóch krytycznych wydawców Statutów, to jest, albo za Bandtkiem albo za Helclem. Ale i tu wybór do zrobienia był niepodobny. Bandtkie, przedrukowując rękopis B. IV., dał tylko część oryginalnego Ustawodawstwa Wiślickiego, a restytucya jego Statutu Wielkopolskiego była widocznie tylko hipotetyczną. Praca więc Bandtkiego musiała być także z oczów spuszczoną. Pozostawało rozłożenie legislacyi oryginalnéj Kazimirzowskiéj na cztery Statuta zaproponowane przez Helcla. Mimo pozornéj trafności téj hipotezy, wydawca wielce zasadnie uznał, że nie może mu ona posłużyć za materyał do reprodukcyi, gdyż nie jest opartą na żadnéj rękopiśmiennéj powadze, lecz że jest tworem kombinacyj, wymagających jeszcze gruntowniejszego zbadania. W tém położeniu obrał sobie nasz wydawca najwłaściwszy sposób wyjścia z trudności, to jest postanowił obejrzéć się, czy nie istnieją rękopisy prócz znanych dawniejszym wydawcom, które legislacyą Kazimierza przedstawiają w formie więcéj zbliżonéj do ich oryginalnéj postaci. W istocie rękopisów tych pokazało się w ostatnich czasach dwa, jeden Królewiecki, drugi zachowany w bibliotece klasztornéj św. Floryana w Wyższéj Austryi. Rękopisy te zalecają się głównie tém, że przedstawiają Statuta Wielkopolskie w pełnéj ich postaci, oddzielone od reszty ustawodawstwa Kazimierza, to jest od Statutu Wiślickiego. W tém położeniu zdecydował się p. Ireczek na przedruk jednego z tych rękopisów, a mianowicie na przedrukowanie rękopisu floryańskiego, którego komunikacyą z miejsca jego teraźniejszego zachowania łatwo mógł otrzymać.

Witamy wydanie to z prawdziwém ukontentowaniem. Mamy bowiem tym sposobem dwa cenne wydania, jedno Bandtkiego ręko-

pisu znanego pod signaturą B. IV., a obecnie drugie całego rękopisu floryańskiego. Piérwsze pokazuje nam Statut Wiślicki w jego pierwiastkowéj formie, drugie przedstawia, jak dopiéro co wspomnieliśmy, Statut pełny Wielkopolski. Za pomocą tych publikacyj łatwiéj nam już teraz przystąpić do gruntowniejszych badań nad legislacyą Kazimierza.

Ponieważ jednak sami mieliśmy sposobność mieć rękopis floryański kilka razy w naszym ręku i dość starannie go rozpoznać, pozwalamy sobie zrobić kilka uwag nad jego wydaniem.

Rękopis floryański po Statucie Wielkopolskim mieści w sobie subskrypcyą poczynającą od słów: *Expliciunt statuta* i t. d., na końcu zaś téj subskrypcyi słowa: *finita anno M. CCCC. L-mo tercio etc.* (skończone roku tysiąc czterysta pięćdziesiątego trzeciego). Słowa te i data niewątpliwie oznaczają nie co innego jak że przepisanie statutów powyżéj umieszczonych ukończone zostało w r. 1453. Tymczasem w przedmowie do wydawcy zamiast roku tego podany jest rok 1343. Omyłkę tę dla tego w tém miejscu podnieść należy, że ponieważ subskrypcya stoi pod Statutem Wielkopolskim, co zresztą z jéj osnowy wyraźnie wynika (1), przeto mogłaby dać powód do mniemania, że Statut Wielkopolski w r. 1343 publikowany został.

W samym tekście Statutu znajdują się także odstąpienia, choć nieliczne, od tekstu floryańskiego. Wydawca bowiem znalazłszy w rękopisie niejakie wątpliwości w porównaniu z redakcyą przyjętą przez Helcla, uważał za właściwe tekst rękopisu do redakcyi téj zastosować. Jako przykład tych zmian przytaczamy art. b. W artykule tym oryginalnym znajduje się przepis stanowiący: że kto na dworze królewskim lub na dworze rycerza skradnie małe przedmioty (*res minutas* albo wprost tylko *minutas*), wystawia się na karę ucięcia ucha. Tak przepis ten podają najcenniejsze rękopisy i rękopis floryański. W przepisie tym nie ma nic rażącego. Znane są średniowieczne prawa, które karzą kradzież ucięciem różnych członków winowajcy. Helcel wziąwszy za podstawę rękopisa zepsute, które zamieniły wyraz *minutas* na *manicas* (rękawiczka) i zamiast: *substraxerit*, zaczęły pisać *detraxerit*, twierdzi, że w artykule tym, nie mówi się o kradzieży drobnych przedmiotów, ale o ściągnięciu czyli raczéj o rzuceniu rękawicy, albo mającego znaczyć wyzwanie na pojedy-

(1) Cała Subskrypcya jest taką: *Expliciant Statuta constituta per Regem Kasimirum Polonie de consensu venerabilis domini Jaroslai sancte gneznensis Ecclesie Archiepiscopi ac prelatorum, nec non Palatinorum ceterorumque baronum et nobilium nostrum de terra Polonie* (t. j. Wielkopolski) *finita* i t. d., jak wyżéj.

nek. Wydawca nasz poszedł za hipotezą Helcla i w wydaniu swojém zmienił redakcyą floryańską.

Odstąpienia podobne od tekstu rękopisu, który się wydaje, bez omówienia ich w przypisku, mogą zachwiać wiarę w rzetelności przedruku.

W końcu robimy jeszcze jednę uwagę. W reprodukcyi Statutu Wielkopolskiego znajdujemy po dwa razy wydrukowane art. 18, 35 i 36, raz podług redakcyi rękopisu floryańskiego, drugi raz podług tekstu naszéj dawnéj wulgaty, reprodukowanego przez Helcla w jego tak zwanym Zwodzie głównym. Nie umiemy sobie wytłómaczyć, co wydawcę skłoniło do zamieszczenia obok tekstu oryginalnego Statutu Wielkopolskiego, jego późniejszych przeróbek, boć wiadomo, że przeróbki te pokazały się dopiéro po Statutach Wartskich. Kto tego nie wié, a weźmie do rąk wydanie, o któréın mówimy, może być postawiony w niepewności, co znaczą dwa teksta różniące się, a nawet może być naprowadzony na myśl, że tekst floryański, jako zepsuty, ustąpić powinien miejsca drugiemu, który należy uważać za poprawniejszy. Zresztą, jeśli wydawca podwójne podał redakcye tych artykułów, wypadało i wszystkie inne artykuły Wielkopolskie, których redakcya w wulgacie jest odmienna, dwa razy drukować.

Są to jednak wszystko nader małe usterki, które w ogóle zasłudze podjętéj i z niemałym mozołem dokonanéj pracy, bynajmniéj nie ubliżają; wytknęliśmy je jedynie dla tego, aby pokazać wydawcy, jak troskliwie zajmujemy się rozważaniem wszystkiego co z ręki jego wychodzi i jak miło nam jest oddać hołd niezmordowanéj jego naukowéj działalności.

Pisano w Październiku r. 1880.

R.

Mózg i jego czynności przez I. Luysa lekarza w szpitalu Salpetrière. Przełożył dr Teodor Dunin, asystent kliniki terapeutycznéj. Warszawa 1879. Spółka nakładowa, Chmielna Nr 8.

W celu zaznajomienia czytelników z budową mikroskopową i najważniejszemi czynnościami mózgu, autor (lekarz psychiatra) zebrał własne i poprzedników spostrzeżenia nad budową mózgu i przedstawił w sposób przystępny i zajmujący, wyjaśniając zarazem własności fizyologiczne komórek i tkanek nerwowych, oraz tłómacząc najzawilsze nawet czynności mózgu.

Zgodnie z nakreślonym celem podzielił pracę swoję na *przedmowę* i *trzy części*, z których każda rozpada się na mniejsze poddziały,

a mianowicie: *druga* część i *trzecia* dzieli się na księgi, a następnie na rozdziały, *piérwsza* zaś wprost na rozdziały.

Przedmowa zawiéra streszczenie całéj pracy, dokonane przez samego autora, dla łatwiejszego wykazania o ile badania jego przyczyniły się do rozjaśnienia ciemnych punktów w budowie i fizyologii mózgu.

W części piérwszéj mówi autor o *budowie mózgu*, czyli anatomii i histologii tego organu. Anatomia jest opisana pobieżnie, *histologia* (budowa mikroskopowa) zaś szczegółowo, przy pomocy cienkich skrawków, systematycznie przyrządzanych z mózgu stwardniałego w kwasie chromnym. Ze skrawków umiejętnie przygotowanych, zdejmował autor wizerunki fotograficzne i tym sposobem otrzymał rysunki różnych warstw półkul mózgowych, o ile można dokładne i prawdziwe, z zachowaniem naturalnych stosunków.

Kolejno opisuje autor budowę mikroskopową czterech najważniejszych części składowych mózgu, to jest: *substancyi szaréj* albo *korowéj*, *sub. białéj*, *wzgórków wzrokowych* i *ciał prążkowanych*.

Najobszerniéj opisana jest *substancya szara*, przy któréj autor zwraca uwagę na powierzchnię zewnętrzną mózgu, na *zawoje mózgu*, rozpatrując ich wielkość, kolor i zmiany zachodzące z wiekiem. Przechodzi daléj do budowy komórek nerwowych i całéj substancyi szaréj, złożonéj z kilkunastu warstw komórek piramidalnego kształtu, ułożonych prawidłowo w równoległe rzędy i połączonych z sobą siatką, która znajduje się w związku z włóknami nerwowemi. Komórki posiadają niejednakową wielkość, najmniejsze zajmują warstwy powierzchowne, największe zaś warstwy głębokie substancyi szaréj; pomiędzy temi dwoma rodzajami komórek, istnieje trzeci rodzaj *pośrednich*, przejściowych od drobnych do wielkich. Komórki wierzchołkami swemi, według autora, zwracają się ku warstwom powierzchownym mózgu, podstawami zaś ułożone równolegle do siebie. Z wnętrza komórek wychodzą cieniutkie wypustki, któremi łączą się w prawidłową i nieprzerwaną siatkę o cząstkach zdolnych drgać jednocześnie. Autor zwrócił daléj uwagę na tkankę łączną *neuroglią*, któréj znaczenie podnosi bardzo.

Istota biała mózgu dosyć starannie opisana, albowiem oprócz budowy włókien nerwowych, opis zawiera kierunek przebiegu ich i rozgatunkowanie na: *włókna jednoczące*, które łączą elementy jednéj połowy mózgu z drugą i warunkują jedność działań obydwóch półkul, i *włókna zbieżne*, łączące komórki substancyi korowéj z jądrami mózgowemi *(wzgórkami wzrokowemi i ciałami prążkowanemi)* i rozchodzące się na podobieństwo promieni koła.

Budowa wzgórków wzrokowych najprzód ogólna, a następnie szczegółowa, zajmuje z kolei autora, który wykazuje, we wzgórkach wzrokowych *4-y odosobnione jądra* (dotąd przyjmowano trzy tylko), idące w następującym porządku: *jądro piérwsze wzrokowe*, *drugie średnie*, najwyraźniejsze u człowieka, *trzecie jądro środkowe* (*„nogan median“)*, wielkość ziarnka grochu, koloru białego, które autor wykrył i uważa za jądro *dotykowe*, *czwarte tylne* albo *słuchowe*. Nadto do składu *wzgórków wzrokowych* wchodzą *dwa pasemka substancyi szaréj*, zostające w związku z siatką substancyi szaréj i rdzenia kręgowego.

Opis ciała prążkowanego zawiera kształt, budowę ogólną i mikroskopową, w któréj autor zwraca uwagę szczególniéj na *komórki duże*, odpowiadające komórkom wielkim substancyi szaréj mózgu i *komórki małe* odpowiadające komórkom głębokich warstw zawojów móżdżku. Daléj następują *włókna dochodzące*, które łączą substancyą *szarą* mózgu i móżdżku z ciałem prążkowaném i *włókna odchodzące*, przebiegające przez rdzeń przedłużony do rdzenia kręgowego.

Oddzielny rozdział poświęca autor wnioskom fizyologicznym, odnoszącym się do budowy różnych oddziałów mózgu.

Według autora, substancya korowa mózgu jest to aparat zbudowany z mnóstwa komórek, ułożonych warstwami, ściśle złączonych razem, posiadających jednak odrębną indywidualność. Taka budowa substancyi korowéj mózgu, naprowadza na myśl, że czynności każdéj warstwy mogą być osobno obudzone, mogą łączyć się z sobą a nawet zmieniać przez współudział innych; zatém czynności nerwowe mogą się rozchodzić powoli, na podobieństwo fal drgających. Rozmaitym warstwom można przypisywać odrębne przeznaczenia, a mianowicie: warstwy powierzchowne złożone z małych komórek są w związku ze zjawiskami *czuciowemi*, tym czasem warstwy głębokie, utworzone z dużych komórek, przeznaczone są dla dowolnych *pobudzeń ruchowych.*

Przypuszczenia powyższe, opiera autor na podobieństwie budowy substancyi szaréj mózgu z substancyą *szarą rdzenia kręgowego*, którego *przednie rogi substancyi szaréj* (ruchowe) posiadają komórki *wielkie*, *tylne zaś* (czuciowe) złożone są z komórek małych.

Jednóm słowem, mózg według autora jest to przyrząd *czuciowo-ruchowy*, podobnie zbudowany jak *rdzeń kręgowy*, który dopomaga do powstania i przemiany zjawisk czuciowych na ruchowe.

Włókna istoty białéj mózgu są prawdziwemi przyrządami łączącemi komórki różnych okolic i tworzącemi drogi naturalne, przez które jednoczą się czynności nerwowe, roznoszą i przynoszą wrażenia od warstw powierzchownych do głębokich i od jednej półkuli do drugiéj. *W jądrach wzgórka wzrokowego*, w odosobnionych niejako

ogniskach, zbierają się i „zgęszczają“ wszystkie wrażenia czuciowe organizmu. *Przednie jądro* zostaje w bezpośrednim związku z *wrażeniami węchowemi* i służy dla nich za punkt skupienia wprzód, nim się rozejdą w substancyi korowéj. *Jądro średnie* przeznaczone do „zgęszczania“ wrażeń wzrokowych, *jądro środkowe* (median) „skupia w sobie“ *wrażenia dotykowe*, tylne zaś wrażenia *słuchowe*. W ogóle wrażenia zmysłowe posiadają w mózgu oddzielne przyrządy, ułożone w tymsamym, względem siebie porządku, w jakim następują obwodowe ich zakończenia.

Wzgórki wzrokowe mają być *jedynemi wrotami* otwartemi dla zewnętrznych pobudzeń, jedynemi drogami, łączącemi duchowe czynności ze światem zewnętrznym. Przez siatkę komórek, składających te organy, przechodzą wszystkie podrażnienia *świata zewnętrznego*, rozpraszają się w pośród komórek, zatrzymują na chwilę i w *nowéj postaci*, oczyszczone, *przeistoczone* i *uduchownione*, rozchodzą się w różnych kierunkach, w komórkach substancyi szaréj, utrzymując je przy życiu i w ciągłéj pracy.

Ciało prążkowane, uważa autor za aparat nerwowy, służący do spełniania kilku czynności, za wspólny grunt, na którym stykają się, a nawet jednoczą działania mózgu, móżdżku i rdzenia kręgowego. Wewnątrz elementów ciała prążkowanego, zatrzymują się pobudzenia woli, wychodzące z substancyi szaréj *mózgu* „materyalizują się,“ wzmacniają i jednoczą się coraz bardziéj z organizmem, aby następnie rozproszyć się w kierunku rdzenia kręgowego i wprowadzić w ruch przyrząd mięśniowy.

Tym sposobem, wszystkie wrażenia zmysłów dochodzą do siatki komórek istoty korowéj, zmieniają się przez działanie przyrządów *pośrednich*, znajdujących się na drodze, czyli *jąder wzgórków wzrokowych* w istocie korowéj pozornie rozpraszają się i nikną, aby odżyć w nowéj formie, to jest, w postaci *sił duchowych*, *pobudzeń woli*, *stałych wrażeń i idei*, a następnie po wydaleniu i zwróceniu na zewnątrz, zamieniają się na *ruch dowolny*, będący wyrażeniem pierwotnego zjawiska czucia.

W następnych rozdziałach części piérwszéj, spotykamy *fizyczne* i *chemiczne zjawiska*, towarzyszące czynnościom mózgowym. Właściwie, jest to wyjaśnienie odżywiania komórek mózgowych przez krew i zjawisk ztąd wypływających. Krew dostarcza pożywienia i podniety dla komórek mózgu; przy pracy umysłowéj zużywają się różne części składowe mózgu, a mianowicie fosfór, który wydziela się z organizmu w formie związków dość złożonych. Wypoczynek komórek nerwowych, objawiający się snem, następuje w skutek zmniejszonéj ilości krwi, dopływającéj do mózgu; wyczerpania zapasu nagro-

madzonych sił w komórkach. Ciekawe obserwacye nad podwyższeniem ciepłoty różnych okolic mózgu, podczas pracy umysłowéj a zmniejszenie w czasie spoczynku władz umysłowych, kończą część pierwszą pracy.

W drugiéj części wyjaśnia autor ogólne życiowe własności *elementów nerwowych*, będące zasadniczemi pierwiastkami, które dają się odszukać, w każdéj, choćby, najbardziéj złożonéj czynności mózgowéj. Zasadnicze te własności sprowadza autor do trzech: 1) *Pobudzalności* albo *wrażliwości*; 2) *Fosforescencyi organicznéj*; 3) *Automatyzmu*. Przy pomocy *pobudzalności*, komórka nerwowa odczuwa zewnętrzne wrażenia i wchodzi w stosunki z otaczającym światem.

Fosforescencya organiczna polega na tém, że komórki przez pewien czas mogą przechowywać ślady podrażnienia, które pobudziło je do działania i tym sposobem mogą zgromadzać w sobie samych wspomnienia otrzymanych pobudzeń.

Automatyzm wyraża samodzielne oddziaływanie komórki żyjącéj, która sama w ruch się wprawia i bezwiednie, automatycznie wyraża rozmaite stany swéj pobudzonéj wrażliwości, czyli jest to zdolność komórki oddziaływania na pobudzenia świata otaczającego.

Każdą z powyższych elementarnych własności komórek nerwowych, rozważa autor w chwili powstawania i rozwoju w organizmie, o normalnych objawach i zboczeniach patologicznych, utrzymując, że dzięki połączeniom całéj działalności zsumowaniu własnych sił, mózg czuje, przypomina sobie i działa. Własności te mają być jedynemi siłami żywemi, zawsze obecnemi w mózgu, bez których mózg byłby pozbawiony życia i ruchu.

Na powyższych własnościach opierając się, autor snuje wyjaśnienia wszystkich najzawilszych nawet czynności mózgu, jak powstawanie i rozwój samowiedzy, czucia moralnego, geneza, rozwój i doskonalenie się pamięci, rozsądku i tp.

Część trzecia dziełka mająca tytuł „rozwój czynności mózgu" zawiera rozbiór różnych składników czynności mózgowéj działających razem i stwarzających rozmaite objawy życia umysłowego. W téj części czytelnik znajduje wytłómaczenie, że wszystkie przejawy czynności mózgowéj, zarówno życia uczuciowego jak i umysłowego, a także i czynności, siedlisko swe w rdzeniu *kręgowym* („odruchy") mające, można rozłożyć na trzy składowe części czyli okresy:

1) *Okres podrażnienia* czyli chwila, kiedy pobudzenia zewnętrzne dostają się do mózgu i tam są odczute. Od tego okresu za-

leży uwaga, rozwój pojęcia samowiedzy i świadome odbieranie wrażeń.

2) *Okres pośredni* podczas którego, komórki podrażnione wchodzą w ścisły stosunek z wrażeniem zewnętrznėm, zamienionėm na pobudzenie psycho-intelektualne. Z tym okresem zostają w ścisłym związku: rozwój i przemiana wrażeń zmysłowych, rozproszonych w sferze psycho-intelektualnėj, sąd o rzeczach, rozsądek i tp.

3) *Okres zwrotny* następuje po przejściu piérwotnych pobudzeń, przez siatkę substancyi szarėj, kiedy te pobudzenia wydostają się jako ruch na zewnątrz i zdradzają rozmaity stan mózgu. Do tego okresu odnosi autor genezę i rozwój objawów ruchowych, od woli zależących.

W dziełku tu rozpatrywaném razi zbyteczne przecenianie własnych odkryć i zdobyczy na polu histologii i fizyologii przez autora. Metoda badania, przezeń użyta, należy bez zaprzeczenia do najlepszych, posługują się nią uczeni histologowie całego świata, autor jednak przypisuje sobie wynalazek i piérwsze rozpowszechnienie téj metody, którą jednak stosowali uczeni w innych krajach, a mianowicie niemieccy, na kilka lat przed ukazaniem się pracy autora.

Budowę mikroskopową mózgu, autor umiejętnie podał w formie przystępnėj i jasnėj, z całą téż łatwością i przyjemnością czytelnik zapoznaje się nawet ze szczegółami histologicznemi. W skutek zbyt plastycznego przedstawienia budowy histologicznėj, rysunki wyjaśniające układ pojedyńczych komórek i tkanek nerwowych są tylko szematem i tym sposobem nie dają nawet przybliżonego pojęcia o naturalnych komórkach i tkankach. Wiele ciekawych kwestyj porusza i pod pewnemi względami rozjaśnia autor w 2-éj i 3-éj części swéj pracy. Stara się wytłómaczyć przystępnie na gruncie czysto fizyologicznym, najzawilsze nawet czynności mózgu fizyologiczno-psychologiczne, jak pamięć, samowiedzę, rozsądek i t. p. Czynności te autor przedstawia jako ruch nieprzerwany, lecz tylko zmieniony; świat zewnętrzny za pomocą zmysłów dostaje się do wnętrza naszéj istoty a zmieniony skutkiem zetknięcia się z przyrządami nerwowemi, wychodzi z organizmu i w ruchach dowolnych się objawia.

Zajmująco opisany jest przebieg powstań fizyologicznych, odbywających się w mózgu, zręcznie uporządkowany przebieg czynności mózgowych, znać w całéj pracy wydoskonalony dar obserwacyjny. Trafnie dostrzeżone są trzy fazy w czynnościach mózgu, moment *czuciowy*, *zatrzymanie wrażeń przez dłuższy czas* (fosforescencya organiczna) i moment *ruchowy*.

Przeciwko nadaniu nazwy *fosforescencyi organicznéj*, własności tkanek mózgowych zatrzymywania wrażeń, przyjętych od świata zewnętrznego, można zrobić ten zarzut, że fosforescencya wywołana przez jaki czynnik trwać może tylko pewien, dość krótki przeciąg czasu, gdy wrażenia przyjęte od świata zewnętrznego mogą niekiedy trwać długie lata a nawet pozostają na całe życie. Fosforescencya jest niejako zatrzymaniem ruchu przez krótki czas, gdy w mózgu ruch nie zatrzymuje się wprost, lecz zamienia się na całkiem inny.

Wyjaśnienia różnych złożonych czynności mózgu (fizyologiczno-psychologiczny), podawane przez autora, właściwie są tylko zaobserwowanemi zjawiskami, z punktu wrażenia fizyologicznego. Ostatecznego wyjaśnienia czynności mózgu, tak dokładnego, jak jest znane wyjaśnienie czynności krążenia krwi lub trawienia, autor nie podaje, chociaż mówi w przedmowie (str. 6), że istnieje od dzisiaj prawdziwa fizyologia mózgu, tak gruntowna i dokładna jak istniejąca fizyologia serca, płuc lub przyrządu mięśniowego.

Częste powtarzanie jednéj i téj saméj kwestyi w rozmaitych rozdziałach odmiennie zatytułowanych czyni pracę w niektórych miejscach bezpotrzebnie rozwlekłą i zaciemnia ją zamiast rozjaśnić. Zbyt liczne poddziały książki nużą umysł czytelnika i utrudniają objęcie planu całego dzieła oraz śledzenie przewodniéj myśli autora.

Zdarza się, że niektóre kwestye powtarzają się w przedmowie, przy budowie histologicznéj w rozdziale poświęconym fizyologicznéj czynności mózgu; albo znów w części 2-éj i 3-éj pracy, szczególniéj powtarza się to z samowiedzą i rozsądkiem.

Tłómaczenie dość staranne, dokonane językiem poprawnym. Wkradły się jednak tutaj pewne niedokładności, n. p. pręciki berberysu, nazywa tłómacz *listkami*, co zmienia znaczenie, bo tylko pręciki w kwiecie *berberysu* zbiżają się do słupka, gdy są zakłóte przy podstawie. *Rogi substancyi szaréj* rdzenia kręgowego, nazywa tłómacz *słupami*; *wrażenia dotykowe*, nazywa *dotykalnemi* i t. p.

W każdym razie „Mózg i jego czynności,“ chociaż nie odznacza się ścisłością i dobrze obmyślanym planem, należy do prac bardzo interesujących i pięknym językiem napisanych, które z korzyścią można przeczytać.

Antoni Slósarski.

Dzieje Polski w zarysie. Dla klas wyższych szkół średnich, seminaryów nauczycielskich i prywatnych zakładów naukowych ułożył Lucyan Tatomir we Lwowie, nakładem autora, 1879. 8 str. 33o i VII.

Od podręcznika historycznego wymagać należy słusznie: 1) pedagogicznéj sumy materyału, 2) uwzględnienia ostatnich badań, 3) odpowiedniego układu zawartéj treści. Zbytek faktów historycznych w młodzieńczym mózgu wytwarza chaos i ku przedmiotowi obudza niechęć; do tegoż chaosu i zniechęcenia doprowadza również zły układ; nieuwzględnienie zaś najnowszych poszukiwań nadaje podręcznikowi charakter zbiorowiska bajecznych powiastek, któremi nikogo, a témbardziéj młodzieży obciążać nie wolno.

Podręcznik historyczny te tylko powinien zaznaczyć fakty, które cywilizacyjne mają znaczenie i bez których niemożliwémby było odtworzenie tła czasu; tyle tylko podręcznik powinien przytoczyć zjawisk, ile jasne przedstawienie rozwoju narodu i państwa wymaga niezbędnie. Że omawiany rozwój tylko przez oko najnowszych badań spostrzeżony być może najjaśniéj,—słusznêm jest przeto najświeższe rezultaty naukowe uwzględniać, a nawet, w braku pewników i hipotezami fachowców nie gardzić. Od ugrupowania treści zależy jasność przedmiotu, wyrazistość celów, którym ma służyć, a więc zrozumienia i przyswojenia téj treści łatwość mniejsza lub większa. Że kronikarskie zestawienie najróżnorodniejszych faktów w ich chronologicznym porządku do przedmiotu wprowadza zamęt i oryentowanie się w masie luźnych szczegółów utrudnia, wypada przeto, aby pisarz-pedagog zjawiska pokrewne połączył w grupy, pomiędzy ostatniemi spójnię wynalazł i w taki sposób z pojedyńczych obrazów, nawiązanych na nić logiczną, całość rzeczy przedstawił plastycznie.

Nigdy się u nas nie dawał tak dotkliwie uczuć brak podręcznika do historyi ojczystéj, jak dzisiaj. Dla wieku XVII wystarczał Pastorius'a *Florus polonicus*, wiek XVIII miał Wagę; ostatnie dwie ćwierci bieżącego stulecia miały, oprócz innych, Lelewela książkę wyborną, choć szczupłą; obecnie żadnego literalnie nie posiadamy krótkiego podręcznika szkolnego, któryby w takim stopniu odpowiadał wymaganiom pedagogicznym i dzisiejszemu stanowisku nauki, w jakim pierwszym i współczesnemu sobie drugiemu odpowiadały wspomniane. Nie mający pojęcia ani o nauczaniu, ani o nauce, biorą się dzisiaj do pisania książek podręcznych; nic więc dziwnego, że *Dzieje Polski do r. 1772*, ogłoszone w roku ubiegłym, zapowiadają w przedmowie, iż zawierają w sobie, „jak największą ilość faktów i dat bez poglądów, nie mających w książce, przeznaczonéj dla na-

uki racyi bytu"; nic też dziwnego, że wedle owego kompendium historya każdego narodu jest niczém więcéj, jak dziejami zatargów i wojen.

Pan Lucyan Tatomir jeszcze w r. 1866 *Dzieje Polski potocznym sposobem opowiedział* do zgonu Kazimierza W-go, w r. 1872 ogłosił tomu drugiego część pierwszą do zgonu Aleksandra; kontynuowanéj jednak roboty nie skończył i w roku ubiegłym nowy zupełnie w skromniejszych rozmiarach wydał podręcznik. Jestto, jak sam autor zapowiada w przedmowie, „wyciąg z Dziejów Polski J. Szujskiego i z dziejów narodu polskiego Teodora Morawskiego", przyczém miał korzystać z Bandtkiego, Szajnochy, Jarochowskiego, Liskiego, Schmitta, Kalinki i innych.

Fatkycznie książka p. Tatomira jest skrótem pracy Szujskiego; że ostatnia, ogłoszona pomiędzy rokiem 1862 i 1866, w pierwszych trzech tomach słabą jest bardzo i o rezultatach nauki dzisiejszéj wiedziéć nie mogła, naturalną przeto jest rzeczą, że i skrót p. Tatomira w punkcie uwzględnienia ostatnich badań do życzenia zostawia wiele. Z powodu ignorowania prac Bobrzyńskiego i Hubego, który na proces wewnętrzny Polski do XVI wieku światła rzucili niemało, podręcznik p. Tatomira nie mógł należycie przedstawić stosunków prawnych w XIII, XIV i XV stuleciu, wyświetlić pozycyi stanów, ani wykazać wytwarzania się szlacheckiego parlamentaryzmu, który w dziejach XV wieku sprawą jest główną. Wprawdzie dotknął autor stosunków wewnętrznych za Bolesława Chrobrego (§ 26); powiedział nieco o nieograniczonéj władzy poprzedników Władysława II (§ 39); wyłożył kolonizacyą niemiecką (§ 49) i inne sprawy potrącił; wszystko to jednak niedostatecznie, zdaniem naszém, uczynił. Stosunki np. wewnętrzne w XIII wieku organicznie należało wyłożyć: powiedziéć o księciu, duchowieństwie, możnowładztwie, mieszczaństwie, kmieciach, o władzach rządowych i wytłómaczyć przewrót, jakiego społeczeństwo we wszystkich stosunkach życia dokonało w téj dobie. Wykład ustawodawstwa Kazimierza W-go (§ 66) nie naucza niczego, skoro autor nie przedstawił treści statutów, nie wykazał różnic w prawie zwyczajowém naczelnych prowincyj i nie wytłómaczył potrzeby zlewku statutów dzielnicowych w zwód jeden.

Chociaż autor na czele drugiéj części swéj książki położył napis: „gminowładztwo szlacheckie wyrabia się i ustala" (str. 95), wyrabiania się jednak owego i ustalania dopatrzéć trudno. Nie znajdujemy wyszczególnionych wszystkich przywilejów, jakie szlachta zdobyła za Władysława Jagiełły; pominięto ustawodawstwo nieszawskie, a doniosłość statutu piotrkowskiego i ustalenie się parlamentaryzmu za króla Aleksandra zaakcentowano niedostatecznie i ciemno. O kon-

stytucyi polskiéj od XVI do XVIII stulecia, z wyjątkiem luźnych tu i owdzie rzuconych uwag, jak np. o trybunałach w § 111, podręcznik milczy, a należało przecież wewnętrzną budową rzeczypospolitéj należycie przedstawić i usiłowania XVIII wieku, ku naprawie państwowego organizmu podjęte, wskazać dokładnie. Przyznać należy, że p. Tatomir czuje potrzebę uwzględniania przy wykładzie historyi stosunków wewnętrznych: ale gdy chce uczynić zadość téj potrzebie—zwykle mu się nie powodzi.

Nie uwzględnił autor ostatnich badań w przedmiocie stosunków wewnętrznych i materyału, rzucającego światło na rozwój, podał za mało; szczegółami zaś, któreby bez szwanku dla nauki najwygodniéj można pominąć, przeciążył książkę zbytecznie. Kongresowi wiedeńskiemu z r. 1515 poświęcał cały 93 paragraf; policzył orszak Zygmunta, wymienił prałatów i panów; oznaczył dzień wjazdu do Wiednia, zaakcentował igrzyska, gonitwy, tańce i uczty; skrupulatnie oznaczył czas trwania festynów i dzień ślubu (zapewne zaręczyn) księżniczki Anny z cesarzem; w końcu zacytował autora, z którego wyjął te szczególiki. Po co to wszystko? Na co się przyda w podręczniku oznaczenie dnia koronacyi Barbary (§ 101), dnia zjazdu w Kaskach (§ 107)? Jaką korzyść przyniosą drobiazgowe opisy wojen, koligacyi i t. p. szczegółów? Tém słuszniéj drobiazgowość podobną mamy prawo p. Tatomirowi zarzucić, że spraw najdonioślejszego znaczenia nie dotknął lub nie wyjaśnił rzetelnie. Mamy szczegółowy opis bitwy grunwaldzkiéj (str. 109), a nie możemy znaléść Hussytów; czytamy wiersze Kochanowskiego o wojnie moskiewskiéj (str. 171); z najdrobniejszemi szczegółami, bo nawet z dyalogami rycerzów maluje autor klęskę cecorską (str. 190), a o przyczynach reformacyi w Polsce jak grób zamilknął. Wié o dniu zawarcia pokoju nad jeziorem Melnem w r. 1422, a zapomniał o charakterystycznéj awanturze czerwińskiéj, która znalazła naśladowców w r. 1454 i późniéj.

Obok niepohamowanéj gadatliwości w sprawach mniéj ważnych, a milczenia w doniosłych, błędów faktycznych, sprzeczności i rzeczy niejasnych znajdujemy moc wielką. Czyż pierwsza o słowianach wiadomość znajduje się dopiéro w dziejach wieku VI (str. 2)? Skądto wié autor, że Mieczysław I odziedziczył państwo, oparte o Wagę i Cissę (str. 16), że z części tylko kraju Ottonowi hołdował (str. 20), że Ruś odróżniła się zaraz w początkach wyznaniem, a tém samém (?) i całą cywilizacyą swoją od Polski (str. 24)? Nie umié autor odróżnić wyznania od obrządku, zapomina o czasie rozdziału kościoła na zachodni i wschodni i biskupowi Rejnbernowi niewłaściwą na Rusi powierza misyą (str. 32). Niepewną datę koronacyi Chrobrego ustala (str. 35) i o zakwestyonowaném przez naukę psiém polu prawi sze-

roko (str. 44), a tymczasem żadnemu z synów Krzywoustego nie dał Pomorza (str. 46), w XIV wieku żadnéj podobnéj do akademii krakowskiéj ani w Niemczech, ani w słowiańszczyznie nie widzi szkoły (str. 89). Do ziem, odzyskanych traktatem toruńskim z r. 1466, dołączyć należało województwo pomorskie z Warmją (str. 118); statut piotrkowski wydany został w r. 1496, nie w 1494 (str. 123) i wbrew autorowi niezupełnie był dążnościom Olbrachta przeciwny, jakto umiejętnie p. Bobrzyński w „Ateneum" z r. 1876 wykazał.

Niepodobieństwem jest wyliczenie wszystkich błędów, jakie p. Tatomir w książce swojéj zgromadził; zwrócimy tylko jeszcze uwagę, że w tém co rzeczono (str. 5) o dogmatach religijnych pierwotnych słowian, brak składu; że trudno zrozumiéć, dla czego w obec wynoszenia się rycerstwa za pierwszych Piastów kmieć prawo obywatelstwa utraca, skoro i on, jak to przyznaje autor (§ 26), z całym narodem pełnił służbę wojenną. Mówi autor o zbrojném przybyciu Fryderyka ku poparciu wyboru Olbrachta (§ 85), lecz miejsca akcyi nie wskazał; wie p. Tatomir o dniu koronacyi Olbrachta, a zapomniał o nazwisku arcybiskupa, który w tym wypadku i podczas bezkrólewia rolę odgrywał nie małą.

W kwestyi układu p. Tatomir w r. 1866 w przedmowie do dziejów Polski, które potocznym opowiedział sposobem, zauważył bardzo właściwie, że niestosowną jest rzeczą „trzymać się do tego stopnia niewolniczo chronologicznego porządku, żeby temuż poświęcać wewnętrzny, organiczny związek faktów", że „zestawione w grupy takie wypadki, które same przez się łączą się z sobą i do jednego zmierzają celu, łatwiéj i trwaléj wbijają się w pamięć, niż rozerwane tylko dla tego, aby ściśle utrzymać porządek chronologiczny". O ile wiemy, p. Tatomir pierwszy jako autor podręcznika ten wzgląd pedagogiczny i dotyczący układu zaznaczył i w pierwotnéj pracy po części zachował; skwapliwie téż do rąk wzięliśmy *Dzieje Polskie w zarysie*, sądząc, że niewątpliwie pod względem ugrupowania treści wymaganiom uczynią zadość. Rzeczywiście, w początkach książki układ jest niezły; lecz od wieku XV począwszy autor nie wytrwał i potknął się o różnorodność materyału i skomplikowane stosunki, stał się kronikarzem, jak inni. Rozbicie materyału na krótkie rozdziały pod takiemi tytułami, jak „nowa wojna domowa", „klęska bukowińska" i tp. niezestawienie podobnych ustępów w związku logicznym, całości przedmiotu przysługi nie robi. Gorszém jest jednak niewolnicze trzymanie się chronologicznego porządku, gdyż ono pedagogiczną wartość książki wielce zniża i niedogodną do użytku ją czyni. Nie rozumiemy np. połączenia reformacyi z objęciem mazowieckiéj puścizny i ryczałtowego przejścia do stosunków z Węgrami za

Zygmunta I; nie rozumiemy również „pierwszych ośmiu lat panowania Zygmunta Augusta“ (§ 1011): gdzie pomieszano sprawę o Barbarę z zabiciem żaka w Krakowie, z napaściami Tatarów, z ożenieniem się Orzechowskiego, sprawą unii, reformacyą, odjazdem Bony i tp. szczegółami, chronologicznie w jednym spisanemi rozdziale.

W ogóle, książka p. Tatomira wymaganiom naukowo-pedagogicznym zadość nie czyni. Wprawdzie od wszystkich dotychczasowych kompendiów znacznie jest lepszą i przy pomocy świadomego przedmiotu nauczyciela jako-tako do nauki młodzieży użytą być może; nie przestajemy jednak na brak książki podręcznéj do dziejów Polski wyrzekać i oczekiwać na pracę, która uzasadnionym wymaganiom odpowie.

Wł. Smoleński.

Otrzymaliśmy list następujący:

Szanowny Redaktorze! Jedno z pism naszych codziennych podało niedawno wiadomość o *nowym* przekładzie napisu staro-perskiego, dokonanym przez *Wł. Chodzkiewicza*, a wydanym w aktach *Towarzystwa filologicznego w Paryżu.* Słuszne ze wszechmiar zainteresowanie się publicystyki naszéj tą wiadomością skłania mię do uzupełnienia jéj pewnemi szczegółami, mogącemi wykazać *co* mianowicie w sprawie téj naukowéj stanowi zasługę rodaka naszego.

Napis ów przez króla perskiego Daryusza, syna Hystaspa, umieszczony nad oknami w jednym z gmachów, wzniesionych przezeń w starożytnéj stolicy Persyi, Persepolis, jest zredagowany we *trzech* językach: staroperskim, medyjskim i assyryjskim. Przytém jest on najkrótszym ze wszystkich znanych napisów tego króla, składa się bowiem tylko z *sześciu* wyrazów i lepiéj się zachował od innych. Wszyscy przeto podróżnicy, zacząwszy od najdawniejszych (*Chardin*, *Kempfer*, *Van Bruyn*, *Ouseley*) a skończywszy na ostatnich (*Westergaard*, *Flandin* i *Coste*) znają go już, kopiują z dokładnością co raz większą i w swych dziełach wydają. Wszystkie więc warunki sprzyjać się zdawały rychłemu i dokładnemu poznajomieniu się z jego treścią.

Stało się jednak inaczéj.

Napis rzeczony tłómaczyli najsławniejsi na polu językoznawstwa wschodniego uczeni europejscy, tłómaczenie atoli jednego było różne od tłómaczenia drugiego: każdy bowiem znajdował podstawy jeśli już nie do całkowitego odrzucenia, to przynajmniéj do znacznego uzupełnienia pracy poprzednika swego.

Dla wyjaśnienia, w czém właśnie leżała przyczyna takiego stanu rzeczy, poznajomić się musimy z tekstem samym. Oto jego transkrypcya łacińska:

Ardstan athgin Darywhus nqhya vithiya krt (kartam).

Z sześciu tych wyrazów cztery (1, 2, 4, 5) nie znajdowały się w innych napisach.

Na znaczenie *pierwszego* (ardstan) zgadzają się wszyscy, z wyjątkiem *H. Rawlinsona*, który widział w tym wyrazie imię własne, i *Opperta*, który w nim upatrywał przymiotnik oznaczający: *wysoki*, *wysoko leżący*. Ma to być *gmach*, *pałac*. Drugi, według H. Rawlinsona, ma znaczyć: *budowniczy*, według Benfey'a, *dzieło*; według Opperta, *sklepienie*, Spiegel'a, *kamień*, według Kossowicza, *kamienny*. W czwartym—jedni (Rawlinson, Saulcy) odgadli tytuł Daryusza; drudzy różne wyrazy, stosownie do potrzeby. Nakoniec *piąty* najpoważniejsze przedstawiał trudności. Według H. Rawlinsona i Kossowicza miał oznaczać: *krewny*. Według Opperta miało to być przysłówkowy sposób wyrażenia się: *w pałacu*. Według Spiegela: *należący do klanu*, *rodu*.

Z dwóch znanych, *trzeci* przedstawia imię własne *Daryusz*, w przypadku drugim; *szósty* —imiesłów bierny od słowa *kar: robić*.

Tak więc były możebne przekłady następne:

Postawiony przez Ardasta, budowniczego, krewnego Króla Daryusza (H. Rawlinson).

Gmach, dzieło wspaniałe, wzniesione na rozkaz króla Daryusza (Benfey).

Ramy (u okna) wystawione w pałacu króla Daryusza (Oppert, przekład dawniejszy).

Szczyt pałacu przez krewnego króla Daryusza wystawiony (Kossowicz).

Wł. Chodzkiewicz, opierając się na fakcie ścisłego pokrewieństwa języka staro-perskiego ze wszystkiemi indo-europejskiemi, odnajduje nowe znaczenie dwóch najbardziej zagadkowych wyrazów (drugiego i piątego).

W wyrazie *athgin* głównie zwraca uwagę na dzwięk *gin*. Ma to być według niego ten sam pierwiastek, który w sanskrycie tworzy rzeczownik: *żani*, w greckim: γυνή, w naszym: *żona*, w rossyjskim: *żena*. W takim razie byłoby to wyrażenie przymiotnikowe w rodzaju *żoniny*, *kobiécy*, *należący do kobiét*.

W wyrazie *vithiya* uderza szanownego badacza pierwiastek *vit*, *vid*, w którym uznaje również wspólne wszystkim językom indo-europejskim brzmienie oznaczające *videre*, *widzieć*. Z tego pierwiastku powstał wyraz pochodny *vithiya*, który oznaczając widzenie, patrzenie, rzecz przez którą patrzymy, może nakoniec oznaczać *okno*.

Rzeczony więc napis brzmiéć będzie w przekładzie nowym: *W pałacu należącym do kobiét króla Daryusza okna zrobione.* Albo téż: *Okna zrobione w pałacu kobiét króla Daryusza.*

Memoryał Wł. Chodzkiewicza, poświęcony téj kwestyi, składa się z *trzech* części: 1-a zawiera dokładny opis miejscowości i gmachu gdzie napis ów został znaleziony; 2-ga streszcza prace wszystkich poprzednich badaczy; 3-cia podaje własny autora przekład nowy, poprzedzony stosownym rozbiorem gramatycznym tekstu oraz nieodzownéin w takim wypadku porównywaniem z sobą pierwiastków. Memoryał ten odczytał autor w dniu 28 Stycznia, r. 1876 w *Towarzystwie filologiczném*, którego jest wice-prezesem. Wyszedł zaś z druku w Aktach tego towarzystwa, stanowiąc 1-szy zeszyt tomu IX-go, w r. 1879.

Zastosowanie wyników badań tych do przekładu dwóch innych tekstów (medyjskiego i assyryjskiego) najlepiéj potrafi wykazać ich znaczenie. Żałować przeto wielce wypada, że znany tłómacz wszystkich *trzech* tekstów w napisach trójjęzycznych królów perskich z dynastyi Achemenów *J. Oppert* w skutek zapewne spóźnionéj publikacyi memoryału Wł. Chodzkiewicza, wydając współcześnie przekład tekstu *medyjskiego* (*Le Peuple et la langue des Medes*, 1879), nie mógł uwzględnić przekładu *nowego* (1), aczkolwiek przekład tekstu *assyryjskiego* (2) w skutek dotychczas jeszcze niedokładnie objaśnionych dwóch wyrazów (*kubur* i *galala*), także wymagać się zdaje przekładu nowego, przy którym wyjaśniona dokładniéj treść tekstu perskiego stać się może nieocenioną pomocą.

---

(1) Nowy przekład *Opperta* brzmi tak.
Kolumnada sklepiona w pałacu Daryusza wzniesiona (o. c. str. 194—195).

(2) Podaję go w transkrypcyi:
Ku-bu-ur ri-ei-mu ga-la-la ina bit Da-u-ri-ia-wus sarri ib-su.

I. Radliński.

KRONIKA NAUKOWA.

Przegląd pojęć obecnych o powolnych ruchach lądów i mórz.

I.

Pomimo niezaprzeczonego postępu geologii w ciągu lat ostatnich najważniejsze jéj zagadnienie, wnętrze ziemi i oddziaływanie jego na skorupę, jest dla nas również tajemniczém jak przed laty kilkudziesięciu, gdy geologia nie przebrnęła jeszcze dziecinnego okresu swego rozwoju. Spór między plutonistami a neptunistami, między stronnikami ognia i wody, trwa dotąd lubo w postaci nieco złagodzonéj, a raczéj zmienionej tylko; żadna hipoteza wulkanów i trzęsień ziemi dotąd stanowczo utrzymać się nie zdołała, a teorye wyniesienia gór i kołysania się lądów przedstawiają rozległe pole poglądom subiektywnym.

Przyczyny téj chwiéjności zasadniczych poglądów dopatrywać zapewne należy nietylko w tém, że geologia do najmłodszych należy nauk, że dzieje jéj nie na stólecia jeszcze, a na dziesiątki zaledwie lat się liczą, pracy bowiem nie skąpiono, a literatura geologiczna zarówno obszernością jak i sumiennością badań nie ustępuje piśmiennictwu pokrewnych gałęzi wiedy.

Trudność zgłębienia życia ziemi pochodzi ztąd, że jesteśmy z nią zbyt blizko związani, a oderwać się od niéj myślą tylko możemy. W nauce powtarza się wszędzie mniéj więcéj toż samo, co widzimy w badaniu dziejów ludzkich, wypadki odległe w czasie lub przestrzeni—oceniać możemy łatwiéj i dokładniéj niż epokę spółczesną; nietylko bowiem tysiączne uprzedzenia sąd nasz mącą, ale nadto gubimy się w mnóstwie szczegółów, śród których niełatwo odróżnić rzeczy ważne od podrzędnych; nie potrafimy objąć całości,

któréj cząstkę stanowimy, brak nam stanowiska orlego, odległego czy wyniosłego, z któregobyśmy ująć mogli cały obszar zjawisk—„od końca do końca“ i zkądby drobiazgi nikły w obec objawów głównych.

Geologia musi budowę swą wznosić z postrzeżeń szczegółowych, oderwanych, z objawów zewnętrznych, ruchy lądów i oceanów śledzić może z drobnych i częściowych zaledwie śladów, nie tak jak astronomia, która biegi ciał niebieskich w całéj pełni rozpatrywać zdoła. Niewątpliwie, badanie drobnéj ziemi, własnego naszego mieszkania, przedstawia trudności o wiele większe, niż poznawanie biegu a nawet budowy odległych ciał niebieskich; a choć zdanie to wydawać się może nieco paradoksalném, to straci zapewne cechę przesady, gdy zważymy nadto, o ile dokładniéj znać nam należy ziemię naszę aniżeli inne światy.

Odległe stanowisko obserwatora z wielu względów przedstawia mu tyle korzyści, że coraz dokładniejsza znajomość planet ziemi pokrewnych pozwoli zapewne przez analogią wysnuwać bezpiecznie wnioski o zjawiskach ziemskich. Dzięki *Schiaparellemu*, posiadamy kartę Marsa tak już dokładną, że oznaczone są na niéj lądy a raczéj wyspy nie większe od Sycylii, i w niedalekiéj zapewne przyszłości zdołamy jednym rzutem oka obejmować rozległe przewroty w atmosferze, na wodach i lądach Marsa, które na ziemi odgadywać musimy ze spostrzeżeń częściowych i drobiazgowych.

Wprawdzie obserwacya nie jest już jedyną drogą, jaką się geologia posługuje: z jednéj strony przychodzą jéj w pomoc ścisłe wywody teoretyczne, oparte na dokładnych danych mechaniki, fizyki i chemii, z drugiéj coraz większego znaczenia nabierają badania czysto doświadczalne, czego dowodem jest świeżo wydane Daubréego: *Studya nad geologią doświadczalną*, obejmujące długoletnie prace tego badacza—nad zjawiskami wywoływanemi w warunkach zbliżonych do okoliczności, które w ziemi zachodzą, lub zachodzić mogą.

Najważniejszą wszelako i ostateczną dla geologa instancyą pozostać musi obserwacya, która jedna nauczyć może, czy wyniki, choćby najgłębszych rozumowań, zgodne są z rzeczywistością, a przedewszystkiém ona stanowić może jedyny punkt wyjścia jakichkolwiek uzasadnionych badań.

A baczna i dokładna obserwacya stawia nam przed oczy zjawiska, o których mieszkańcowi ziemi ani się śniło. Uczy nas ona, ni mniéj ni więcéj, że stateczna, zesztywniała nieruchomość stałego lądu naszéj planety jest tylko pozorną, że jego spokój jest złudzeniem. Zwolna i niepostrzeżenie usuwają się stałe masy jedne obok drugich, tu zapadają, ówdzie nieco się podnoszą, rozpadają i ura-

biają się zwolna w inne postaci. Stopniowe te przeobrażenia lądów istniały niewątpliwie po wszystkie czasy, ale na nieszczęście piérwsze postrzeżenia odnieść można nie daléj niż do połowy zeszłego wieku, gdy Celsius ogłosił rozprawę o obniżaniu się wód w morzu Baltyckiém, przeciw czemu w 60 lat późniéj Playfaer wypowiedział, że zachodzi tu raczéj podnoszenie się lądów, a nie ubytek wód.

Odkąd postrzeżenia stały się pilniejszemi, ilość podobnych faktów niezmiernie się zmnożyła; podobne ruchy lądów poznano we wszystkich stronach ziemi; ale ruchy te są niejednostajne, gdy w jednych okolicach lądy się podnoszą, w innych zapadają; szybkość tych ruchów jest różną, a w okolicach nawet bliskich odbywają się w strony przeciwne.

Dokładne sprawdzenie podnoszenia się lub obniżania lądów jest zadaniem bardzo trudném. Ruchy bowiem lądu poznać się jedynie dadzą za pomocą współczesnéj obserwacyi jego i jakiéjkolwiek powierzchni nieruchoméj, za którą przyjmuje się w ogólności poziom oceanu, ale któż może znów za jego stateczność ręczyć? Najnowsze badania nauczyły, że powierzchnia oceanu, w skutek wpływu lądów odstępuje od postaci geometrycznéj, jakąby posiadała, gdyby cała ziemia wodą oblana była. Skoro zaś rozkład lądów ulega przeobrażeniu, to i poziom morza doznawać musi pewnéj zmienności, zkąd wypływa daléj, że ruchy lądów nie dadzą się ocenić dokładnie przez porównanie ich z wysokością oceanu. A przecież jest to jedyna droga tych badań.

Wprawdzie pewne skazówki podają téż zaspy, tworzące się ze żwiru i mułu, niesionego rzeką a opadającego przy jéj ujściu. Gruzy te w niektórych miejscach wynoszą się nad poziom morza, łączą się z lądem i tworzą łożyska dla nowych odnóg rzecznych, w ten sposób powstają delty. Gdzieindziéj wszakże napływowe te utwory rozciągają się wzdłuż i wszerz, tworzą ławice, ale nie wydobywają się nad wodę. Według *Crednera*, główną przyczyną téj rozmaitości jest właśnie podnoszenie się lub obniżanie wybrzeży morskich, albo opadanie i podwyższanie się poziomu mórz śródlądowych, ale ważną rolę odegrywać tu mogą i okoliczności miejscowe, jak rodzaj opadu rzecznego, szybkość wód, warunki głębokości przy ujściu i tp. Wszystko to sprowadza taką zawiłość warunków, że owe nasypy do stanowczych wniosków o ruchach wybrzeży prowadzić nie mogą.

A cóż dopiéro mówić możemy o tém, co zachodzi w środkowych częściach lądów; tu nie mamy już żadnéj skali do ocenienia tych ruchów wiekowych, lubo wnosićby należało, że i tu zachodzą kołysania podobne, jak w okolicach nadbrzeżnych. Prace niwelacyjne, dokonywane przy prowadzeniu linij dróg żelaznych, dostarczą

zapewne w przyszłości materyał do rozjaśnienia ciemnéj téj sprawy, ale przedewszystkiém wiekowe te ruchy lądów najlepiéj odbijaćby się winny w zmianach biegu rzek. Zmian takich jednak nie dostrzegamy, trzebaby przeto chyba przypuścić, że lądy jakby zbite massy podnoszą się tylko lub obniżają równolegle do pierwotnego swego położenia, bez żadnego załamania i pofałdowania. A to nastręcza nową znów trudność, boć niepodobna przyjąć istnienia siły, któraby całe lądy przez sta i tysiącolecia przesuwała tak łagodnie w górę lub na dół.

Wzgląd ten skłania badaczy do przypuszczenia, że wszystkie te w ogóle ruchy lądów są tylko pozorne i objawiają się jedynie w skutek zmiennego stanu poziomu morskiego.

Uderzający przykład na poparcie powyższéj hipotezy stanowi rozległa nizina sarmacka. Głazy narzutowe, obficie po niéj rozproszone, niewątpliwie zdradzają pochodzenie swe ze Skandynawii, zkąd porwane przez lodowce dostawały się daleko na morze, zalewające w dawnéj epoce geologicznéj całą obecną Europę północną. W istocie, wszystko przemawia za tém, że stąpamy po dnie dawnego morza; stopniowe bowiem tylko i powolne tworzenie się osadów morskich wyjaśnić może owę osobliwą gładkość powierzchni na tak rozległéj przestrzeni, gdzie, jak na oceanie, dostrzegać możemy zanurzanie pod poziom oddalających się przedmiotów. Mówić się tedy zwykło, że nizina sarmacka powstała przez podniesienie dna morskiego; ale podnoszenie to dna odbywać się musiało tak łagodnie i jednostajnie, że gładkość jego żadnemu nie uległa zaburzeniu. Łatwiéj będzie tedy przypuścić, że gdy dno morskie wyrównało się opadającemi osadami, to gładkość tę zachowywało, gdy poziom morski stopniowo się obniżał i wody zwolna ustępowały i gdy nakoniec ląd stały ich miejsce zajął.

Rozstrzygnięcie śród tak sprzecznych teoryj i rozjaśnienie całéj téj zawiłéj kwestyi wymaga w każdym razie dokładnych i długich jeszcze obserwacyj, a pod tym względem bardzo ważną jest niedawno wydana praca Hahna p. t. „*Badania nad podnoszeniem się i obniżaniem wybrzeży*“, w któréj autor zebrał starannie cały dotychczas znany w tym przedmiocie materyał. Dowiadujemy się z tego np. co się tyczy Europy, że północny kraniec Szwecyi podnosi się, południowy zaś— opada, gdy dawniéj nawet jeszcze w czasach historycznych, stosunek był odmienny. Ślady podniesień również są widoczne i na brzegach Norwegii, gdzie w wysokości 150 metrów nad obecnym poziomem morskim znajdują się jeszcze szczątki zwierząt morskich, oraz poziome wcięcia na polach skalistych, zwane dawnemi liniami brzeźnemi.

Na wybrzeżach Baltyku znajdujemy wyraźne ślady obniżania, okazują się torfowiska podmorskie i zatopione lasy, zatoki ujściowe czyli haffy nie są to odcięte części morza, ale stanowią ląd utracony, zalany w skutek opadania brzegów. Na wybrzeżach holenderskich i fryzyjskich, morze w ciągu lat 1531—1740 pochłonęło około 10.000 morgów. Wiadomo również, że całe wybrzeże północne i wschodnie morza Adryatyckiego ulega powolnemu obniżeniu.

Najosobliwsze stosunki okazują niewątpliwie wybrzeża w okolicy Neapolu, szczątki zwłaszcza świątyni Serapisa w Puzzuoli zyskały sobie pod tym względem znaczny rozgłos. Świątynia ta, w połowie trzeciego wieku wykończona przez Aleksandra Sewera, została następnie zalana wodą, czego niewątpliwym dowodem są kolumny, stoczone przez mięczaki morskie, a apokryf św. Piotra i Pawła, pochodzący z dziewiątego wieku, przypisuje zapadanie to cudowi św. Pawła. W późniejszym czasie woda ustępowała, ale od wieku szesnastego świątynia znowu zaczęła zapadać, a ruch ten w ostatnich czasach tak był szybki, że gdy w r. 1807 Nicolini mógł jeszcze w świątyni malować, nie doznając żadnéj przez wodę zawady, a w r. 1838 łowiono ryby tam, gdzie przed dwudziestu laty był jeszcze ląd. Od 1852 zapadanie to ustało, albo przynajmniéj znacznie zwolniało.

W ogólności Hahn zgodnie z Darwinem sądzi, że wybrzeża okryte czynnemi wulkanami doznają podnoszenia, niepodobna w tém jednak upatrywać ogólnego prawa natury, bo wynoszenia zachodzą i w okolicach wolnych od wulkanów, tak że wulkanizmowi niepodobna przypisywać powolnych tych, wiekowych działań. Ale coraz silniéj utrwala się przekonanie, jeszcze przed czterdziestu laty wypowiedziane przez Domejkę, że osobliwe te ruchy lądów, odbywające się kolejno w jednę i drugą stronę, są objawem przyczyny ogólnéj, dotąd nam nieznanéj a działającéj na całą naszę planetę.

Z tego, co powiedziano wyżéj, wnosić można, że ogólnéj téj przyczyny dopatrywać się należy nie w przesuwaniu się lądów, ale w ruchach wód, w ich przelewaniu się z jednego miejsca ziemi w drugie, w zmienności poziomu morskiego.

II.

Piérwsze naukowe rozwiązanie téj zagadki, które zyskało sobie nawet, chwilowo znaczny rozgłos, podał fizyk francuski Adhémar. Wiadomo, że półrocze letnie i zimowe nie są jednakowéj długości, że obecnie dla półkuli północnéj dłuższém jest piérwsze, a dla południowéj drugie, tak że wiosna i lato razem trwają u nas o siedm

dni dłużéj niż dla mieszkańców półkuli południowéj. Korzystny ten dla naszéj półkuli stosunek nie zawsze zachodził i nie wiecznie zachodzić będzie. W skutek poprzedzania punktów równonocnych i innych ruchów astronomicznych następuje co 21.000 lat zmiana tego stanu rzeczy.

Jedna z obu półkul ziemskich, północna lub południowa, ma w ciągu połowy tego okresu, przez 10.500 lat bezustannie dłuższe lata a krótsze zimy, w ciągu następnego półperyodu stosunek staje się odwrotnym, tam, gdzie panowały lata dłuższe, zachodzą dłuższe zimy. W okresie lat dłuższych, półkula jedna otrzymuje więcéj ciepła od słońca, a z powodu spółcześnie zachodzących krótszych nocy mniéj go traci przez promieniowanie, gdy spółcześnie druga i słabiéj jest ogrzewaną i silniéj stygnie. Działania te sumują się w ciągu 10.500 lat tak, że następuje znaczna różnica w warunkach temperatury między północą a południem ziemi. Brak ciepła objawia się nadmiernéin wytwarzaniem lodów, i na półkuli w ten sposób wydziedziczonéj następuje *okres lodowy*, którego tak wybitne ślady rozpoznali geologowie na naszéj półkuli. A zarazem nagromadzenie to lodów na jednéj stronie ziemi wywołuje w tamtą stronę przesunięcie jéj środka ciężkości, a woda morska, któréj poziom układa się dokoła środka ciężkości, przepływa na półkulę pokrytą lodem, nagromadza się tam więcéj niż na drugiéj, gdzie poziom jéj się obniża, a lądy poprzednio zalane wynurzają się i osychają. Ale ze zmianą stosunku względem słońca, półkula zimna ogrzewa się coraz silniéj, lód taje z początku na brzegach, następnie rozsypuje się i topi gwałtownie, środek ciężkości ziemi usuwa się w piérwotne swe położenie, a wody szybko przelewają się na drugą półkulę, dokąd je sprowadza rozwijająca się tam znowu powłoka lodowa.

Jakkolwiek teorya ta ma pozór dosyć ponętny i tłómaczy nietylko zmienność poziomu wód, ale zarazem i tak zagadkowy okres lodowy, to wszakże uległa rychło pod ciosami uzasadnionéj krytyki. Gdy lata dłuższe przypadają na półkuli północnéj, ziemia jest w tym czasie bardziéj od słońca oddaloną, co przeto zyskuje na długości lata, to w tymże stosunku traci na natężeniu ogrzewania; na półkuli południowéj lato trwa wtedy krócéj, ale przypada na półrocze, gdy ziemia bliżéj jest słońca, co przeto traci na czasie ogrzewania, to zyskuje znów na jego natężeniu, tak że z tego powodu nie może nastąpić znaczna różnica między rozkładem ciepła na obu półkulach, nie to tedy jest przyczyną okresów lodowych, ani przypuszczalnego przelewu wód z jednéj półkuli na drugą. Poglądowi Adhémara opiera się zresztą wymownie obecny stan naszéj planety; okres niekorzystny dla półkuli południowéj rozpoczął się mianowicie według chro-

nologii astronomicznéj w r. 4002 przed Chrystusem, jesteśmy przeto w połowie tego okresu, a półkula południowa winnaby się u bieguna i daleko od niego piętrzyć powłoką lodową, któréj wszakże zgoła nie znajdujemy.

Ale pomysł raz rzucony nie łatwo zamiera. Śród zawiłości astronomicznych odszukać się dają przyczyny, sprowadzające większą jeszcze nierówność między porami roku obu półkul. Genialny szperacz astronomiczny, *Leverrier*, obliczył, że mimośród orbity ziemskiéj może być $4^1/_2$ raza większym niż jest obecnie, i że istotnie nieraz bywa większym, niż teraz. Znaczy to, że elipsa, po któréj bieży ziemia, była bardziéj wydłużoną, że szybkość biegu rocznego naszéj planety była bardziéj zmienną, że różnica między długością półrocza letniego a zimowego dochodzić mogła 36 dni. Z obliczeń tych skorzystał *Croll*, aby na ich zasadzie wyjaśnić, podobnie jak Adhémar, i okresy lodowe i przelewanie się wód z jednéj na drugą półkulę. Ale teorya Crolla niewiele w zasadzie różniąca się od Adhémarowéj odpartą została niewiele różnemi zarzutami. Zagadka zagadką została.

Skoro tedy mniemane gromadzenie się lodowców nie mogło wyjaśnić napływu wód na daną półkulę, należało rozpatrzéć, czy nie okaże się bardziéj uzasadnioną droga odwrotna, wytłómaczenie tak słynnych w geologii okresów lodowych przez nadmierny napływ wody. Drogi téj użył *Schmick*, i to przyznać należy z istotném pod wielu względami powodzeniem.

Za punkt wyjścia służą autorowi przypływy morskie, wywoływane przyciąganiem słońca i księżyca. Wprawdzie za przypływem następuje odpływ, i wody opadają, wracają do piérwotnego położenia, ale występuje tu jeszcze i działanie inne, na które teorya Schmicka szczególny kładzie nacisk; oto przyciąganiu słonecznemu i księżycowemu ulegają nietylko masy ciekłe, na powierzchni globu ziemskiego rozlane, ale i owe masy ogniste, płynne lub półpłynne, które wypełniają jądro ziemi, a w wybuchach wulkanicznych wylewają się na zewnątrz.

I w głębiach zatém ziemi odbywają się przypływy, posuwające się za biegiem słońca, i za temi przypływami następują odpływy, ale odpływy te nie są już zupełne, to znaczy, że pewna część usuniętych ze swego położenia materyj zatrzymuje się w kanałach, któremi płynie, krzepnie, wylewa się na zewnątrz, lub dla podobnych powodów nie wraca już do piérwotnego położenia. Ale w ciągu jednego półrocza ziemia przeważnie półkulę północną, w ciągu drugiego półrocza przeważnie południową ku słońcu zwraca; z powodu daléj eliptyczności drogi ziemskiéj półrocza te nie są równe, obecnie zwrot ku słońcu przypada dla półkuli północnéj na czas większéj odle-

głości ziemi od słońca, dla półkuli południowéj na czas odległości mniejszéj. Półkula południowa przeto ulega w ogólności przyciąganiu silniejszemu, w ciągu więc roku suma niejako przypływów jest na niéj znaczniejsza, a to, co z przypływów wewnętrznych ulega zatrzymaniu i nie wraca już do położenia, jakie zajmowało przed półroczem silniejszego przyciągania, to powiększa ciężar półkuli południowéj. A choćby różnica ztąd między obu półkulami powstająca była w ciągu roku nieznaczną, to gdy zważymy, że stosunek ten niezmiennie dla jednéj półkuli utrzymuje się statecznie przez długi okres 10.500 lat, pojąć można, że ciężar jéj wzrasta a środek ciężkości ziemi ku niéj się przesuwa; w skutek tego i wody morskie przelewają się na tę półkulę, wznoszą się na niéj wysoko i rozlewają szeroko. W ciągu następnych 10.500 lat stosunek staje się odwrotnym, a działania te w dawnych okresach mogły być znaczniejsze daleko, zarówno z powodu większéj ilości mas płynnych jak i większéj eliptyczności drogi ziemskiéj, zatém większéj nierówności między obiema półkulami.

Teoretyczne te wywody popiera Schmick obserwacyami zmian przypływów, wywołanych przez przyciąganie księżycowe. I księżyc bowiem wywiera na ziemię wpływ mniéj więcéj podobny do słonecznego, a którośmy wyżéj rozważali, ale którego kres jest bez porównania mniejszy, bo zawiéra zaledwie lat 18; wpływ tego okresu księżycowego daje się więc dostrzedz z obserwacyj zebranych z niewielu stosunkowo lat, a jakkolwiek badania te bardzo słabo dotąd prowadzone były, korzysta z nich jednak bardzo umiejętnie Schmick dla potwierdzenia swéj teoryi; czego wszakże w krótkim tym przeglądzie dotykać nie możemy.

Skoro w ten sposób Schmick udowodnił kolejne przelewanie się wody z jednéj półkuli na drugą w ciągu tych długich okresów, to już własności cieplikowe wody wystarczyły, bez naciągania, do wyjaśnienia warunków sprzyjających nadmiernemu gromadzeniu się lodów. Woda bowiem zużywa znaczną ilość ciepła na parowanie, nadto wolniéj się ogrzewa i wolniéj stygnie niż ląd, tak że temperatura okolic morskich jest w ogóle średnio nieco niższą niż lądowych, a zarazem stateczniejszą, nie okazuje znacznych przeskoków, dosyć tu zresztą powołać na świadectwo różnicę klimatu lądowego i morskiego. Jeżeli do tego dodamy obfitość chmur i mgły i częsty spadek śniegu, otrzymamy warunki, sprzyjające rozwojowi lodowców i wytworzeniu się tak zwanego okresu lodowego podczas zalewów, które sto i więcéj razy przewyższać mogły stan obecny.

Pojęcie o powtarzaniu się okresów lodowych i o związku ich z kolejném przelewaniem się wód z jednéj półkuli na drugą, dosyć

się śród ogółu przyjęło i teorya Schmicka znalazła znaczną liczbę stronników, ale nie napotkała miru u wszystkich geologów, którzy przeciwstawiają jéj ten prosty fakt, że na wybrzeżach Afryki, Ameryki i Australii południowéj napotykamy ląd świéżo wyniesiony i stopniowany, jak i na wybrzeżach półkuli północnéj, że zatém i na półkuli południowéj mamy wyraźne znaki podnoszenia się czy wynurzania lądów, jak i na północnéj.

Przed kilku miesiącami przemówił w téj rzeczy w instytucie geologicznym wiedeńskim prof. *Suess*, którego wywodów przeto wysłuchać nam teraz należy.

I Suess nie uważa za możebne podnoszenie się lądów w kierunku pionowym, a pozorne kołysanie się wybrzeży przypisuje także ruchom wód morskich. Poglądu takiego można było zresztą spodziewać się po twórcy nowéj teoryi tworzenia się gór, sprzecznéj stanowczo z poglądami dawniejszemi, według których powstawać miały przez uderzenia na skorupę ziemską, zachodzące w kierunku promieni, to jest po prostu z dołu do góry. Teorya Suessa, przed pięciu laty ogłoszona, tłómaczy powstawanie gór jedynie przez uderzenia czyli ciśnienia boczne, góry stanowią jakby pofałdowanie wierzchnich warstw skorupy ziemskiéj, są to jednostronnie poruszone części zewnętrznych mas planety; przyczyną zaś tego ruchu jest jednostronne ściąganie się, kurczenie głębszych warstw skorupy. Hipoteza ściągania się skorupy ziemskiéj wymagałaby zapewne potwierdzenia, prowadziłoby to bowiem do zmniejszenia wymiarów ziemi, a następstwem tego byłaby zmiana czasu obrotu jéj około osi, czyli długości dnia, która dotąd stanowczo wykazaną nie została, a przynajmniéj jest bardzo nieznaczną; ale samę zasadę uderzeń bocznych oparł Suess na gruntownych i rozległych obserwacyach gór europejskich i po zaeropejskich, wyszukując wszędzie kierunków tego uderzenia i miejscowych jego modyfikacyj, tak że teorya ta powstawania gór już obecnie odniosła zwycięztwo nad hipotezami dawnemi, w ogóle mało uzasadnionemi.

Możliwość téj hipotezy okazał doświadczalnie *A. Favere*, nałożywszy na naprężoną błonę kauczukową kilka warstw gliny, które przez ściąganie się kauczuku doznawały ciśnienia bocznego i ulegały pomarszczeniu. Doświadczenie to nie ma zapewne większego znaczenia niż skaczące kulki Volty dla wytłómaczenia gradu, albo zakopywanie w ziemię materyałów wybuchowych dla wytłómaczenia wulkanów, ale ilustruje dobrze zasadniczą 'myśl Suessa o tworzeniu się gór.

Po tém luźném nieco zboczeniu wrócić nam wypada do przerwanego wątku i opowiedziéć treść wspomnianego odczytu Suessa, który zresztą jest tylko zapowiedzią obszerniejszéj pracy.

Suess nie przyjmuje przelewania kolejnego wody z jednéj półkuli na drugą, ani nie upatruje związku między tém zjawiskiem a okresem lodowym, i powtarza z naciskiem pogląd *Hochstettera*, że epoka największości *ciążenia*? przypadała na obu półkulach spółcześnie. Obserwacye nie wskazują obecnie zgoła przepływu wody z północy na południe, owszem ruch jest tu i tam bardzo podobny, jakkolwiek na półkuli północnéj po wszystkie czasy przypadał nadmiar wody, co może pochodzi z jakowéjś niezgodności środka bryły ziemskiéj z jéj środkiem ciężkości.

Dokądkolwiek wdarł się człowiek w dalekie pustynie północy, wszędzie dostrzegł wybrzeża stopniowane, to jest wznoszące się w postaci tarasów; toż samo zachodzi jeszcze i w okolicach umiarkowanych, lubo w mniejszym stopniu, znaczy to, że w tych stronach ogół podniesień lądów jest większy od ich obniżeń, czyli raczéj, że opadanie wód przeważa nad ich podnoszeniem się.

Na wodach zwrotnikowych, w okolicach gdzie korale wznoszą budowle, stan rzeczy jest odmienny, poziom morski ulega tam wznoszeniu.

Daléj ku południowi, po za 35 szerokości występują znowu lądy stopniowane jak na północy zarówno w Ameryce, Afryce jak i Australii i Zelandyi.

Na lądach rozległych, sięgających z jednéj strefy do drugiéj, dwoisty ten ruch dostrzegano już dawno; tak np. północne Chiny podnoszą się, południowe opadają, tak że oś obojętna ciągnie się mniéj więcéj pod 30° szer. płn. W Australii poznano również, że północ jéj opada, południe natomiast podnosi się, a oś obojętna przechodzi także około 30° szerokości południowéj.

Suess zgadza się przeto z poglądem *Howortha*, że podnoszenie się lądu przeważa w okolicach bieguna, a opadanie w stronach równika, tak jakby pod równikiem ląd stały ulegał przewężaniu, a wysuwał natomiast w strefie północnéj i południowéj. Ale Howarth pojmował tu istotny ruch lądu w górę i na dół, gdy według Suessa jest to następstwem odwrotnych ruchów poziomu morskiego.

Wynurzanie się lądów wywierało według Suessa wpływ przeważny na powstawanie nowych tworów zwierzęcych i roślinnych. Już od czasów Buffona uważano daleką północ za kolebkę i punkt wyjścia nowych typów; mogły one bowiem rozwijać się na gruncie świeżo z wód wynurzonym i tam nowe osady zakładać. Stateczna natomiast przewaga wody na południu, przeszkadzała osuszaniu się rozległych przestrzeni, dla tego to południowe strony ziemi obfitują w typy, dawno już na północy zaginione.

Powierzchnia naszéj planety ulegała niewątpliwie znacznym przemianom swéj temperatury, ale rozmaitość ta nie jest w związku z ruchami wód. Ostatnia znana geologom największość temperatury przypada na początek okresu eocenicznego, ostatnia jéj najmniejszość, tak zwany okres lodowy, nastąpił w czasie późniejszym; po téj epoce zachodził okres podnoszenia się wód w stronach blizkich bieguna, po którym znów nastąpił okres, dotąd może trwający, opadania ich w tychże strefach ziemi.

Wydaje się przeto, jakoby zmiany poziomu morskiego zachodziły częściéj, niż owe wielkie kołysania temperatury, które na życie ówczesne tak przeważny wpływ wywierały. Wbrew przeto opowiedzianym teoryom, obserwacye nie pozwalają dopatrzéć wzajemnego związku między temi, tak potężnemi w dziejach ziemi zjawiskami, których przyczyny dotąd zostają dla nas utajone.

I nie prędko zapewne tajemniczość ich dla nas się odsłoni, widzimy bowiem, jak silne sprzeczności istnieją nietylko w poglądach teoretycznych, ale nawet w rozumieniu i zestawianiu obserwacyj. A więc niewątpliwie tak długo nie będziemy wiedzieli istotnéj przyczyny zmian poziomu morskiego, dopóki nie zdołamy wprzód zbadać w jaki sposób zmiany te zachodzą.

S. K.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Stan naszych dróg bitych, projekty p. gubernatora Płockiego odnośnie do dróg bitych nie państwowych, postanowienia zjazdu obywateli w Płocku dotyczące dróg, komitetów statystycznych i ochronek dla dzieci włościańskich, doniosłość takich zjazdów. — Dwa artykuły w Ekonomiście „Bank Polski w obec potrzeb krajowych“ przez p....ski, wnioski i propozycye autora, o ile urzeczywistnienie ich możliwe i zapewnia praktyczność. — Sprawa oświetlenia gazem m. Warszawy, dodatnie i ujemne strony teraźniejszego oświetlenia według słów „Gazety Polskiéj i Warszawskiéj.“— Otwarcie trzeciego teatru i prawdopodobieństwo nowego gmachu teatralnego, komitet doradczo-artystyczny przy dyrekcyi teatrów. — Katastrofa na Ogrodowéj ulicy, kto ma obowiązek zapewnić byt rodzinom zabitych. — Nowe wydawnictwa: dzieła Siemieńskiego Lucyana, Pamiętnik Fizyograficzny, Kalendarz Promyka „Gość.“ — Konkurs ogłoszony przez redakcyą „Biblioteki Warszawskiéj.“ — Odczyty na rzecz Towarzystwa Dobroczynności.

Dość przejrzéć piérwszy lepszy numer którégokolwiek z gazet codziennych, żeby spotkać się z utyskiwaniami na zły stan dróg szosowych; każdy zaś co był zmuszony przejechać bodaj kilka mil drogą bitą potwierdzi w zupełności, że utyskiwania te i skargi nie są przesadzone, i że w istocie stan tych dróg w naszym kraju jest opłakany. Przeznaczane corocznie fundusze nie przynoszą korzyści i zdaje się, że z całą słusznością powiedziéć można, iż źródło złego pochodzi nie tyle z braku środków, ile z racyi złych sposobów używanych do budowania, naprawy i dalszéj konserwacyi dróg szosowych.

W ogóle przyjęty od roku 1865 i praktykujący się dotąd system rządowéj administracyi polega na powierzaniu budowy i konserwacyi drogi prywatnym przedsiębiorcom, którzy bodaj słusznym ulega-

ją zarzutom niesumiennego wywiązywania się z zaciągniętych zobowiązań.

Zarzuty tego rodzaju znajdują potwierdzenie i w tém, że niektóre władze rządowe zamyślają już o zmianie dotychczasowego systemu.

Jak dotąd mamy do zanotowania tylko projekty p. gubernatora płockiego, odnośnie do dróg utrzymywanych kosztem gubernii, co się zaś tyczy dróg państwowych, to braknie nam wszelkich wiadomości, gdyż zarząd komunikacyi, mający nadzór nad temi drogami, nie ogłasza wcale swych projektów co do zamierzonych napraw dróg szosowych. Wprawdzie nie jest to jego obowiązkiem, gdyby jednak zechciał z tém wystąpić, wiedzielibyśmy przynajmniéj co w tym kierunku ma być zrobioném dla kraju.

Pan gubernator płocki nie chce tajemniczości a przekonawszy się o potrzebie zaradzenia złemu stanowi rzeczy, wezwał obywateli ziemskich gubernii Płockiéj i naczelników powiatowych, na naradę mającą na celu zbiorowe przedyskutowanie i powzięcie postanowienia co do niektórych kwestyj lokalnych a głównie co do dróg bitych i środków jakie dla przyprowadzenia ich do należytego stanu przedsięwziąć należy.

Zjazd odbył się w ubiegłym miesiącu, a ze sprawozdania drukowanego w „Korespondencie Płockim“ czerpiemy następujące o nim szczegóły.

Debaty dotyczyły zarówno środków jak i sposobów budowy. Piérwsze uznane zostały za niedostateczne a zwiększenie ich może nastąpić, według zdania obradujących, przez zastosowanie odpowiedniejszego i sprawiedliwszego niż dotąd rozkładu szarwarku, umiejętniejsze użycie siły szarwarkowéj, pociągnięcie do opłaty szarwarku wolnych dotąd procederzystów z ulgą dla małorolnych i przeciążonych nim włościan, a to drogą wyższego opodatkowania patentów handlowych i przemysłowych, przez wyjednanie prawa do czasowego pobierania myta na nowych drogach bitych i nareszcie przez uzyskanie pożyczki na budowę nowych dróg, z prawem spłacenia jéj sposobem amortyzacyjnym częścią dochodu z podatku drogowego.

Sposoby mające ułatwić jaknajprędsze przyprowadzenie dróg do pożądanego stanu polegają na utworzeniu komitetów powiatowych z właścicieli ziemskich, któreby obradując i działając, pod przewodnictwem naczelników powiatowych miały nieograniczoną władzę odnośnie do budowy i utrzymania dróg bitych II-go rzędu i rozporządzały szarwarkiem w powiecie. Fundusze potrzebne na

zamierzone większe roboty i mające być udzielone z funduszu drogowego gubernialnego, komitet powiatowy otrzymywałby, za stosownem przedstawieniem, od komitetu gubernialnego, złożonego także z obywateli ziemskich obradujących pod kierunkiem gubernatora.

Dla rozwinięcia sieci dróg bitych, zjazd uznał za konieczne: przeniesienie ważniejszych dróg III-go rzędu, utrzymywanych przez właściciela gruntu, do dróg II-go rzędu utrzymywanych kosztem gminy, z pozostawieniem w kategoryi dróg III-cio rzędnych tylko dróg polnych; konserwacya dróg I-go rzędu, budowanych z funduszu drogowego, ma dokonywać się po ukończeniu budowy, staraniem obywatelskich komitetów powiatowych.

Nareszcie oznaczono trzynaście dróg, w rozmaitych kierunkach w granicach gub. Płockiéj, których budowa uznaną została za najpilniejszą i które łączyć mają główniejsze punkta gubernii ze stacyami drogi żelaznéj Nadwiślańskiéj. Wszystkie te projekty i decyzye przedstawione będą władzom wyższym; spodziewać się należy, że w obec inicyatywy a zatém i przypuszczalnego poparcia p. gubernatora, kwestya zatwierdzenia ich wówczas nie napotka na żadne trudności. Gubernia Płocka w niedalekiéj przyszłości wyróżniałaby się z pomiędzy innych gubernij Królestwa, posiadaniem dróg dojazdowych, tak koniecznych dla zapewnienia odpowiednich korzyści z przerzynającéj ją drogi żelaznéj. Doniosłość w ekonomicznym rozwoju kraju dobrych i licznych dróg komunikacyjnych jest tak wielką, że niepodobna o niéj przemilczéć. Wszakże zjazd obywateli w Płocku ma podług nas i inne jeszcze głębsze znaczenie. Upatrujemy je w tym, że początkując w zwołaniu zjazdu p. gubernator oświadcza niejako, iż pragnie udziału obywateli zarówno w wyświetleniu jak i zaspokojeniu potrzeb gubernii a tém samém rozszerza zakres pracy dla siebie. Nie zniechęcajmy się tylko pozorną błahością spraw, w których czynny udział mieć możemy, bierzmy się do tego i róbmy to, co się tymczasem robić daje.

Obywatele gubernii Płockiéj rozszerzyli już trochę zakres zjazdu, oprócz bowiem kwestyi dróg bitych poruszoną tam została sprawa statystyki rolniczéj. Rozprawy nad tym przedmiotem doprowadziły obradujących do wniosku, że najlepiéj byłoby urządzić raz na kwartał powiatowe zjazdy obywateli z powołaniem do udziału w nich i włościan. Na zjazdach takich, mających według powstałego projektu odbywać się pod kierunkiem naczelników powiatowych, „oprócz wymiany zebranych przez każdego danych statystycznych, mogłyby się tworzyć dokładne przeciętne wywody.“

Tyle razy mieliśmy już sposobność narzekać na brak danych statystycznych, że obecnie nie potrzebujemy wyrażać uciechy na widok powyższego postanowienia. Pesymistyczne tylko zapatrywanie się na naszę wytrwałość, zmusza nas niejako do zwrócenia się do obywateli płockich, żeby wszelkich dołożyli starań nietylko co do wprowadzenia projektu w życie, ale i do stałego i sumiennego podtrzymania komitetów statystycznych i kontroli nad statystyką rolniczą, tak niedbale dotąd przez wójtów i pisarzy gminnych prowadzoną, albo nieprowadzoną wcale. Nie wiemy przytém czy na obradach uwzględnioną była konieczność ułożenia dla wykazów statystycznych jednostajnych i szczegółowych szematów. Czynność tego rodzaju należy do przedwstępnych zadań, bez takich bowiem jednostajnych wykazów porządne grupowanie oddzielnych danych staje się nie możebném i tylko tą drogą możemy pozyskać prawdziwe cyfry o zasobach, rozwoju ekonomicznym, produkcyi i handlu gubernii. Zaciekawia nas także kwestya ogłaszania przeciętnych wywodów, nie wiemy bowiem gdzie będą koncentrować się rezultaty prac powiatowych zjazdów, wątpimy przecież, żeby one miały służyć za materyał wyłącznie dla statystyki urzędowéj tak niedostępnéj dla ogółu. Nareszcie jeżeli zjazdy mają same zająć się przeciętnemi wywodami, to wydaje się koniecznem utworzenie stałego komitetu, bodaj gubernialnego, mającego za zadanie układać w jednę całość oddzielne powiatowe wykazy i podawać peryodycznie do publicznéj wiadomości rezultaty zebranych danych.

Ostatni wniosek przedstawiony pod obrady na zjeździe pochodził od p. gubernatora, przedstawił on potrzebę zakładania ochronek po wsiach dla dzieci nie znajdujących dostatecznéj opieki w domu. O wniosku tym tyle tylko wiémy, że trafił na bardzo sympatyczne przyjęcie, przypuszczać więc można, że dzieci włościańskie gubernii Płockiéj prędko doczekają się téj opieki, chcielibyśmy wszakże wiedzieć trochę szczegółów o zakresie działalności jaki ma być tym ochronkom nadany, zaciekawia nas to témbardziéj, że przy umiejętném ułożeniu programu i zadość uczynieniu jego wymaganiom ochronki tego rodzaju mogłyby wypełnić braki obowiązującego systemu elemetarnego wychowania.

W numerze 42 i 43 „Ekonomisty,“ znajdujemy dwa artykuły zatytułowane „Bank Polski w obec potrzeb krajowych.“

Autor pan ....ski uważając, że ogólna działalność Banku Polskiego, zredagowana w obec rozpowszechnienia się przedsiębierczości, do „pośredniego pomagania handlowi, przemysłowi i rolnictwu,“ jest niedostateczną, podaje środki, których użyć należy, do postawienia Banku w możności zadośćuczynienia potrzebom handlu i przemysłu. Główna myśl autora, stanowiąca zresztą podstawę jego artykułów, polega na tém, że Bank nie posiada dostatecznych zasobów do rozwinięcia swojéj działalności. Przeczyć temu niepodobna chociażby już z tego względu, że im większe są fundusze zarówno instytucyi finansowéj jak i prywatnéj jednostki, tém czynności każdéj z nich mogą być bardziéj rozgałęzione, a działalność bardziéj korzystną dla ogółu.

Dla tego też w tym punkcie spierać się z autorem nie będziemy, w objaśnieniu zaś przez redakcyą, w numerze 45 „Ekonomisty,“ znajdujemy wzmiankę o przedsiębranych przez Bank Polski staraniach mających na celu powiększenie swych funduszów, a chociaż one dotąd uwzględnione nie zostały, to wszakże nadzieja, że zasoby Banku kiedyś zwiększone będą niestracone.

Wprawdzie tak nieokreślone obietnice zadowolnić nie mogą, ale cóż począć? jeżeli Bank nic dotąd nie wskórał, to ani autor artykułu, ani my tembardziéj na przyspieszenie przychylnéj decyzyi w tym kierunku wpłynąć nie zdołamy, trzeba więc szukać innych środków. Pod tym względem wyprzedził nas p. ....ski i wskazuje następujące:

1) wstrzymać dalszy odpływ gotowizny z Banku do filij;
2) przyciągnąć oszczędności prowincyi do filii przez podniesienie stopy procentowéj od kapitałów składowych na lokatę i rachunek bieżący;
3) sprzedać część papiérów własność Banku stanowiących;
4) uzyskać powiększenie uposażenia Banku przez nabycie prawa emisyi 3,65% obligów.

Z tych wszystkich środków na jeden tylko zgodzić się możemy, mianowicie co do podwyższenia stopy procentu płaconego od kapitałów składanych na lokacyą.

Wszakże objaśnienia redakcyi „Ekonomisty“ informują nas, że i pod tym względem Bank Polski przedsiębrał już odpowiednie kroki i że one pozostały bez skutku. Zdawałoby się, że jeżeli zwiększenie uposażenia Banku może przedstawiać trudności ze względu, na nie dość pomyślny stan finansów państwa, to kwestya podwyższenia odsetków od lokowanych kapitałów tylko na przychylną powinnaby zasłużyć decyzyą, przecież tą drogą, ściągając prywatne kapi-

tały, możnaby na pewien czas przynajmniéj zażegnać dającą się, bądź co bądź, przewidziéć w przyszłości potrzebę ustąpienia pewnéj części funduszów państwowych, na rzecz Banku Polskiego, przecież powiększenie obrotów Banku przez skoncentrowanie w nim większych funduszów zdaje się leżéć w interesie rządu, gdyż podnosząc zyski Banku zapewnia tém samém i większe zyski skarbowi. Dla tego też zarząd Banku Polskiego dobrzeby zrobił ponawiając odpowiednie przedstawienie.

Zdaje się, że ponawiając starania w tym kierunku Bank Polski może liczyć w téj chwili na większe powodzenie, gdyż usuwając na drugi plan potrzeby handlu i przemysłu, Bank działałby w duchu obecnych potrzeb państwa polegających na wyszukiwaniu i powiększaniu źródeł dochodów.

Wracając do innych środków proponowanych przez p. ....skiego winniśmy uprzedzić zgóry, że żaden z nich nie trafia nam do przekonania.

Pomijamy wskazaną przez redakcyą „Ekonomisty" sprzeczność piérwszego środka, żądającego wstrzymania odpływu gotowizny z Banku do filij, w zestawieniu z domaganiem się otworzenia filii w gub. Augustowskiéj i Siedleckiéj.

Może być, że autor myślał o uposażeniu nowych filij w fundusze cofnięte po części z filij obecnie istniejących, ale w takim razie myśl autora, pragnącego powiększyć zasoby Banku przez wstrzymanie odpływu gotowizny do filij, nie mogłaby się urzeczywistnić, gdyż otworzenie nowych filij miałoby ten skutek, że znajdujące się w istniejących 10 filiach 10.453.000 rs. zostałyby podzielone między 12, bez wpływu na powiększenie kasy głównéj Banku, do czasu kiedy podniesienie stopy procentowéj od kapitałów w nich lokowanych przyciągnęłoby prywatne oszczędności i dałoby możność cofnięcia pewnéj części funduszów z filij.

Tych 10.453 000 rs. nie należy jednak uważać za stałe uposażenie filij; przedstawiają one właściwie różnicę między stanem czynnym a biernym wszystkich filij na 1 (13) Stycznia r. b. i nie mają wcale cechy kapitału zakładowego.

Cała bowiem suma gotowizny jaką Bank udzielił filiom przy otwarciu i następnie przesyłał na zasilenie ich kas, powierzona im została tylko do wyrachowania się, tak że filie będąc ciągle w porachunku z Bankiem obowiązane są odsyłać do Banku wszelkie zbywające fundusze. Przekonać się o tém można chociażby z bilansów Banku, z których widzimy, że przewyżka aktywów w filiach ulega ustawicznym zmianom na korzyść, albo niekorzyść kas Banku Pol-

skiego. Z dnia 1 (13) Października, np. przewyżka ta wynosiła 9.771.932 rs.

Filiom służy prawo w razie nagłych potrzeb czerpać fundusze z kas dyrekcyj szczegółowych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na rachunek Banku, a od dwóch lat zasilane one są przez kasy skarbowe, którym polecono wszelkie zbywające fundusze skarbowe składać na bezprocentowy rachunek bieżący, wyłącznie w celu zwiększenia zasobów filij i ulżenia Bankowi. Nie mamy danych, które pozwoliłyby nam przekonać liczbami o wpływie jaki to rozporządzenie wywarło na odpływ gotowizny z kas Banku Polskiego do kas filij, przypuszczać jednak należy, że dość znaczny, gdyż nie tylko gubernialne a więc zasobniejsze kasy skarbowe, lecz i powiatowe, w tych miastach gdzie filie istnieją, obowiązane sa stosować się do tego przepisu. Jeżeli więc pomimo tych dwu zapewnionych źródeł, filie żądają jeszcze gotowizny od Banku a aktywa ich przewyższają od paru lat pasywa przeszło o ośm milionów rubli, to świadczy tylko o potrzebie kredytu na prowincyi.

Zresztą, zdaniem naszém, zmniejszenie zasobów filij na korzyść Banku chociażby dla tego nie powinno mieć miejsca, że w Warszawie kredyt ułatwiony jest przez istnienie innych prywatnych instytucyj finansowych nie znajdujących się w większéj części miast prowincyonalnych, a chociaż kredyt ten jest droższy niż w instytucyach rządowych, to w każdym razie łatwiéj kosztom tym sprostać mogą zamożniejsi kupcy i handlujący warszawscy niż prowincyonalni, dla których pozostałby tylko kredyt lichwiarski, rozwielmożniony niestety w miejscowościach dla których właśnie p. ....ski domaga się filij bankowych.

Co się tyczy tych ostatnich, to nic słuszniejszego nad żądania autora o przyjście z pomocą gubernii Augustowskiéj i Siedleckiéj, może też doczekamy się otwarcia tam filij jeżeli Bank uzna za możliwe ponowić starania o podniesienie stopy procentowéj od kapitałów składanych na lokacyą i na téj drodze pozyska możność przeznaczenia pewnéj części funduszów powierzonych istniejącym filiom na obroty nowych filij.

Trzeci projekt p. ....skiego, doradzający sprzedaż pewnéj części papierów stanowiących własność Banku, dla tego nie zdaje się mieć dostatecznéj podstawy, że pomijając wypływającą z ustawy Banku względną konieczność trzymania w nich pewnéj części gotowizny, papiery te nie stanowiąc, w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, własności Banku są jedyném zabezpieczeniem złożonych w nim kapitałów. Bank zresztą nie trzyma tych papierów bez ruchu, przeciwnie sprzedaje je, zastawia lub kupuje nowe, tak że ilość gotowizny umieszczo-

na w tych papiérach zmniejsza się lub zwiększa, stosownie do mniejszych lub większych obrotów Banku lub żądań z zewnątrz. Z końcem roku 1877 np. wartość papiérów téj kategoryi równała się w zaokrągleniu 4.476.000 rs. Z końcem r. 1878 wzrosła aż do 13.366.000 rs., w 1879 spadła na 5.155.000 rs., a w roku bieżącym stale się zmniejsza i schodzi w dniu 1 (13) Sierpnia na 3.886.000 rs.

Ostatni nareszcie projekt p. ....skiego, dotyczący emitowania przez Bank obligów 3,65% do wysokości kapitału zakładowego, zdaje się być zgoła niepraktycznym i pomimo zapewnienia przez autora nietylko o łatwości sprzedaży tych obligów, ale nawet o poszukiwaniu ich przez handlujących nie pociąga nas bynajmniéj.

Przypuszczenie łatwości zbytu obligów a nawet wielkiego popytu na nie zdaje się być w równém stopniu nieusprawiedliwione jak sam projekt zwiększenia znaków obiegowych. Nie umiemy sobie wystawić na czém autor opiérał kurs zamierzonych obligów, wiadomo bowiem, że emisya jakichkolwiek papiérów, obligów czy biletów wartościowych winna mieć miejsce tylko na podstawie pewnéj i wiadoméj gwarancyi, a przecież cały zapas kruszcu, jaki Bank Polski posiadał na zabezpieczenie emitowanych do roku 1870 biletów kredytowych, został przewieziony do Petersburga; z chwilą odjęcia Bankowi prawa emisyi, obecny zaś kapitał zakładowy Banku oparty jest na ogólnym funduszu wymiany (metalicznym), wynoszącym z d. 13 (25) Października, według ogłoszonego bilansu Banku Państwa (1), 173.168.041 rs., które mają być niejako hipoteką dla 543.347.000 rs. w biletach kredytowych stale będących w obiegu i 417.000.000 rs. w takich samych biletach czasowo wypuszczonych dla zwiększenia zasobów kas, razem przeto dla 960.347.000 rs. W obec tego, wypuszczenie nowych obligów, chociażby oprocentowanych, z zabezpieczeniem ich wypłaty na kapitale zakładowym Banku Polskiego, stanowiącym tylko dług, gdyby nawet i było dokonane przez Bank, wątpimy czy zdołałoby zjednać zaufanie do jego operacyi i czy obligi mogłyby liczyć na pokup pośród sfer handlujących. Niepodobna w przybliżeniu nawet obliczyć jaki mógłby być kurs projektowanych obligów, ale podług nas, nie nazbyt pesymistycznem wydaje się przypuszczenie, że w najlepszym razie kurs ich byłby bardzo nizki. Służyć zaś za znak obiegowy zastępujący gotówkę, zdaje nam się, iżby nigdy nie mogły. Nie może być zresztą inaczéj, jeżeli bowiem przy obecnym kursie rubel kredytowy traci

---

(1) Ukazatiel prawitielstwiennych rasporiażenji po ministerstwu finansow. Nr 43, r. 1880.

prawie 40% swéj wartości, i trudno mieć nadzieję, żeby kurs ten prędko się poprawił, to cóż można wnosić o kursie papiéru opartego na tych tanich biletach kredytowych. Tego rodzaju gwarancya nie może zjednać zaufania a po za tém, proponowany przez p. ...-skiego sposób powiększenia zasobów Banku, drogą emisyi obligów nie osiąga celu.

Zarówno miejscowi jak i zamiejscowi czytelnicy spotykali się niejednokrotnie w codziennych pismach ze skargami i zażaleniami na złe oświetlenie miasta i z westchnieniami do téj błogiéj chwili, w któréj umowa, zapewniająca niepopularnemu towarzystwu Dessauskiemu wyłączność przywileju oświetlania, traci moc obowiązującą. Chwila ta właśnie nadchodzi, bo 8 Października r. 1883 kończy się termin kontraktu zawartego między miastem a towarzystwem; magistrat zaś stosując się do wymagań kontraktu posłał towarzystwu Dessauskiemu notaryalne zawiadomienie, że nadal przedłużać umowy nie ma zamiaru. Powyższa decyzya zniewoliła magistrat do prac i badań nad organizowaniem nowego oświetlenia po 8 Października roku 1883 i wywołała mniéj lub więcéj wyczerpujące artykuły w rozmaitych organach naszéj prasy.

Pomijając inne, zatrzymamy się na dwu pracach rzucających na całą sprawę jaśniejsze światło niż, nawiasem mówiąc, obecne latarnie gazowe na ulice miasta. Piérwszą znajdujemy w „Gazecie Polskiéj“ (Nr 248), w któréj p. E. L. przedstawia objektywnie prawa Dessauskiego towarzystwa, korzyści jakie ono miastu zapewnia i wskazuje najpraktyczniejszy podług niego sposób wyjścia dla miasta, a drugą w „Gazecie Warszawskiéj“ (Nr 253), z któréj czerpiemy szczegóły o czynnościach przygotowanych do stanowczéj decyzyi w kwestyi dalszego oświetlenia.

P. E. L. informuje nas, że z mocy zawartego kontraktu, miasto po wypowiedzeniu go zwolnioném zostaje od wszelkich zobowiązań względem towarzystwa Dessauskiego i może albo z nim na nowo, albo z innêm jakim towarzystwem wchodzić w dalsze umowy, zostawiając w tym ostatnim razie towarzystwu Dessauskiemu swobodę współzawodnictwa, pod obowiązkiem wszakże wyjęcia rur bocznych komunikacyjnych, prowadzących od rury głównéj do latarń miejskich, uprzątnięcia tychże i dopełnienia spowodowanych tą czynnością robót brukarskich swoim kosztem. Towarzystwu zaś służy prawo na dwa i pół lata przed upływem kontraktu zawiadomić magistrat, że żąda przedłużenia kontraktu na lat 15, czemu magistrat

sprzeciwiać się nie może, ale towarzystwo w takim razie po upływie tych lat 15 oddaje miastu bezpłatnie cały zakład.

W dalszym ciągu podane są szczegóły o obowiązkach towarzystwa Dessauskiego względem miasta, wypływających z teraźniejszego kontraktu i kontroli siły i czasu palenia się gazu, powierzonéj technicznemu komitetowi miasta. P. E. L. dowodzi, że łatwość i dokładność kontroli zapewniona jest w zupełności.

Porównanie cen gazu, płaconych przez miasto Warszawę, z cenami praktykowanemi w innych głównych miastach Cesarstwa, zachodniéj Europy i prowincyonalnych miastach Królestwa, prowadzi do wniosku, że uwzględniwszy warunek dostarczania, ustawienia i utrzymania latarń kosztem towarzystwa, żadne miasto nie opłaca tak tanio, jak Warszawa, dobrodziejstw gazowego oświetlenia.

Co się zaś tyczy zarzutów, że miasto jest źle oświetlone, że nietylko na mniejszych, ale i na głównych ulicach jest ciemno, p. E. L. podziela je w zupełności, lecz dodaje, że towarzystwo Dessauskie nie zawinia tu wcale, gdyż wymagania kontraktu wypełnia dokładnie, przyczyną zaś złego są według autora tylko niedostateczne fundusze miasta. Magistrat ma prawo żądać dowolnéj ilości latarń z opłatą za każdą po 18 rs. 50 kop. rocznie. Jeżeli zaś pomimo ciemności ulicznych nie powiększył liczby latarń, to widocznie tylko z téj racyi, że nie uważa za możebne wydatkować więcéj na oświetlenie Warszawy niż, n. p. zamierzone w budżecie na rok przyszły 47.159 rs.

Końcowy wniosek p. E. L. polega na tém, że magistrat najlepiéjby postąpił, żeby zamiast zrywać umowę, przedłużył ją na lat 5 z mocy przysługującego mu prawa. Tą drogą dotychczasowa cena gazu zostałaby obniżoną prawie o 10% tak dla miasta jak i dla prywatnych konsumentów a uwolniwszy się z pod nacisku (jak mówi p. E. L.), magistrat pozyskałby możność rozpatrzenia się w tém, co nadal przedsięwziąć wypada.

„Gazeta Warszawska“ nie widzi dodatnich stron działalności towarzystwa Dessauskiego, wprawdzie nie podaje tak wyczerpujących danych jak p. E. L., lecz twierdzi, że magistrat, któren przecież musi mieć dokładne wiadomości, dla tego nie uznał przedłużenia kontraktu za korzystne, że warunki jego są zbyt uciążliwe i że towarzystwo Dessauskie nie zjednało sobie wcale konsumentów gazu.

Wypowiedzenie kontraktu wywołało odpowiedź towarzystwa, zastrzegającą sobie prawo przedłużenia kontraktu do lat 15. Do odpowiedzi dołączony został szacunek zakładu, wynoszący dwanaście i pół miljona marek obok wymagań przyjęcia znajdujących się na gruncie remanentów, których wartość ma, według słów p. E. L.,

wynieść pół miljona marek i zobowiązań towarzystwa względem osób trzecich.

Te ostatnie polegają na zobowiązaniach towarzystwa Dessauskiego względem swych oficyalistów, ubezpieczonych kosztem towarzystwa w „Lipskim Banku ubezpieczeń od wypadków i stowarzyszeniu przeciwko wypadkom i niemocy,“ i dla których zostały urządzone kasy wsparcia na przypadek choroby.

Nie będąc kompetentnymi, nie możemy decydować czy szacunek zakładu podany przez towarzystwo jest wygorówany, czy nie— magistrat uznał go za taki i zaprosił p. Hennegera, dyrektora fabryki gazu w Kolonii, do zbadania sprawy i udzielenia opinii i technicznych objaśnień.

Decyzyja p. Hennegera, powzięta po szczegółowém przejrzeniu całéj sprawy, wypadła na korzyść postawionego przez miasto pytania: czy zarząd miasta może założyć i prowadzić własną fabrykę gazu, zaopatrującą tak publiczne jak i prywatne potrzeby w przypuszczalném współzawodnictwie z towarzystwem Dessauskiem? Wywołała ona zebranie członków magistratu, techników i kilku obywateli miasta, prawników i finansistów, zwołanych dla przygotowawczéj narady nad opinią obecnego na zebraniu zagranicznego technika.

„Gazeta Warszawska“ zapewnia, że chociaż stanowczych decyzyj nie powzięto, to wszakże narada doprowadziła do wniosku, że najkorzystniejszém dla miasta jest posiadanie własnéj fabryki gazu,— pozyskanie zaś potrzebnych w tym celu funduszów przyjdzie z łatwością, gdyż jeden z warszawskich finansistów oświadczył: „że pod warunkami na naradzie naszkicowanemi a miasta nieprzeciążającemi kapitał potrzebny nietylko łatwo może być uzyskany, ale że on gotów jest rękojmię téj operacii finansowéj wziąć na siebie“.

Obrót więc sprawy nic pomyślnego nie wróży dla towarzystwa Dessauskiego, wreszcie ma ono prawo żądać przedłużenia kontraktu do lat 15, lecz z obowiązkiem oddania miastu bezpłatnie całego zakładu. Co postanowi towarzystwo? czy skorzysta z tego prawa, czy też ograniczy się do roli zakładu współzawodniczącego z zamierzonym miejskim? o tém w swoim czasie zawiadomimy czytelników, tymczasem tyle tylko pozwolimy sobie dodać, że bodaj, iż istnienie towarzystwa Dessauskiego w charakterze współzawodnika byłoby dla miasta korzystniejszém niż wyłączność przywileju, wypływająca z przedłużenia zawartego z nim kontraktu. W pierwszym wypadku moglibyśmy liczyć na lepsze oświetlenie i mniejsze wydatki, zwłaszcza jeżeli potrzebny kapitał może być z łatwością pozyskany. W ostatnim zaś razie jeżeli nie nazbyt pesymistycznie patrzymy na tę spra-

wę, nie mielibyśmy jeszcze przez lat 15 dobrego oświetlenia, kasa miejska byłaby pozbawiona dochodu z fabryki jaki przynoszą kasom miejskim fabryki gazu istniejące w Paryżu i Kolonii, a w rezultacie jeszcze, miasto dochodząc do posiadania zakładu mogłoby znaléść się w konieczności robienia nakładów na przyprowadzenie go do stanu odpowiadającego potrzebom. Może się mylimy, ale trudno nam wzbudzić w sobie to przekonanie, aby wiedząc o konieczności ustąpienia, nieżyczliwi nam Dessauczycy pamiętali o tém, żeby zakład oddany był miastu w należytym stanie.

Potrąciwszy o sprawy miejskie, niepodobna przemilczéć o budzących żywe zajęcie sprawach teatralnych.

Powszechnie wiadomo, że istniejące dotąd dwa teatry rządowe nie wystarczają na potrzeby publiczności, niemożność dostania biletów, połączona ze ściskiem przy kasach teatralnych, liczne zawsze wywoływało skargi; obecnie może one się zmniejszą, gdyż Warszawa posiada trzeci tymczasowy teatr rządowy mieszczący się przy ulicy Daniłowiczowskiéj, w tak zwanym teatrze Granzowa, aż doczeka się może stałego trzeciego teatru, jeżeli prawdą jest, że nowy gmach teatralny wystawiony będzie na placu Saskim.

Warunkowość tego naszego zawiadomienia polega na tém, żeśmy nic stanowczego dowiedziéć się nie zdołali, mówią—mówią oto i wszystko, ile zaś w tém prawdy, nie wiemy, niektórzy twierdzą, że hr. Krasiński Ludwik ma udzielić odpowiednich funduszów na tę budowę; wiadomości nasze i pod tym względem nie mają realnej podstawy—p. Krasiński bowiem nie potwierdził dotąd publicznie przypisywanych mu zamiarów. Wiadomość tę podajemy więc z wszelkim zastrzeżeniem, tém bardziéj, że jesteśmy do pewnego stopnia zawiedzeni co do rezultatu przypisywanych mu uprzednio projektów. Czytelnicy przypomną sobie zapewne, żeśmy w zeszycie za Wrzesień donosili, że p. Krasiński przeznacza fundusze na otworzenie rolniczéj stacyi doświadczalnéj. Nadzieje były duże, obecnie zaś cała sprawa zredukowaną ostatecznie została, do oddziału próby nasion przy istniejącem w Warszawie muzeum przemysłu i rolnictwa.

Ale wracając do spraw teatralnych i przechodząc od nadziei do faktów spełnionych, winniśmy zawiadomić czytelników o utworzeniu przy Dyrekcyi rządowych teatrów Warszawskich, artystyczno-doradzczego komitetu. Zadanie tego komitetu, złożonego z literatów warszawskich, w charakterze przedstawicieli prasy, polegać będzie na głosie doradzczym w sprawach teatrów i zaznajamianiu dyrekcyi z nowemi, godnemi uwagi, utworami na polu dramaturgii.

W ten sposób może się doczekamy, że w teatralnym repertuarze zajmą główne miejsce utwory oryginalne autorów naszych i mniéj będziemy mieli lichych sztuk pisarzy zagranicznych.

Od tych przyjemnych a raczéj pocieszających do pewnego stopnia szczegółów winniśmy z obowiązku kronikarskiego przyjść do bardzo smutnego wypadku, jaki miał miejsce przed paru tygodniami w Warszawie. Trzech ludzi zostało zasypanych przez ziemię, która osunęła się przy reparacyi studni na ulicy Ogrodowéj.

Nie notowalibyśmy tego wypadku, rozgłoszonego zresztą przez wszystkie pisma codzienne gdyby go można zaliczyć do rzędu wypadków nieprzewidzianych; w takich razach może się zdarzyć, że w istocie nie ma winnego, a zatém i odpowiedzialność na nikim ciążyć nie może.

W wypadku o którym mówimy rzecz się ma zupełnie inaczéj: możliwość katastrofy była przewidywaną przez doświadczonego rzemieślnika i policyą, zapobiedz więc jéj nietylko winny, lecz i obowiązane były władze, od których zależy wydanie pozwolenia na uskutecznienie podobnych robót. Policya w tym razie zrobiła swoje, gdyż zabroniła właścicielom przeróbki, grożącéj zawaleniem się studni; cała wina spada na budowniczego, któren, według słów „Wieku" (Nr. 253), pomimo pretestu policyi udzielił pozwolenia na zamierzoną reparacyą.

Nie pierwszy to już pono zarzut jaki można zrobić panom budowniczym, że zbyt lekceważą życie ludzi i byt całych rodzin, o ile sumienie ich godzi się z podobném postępowaniem, to już rzecz nie nasza a zresztą obojętna, ale nieobojętném jest: kto wynagrodzi pozostałym straty, poniesione w ofiarach niesumienności winnego?

Dla ofiarności publicznéj nie ma tu miejsca, gdyż ona przychodzić winna z pomocą tam, gdzie los jest powodem nędzy lub wypadku, a ponieważ nie wiemy kto zapewnił byt rodzinie zabitego i pokaleczonych robotników przy zawaleniu się, przed paru laty, nowobudującego się domu przy ulicy Wspólnéj, przeto nie możemy być spokojni o to czy odpowiedzialność za ostatnią katastrofę obciąży tego, co za nią słusznie odpowiadać winien. Bylibyśmy wdzięczni, tym od kogo decyzya w tych sprawach zależy, żeby zechcieli o niéj podać w swoim czasie do publicznéj wiadomości. Będzie to niewątpliwie najlepszym środkiem do zmuszenia innych, budowniczych do większéj oględności, chociażby ze względu na osobisty interes.

W Listopadowym zeszycie „Ateneum" zawiadomiliśmy czytelników o kilku nowych czasopismach mających powstać w Warszawie; obecnie mamy jeszcze do zanotowania dwa nowe wydawnictwa, których okazanie się w przyszłym roku nie ulega wątpliwości, mianowicie: zbiorowe wydanie dzieł Lucyana Siemieńskiego, podjęte przez p. Ungra, i zamierzone wydawnictwo rocznika pod tytułem „Pamiętnik Fizyograficzny".

Pierwsze wydane będą w 10 tomach, każdy o 20 arkuszach druku,—za cenę 2 rub. za tom, z przesyłką 2 rub. 20 kop., a dla prenumeratorów „Tygodnika Illustrowanego" cena jest o połowę niższą.

Do komitetu redakcyjnego wchodzą: pp. Szujski i Tarnowski; można więc mieć nadzieję, że wydawnictwo to będzie prowadzone daleko staranniéj niż np. zupełne wydanie dzieł Szajnochy.

Co się tyczy drugiego, to z odezwy redakcyi czerpiemy szczegóły, że pamiętnik wychodzić będzie pod redakcyą pp. Bronisława Znatowicza i Eugeniusza Dziewulskiego i ma zapełnić dotychczasowy brak organu „obejmującego spostrzeżenia nad przyrodą naszego kraju".

Działając w tym kierunku, Pamiętnik Fizyograficzny ma zapewnić krajowi taką korzyść, jaką przynoszą Galicyi „Sprawozdania Komisyi Fizyograficznéj Krakowskiéj". Mieszcząc w sobie obfity zbiór wiadomości o stosunkach przyrodniczych Galicyi, sprawozdaniate, po czternastu latach istnienia, przedstawiają bogaty materyał dla każdego pragnącego bliżéj zapoznać się z naturą kraju.

W roczniku mającym wychodzić w Warszawie uwzględnione będąwszystkie działy, opracowywane w sprawozdaniach komisyi Krakowskiéj, nadto podawane będą prace, odnoszące się do archeologii krajowéj, które w Krakowie miały dotąd oddzielny organ. Drukujący się tam obecnie tom IV „Wiadomości archeologicznych" będzie ostatnim, poczém za porozumieniem się z redakcyją Warszawskiego pamiętnika, materyały zebrane przez komitet redakcyjny Krakowski ustąpione będą warszawskiemu rocznikowi.

Stosownie do tego „Pamiętnik Fizyograficzny" obejmować będzie cztery następujące działy: I meteorologii, hidrografii i orografii; II geologii i chemii; III botaniki i zoologii i IV antropologii, etnografii i archeologii przeddziejowéj.

W działach tych umieszczane będą prace, dotyczące nietylko stosunków przyrodniczych Królestwa, lecz i sąsiednich prowincyj, mające cechę studyów wykończonych i drobniejsze notatki i materyały naukowe.

W ten sposób każdy ma możność komunikować redakcyi swoje spostrzeżenia, nie odstraszając się ściśle naukowym charakterem

wydawnictwa, pamiętać bowiem należy, że tylko drogą najobszerniejszego udziału ludzi nieobojętnych dla nauki, można dojść do wszechstronnéj znajomości i wyczerpującego zbadania kraju; a redakcya, która postanowiła sobie za cel zebranie w jednę całość danych dotyczących fizyografii kraju, z pewnością z każdego zakomunikowanego faktu nie zaniedba zrobić odpowiedniego użytku.

Redakcya pamiętnika ma zapewnione współpracownictwo prawie wszystkich przyrodników naszych; rocznik obejmować będzie 30 arkuszy druku i oddany zostanie do rąk czytelników w piérwszej połowie przyszłego roku za cenę 5 r. w Warszawie i 5 rub. 50 kop. na prowincyi.

Dla wyjaśnienia zawartości wskazanych wyżéj czterech działów pamiętnika, podajemy zaczerpniętą w redakcyi treść pierwszego rocznika.

Pierwsze trzy działy obejmą: pracę p. Kowalczyka przedstawiającą wyniki badań nad temperaturą kraju, otrzymane na podstawie meteorologicznych spostrzeżeń dokonanych przez ciąg lat 55—(1825—1880), z uwzględnieniem rezultatów otrzymanych przez p. Jędrzejewicza przy spostrzeżeniach dokonanych przez lat 5 w Romanowie (Płońsk); pracę dotyczącą błót Pińskich o wykonanych i mających się wykonać robotach; pomiary jezior Tatrzańskich i jezior w Rypinie uskutecznione przez p. Dziewulskiego—i stan rzeki Wisły przez p. Słowikowskiego.

Sekcyą geologii wypełnią prace pp. Kosińskiego i Kontkiewicza, a w sekcyi chemii przedstawiony będzie rozbiór wody Buskiéj i natury skał Tatrzańskich. W dziale III zamieszczone będą prace pp. Nowakowskiego, Caro i Bronisława Aleksandrowicza, dotyczące krajowéj botaniki i drzewostanu—i praca p. Wrześniowskiego, jako rezultat jego studyów zoologicznych. Dział IV najmniejszy, bo poświęcono mu tylko 6 arkuszy, dla tego, żeby nie zacieśniał studyów przyrodniczych; zawierać ma prace: D-ra Dudrewicza, badania nad czaszką; D-ra Peszkiego, badania stopy; D-ra Szokalskiego rezultat badań koloru oczów i włosów ludzkich dokonanych na 20.000 jednostek; p. Glogera o wykopaliskach w Inflantach i p. Slósarskiego o znalezionych w kraju kościach zwierząt przedpotowych.

Rozwój wydawnictwa zależy od poparcia jakiego pamiętnik dozna pośród publiczności. Obecne zasoby redakcyjne, złożone zostały przez kilkunastu ludzi, którym praca dla kraju leży na sercu; reszta zależy od społeczeństwa moralnie obowiązanego popiérać swojskie wydawnictwa tego rodzaju, témbardziéj, że na subsydium

od rządu stanowiące główne zasoby „Sprawozdań komisyi Fizyograficznéj Krakowskiéj“ (1) u nas liczyć nie można.

Z nowości na polu wydawniczém, a raczéj z liczby kalendarzy, wydanych na rok przyszły, zaznaczyć jeszcze należy kalendarz pod tytułem „Gość,“ ułożony przez p. Promyka i przeznaczony dla ludu.

Przytoczenie nazwiska autora wystarcza do zalecenia téj nowéj jego pracy—o dawniejszych wiedzą już czytelnicy chociażby z ostatniego zeszytu „Ateneum.“ Dla dokompletowania więc tylko uznania z jakim wyrażał się tam p. Dygasiński o pracach p. Promyka, dodamy, że książeczka jego, „Obrazkowa nauka czytania i pisania“ część pierwsza i druga, w skutek decyzyi Naukowego Komitetu, istniejącego przy ministerium oświecenia, przeznaczoną została do nauczania w niższych szkołach jako podręczniki do nauki czytania i pisania po polsku i do początkowego wykładu języka.

Wracając do kalendarza, powiédzmy najprzód, że tchnie z niego to ciepło poczucia obywatelskiego obowiązku, jakie przez każdego mogło być zauważone i w poprzednich pracach p. Promyka, i ta sama chęć przyjścia ludowi z moralną pomocą, otuchą i nauką. Kalendarz mieści w sobie, obok zwykłych wiadomości kalendarzowych, wytłómaczenie nie tylko ważniejszych świąt i uroczystości kościelnych, lecz i wskazanie dni zajmujących w danym miesiącu wydatniejsze miejsce w naszych dziejach.

Autor podaje następnie ludowi początkowe pojęcia o świecie, zaznajamia z geografią i wybitniejszemi postaciami historycznemi, przytacza opisy dróg wodnych i lądowych kraju i daje odpowiednie mapki. Oprócz tego znajdujemy w kalendarzu kilkanaście opisów żywotów świętych a nareszcie praktyczne objaśnienia i rady gospodarcze.

Treść jak widzimy bogata, dodajmy, że przystępnie wyłożona. Umieszczenie geograficznych i historycznych wiadomości krajowych w kalendarzu ludowym, o bardzo przystępnéj cenie, gdyż 15 kop. wynoszącéj, uważamy za bardzo trafny pomysł autora; dla tego zaś, żeby ta nowa praca p. Promyka trafiła do miejsca przeznaczenia, potrzeba, żeby kalendarz „Gość“ rozgościł się w istocie w jak największéj ilości chat włościańskich i warsztatów.

Wprawdzie pochop do czytania wzrasta pośród włościan, ale nie wszyscy oni mogą wiedziéć o téj pracy, a wielu nie ma nawet sposobności jéj nabyć, zdaje nam się, że obywatele ziemscy informując o niéj włościan, albo kupując ją i rozdając włościanom w znacznéj

---

(1) Na wydawnictwo roczników Sejm przeznacza corocznie 1.500 złr.

części przyczynić się mogą do osiągnięcia celu jaki sobie autor założył. Skończywszy o kalendarzu p. Promyka, winniśmy zawiadomić czytelników o konkursie imienia Kraszewskiego, ogłoszonym przez redakcyą „Biblioteki Warszawskiéj,“—a zostającym w pewném pokrewieństwie z pracami Promyka. Konkurs bowiem ma także oświecenie włościan na celu i ogłoszony został na napisanie „Książeczki traktującéj w sposób jasny i prosty o całości robót i zajęć rolniczych w zakresie gospodarstwa włościańskiego“.

Zadanie to rozpada się na kilka działów, które redakcya postanowiła zawrzéć w kilku oddzielnych książeczkach, traktujących o każdém dziale z osobna. Działów tych redakcya Biblioteki wskazuje sześć: 1) rola i jéj uprawa pod różne płody; 2) ogrody; 3) poprawa łąk i pastwisk; 4) hodowla żywego inwentarza; 5) nawozy i ich przysposabianie—i 6) gospodarstwo domowe, zwyczaje, przesądy.

Na pierwszy raz, redakcya ogłasza konkurs „oświaty ludowéj“ na napisanie książeczki dotyczącéj pierwszego działu mianowicie „Rola i jéj uprawa pod różne płody“.

Premium wynosi rs. 100; rękopismy nadsyłane być mogą do redakcyi „Biblioteki Warszawskiéj“ do 1-go Czerwca roku 1881.

Pozostawiając autorowi obmyślenie programu i wybór najodpowiedniejszéj formy, redakcya umieściła kilka ogólnych wskazówek dla piszących, które podajemy. Pismo premiowane powinno odznaczać się: jasnością, prostotą i zwięzłością opowiadania, praktycznością przedewszystkiém popartą w niektórych razach dotykalnemi przykładami. Ubieganie się za językiem ludowym, redakcya uważa za zbyteczne, zalecanie zmian i ulepszeń winno być przeprowadzone z wielką ostrożnością, gdyż śmiałe zbytecznie nowatorstwo i zrywanie z tradycyą mogłoby odstraszyć włościan, bardzo przywiązanych do zwyczajów. Taki jest w najogólniejszym zarysie zakres pożądanéj pracy.

Poświęcimy jeszcze kilka słów odczytom, które się rozpoczęły w ratuszu w Listopadzie. Przedmiotem pierwszych odczytów była „Boska komedya“ Dantego, a prelegentem p. Stanisławski, b. profesor Kazańskiego Uniwersytetu.

Prelegent znany do r. 1869 jako prawnik, od téj daty zajął wybitne stanowisko w literaturze. Profesor Stanisławski jest tłómaczem całkowitéj Boskiéj komedyi na nasz język. Przekład ten, dokonany białym wierszem, jest owocem kilkunastoletniéj pracy p. Stanisławskiego, wydany w Poznaniu w r. 1870 w dziesięć lat po

ukazaniu się przekładu dokonanego uprzednio wierszem rymowanym przez Korsaka.

Nie tu miejsce na jakiekolwiek krytyczne uwagi lub spostrzeżenia, to tylko możemy powiedzieć, że tłómacz trzymał się niezmiernie ściśle oryginału, co wszakże nie wpłynęło wcale na zaciemnienie treści utworu, wyjaśnionéj przytém dołączonemi do przekładu licznemi i szczegółowemi objaśnieniami i dopiskami.

Biorąc za przedmiot odczytu tak dobrze znany sobie utwór, profesor Stanisławski, chociaż trzy odczyty poświęcił Boskiéj komedyi, nie mógł wszakże bez pewnego ubliżenia wielkości utworu wdawać się w doraźną krytykę lub wyjaśnienie głębszych intencyj florenckiego poety, zresztą pobieżną krytykę uważał za bezcelową.

Poprzestał więc na zaznaczeniu we wstępie stanowiska, jakie Dante zajął w poezyi, zaakcentował, że ze względu na uniwersalność utworu zasługa Dantego i dzieło jego są własnością wszechludzką, na równi ze wszelkiemi innemi dziełami geniuszu, i które mają jednostajne znaczenie i jednostajną doniosłość dla całéj ludzkości.

Powszechne też zainteresowanie się utworem Dantego wyraża się w mnogości dokonanych na różne języki przekładów Boskiéj komedyi, których ilość przewyższa liczbę 300, a z tych 200 przypada na bieżące stulecie. W naszéj literaturze mamy około dwudziestu tłómaczy oddzielnych pieśni Boskiéj komedyi, całkowite zaś przekłady są tylko dwa, Korsaka i prelegenta.

W odczytach profesor Stanisławski streszczał Boską komedyą, przechodząc kolejno oddzielne śpiewy trylogii: piekło, czyściec i raj. Prelegent uwydatniał, posiłkując się własnym przekładem, piękniejsze i mające głębsze znaczenie ustępy, nietylko każdego śpiewu, lecz każdéj oddzielnéj pieśni, wyjaśniał w niektórych miejscach alegorye, uwydatniał psychologią, że się tak wyrazimy, utworu i wszechstronną znajomość ludzi, świata i naukę autora.

Tą drogą profesor Stanisławski starał się osiągnąć cel, jaki sobie założył, przyjścia z pomocą a raczéj z ułatwieniem tym wszystkim, dla których Boska komedya przedstawiała labirynt o wyjściu niemożebném a przynajmniéj trudném do odszukania bez przewodnika.

W zakończeniu prelegant zaznaczył, że z pomiędzy wszystkich narodów, my tylko możemy się poszczycić posiadaniem utworu podobnego do końcowéj pieśni Boskiéj komedyi. Mamy bowiem krótki i niedokończony wiersz Mickiewicza „Widzenie,“ w którym nasz poeta z równą Dantemu siłą i w zgodny z nim sposób opowiada a raczéj odtwarza, pojęcie „Światła Najwyższego“.

Zasłużony oddawna w literaturze ojczystéj, jeden ze współpracowników naszych, ś. p. *Aleksander Tyszyński*, zmarł d. 5 Listopada we wsi swojéj Miasocie w powiecie Wilejskim. Zajmował on wybitne stanowisko, zwłaszcza w zakresie krytyki literackiéj i filozoficznéj. Od roku 1866 do czasu przekształcenia Szkoły Głównéj na Uniwersytet był w niéj profesorem literatury polskiéj, budząc w słuchaczach szczere zamiłowanie do wykładanego przez się przedmiotu. Następnie usunął się na wieś, gdzie nie przestał pracować, do końca życia śledząc niezmordowanie postęp w naukach i w literaturze. W pismach jego, myśl poważna zawsze nad formą górowała; a chociaż nie godził się na wszystko, co w najświeższych czasach jako nowe prawdy głoszono, nigdy jednak nie potępiał śmiałych polotów myśli i umiał naznaczać im właściwe miejsce w rozwijaniu się ducha ludzkiego.

Literatura nasza ze śmiercią jego ponosi stratę dotkliwą. Składając cześć jego pamięci, miejmy nadzieję, że młodsze pokolenie krytyków podwoi usiłowania, ażeby miejsce przez śmierć zasłużonego człowieka opróżnione, próżném nie pozostało.



Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu Stycznia 1879 r.

---

1. **Biskupstwo Warmińskie** jego założenie i rozwój na ziemi Polskiej, napisał Dr. *Sieniawski* T. I i II. Poznań 1878.
2. **Socyalizm** jako objaw choroby społecznéj. Zarys ustroju społecznego i krytyczną odprawę Socyalizmu skreślił Dr. *Juliusz Au.* Poznań 1878.
3. **Artur Grottger.** Szkic biograficzny przez *Klemensa Kanteckiego.* Lwów 1879.
4. **Źródła dziejowe** Tom VII. Sprawy Prus Książęcych za Zygmunta Augusta 1566—1568. Dyaryusz trzykrotnego poselstwa komisarzy królewskich, wydał i wstępem historycznym objaśnił *Adolf Pawiński.* Warszawa 1879.
5. **Sztuka i literatura** w XVIII i XIX wieku przez *Maurycego Carriera.* Wydawnictwo Michała Glücksberga Zesz. 17 (ark. 11—20). Warszawa 1879.
6. **Encyklopedya Rolnictwa.** Tom V, zesz. siódmy. Całego dzieła zeszyt 54-y.

ATENEUM,

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

w roku 1879

wychodzi na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawiérającemi.

W „Ateneum" pomieszczane są: studya ze wszystkich gałęzi nauk historycznych, społecznych i ścisłych, z dziedziny sztuki i przemysłu; opisy podróży, powieści, poezye i utwory dramatyczne: krytyka dzieł polskich i obcych, bibliografia, przeglądy, korespondencye i rozmaitości.

Prenumerata w Warszawie, w guberniach Cesarstwa i Królestwa, oraz zagranicą we wszystkich krajach związku pocztowego, wynosi:

Rocznie. . . . . **Rs. 12.**
Półrocznie . . . . **„ 6.**
Kwartalnie (tylko w Warszawie) . . . . **„ 3.**

Prenumerować można **głównie**

w REDAKCYI ATENEUM,

Niecała, Nr. 7,

oraz we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Prenumeratorów z prowincyi uprasza się o nadsyłanie prenumeraty *bezpośrednio*

DO REDAKCYI.

Дозв. Цензурою, Варшава, 20 Января 1878 г. Druk. K. Kowalewskiego, Królewska 23.

